

TOM CCLI

SERYA 9

De. II. 1.

ROK 63

ZESZYT 752

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

C Z E R W I E C .

1903.

TOM II. — ZESZYT 3.

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja: Krakowskie Przedmieście 5.

1903.

TREŚĆ ZESZYTU.

	Stron.
1. WRAŻENIA Z KONGRESU UMIEJĘTNOŚCI HISTORYCZNYCH, ODBYTEGO W RZYMIE W DNIACH 2 — 9 KWIETNIA 1903-go ROKU, — przez Tadeusza Korzона	421
2. DZIEŃ DUCHA ŚWIĘTEGO. Z powodu wydania „Traktatu o Trójcy” Zygmunta Krasińskiego, — przez Adama Krasińskiego (dokończenie)	464
3. AD ASTRA. DWUGŁOS przez Elżę Orzeszkową i Juliusza Romskiego (dalszy ciąg)	493
4. TARYFY KOLEJOWE DLA ZBOŻA, — przez Józefa Jeziorańskiego	511
5. POLSKA W NIEMIECKIEJ LITERATURZE PIĘKNEJ DAWNIEJ I DZISIAJ, — przez dra Józefa Flacha	532
6. GENEZA NOWYCH PRĄDÓW W SZTUCE, — przez Kazimierza Broniewskiego	565
7. ROZMAITOŚCI: Szlachectwo rodu Słowackich. Kartka ze stosunków rodzinnych Juliusza Słowackiego, na podstawie nieznanych materiałów, — przez Leopolda Méyeta	575
8. PIŚMIENNICTWO: <i>Józef Ignacy Kraszewski</i> : Polska w czasie trzech rozbiorów. 1772 — 1779. Studya do historii ducha i obyczaju. Tom trzeci. 1771 — 1779. Warszawa, 1903, — przez A. R.	585
<i>Albert Sorel</i> : Sprawa wschodnia w XVIII-tym wieku. Pierwszy podział Polski i traktat Kainardżyjski. Przetłóżyli z upoważnienia autora słuchacze Uniwersytetu lwowskiego, z przedmową Szymona Askenazego. Lwów, 1903, — przez A. R.	594
9. KRONIKA MIESIĘCZNA: Lekarze a lud wiejski. — Spółka udziałowa Salonu artystycznego i jej zadanie. — Ruch pocztowy w Warszawie. — Poradnik językowy. — Sekcja imienia Chopina. — Ś. p. Jego Ekscelencya ksiądz biskup Henryk Dołęga-Kossowski. — Ś. p. Ludwik Jenike	612
10. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	620



De. II 1.

Wrażenia z Kongresu umiejętności historycznych,

odbytego w Rzymie w dniach 2 — 9 kwietnia 1903 roku.

„Cóż było powodem niedojścia, albo, rzecz można, zerwania Kongresu w roku zeszłym, 1902-gim, gdyśmy posiadali już karty uczestnictwa imienne (opłacone kwotą dwunastu lirów), tudzież obwieszczenia i wskazówki organizacyjne od Komitetu, którego prezesem pisał się prof. Ettore Pais?“.

Takie zapytanie wystosowałem do p. Jakóba Tropea, profesora na Uniwersytecie Padewskim i redaktora kwartalnika pod tytułem: „Rivista di Storia Antica“, przedstawiając się jemu w Padwie, w jego mieszkaniu, jako domniemanemu współtowarzyszowi przyszłych obrad kongresowych.

Bardzo uprzejmy i dokładnie z przedmiotem sporów obeznany profesor stwierdził, że fermentem burzliwym stał się „Lapis niger“¹⁾, to jest: odkopany w styczniu 1899 roku, w pobliżu znanego każdemu, co widział Forum Romanum, łuku Sewera, rzekomy grób Romulusa. Pod brukiem starożytnym, na kilkunastu stopach głębokości, znalazły się jakieś obrobione ręką ludzką głazy, między którymi największe zaciekawienie obudził czarny, kamienny klocek, z napisami na wszystkich swoich czterech bokach. Z polecenia owoczesnego ministra Baccellego, znakomity filolog, profesor uniwersytetu rzymskiego, Ludwik Ceci, zabrał się do odczytania owych napisów, i w ciągu dwu tygodni ukończył tę nader trudną czynność, nadając wierszom pionowym kierunek poziomy, uznając litery za greckochalcydyjskie, a język za staro-laciński, czytając jeden wiersz od ręki lewej ku prawej, a drugi, następny, odwrotnie, od prawej ku lewej, to jest sposób pisma „ornego“ βωσπεροφύδων i t. d. Jego metoda i wnioski spotkały się z zaprzeczeniami ze strony innych badaczy,

1) Wszyscy Włosi wynawiają: Lapis nidzer.

a stąd wywiązała się drażliwa polemika ¹⁾. Wdali się w tę polemikę Pais, autor wielce uczonej, ale hyperkrytycznej, „Storia d'Italia“, i Niemcy; przyplątały się osobiste i polityczne przyczynki, uraził się Mommsen, aż w końcu Pais, wraz z całym Komitetem dyrekcyjnym, złożył swój urząd, i gdy sprawę niedoszedłego Kongresu ujął obecny minister oświecenia publicznego, Nasi, gdy niez mordowany sekretarz generalny, prof. Jakób Gorrini, działając w imieniu nowego Komitetu, zorganizowanego pod prezydencją senatora Villari, zachęcił nas wszystkich do odnowienia wzajemnych zobowiązań: starożytnicy nie dali się przejednać. Ani prof. Pais, ani jego zwolennicy i przeciwnicy, tak Włosi, jak Niemcy, nie mieli brać udziału w Kongresie. Prof. Tropea wyznał, że przyjedzie do Rzymu, ale jako redaktor, dla zaopatrzenia swego czasopisma w niezbędne informacye, nie zaś jako delegat uniwersytetu. Szczęściem, zawziętość taka nie udzieliła się historykom, uprawiającym inne działy nauki: więc wspomniana lista okazała w dniach 31 marca i 1 kwietnia 852 nazwiska przed chwilą otwarciem Kongresu, a w przedostatnim dniu obrad, 7 kwietnia, dosięgła liczby 1,544, w której mieści się 273 dam, rozmaicie utytułowanych (signora, signorina, miss, baronessa, contessa, marchesa, dwie dottoressy, siedm profeserek, professoresse); ostatniego zaś dnia, przy zamknięciu, prezes Villari wymienił 1,800 uczestników płci obojej, razem z 300 delegatami rządów i instytucji naukowych. Damy, które towarzyszyły mężom, lub ojcom, lecz same nie zapisały się na listę członków, nie miały wstępu ani do sal, ani na festyny, wszędzie bowiem przy wejściu żądano okazania kart uczestnictwa. Prof. zaś Tropea, chociaż nie zapisał się w żadnym z ośmiu numerów urzędowego dyaryusza, przyjął jednakże vice-prezesostwo na pierwszym posiedzeniu sekcji I-ej, i miał później odczyt o ruchu w historii włoskiej po roku 1894.

Porównyując z Kongresem „Historji porównawczej“ paryskim, odbytym podczas Wystawy w 1900 roku, w gronie 850 zapisanych członków ²⁾, widzimy, że Komitet organizacyjny rzymski p. Villarego wytworzył znacznie większą siłę atrakcyjną, jeśli potrafił ściągnąć podwójną liczbę przybyszów i zatrzeć szkodliwe wrażenie zawodu,

¹⁾ Fotograficzne wizerunki całego wykopaliska i bibliografię polemiki podał profesor Horacy Marucchi w ogłoszonym świeżo dziele: „Le Forum Romain et le Palatin d'après les dernières découvertes. Desclée Lefebvre et C-ie, Paris — Rome. MCMIII, str. 48 — 60.

²⁾ Annales internationales d'Histoire. Congrès de Paris, 1900. Fascicule I Liste des Membres. Paris, A. Colin, 1901.

oraz niewygasłego rozdrażnienia, jakie wynikło w Komitecie prof. Paisa. Pociągał wielu przynętą udogodnień pieniężnych, przy utrzymaniu poprzedniej niskiej kwoty wpisu (12 franków, paryski zaś pobierał po 20 franków), jako to: wyjednanie od zarządów dróg żelaznych obniżki biletów jazdy o 40 do 60% i od Towarzystwa Generalnego Żegluga o 50% na wszystkich liniach, z wyjątkiem jedynie komunikacji z Ameryką; bezpłatnym wstępem do wszystkich archiwów, muzeów, bibliotek, galeryi, wykopalisk, zostających pod zarządem ministerów, lub gminy miasta Rzymu, usługami przy poszukiwaniu mieszkań i pensyonatów, a bardziej jeszcze ugrzecznioną i żwawą korespondencją z każdym członkiem, lub aspirantem—co stanowiło zasługę sekretarza generalnego, prof. Gorriniego.

Wzorową uprzejmość i usłużność znajdował każdy przybysz od razu, już na dworcu dróg żelaznych w Rzymie. Jeżeli się zgłosił do zawsze obecnych tu panów z Komisji „przyjmującej“ (Commissione di ricevimento), otrzymywał natychmiast przewodnika, który jeździł z nim po najbliższych do miejsca posiedzeń ulicach, wskazując mieszkania żądanej ceny i ułatwiając porozumienie w układach o najem. Potem, w gmachu Collegio Romano, od ulicy tegoż imienia № 26, meldujący się członek podawał swój adres i otrzymywał medalik pamiątkowy z archaicznym napisem: „II. IX Aprile MCMIII“, z głową Romy i łańcuszkiem do zakładania w dziurce od kłapy tużurka, lub fraka ¹⁾); brał też programy swojej sekcji. Na karcie uczestnictwa wy-ciskano mu stempel, niezbędny do zachowania przywilejów i ulg w drodze powrotnej. Na tem kończyły się legitymacye i członek mógł już korzystać z poczty, telegrafu, sali dziennikarskiej, urządzonych wewnątrz gmachu; miał wstęp, wolny na wszystkie odczyty, konferencye i recepcye; dostawał codziennie nowy numer „Diario“, obejmują-

¹⁾ Ten medalik (medaglia ricorlativa) składa się z dwu krążków srebrnych, pozłożonych i połączonych łańcuszkiem; wykonany wytwornie pod kierunkiem kawalera Speranza, rzeźbiarza mennicy królewskiej w Rzymie. Głowa Romy, przykryta hełmem klasycznym i otoczona perełkowym obwodem, jest reprodukcją wizerunku z denara starożytnego, znajdującego się w kapitolińskim gabinecie medali, a pochodzącego przypuszczalnie z VII wieku ery starorzymskiej, czyli II-go przed narodzeniem Chrystusa Pana. Napis mieści się na odwrociu. Perełkowe obwody nie są współśrodkowe z obwodem medalu tak samo, jak na starożytnych monetach, które były wybijane młotem nie tak dokładnie, jak dzisiejsze maszynowe. Drugi krążek jest gładki. Dopłata za tę artystyczną pamiątkę wynosiła tylko 3 liry = 114 kopiejek.

cy listę przybyłych członków, program zajęć, krótkie sprawozdania ze wszystkich posiedzeń, zawiadomienia i nowiny—jednym słowem, to wszystko, co potrzebnem i przydatnem było do wiadomości dla „kongresisty“.

W dniu 1 kwietnia otwary się podwoje głównego wejścia od strony placu Collegio Romano, udekorowane draperią i chorągwią. Wehodząc na kwadratowe podwórze, ujrzeliśmy portyk, pod którym widoczne były duże napisy na białym perkalu: „Seziona I Storia antica ed epigrafia“, „Seziona II Metodica“, „Posta e Telegrafo“, „Stampa“ i t. d. Kamienne wschody prowadziły na pierwsze piętro do auli „największej“ (Massima), przeznaczonej na posiedzenia grupy najliczniejszej w sekcji drugiej: Storia medioevale e moderna. Wyszedszy zaś na krużganek pierwszego piętra, znajdowaliśmy podobne napisy nad salami innych sekcji i grup, oraz biura prezesa Kongresu i sekretarza generalnego. Każda prawie sala miała ponad wielkimi oknami drugi szereg okien mniejszych, a więc dużo powietrza i światła. Tylko niektóre dolne od strony wąskiej ulicy św. Ignacego były przyćmione cieniem przeciwnych wysokich kamienic. Najmniejsze nawet mieściły około stu krzesel. Przypominając sobie, że ten gmach był zbudowany w drugiej połowie XVI wieku przez Benedykta Ammiati na szkołę główną teologii i prawa kanonicznego dla Jezuitów, podziwialiśmy plan, wymiary i zasoby pieniężne zakonu. Zajmuje ogromną przestrzeń aż do ulicy Caravita i placu św. Ignacego, łącząc się z kościołem tegoż wezwania; ponieważ jednak oprócz sal wykładowych zawiera w swych murach bibliotekę, tak zwaną Wiktora Emanuela, i muzeum Kirchera, więc nie wystarczał na potrzeby Kongresu. Wyznaczono tedy dla sekcji VI geograficznej poblizki pałac Grazioli, siedzibę włoskiego Towarzystwa Geograficznego, dla sekcji V prawnej i ekonomiczno - socyologicznej — lokal Kółka prawniczego na Corso Umberto № 307, i dla sekcji IV muzyczno - dramatycznej Akademię św. Cecylii na via de'Greci № 18.

W auli „największej“ Kollegium rzymskiego o godzinie 10-ej zaczęło się pierwsze posiedzenie organizacyjne. Senator Villari poddał pod głosowanie listę prezesów, vice-prezesów, sekretarzy i podsekretarzy Kongresu, pozostawiając sekcjom obiór swoich prezesów i sekretarzy na każdym posiedzeniu. Okrzyknięto z oklaskami bez głosowania wszystkich zaproponowanych kandydatów, a więc jako prezesów honorowych: ministrów oświecenia i spraw zagranicznych, syndyka Rzymu i Teodora Mommsena, który nie przybył, lecz z Charlottenburga nadesłał niebawem telegraficzne podziękowanie. Wiceprezesami podobnie mianowani zostali: Harnack Adolf z Berlina, Meyer Paweł z Paryża, Bryce Jakób z Londynu, Modestow Bazyl z Petersburga

i Pastor Ludwik z Wiednia (właściwie z Insbrucku, gdzie jest profesorem, lub z Rzymu, gdzie przebywa przez większą część roku jako dyrektor austriackiego Instytutu historycznego). Naturalnie, że prezesem rzeczywistym (*presidente effettivo*) pozostał jednomyślnie okrzykiwany i oklaskiwany sam Villari, a sekretarzami i podsekretarzami jego pomocnicy Włosi: Gorrini, Giorgi, Mancini, d'Aspremont, Magnocavallo, Maranelli. Obrano jeszcze wiceprezesów do sekcji, również przez aklamację podług listy, ułożonej w ten sposób, że w każdej grupie zamieszczono nazwiska cudzoziemców, z dodaniem jednego Włocha, niezbędnego do suferowania. Znalazłem tedy na liście kandydatów w grupie „Metodica“ nazwiska: swoje i p. Kochanowskiego, który nie przyjechał do Rzymu z powodu choroby ¹⁾. Zrozumielśmy, że prezydium chciało uczcić swoich gości wszelkiego kraju i narodu tytułami urzędowymi i nadać Kongresowi cechę międzynarodową (*internazionale*), a raczej wszechnarodową, wszechcywilizacyjną. Cel ten został osiągnięty, zapanowała bowiem pomiędzy różnojęzycznym ludem uczonych doskonała zgoda i koleżeńska uprzejmość.

Od tej chwili zaczyna się życie Kongresu, jako istoty organicznej, lub zorganizowanej. Komitet przygotowawczy pomyślnie ukończył swoje niełatwe zadanie. Komitet paryski z roku 1900 nie mógł się pochlubić ani takim porządkiem i talentem organizacyjnym, ani tak podniosłem natchnieniem.

Akt uroczysty otwarcia Kongresu odbył się nazajutrz, dnia 2-go kwietnia, na Kapitolu. Jak wiadomo, placyk, ozdobiony autentyczne-

¹⁾ Naprzykład przytoczymy listę kandydatów Sekcji drugiej, rozdaną na posiedzeniu 1 kwietnia:

Proposte per le elezioni dei Vicepresidenti e dei Segretari delle Sezioni.

Sezione II. — Storia medioevale e moderna. Vicepresidenti: Simonsfeld dott. Enrico, Pelissier Leone, Siragusa G. B., Block J. P., Harrison Frederic. Hauser Enrico. Segretari: Casanovo Enrico, Lövinson Ermanno, Galli Ettore, Rodocanachi Eman. Cernezzi Luigi.

Sezione II. — Metodica. Vicepresidenti: Croce B., Hartmann Moritz, Korzon, Nitti Fr., Kochanowski. Segretari: Benussi, Gentile.

Sezione II. — Archivistica, Bibliografia e Scienze Ausiliari. Vicepresidenti: Ovary, Gherardl, Schellass. Segretari: Santini P., Coggiola G., Degli Azzi.

Sezione II. — Storia Diplomatica. Vicepresidenti: Rott Ed., Darvai. Segretari: Ognibene, Marzi.

mi trofeami Maryusza i posągami konnym Marka Aureliusza, zajmuje wkleśłą część dwuwierzchołkowej „góry Kapitołińskiej“, porośłą niegdyś legendowym gajem Romulusa, a dziś pokrytą asfaltem i ograniczoną trzema pałacami; z tych lewy nazywa się „Musei“, prawy — „palazzo dei Conservatori“, środkowy, zbudowany na prastarych ciosowych głazach, wysoki z tej strony, a dwakroć wyższy od strony Forum, nosi nazwę „senatorskiego“, jest bowiem siedzibą zarządu miejskiego, który na czele swych odezw i pism urzędowych, jako też na wszelkich sprzętach i utensyliach, kładzie historyczne, starożytne godło senatu i ludu rzymskiego: „S. P. Q. R.“. Na ten dzień zbudowano i umeblowano połączenie pomiędzy pałacami; wejście do lewego ubrano w szkarłatne draperye z herbami dla królewskiej pary. Członkowie Kongresu wchodzili do pałacu środkowego ganikiem zewnętrznym, po kilkunastu kamiennych wschodach. Znaleźli się odrazu w sali długiej, zapełnionej licznymi rzędami krzesłek lekkich. Dwa ozdobne fotele pod baldachimem były przygotowane dla króla i królowej; jedyną ozdobę ścian stanowiła chorągiew miejska. Wolną drogę od tronu do drzwi przeciwległych utrzymywali ustawieni we dwa szeregi strażacy (vigili), nie dość oporni względem tłoczącej się publiczności, bo ich oficer musiał niejednokrotnie prostować zachwianą linię i zwracać się z przemowami do zbyt ciekawych natrętów.

Punktualnie o godzinie 9-ej minut 30 doszedł uszu naszych odgłos „marsza królewskiego“ (marcia reale); po chwili witaliśmy oklaskami, wedle włoskiego obyczaju, Wiktora Emanuela III-go i małżonkę jego, Elebę. Pierwszą mowę wygłosił prezydent miasta (sindaco di Roma), ksiądz Prospero C o l o n n a. Wywołał wspomnienia dawnej potęgi i sławy, zaznaczając, że przemawia na miejscu starożytnego Tabularium, gdzie były przechowywane uchwały senatu, plebiscyta i akta państwowe, skąd szerzyły się cywilizacja i prawo po całym świecie. Rzym był ojczyzną wspólną (Roma communis patria) od pierwowcin swoich, od czasu, kiedy na tymże Kapitolu Romulus utworzył schronisko dla tułaczy. Historycy znajdują tu pomniki Romy panowania nad światem, ale też poczują oddech nowej, współczesnej Italii, która pragnie światła, braterstwa ludów i miłości powszechnej. Potem minister oświecenia, N a s i, witając przybyłych cudzoziemców imieniem Włoch i króla, rozwiódł się nad obecnym stanem Historii, która, lubo już stała się nauką, szuka jeszcze swoich formuł ideowych, jako też nad jej metodami i poszukiwaniami. Zestawiał pobieżnie (i dość hazardownie) głośne imiona obce: Laurent, Flint, Hegel, Michelet, Carlyle, Buckle — z włoskimi, jak: Guicciardini, Giannone, Vico, Muratori; stwierdzał dbałość rządu włoskiego o postęp w odkryciach ar-

cheologicznych i wydawnictwie źródeł; wspominał o własnym dobrym uczynku—wyjednanu w parlamencie sumy, potrzebnej na kupno archiwum Muratoryańskiego; zapewniał poparcie Deputacyi Historyi Ojczystej (Deputazioni di Storia Patria) i pracom wszystkich Towarzystw naukowych, zmierzającym ku wyświeetleniu dziejów nowoczesnych z okresu „Zmartwychwstania Włoch“ (del Risorgimento); wróżył, że dzisiejszy „trzeci Rzym“ nie wyrzeknie się swojego posłannictwa historycznego, lecz je skieruje ku nowym, prawdziwym i bardziej ludzkim ideałom powszechnego braterstwa w pokoju¹⁾. W końcu oświadczył p. Nasi imieniem króla, że Kongres historyczny międzynarodowy otwiera się. Z tego oświadczenia pierwszy skorzystał prezes Villari, żeby określić swój pogląd na zadania i cele przyszłych obrad. Nie wystarcza mu zwykle powtarzany motyw o zawiązywaniu znajomości i osobistych stosunków pomiędzy członkami uczonego zgromadzenia: żąda on i oczekuje poważniejszych skutków. I tak, Włosi po dokonanych w XIX-ym wieku owocnych pracach w zakresie historyi prawa, językoznawstwa romańskiego, filologii klasycznej, dyplomatyki, paleografii, wydawnictwa dokumentów, powinni dążyć teraz do osiągnięcia syntezy z tych prac, do czego niezbędnem jest umysłowe obcowanie z cudzoziemcami, zapoznanie się

1) Mowę tę dwukrotnie przerywał p. minister, a słuchacze doznawali przez kilka minut niepokoju, gdy się rozległo po sali pukanie, które przechodziło co chwila w coraz gwałtowniejsze dobijanie się do drzwi wchodowych. Słyszałem dokoła trwożne zapytania: Che cosa è? Un incidente? Un rivoluzione? Z królewskiego orszaku wyszli: minister spraw wewnętrznych, Giolitti, i syndyk, Colonna, zabrawszy z sobą kilkunastu strażaków. Wkrótce hałas ustał i hr. Gianotti doniósł królowi, że to był objaw złego humoru spóźnionych kongresistów. Sprawa nie przechodziła przez śledztwo sądowe: więc nie daje się opowiedzieć z zupełną ścisłością. Naoczni świadkowie opowiadali z rozmaitemi wariantami, że około godziny 9^{3/4} zebrano się paręset osób przede drzwiami, które straż opuściła, zamknawszy je na klucz. Największą niecierpliwosć miały objawić panie Francuzki, one to bowiem zaczęły wołać: „Frappez! Frappez!“. Lecz wykonawcami ich rozkazu byli podobno Włosi. Giolitti przemówił groźnie, kwalifikując taki eksces do obrazy Majestatu, i strażaków upoważnił do użycia siły. Włosi odpowiedzieli na to okrzykami: „Vergogna!“ (Wstyd!), przypominając obowiązek gościnności względem cudzoziemców. Zdaje się, że taki argument poskutkował i że awanturnicy, pomiędzy którymi zauważono jakieś znakomitości, zostali wpuszczeni do sali innemi drzwiami, w ślad za wracającym Giolittim.

z dziejami i cywilizacją innych narodów. Cudzoziemcy znów muszą porozumieć się co do pojmowania warunków społecznych i politycznych, które oddziałują bezpośrednio na pracę dziejznanawczą. Nazywano wiek XIX-ty wiekiem narodowości. W istocie patryotyzm narodowy cechuje społeczeństwo nowoczesne, pobudza historyka do badań, ożywia jego wymowę. „Ale przesada w patryotyzmie czyni go jednostronnym, niesprawiedliwym względem obcych; nie pozwala mu dostrzegać, co jedne narody zawdzięczają innym. Wszakże skutkiem postępu w studyach historycznych wyjaśnia się coraz wyraźniej jedność historii, zwłaszcza nowożytnej. Gdyby znikł jeden z wielkich narodów, inne utraciłyby coś pożytecznego, albo niezbędnego. Wielcy poeci, jak Dante i Shakespeare, są uosobieniem duchów narodowych: jednakże, jeśliby zabrakło jednego, lub drugiego, my wszyscy utracilibyśmy jakąś część, może najlepszą, ducha naszego“. Wskazując następnie na troski, jakich Europa doznaje, widząc rozrost dwu państw olbrzymich, Rosyi i Stanów Zjednoczonych Amerykańskich, na gorączkę do zakładania kolonii i wynikającą stąd kwestyę współżycia z rasami kolorowemi, na zadania socjologii szczególnie w sprawie klasy robotniczej, Villari wnioskował, że wstępujemy obecnie w nowy okres dziejowy, który powinna oświetlić nauka, jako przewodniczka cywilizacji. Wiele uczynić mogą: etnografia, geografia, psychologia nowa, na przyrodniczych badaniach zasadzająca się: lecz dla socjologii jedyną gruntowną i bezpieczną podstawę stanowi historia. Akademie i mnożące się wciąż czasopisma historyczne zapoczątkowały już pracę wspólną międzynarodową. Otóż Kongres niniejszy może przyczynić się wielce do zjednoczenia, do skonfederowania takiej pracy, bo Rzym jest jedynem miastem na świecie, gdzie założone zostały instytuty historyczne wszystkich niemal narodów europejskich, a Włochy, od chwili swego zjednoczenia, głoszą pokój, i obecnie wzywają uczonych do zgodnej pracy dla dobra ludów cywilizowanych.

Przeciągłym, entuzjastycznym oklaskiem przyjęli słuchacze ten szlachetny i wspaniały program znakomitego historyka włoskiego; słuchaczami jego byli delegaci nie tylko rządów europejskich, ale też kilku amerykańskich i minister chiński.

W imieniu wszystkich cudzoziemców przemówił po włosku „z lekkim akcentem cudzoziemskim“ (jak zauważyła „Tribuna“), Paweł Fredericq, profesor uniwersytetu gandawskiego ¹⁾:

1) Obrany na zebraniu delegatów dnia poprzedniego po południu, zgodnie z propozycją p. Gabryela Monod.

Sire, Graziosa Regina, Signore, Signori!

Delegaci wszystkich narodów cudzoziemskich, tu reprezentowanych, raczyli powierzyć zaszczyt przemawiania w ich imieniu małeńkiemu Belgijczykowi. Ja składam podziękowanie od mojej ojczyzny.

My wszyscy przybyliśmy do Rzymu ożywieni zarówno duchem braterstwa naukowego, i wyrazamy najszczerszą wdzięczność Włochom i ich stolicy za ofiarowaną nam gościnność.

Jakież miejsce w całym świecie mogłoby okazać się właściwszem dla Kongresu historycznego międzynarodowego, od tego Rzymu wiecznego?

Pamiętki starożytności, średniowiecza i czasów nowożytnych kupią się tutaj w większej ilości i wspaniałości, niż w jakiegokolwiek innej miejscowości na kuli ziemskiej. Tu więcej, niż gdziekolwiek indziej, nabierają powagi i skuteczności wykłady z historii...

Na zakończenie mówca zręcznym zwrotem, dziękując królowi za wysoką opiekę, Kongresowi użyczoną, zaprosił go do koleżeństwa naukowego, jako znawcę numizmatyki. Zyskał oklaski publiczności i zrobił wielką przyjemność Wiktorowi Emanuelowi.

Na tem zakończył się akt otwarcia Kongresu dla ogółu członków. Sądzymy, że prezydium nie powinno było nic więcej dodawać, chcąc zachować w świeżości nienaruszonej to wrażenie, z jakim wyszliśmy na plac Kapitolński. Ale znać zachodziły szczególne względy, bodaj politycznej natury, które wytworzyły jakiś nieskładny akt dodatkowy, nazwany niedokładnie: „L'inaugurazione della Forma Urbis“.

Widzieliśmy królewską parę, jak przechodziła przez całą długość sali i przez niedostępne dla publiczności salony do pałacu Konserwatorów. My dostać się tam nie mogliśmy nawet z placu, bo kordon karabinierów i gwardzistów municypalnych otwierał się tylko przed kartami specjalnemi delegatów. Więc z gazet wieczornych dopiero dowiedzieliśmy się, że miejscem nowego zgromadzenia dostojników państwowych i pewnej niekompletnej liczby delegatów zagranicznych dokola osoby królewskiej była nowozbudowana „galerya Herkulesa“, z której widziano kawałeczki starożytnego planu miasta, nalepione na odrysowanym obecnie przez uczonych, a więc nowoczes-

nym, archeologicznym planie Rzymu, wielkości 14×18 metrów. Profesor Lanziani wytłómaczył, że owe kawałeczki są szczątkami stu czterdziestu tablic marmurowych, sporządzonych różnemi rękoma i podług dwojakiej skali (1 : 250 i 1 : 200) za panowania Septymiusza Sewera, w latach 203 — 211 po narodzeniu Chrystusa. Z tysiąca okrucichów, jakie znalazł był przy kościele świętych Kozmy i Damiana budowniczy Dosio w 1562 roku, odnaleziono teraz w ciągu lat 1888 — 1899 zaledwo 636, a z tej liczby rozpoznać i rozmieścić należyście udało się tylko 167 ¹⁾. Pracowała pilnie i wytrwale cała Komisyja, do której należeli najbiedlejsi archeologowie: Gatti, Marucchi, Tomasetti i Huelsen. Najważniejszą zdobyczą dla wiedzy jest odkrycie na tym planie Stagnum Agrippae, nieznanego dotychczas. Przyznaję, że archeologowie mogą zużytkować jeszcze kilka fragmentów do swoich badań, jak to uczynił już prof. Marucchi w opisie Forum; oceniam cześć, jaką Rzymianie przejmują się dla każdego zabytku świetnej przeszłości swojej; pozwoliłbym i na tablicę, upamiętniającą zasługi Rady miejskiej, owego S. P. Q. R., w sprawie odzyskania zniszczonego dzieła: ale nie widzę dostatecznego powodu tak uroczystej inauguracyi czegoś, co nie sprowadzi żadnej wielkiej zmiany ani w historii powszechnej, ani nawet w archeologicznych badaniach Rzymu.

Jeszcze mniejszą i lżejszą wagę przywiązujemy do przedstawionej następnie przez barona Antoniego Manno genealogii hrabiów sabaudzkich (protocarta comitale sabauda). Cała jej wartość na tem zawisła, że czterdziesty pierwszy przodek Wiktora Emanuela III-go, niejaki Humbert Białoręki (Umberto Biancamano) miał tytuł hrabiego w dniu 2 kwietnia 1003 roku, kiedy spisywano ów pierwszy dokument heraldyczny domu Sabaudzkiego, a więc na lat dziewięćset ściśle przed dniem obecnego posiedzenia. Mówca zestawił te dwie daty, żeby „na Kapitolu wspomnieć o dziewięciu wiekach panowania, sprawowanego z taką sławą, zawsze prawowitego, a nigdy tyrańskiego“: ale nie odkrył żadnego śladu, żeby ten szczegół genealogiczny wywarł wpływ na losy chociażby maluczkiego wówczas państewka feudalnego, żeby stał się powodem naprzykład jakiejś wojny, lub tranzakcyi sukcesyjnej, albo żeby oznaczał chwilę założenia tego państewka; dla dumy zaś rodowej, dynastycznej króla Włoch zjednoczonych nie przyniosło zapewne żadnego zasiłku przypomnienie

¹⁾ Ja naliczyłem jeszcze mniej, bo osmdziesiąt, nie zaprzeczam jednak rachubie szanownego profesora; wierzę, że większe grupy złożyły się z połączenia wielu kawałków. .

władztwa nad ubozuchną krainą alpejską, która nie stanowi nawet cząstki dzisiejszego mocarstwa, skoro od dnia 24 marca 1860 roku należy do Francji. Jeśli mowa o Kapitolu, to Rada Heraldyczna, w której baron Manno piastuje urząd komisarza królewskiego, powinna chyba pomyśleć o przechowywanej w Muzeum starożytnej, spiżowej wilczycy, którą dawniejsi naiwni genealogiści umieli wprowadzać do rodowodu mniej możnych domów, naprzykład naszego sapieżyńskiego. Jeżeli zaś nie jest możliwą taka robota w dzisiejszym stanie nauki: toć nie należało wiązać domu Sabaudzkiego z Kapitołem na Kongresie historycznym i nadawać godzącemu się wybornie z demokracją (ale nie z Watykanem) Wiktorowi Emanuelowi III-mu niewczesnego tytułu. „*Sacra Reale Maestà*“.

Zdaje się, że obydwa niezbyt udatne pokazy drobiazgów z laboratorium dziejoznawczego służyły za prolog do trzeciej, ważniejszej i głównej odsłony. Oto wystąpił rektor magnificus uniwersytetu berlińskiego, Otto Gierke, „prawdziwy olbrzym, z długą, jasnowłosą brodą Arminiusza, z piersią, orderami okrytą“ (*vero gigante dalla barba bionda d'Arminio, col petto ricoperto di decorazioni*) i głosem donośnym przeczytał po włosku co następuje:

Reali Maestà! Signori!

Mój najdostojniejszy (augusto) monarcha, cesarz Wilhelm, król pruski, pragnąc wyrazić przed tym świętym Kongresem swoją sympatyę dla pracy historyków, dla sławy imienia włoskiego i dla „Miasta wiecznego“ polecił nam ¹⁾, abyśmy złożyli dwa tomy fotogramów, z których jeden zawiera zdjęcia ze starożytnego rzymskiego grodu, zwanego Saalburg ²⁾, odkopanego i zrestaurowanego

1) Oprócz rektora Gierke przedstawicielami Prus byli jeszcze Harnack Adolf, von Willamowitz-Möllendorf Ulryk (zięć Mommsena), Kehr Paweł i Buecheler Franciszek.

2) Tekst mowy, podanej w „Tribunie“, wymienia „Saalburg nel Fauno“, w „Illustrazione Italiana“, № 15: „Saalburg, nel Tauno“. Nie wiem, czy nad rz. Saalą istniała jakakolwiek forteca rzymska; może należy poprawić tę nazwę na Saarburg, czyli Sarrebourg nad rz. Saar v. Sarre, w części Lotaryngii, przyłączonej do Niemiec po wojnie prusko-niemieckiej 1870 — 1871 r. Albumu nie oglądaliśmy, więc poprawka nasza może być także mylną, tem bardziej, że góry Taunus nie tu się znajdują, lecz na prawym brzegu Renu.

pod jego opieką, drugi — zdjęcia ze wspaniałych świątyn starożytnych Baalbeku. Te zdjęcia, dedykowane szanownemu Kongresowi, mam zaszczyt złożyć u stóp Waszej Królewskiej Mości; ukazują się one po raz pierwszy na światło dzienne. Saalburg i Baalbek, stanowiska graniczne, świadczą wybitnie o wielkości starożytnej, wszechświatowej cywilizacji, której środowiskiem był ten święty pagórek kapitoliniński, gdzie w dniu dzisiejszym objawia się tak uroczyście nowoczesna jedność umiejętności ludzkiej.

W imieniu prezydium komandor Tomassini przyjął albumy z uznaniem dla Wilhelma II, „który posiada zdolność być przytomnym wszędzie, gdziekolwiek się odbywa święto sztuki, pracy i nauki”. Prezes Villari wysłał niezwłocznie dziękczynny telegram do samego cesarza Wilhelma.

Opowiedziałem to wszystko podług cudzych relacji, gdyż gromada pospolitaków kongresowych, wśród której czekałem na odjazd królewskiej pary, widziała tylko manewry kirysyerów eskorty, wsiadanie do powozów przy powtórnem graniu marsza królewskiego i pożegnalne ukłony. W relacji zaś dziennikarskiej winienem jeszcze zaznaczyć wzmiankę o nas, zamieszczoną natychmiast po komplementach dla Wilhelma II w następujących wyrazach:

„Reprezentacya Polska wysłała na Kongres historyczny kilku swoich przedstawicieli. Z Warszawy przybyli profesorowie: Korzon, Jabłonowski i Kraushar; z Krakowa prof. Dembiński, jako reprezentant Akademii nauk, i dr Sternbach. Dwaj delegaci będą mieli referaty w sekcji drugiej Kongresu o kwestyach interesu ogólnego i o rozwoju historii w Polsce“¹⁾.

Uzupełnić ten wykaz należałoby nazwiskami: hr. Adama Sierakowskiego (z Waplewa w Prusach Zach.), dra praw, zapisanego w № 3 „Diario“, d-ra Karola Hadaczka (№ 1), Antoniego Wysłoucha, który znalazł się dopiero na liście № 4 pod postacią „Wysłonch“, już po wygłoszonym przez niego odczycie w sekcji pierwszej, a którego narodowość stała się dla Włochów zagadkową, z powodu „Drogiężyna“, podanego jako miejsca zamieszkania; wreszcie Witolda Bociarskiego, adwokata z Kowna, i Stanisława Roźnieckiego, dra filozofii z Kopenhagi. P. Zieliński, prelegent z sekcji czwartej, zapisał

1) „Tribuna“, 3 kwietnia 1903 roku, № 93.

się jako Warszawianin, lecz nie stawił się osobiście; dopiero z odczytanego przez sekretarza referatu dowiedzieliśmy się, że jest to znany miłośnik numizmatyki i ofiarodawca biblioteki dla miasta Płocka, p. Józef Zieliński ze Skempego. O profesorze Historii sztuki na uniwersytecie hradeckim (Graz), Józefie Strzygowskim, nie wiem, do jakiej zalicza się narodowości.

Tego samego dnia po południu zaczęły pracę trzy sekcye, a nazajutrz wszystkie ośm z podziałami na grupy, tak, że jednocześnie odbywało się trzynaście posiedzeń. Oczywiście, żaden sprawozdawca nie mógł być obecnym wszędzie, a nawet w pojedynczych grupach wyrozumieć wszystkich referatów, wygłaszanych różnemi językami (bo, prócz włoskiego, były dopuszczone: francuski, niemiecki i łaciński), z wymową, czasem nie dość wyraźną, i z tematami, częstokroć bardzo specjalnemi. Niepodobnaby było powziąć wyobrażenia o działalności całego Kongresu, gdyby nie dostarczał nam codziennych i treściwych wiadomości „Diario“, który stanowi niepospolity tytuł zasługi dla prezydium. Wszak nie łatwym zadaniem było zebrać od sekretarzy codziennie tyle zapisek, zredagować je, wydrukować i oddać do sali pocztowej przed godziną 9-tą zrana. Stenografów nie używano dla tego zapewne, że czas nie pozwalał na drukowanie stenogramów; nie wszyscy sekretarze umieli chwycić z równą biegłością przebieg dyskusyi, lub treść referatów: więc o zasadności i wartości argumentacyi dowiemy się z tych rękopisów, jakie otrzymało i do druku zakwalifikuje prezydium, wydając sprawozdanie ogólne, pod tytułem: „Atti del Congresso“. Nadmienić jeszcze muszę o przykrej niespodziance, wynikłej wskutek bezrobocia powszechnego (sciopero generale) dnia 8 i 9 kwietnia, to jest w dwu ostatnich dniach istnienia Kongresu: stanęły wszystkie drukarnie, znikły dorożki, powozy prywatne i tramwaje, większa część rzemieślników opuściła warsztaty. Redakcja, drogą wyjątkowego układu z Komitetem Robotniczym Federacyi Włoskiej, zdołała wydać № 8 Dyaryusza, ale 9-ty zapowiedziała w postaci zeszytiku autografowanego i wzywała sekretarzy do złożenia krótkich, czytelnie napisanych sprawozdań. Numeru tego jednakże nie mogliśmy dostać 9, 10 i 11 kwietnia; musimy więc poprzestać na tych informacjach, jakie podały gazety po zakończeniu bezrobocia. Mimo takich trudności, można przecież wytworzyć, jeśli nie zupełnie dokładne, to przynajmniej ogólne wyobrażenie o pracy wszystkich sekcyi Kongresu, dzięki sprawności organizatorów jego.

Nasze osobiste „wrażenia“ z Kongresu paryskiego w 1900 r. były ulomniejsze przy braku dziennika urzędowego i gorszej obsłudze reporterów prasy codziennej; z referatami sześciu sekcji (bez dyskusji) zapoznały nas „Annales Internationales d'Histoire, Congrès de Paris 1900“, wytwornie wydane przez firmę Armand Colin — ale dopiero w roku 1901 i 1902. Przyznać tedy winniśmy, że Komitet rzymski skuteczniej zaspokoił niecierpliwą ciekawość naszą.

Wykonamy nasz przegląd w porządku liczbowym sekcji podług przygotowanych zawczasu, wystawionych w portyku i rozdawanych członkom programów.

SEKCJA I-sza miała się dzielić na cztery grupy, lecz na posiedzeniach, które trwały od dnia 2 do 8 kwietnia, łączyły się zwykle pierwsza z drugą, historia starożytna z epigrafią i trzecia z czwartą, filologia klasyczna z porównawczą. Referowali: Petersen o rezultatach interpretacji kolumny Trajana; Conway o dwu warstwach ludności w Latium; Moestow, b. profesor uniwersytetu petersburskiego, o stanie obecnym kwestyi etruskiej; Radet o jednym ustępie w dziele Herodota, dotyczącym podziału administracyjnego monarchii perskiej; Holzapfel roztrząsał legendę o Romulusie; Wysłouch wyliczał ślady pobytu Fenicyan na ziemiach polskich i wpływu ich cywilizacyjnego na tubylców aż ku ujściu Wisły, wskazując na pale, pozostałe po ich moście pod Toruniem; Tropea charakteryzował za pomocą czasopism ostatniej doby (od roku 1895) postępy na polu historii we Włoszech; Vitelli mówił o zakupionych przez siebie papirusach greckich; Mahaffy o Ptolemeuszach IV i IX-ym, niesłusznie sponiewieranych; Lombroso o Glossarium Hellenisticum et Alexandrinum, z poglądem na cywilizację okresu Ptolemenszów; pani Aucher de Ferrer o ruinach miast rzymskich w Algierji i Tunetanii, z pokazem fotograficznych zdjęć Timgad, który nazwała drugim Pompei, oraz amfiteatru El-Djen, który porównała z Koloseum. (Taż sama pani czytała w innej sekcji, VII-ej, filozoficznej, swoje uwagi o wpływie religii muzułmańskiej na obyczaje i na umysłowość kobiety arabskiej w krajach Afryki północno-zachodniej). Vulić, Serb z Belgradu, interpretował napis rzymski z roku 211, znajdujący się w Kumanowie, poczem mówił o wojnach Augusta i Tyberyusza na półwyspie Bałkańskim; Ferrero rehabilitował Augusta, dowodząc, że reformy jego wskrzeszały istotnie Rzeczpospolitą; Borman udzielił wiadomości o śladach wału rzymskiego, tak zwanego Limes, wykrytych w Austrii; Kornemann składa egzemplarz nowego czasopisma pod tytułem: „Beiträge zur alten Geschichte“, którego dwa tomy wyszły pod redakcją Lehmana, a trzeci przy udziale samego referenta; Eusebio podaje kilka spostrzeżeń

z gramatyki historycznej, poczynionych na łacinie archaicznej i na szczególnym kształcie litery R w zabytkach epigraficznych Alby; Seymour Conway donosi o napisie, odkrytym przez szkołę angielską z Aten w mieście Baisos na Krecie, określa napotkany w nim alfabet, uznaje odcyfrowane wyrazy za mowę króla Minosa, pośrednią pomiędzy językami greckim i łacińskim, podobną do języka Osków, a w każdym razie indo-europejską; Ussani ocenia wartość historyczną poematu Lukana; Rasi docieka, czy Eusebiusz w swej kronice wspominał o roku urodzenia Lucylusza; Ramorino zawiadamia o istnieniu rękopisu Vita Agricolae Tacyty z X-go wieku w bibliotece hrabiego Balleani w Jesi; Macé i Seccheresse formułowali zasady wymawiania łaciny dla dzisiejszego XX-go wieku.

Takie i tym podobne referaty zwały się w terminologii kongresowej komunikatami: „Comunicazioni“. Mogły one zaciekać tych, lub owych specjalistów, lecz nie budziły zajęcia w szerszych kołach, o czem, łatwo było przekonać się z nieustannej wędrownki słuchaczy. Zauważenie sal zmieniało się przy każdym niemal odczycie, bez względu na miłość własną prelegenta. Niecierpliwi zrazali się nawet do samej idei kongresów naukowych i twierdzili, że wolą czytać referaty w postaci artykułów jakiegokolwiek czasopisma specjalnego. Ci, którzy uczęszczać na posiedzenia przestali, pożałują jednakże niewyrozumiałości swojej.

Nie przeczę, że pomiędzy tak wielką liczbą referatów, znajdowały się drobiazgowo, lub nieudatnie przedstawione słuchaczom; że nie dość systematycznie szeregowały się w programach, a jeszcze mniej w wykonaniu: ale czyż mógł Komitet organizacyjny zrażać zgłaszających się do zapisu członków odrzuceniem, lub surową krytyką ich opracowań, następnie zaś, czy mógł zapobiedz niestawiliennictwu wielu, których nazwiska były na porządek dzienny wpisane? Na przypadki i usterki każde zgromadzenie ludzkie, zwłaszcza tak różnorodnych i różnokształtne, musi być wyrozumiałem, tem bardziej, że Komitet postarał się wytworzyć w sekcjach działalność zbiorową przez wprowadzenie rozpraw, czyli dyskusji nad kwestyami, wytkniętymi zawczasu i opatrzonemi nazwą tematów: „Temi“. Przewodniczący udzielał głosu żądającym członkom, zarządzał wotowanie wedle podanych wniosków i ogłaszał zapadłą uchwałę w postaci „porządku dziennego“ (ordine del giorno). Wynikały czasem żywe spory, a nawet i sceny burzliwe, jak w parlamencie.

W sekcji I-ej, o ile wiem, nie dochodzili pp. filologowie do roznamiętnienia. Tak: 1) Ramorino, wnioskiem swoim: de onomastico latino elaborando wywołał uwagi Vitellego, Ussaniego, Willamowitza, o trudnościach wykonania w obecnym stanie badań etymologicznych

i uchwałę, uznającą jego pomysł za trafny w zasadzie, lecz do wykonania możliwy dopiero w przyszłości; tymczasem zaś Akademie i pojedynczy uczeni powinni korzystać z każdej sposobności do gromadzenia chociażby szczupłych materyałów. Conway przydał wezwanie dodatkowe do uczonych wszelkiej narodowości, aby, wydając dzieła autorów, formowali indeksy wzmiankowanych w tekście imion, ze wskazaniem miejsca wzmianki. 2) Nazajutrz, 4 kwietnia, E. Stampini, w imieniu własnem i Sabbadiniego, żądał bibliografii historyczno-krytyczno-systematycznej do autorów greckich i łacińskich, z wyszczególnieniem manuskryptów, edycji drukowanych i tłómaczeń, wydanych przed końcem 1902 roku; na przyszłość, poczynając od roku 1903, bibliografia taka miałaby się kompletować za pomocą spisów rocznych i tomów, obejmujących w cztero, albo pięcioletnich okresach wszystkie rozprawy i opracowania tychże autorów klasycznych. Na skutek dyskusyi, w której brali udział Lambros, Buecheled, Willamowitz i Krumbacher, powzięto dwie uchwały: a) co do manuskryptów zaleca się formowanie katalogów pojedynczemi bibliotekami; b) co do prac drukowanych nowoczesnych o każdym autorze klasycznym zaleca się ujawnianie wykazów z każdego kraju co rok za pomocą wydawnictw bibliograficznych już istniejących, lub nowych. 3) Vitelli, dnia 6 kwietnia, proponował założenie Towarzystwa Międzynarodowego do wydawnictwa tekstów poezyi greckich (*Corpus di papiri letterari greci*) z uwzględnieniem grafiki. Grek, Lambros (z Aten), Anglik Mahaffy (z Dublinu) i Niemiec Willamowitz (z Berlina) sprowadzili ten wniosek do skromniejszej miary, że sekcyja I-sza pragnie: a) żeby pisma poetyckie greckie, a w szczególności teksty Homera, przechowane w rękopisach średniowiecznych, ukazały się w takiej edycji, któraby zawierała odpisy najściślejsze, litera po literze, ze wszystkiego, co tylko jest czytelne, i nie pomijała nic takiego, co przydatnem być może do krytyki tekstów, oraz do dziejów grafiki i zwyczajów pisarskich; b) żeby wydawcy stosowali się, o ile można, do tych norm, jakie będą wprowadzone do berlińskiego wydania pism poetyckich. Tenże prof. Vitelli, pospołu z Lambrosem, wyjednali dodatkową uchwałę co do pism niepoetyckich (*non letterari*), zalecającą wydawcom formowanie repertoryów wyrazowych i rzeczowych, oraz indeksów do każdego tomu i do całych seryi. W obu tych uchwałach niema mowy o Towarzystwie Międzynarodowem: Vitelli został pokonany przez Willamowitza, który zapowiedział nowe wydawnictwo Homera przez firmę lipską Teubnera, i po-
 nętnie wyłożył przepisy wydawnicze berlińskie.

SEKCYJA II-ga obejmowała *Historyę Średniowieczną i Nowożytną*, a nadto w grupach dodatkowych: 1. Me-

todykę. 2. Archiwistykę, bibliografię i nauki pomocnicze. 3. Dyplomacyę i epokę Napoleona I-go. Liczba członków zapisanych, referatów zadeklarowanych i posiedzeń odbytych górowała nad wszystkimi innymi. Zajmowała też salę największą, Aula Massima, na piętrze i trzy mniejsze na dole. Jako członek tej właśnie sekcji, z grupy „Metodica“, mogłem czynić spostrzeżenia, w charakterze słuchacza i świadka codziennego, lubo nie we wszystkich grupach i z niejednakową kompetencyą.

Aula Wielka zapełniła się już w dniu otwarcia Kongresu, 2-go kwietnia, o godz. 15-ej minut 30, czyli o 3-ej i pół po południu. Obiór sześciu wiceprezesów i prezesa odbył się szybko przez akłamację, poczem wstąpił na katedrę ksiądz, l'abbé Duchesne, dyrektor Szkoły Francuskiej w Rzymie, kształcącej młodych uczonych i ogłaszającej ich badania, lub odkrycia archeologiczne, epigraficzne, artystyczne itp. Mieszkając w willi Medici stale, Duchesne musi władać doskonale językiem włoskim, czytał jednakże po francusku swój referat o biskupstwach włoskich w obrębie panowania Longobardów. Z najpewniejszych źródeł wyciągał wskazówki o granicach dyecezyi i stanowisku biskupów przeważnie w Italii północnej, a zakończył rzecz swoją twierdzeniem, że doznawane od Longobardów krzywdy przypisywać należy ich dzikości barbarzyńskiej, nie zaś fanatyzmowi religijnemu. Schulte, dyrektor podobnej Szkoły Pruskiej w Rzymie, po włosku mówił o wełnie, sprowadzanej do warsztatów florenckich z Magrebu w Wiekach Średnich, i stanowiącej główny artykuł ich produkcji, dopóki nie wzmogło się współzawodnictwo miast flamandzkich, które dostawały lepszą, podatniejszą do farbowania wełnę z Anglii; tkacze włoscy zaczęli też sprowadzać wełnę angielską, a z takich obrotów handlowych wywiązało się bankierstwo włoskie. Pastor, dyrektor instytutu historycznego austriackiego w Rzymie, udzielił wiadomości o bibliotekach rzymskich, a Krumbacher (po niemiecku) o wydawanem przez Akademię monachijską Corpus Byzantinorum. Świeższy powiew wniósł na mównicę p. Gabryel Monod, dyrektor Szkoły studyów specjalnych (Ecole des Hautes Etudes) w Paryżu i znakomity redaktor czasopisma „Revue Historique“. Czytał on, lubo głosem nie dość donośnym, miłe dla ucha włoskiego wspomnienie o Michelecie, pod tytułem: „Michelet et l'Italie“, o jego studyach nad Wergiliuszem i Janem Baptystą Vico, o jego stosunkach z wygnańcami włoskimi, o jego sympatyi dla sprawy wyzwolenia i zjednoczenia Włoch; zaznaczył przytem życzliwość jego dla wychodźców z innych krajów i uczcił pięknemi słowy pamięć Mickiewicza; wreszcie zakończył apostrofą o braterskiem połączeniu Włoch z Francją i o sojuszu wszystkich ludów świata. Okłaski, których nie szczędzili wszystkim prelegentom

słuchacze, były tu rzęsiście i głośniejsze, względnie do ich liczby, niż zwykle.

Nazajutrz podobne powodzenie osiągnął prof. Ováry z Budapesztu przez to, że sprawozdanie swoje o wydawnictwach Akademii Węgierskiej ożywił przeglądem stosunków węgiersko-włoskich od czasów Karola Roberta (1307 — 1342), aż do drugiej połowy XIX-go wieku, do 1866 r., kiedy Stefan Türr, na czele węgierskiego legionu, walczył o sprawę włoską. Nie omieszkał, naturalnie, wygłosić gorącego wezwania do przyjaźni pomiędzy Włochami a Madyarami, gazyety zaś przypomniały, że sam prelegent zdobył rangę porucznika w szeregach Garibaldiiego i medal waleczności za odznaczenie się w potyczce pod Ponti della Valle, dnia 1 października 1860 roku ¹⁾! Zstąpiwszy z mównicy, rozdał obecnym spis wydawnictw Akademii Budapeszteńskiej, sporządzony przez niego samego w języku włoskim i obejmujący zbiory źródeł, tytuły rozpraw z dziewiętnastu tomów i dzieła pojedyncze autorów ²⁾; ten ostatni dział powtarza najczęściej podane w poprzednim tytuły rozpraw w odmiennym tylko, alfabetycznym porządku nazwisk. Plon pięćdziesięcioletniej działalności nie jest imponujący liczebnie w porównaniu z działalnością wydawniczą naszej Akademii: ale zabiegliwość Madyarów w reklamowaniu wszystkiego, co produkuje „Magyarország“, może posłużyć nam za wzór do naśladowania. Nie opuszczają oni żadnego kongresu międzynarodowego, ani żadnej sposobności do zabierania głosu przy obradach, a w „Revue Historique“ jakież to dokładne sprawozdania o ruchu dziejopisarzkim wypisuje p. Kont! Tymczasem referat polski w tem poczytnym piśmie leży odłogiem już od lat kilku, na co uskarżał się p. Monod żywym słowem, prosząc nas o zaradzenie temu defektowi. Z dobrą chęcią ozwał się prof. Bronisław Dembiński; wiinniśmy złożyć mu za to podziękę, ale też i życzyć mu madyarskiej pilności.

Z szeregu następnych referatów (comunicazioni) wymienimy wybitniejsze. Gherardi, dyrektor archiwum państwowego we Florencji, żąda nowej edycji Guicciardiniego, obliczonej na cztery tomy i na dwa lata pracy, podług oryginalnych własnoręcznych rękopisów autora, które posiada hr. Franciszek Guicciardini. Simonsfeld, prof.

¹⁾ Capitan Fracassa, 4 kwietnia 1903 roku, № 94.

²⁾ Elenco delle pubblicazioni storiche dell'Accademia Ungherese delle scienze di Budapest compilato per Leopoldo Ováry delegato dell'Accademia Ungherese al Congresso di scienze storiche in Roma. Budapest, presso Vittorio Hornyánsky, 1903; broszurka in 16-o, str. 22.

z Monachium, komunikuje treść trzech listów, adresowanych do księcia Bawaryi, Albrechta V-go, w latach 1565, 1566, 1571, i rzucających nieco światła na dzieje włoskie. Gay (w języku francuskim) oceniał rządy bizantyjskie X i XI-go wieku we Włoszech południowych dodatnio. Gaudenzi odkrył w jednym z manuskryptów watykańskich tekst grecki donacyi cesarza Konstantyna i dowodził, że tekst łaciński jest falsyfikatem, wykonanym w VIII wieku za Stefana III-go przez mnichów greckich, którzy wówczas uciekali do Włoch z powodu obrazobóstwa cesarzów bizantyjskich. Lánczy, prof. z Budapesztu, widzi fałszerstwo jezuickie w tej wielkiej i tak drogiej Węgrom bulli z r. 1000, którą miał sformułować papież, Sylwester II, nadając Stefanowi I-mu, Świętemu, tytuł królewski, i przesyłając mu koronę anielską, słynną koronę świętego Stefana. Ohr dobadywał się, czy Karol wielki przed koronacją swoją był cesarzem obrany? Jak łatwo było przewidzieć, rezultat badania wypadł negacyjny. Luchaire, znakomity badacz średniowiecza, profesor szkoły archiwalnej (Ecole des Chartes) paryskiej, w referacie pod tytułem: „La casuistique d'Innocent III“ przytoczył kilkanaście decyzji prawnych tego papieża, rozstrzygających zapytania biskupów i sądów duchownych z przedziwną jasnością rozumowania i z zastosowaniem zasady miłosierdzia (Misericordia superexaltatur iudicio). Książd profesor Minocchi donosi o odkrytej w rękopisach watykańskich legendzie franciszkańskiej, jednej z najdawniejszych i obfitującej w szczegóły do życiorysu świętego Franciszka z Assyżu. Generał De Sonnaz czytał referat swego brata, A. Gerbaix de Sonnaz, posła w Lizbonie, o senatorze rzymskim, Ludwiku Sabaudzkim (Luigi v. Lodovico di Savoja, sive del Vaud), o jego działalności politycznej i wojennej w latach 1310 — 1312. Hauser zapowiada poprawne wydanie ważnych pamiętników Ludwiki Sabaudzkiej, królowej francuskiej, matki Franciszka I. Książę Rodocanachi z Paryża omawiał przekształcenie Kapitolu z zamku feudalnego na dzisiejszą postać, szczególnie w XVI-tym wieku. Stern, profesor z Zurichu i autor wydawanej od lat sześciu Historji XIX-go wieku, charakteryzuje niekorzystnie administrację państwa Kościelnego na podstawie raportu pruskiego posła, Bunsena, z roku 1837. Rondoni radzi zbierać i przechowywać dzienniki z czasów „wskrzeszenia“ Włoch (del risorgimento italiano). Loevinson wyjaśnia organizację pierwszej legji włoskiej, uformowanej przez Garibaldi'ego w roku 1848 — 1849 w państwie Kościelnem.

Przedmiotem dyskusji o tematach (temi) były wielkie wydawnictwa włoskie. Tak, dnia 3 kwietnia profesor Fr. Novati z Medyolanu rozwinął plan zebrania i wydrukowania napisów pomnikowych

średniowiecznych: *Corpus inscriptionum italicarum medii aevi*. Popierali ten wniosek Federici i Patrucco, donosząc, że zbieraniem epigrafów trudnią się już Archiwum Paleograficzne i niektóre Towarzystwa naukowe włoskie. Casini chciałby wcielić do wydawnictwa wiek XVI-ty, a Gust. Uzielli jeszcze i topografię epigraficzną. Przewodniczący na tem posiedzeniu, Monod, oraz przytomny prezes Kongresu, Villari, radzą przekazać wszystkie żądania i uwagi Komisji, która musi być utworzoną dla wykonania tego ogromnego zadania. Rada ich zyskała powszechną aprobatę. Gorętszy spór wynikł na posiedzeniu 4 kwietnia, gdy profesor z Florencji, Schiaparelli, wniósł projekt opracowania dyplomatury (Codex chartarum Italiae) przez Towarzystwa i Deputacje Historyczne podług instrukcji, wydanych przez Królewski Instytut Historyczny, który już rozpoczął wydawnictwo dyplomatury longobardzkiego. Dyplomata starsze do roku 1200, należałoby drukować w całości, a późniejsze w skróceniu (regesta) i grupować je okręgami. Anglik, Dawidson, zamieszkały we Florencji i wsławiony niedawno ogłoszoną historją Florencji do XIV wieku, mniema, że takie wydawnictwo nie da się teraz wykonać należycie, gdyż poprzednio trzeba będzie zebrać statystykę materiału. Przemawiają Gaudenzi, Hartmann, Galanti, Lupi, Siragusa, Gabotto, Fedele; krzyżują się propozycje do uchwały; przewodniczący, profesor czeskiego uniwersytetu w Pradze, Jarosław Goll, zarządza głosowanie po razy kilka „za” i „przeciw”, rachuje podnoszone ręce i z niemałym utrapieniem osiąga nareszcie zatwierdzenie najumiarkowańszych dwu „porządków dziennych”: Fedelego, odwołującego się do ministerjów Sprawiedliwości i Oświecenia o pomoc w badaniu archiwów, tudzież Galantiego, zalecającego Instytutowi historycznemu przygotowanie kompletnej bibliografii dokumentów przy współdziałaniu Towarzystw i Deputacji, personelu archiwów państwowych, Bibliotek królewskich, Towarzystw prowincjonalnych.

Jeszcze burzliwszem było posiedzenie dnia 6 kwietnia. Prezydium przewidywało zapewne jakiś wybuch oratorski, bo we drzwiach auli stanęła straż, która wpuszczała tylko za okazaniem kart członkowskich. Mimo to sala zapełniła się szczelnie: zebrało się z pół tysiąca osób. Zaczęła się dyskusja spokojna nad wnioskiem Gorriniego, aby różne państwa przyjęły jednakową normę w dopuszczaniu uczonych do studyowania i ogłaszania dokumentów archiwalnych z zakresu historyi nowożytnej i społecznej. Viceli w zasadzie żądałby nieograniczonej swobody, ale gdy niepodobna jej uzyskać od rządów, naznaczał rok 1850, jako kres, poza który nie powinna rozciągać się tajemnica korespondencji i dokumentów państwowych. Gabotto wołałby oznaczać ten kres liczbą lat siedemdziesięciu wstecz, rachując

od roku bieżącego; godzi się na takie określenie Bigoni. Stern proponuje stałą datę: koniec roku 1847; popierają go: Monod, Sagnac, i Bresslau, Uzielli zaś i Franchetti sądzą, że oznaczenie terminu musi być pozostawione rządowi do ich uznania; senator Serena przypomina, że regulamin archiwów we Włoszech jest bardzo liberalny i żądać czegoś więcej byłoby popieraniem chorobliwej ciekawości. Po wymianie kilku propozycji pojedynczych Gorrini formułuje wniosek, uznający potrzebę: 1) uregulowania daty i formalności; 2) oznaczenia roku 1847 „przynajmniej”; 3) udzielenia większych ułatwień profesorom, członkom akademii i towarzystw i zwolnienia ich od obowiązku okazywania odpisów, lub wyciągów swoich urzędnikowi archiwum dla uzyskania wizy. Punkt pierwszy został zatwierdzony jednomyślnie, drugi znaczną większością, trzeci przez aklamację. Następnie senator i członek Rady Stannu, Serena, w imieniu własnym i 43-ch członków Kongresu wniósł projekt uchwały, aby wszystkie instytucje włoskie udzielały pomocy wydawnictwu Lapiego, wychodzącemu p. t.: „*Rerum Italicarum Scriptores*“. Przewodniczący, von Schulte ¹⁾, oświadczył, że gdy ten projekt nie znajduje się na porządku dziennym dzisiejszego posiedzenia, więc roztrząsanym być może według obowiązującego regulaminu dopiero na ostatnim posiedzeniu sekcji dnia 9 kwietnia. Nie przypuszczałem, żeby tak legalne i w najgrzeczniejszy sposób wypowiedziane oświadczenie miało wywołać burzę. Gabotto, prof. z Turynu, zażądał natarczywie natychmiastowego otwarcia rozpraw; wtórzyły mu oklaski i okrzyki czterdziestu trzech podpisanych, a może i większej liczby pozyskanych wolontaryuszów. Daremnie usprawiedliwiał przewodniczącego prezes Villari, przypominając obowiązek stosowania się do regulaminu, i tłumacząc, że wniosek nie był we właściwym czasie zameldowany komitetowi dyrygującemu: więc też nie mógł się znaleźć na porządku dziennym. Monod przymówił się, że jest nawet niewłaściwy do roztrząsania na Kongresie międzynarodowym, ponieważ cudzoziemcy nie mogą powziąć gruntownego zdania o przedsięwzięciach narodowych włoskich. Nie skutkowało wezwanie prezydującego, „żebyśmy w kwestjach naukowych zachowali przynajmniej złudzenie pogody umysłowej“ (*illusione della nostra serenità*), ani ogłaszanie, że sesja jest zamknięta. Sykania, okrzyki, zarzuty despotyzmu wznęgały się. Wiktor Fiorini, główny redaktor wydawnictwa, wołał: „Nie żądamy ani poparcia, ani

¹⁾ „*Corriere della Sera*“, gazeta medyolańska, w numerze 98 z dnia 9 kwietnia, podała sprawozdanie dokładniejsze, niż „*Diario*“ i niż inne gazety, lecz mylnie nazwała przewodniczącego: Frederic z Gandawy.

zasilków, ani od osób prywatnych, ani od instytucji; żądamy tylko, aby wszystkie siły zjednoczyły się i zharmonizowały do dzieła, które jest chlubą dla narodu i nabytkiem dla świata“. Kojące wrażenie wywarł Dawidson protestacją przeciwko zdaniu, „jakoby cudzoziemcy nie byli zdolni oceniać dzieła włoskiego, które jest niezbędnym źródłem historycznym dla wszystkich uczonych w Europie (oklaski). Ułagodzony Fiorini wbiega na mównicę, wyznaje cześć dla swego dawnego i szanownego nauczyciela, Villarego, i dziękując przyjaciołom swoim za przychylny wniosek, uprasza, aby go cofnęli, ponieważ nie życzy sobie, aby to dzieło stało się powodem rozterek namiętnych. W końcu Guido Mazzoni, profesor Instytutu z Florencji, wynajduje formułę pojednawczą, która zyskuje aprobatę Monoda i całego zgromadzenia: że sekcyja, nie wdając się w szczegóły i przyklaskując wydawnictwu Muratorego, przechodzi do porządku dziennego.

I o co tu właściwie chodziło? Skąd ten wybuch namiętności? Byłżeby to bunt przeciwko prezesowi Villaremu, jakaś walka młodych ze starymi? Widziałem wówczas tylko skupioną, zorganizowaną i wyzywającą opozycję przeciwko władzom Kongresu i sekcyi. Miałem już w ręku dużą broszurę o sześćdziesięciu dwóch stronicach in quarto majori (prawie in folio), ależ na razie przeczytać jej nie zdołałem ¹⁾. Dziś dopiero jestem w stanie wyciągnąć z niej istotną treść sprawy — szlachetnej i godnej podziwu.

W miasteczku Città di Castello, liczącem niespełna 25,000 mieszkańców, położonem w powiecie Peruzińskim (Perugia), wśród Apeninów, na wierzchowiskach rzeki Tybru, mieszka właściciel odziedziczonej po przodkach drukarni, Scypion Lapi, który oddawna marzył o przedrukowaniu jednego z najobszerniejszych i najważniejszych wydawnictw Muratorego — zbioru kronik i roczników z całej Italii, z całego średniowiecza, dużych dwadzieścia dziewięć tomów z dodatkami trzydzieści. Prosty przedruk tekstów, jakeimi rozporządzał Muratori w latach 1723 — 1751, nie czyniłby zadość wymaganiom dzisiejszym edytorstwa naukowego: sprawdzenia każdego zdania, wyrazu, litery z najwiarogodniejszymi rękopisami, usprawiedliwienia poprawek przypiskami, ułożenia skorowidzów, czyli indeksów. Do tego trzeba wynaleźć uczonych i opłacić ich trudy. Ciężar

¹⁾ Dei lavori preparatori della nuova edizione dei *Rerum Italicarum Scriptores*. Comunicazione al Congresso Internazionale di scienze storiche (Roma, II/IX aprile MCMIII) di Vittorio Fiorini. In Città di Castello nella Stamperia dell'Editore Scipione Lapi nel M. deccij.

to za wielki na firmę prywatną, ale w roku 1893 minister oświecenia, Ferdinando Martini, dodał bodźca, obiecując subwencyę ze skarbu państwowego na dwanaście zeszytów co rok. Znakomity poeta i historyk, Carducci, napisał uczoną przedmowę i dedykacyę królowej Małgorzacie, a młody profesor, Vittorio Fiorini, podjął się ułożenia planu, zorganizowania i dopilnowania całej pracy wykonawczej. Jakoż od roku 1900 zaczęły wychodzić zeszyty (do tej chwili wyszło piętnaście) na papierze czerpanym, bardzo grubym i trwałym, drukowane czcionkami, umyślnie lanemi w zakładzie drukarsko-litograficznym Lapiego, korygowane z największą starannością — jednym słowem, na zewnątrz mające wygląd wydawnictwa monumentalnego. Co się tyczy strony wewnętrznej, to jest wartości naukowej, nastęrczyły się pewne trudności i powikłania. Wydawnictwem źródeł dziejowych trudni się we Florencyi Królewski Instytut Wyższego Wykształcenia, który rozporządza pierwszorzędnemi siłami fachowemi i którego prezesem jest Villari. Uznawał i przyznawał Lapi, że ostatecznego ustalenia tekstów należy oczekiwać od Instytutu, ale nie rychło z powodu powolnego postępu w pracach przygotowawczych; swoje wydawnictwo zatem, lubo nie zupełnie doskonałe, rozpoczyna w tej nadziei, że doprowadzić zdoła do końca, dzięki gorliwości Fioriniego, w krótkim czasie i w lepszym stanie, niż sam Muratori. Jakoż, w powołanym przed chwilą referacie Fiorini wyłożył zawartość każdego tomu, wymienił nazwiska kilkudziesięciu współpracowników, oraz rękopisy, brane do kollacyonowania z bibliotek włoskich i zagranicznych, zaznaczył takie, których nie posiadał Muratori i nie użytkowali inni wydawcy, naprzykład w słynnych Monumenta Germaniae Historica Scriptores, zadokumentował wzorową sumiennosc opracowania, zaświadczaając, że naprzykład dr Dem. Marzi do tomu XIII-go przejrzał już 112 rękopisów Kroniki Villaniego w ciągu lat siedmiu, albo że pomniki sycylijskie z okresu panowania normandzkiego (do roku 1198), dotychczas nieznanne, ukażą się w opracowaniu czterech profesorów uniwersytetu palermitańskiego: paleografia (Garuffi), znawcy literatury greckiej (Zuretti), doktora literatury arabskiej (Nallino) i geografa (Bertacchi), i że dokumenty, pisane po grecku i po arabsku, będą miały, obok tekstów oryginalnych, ścisły przekład na język włoski.

Tyle dowiadujemy się z broszury; musiały jednak zachodzić jakieś nieujawnione w niej strapienia i gorycze. Domyślam się tego np. z gazeciarskiej definicyi, że grono współpracowników, zebrane przez Fioriniego, składa się z 60-u mniej więcej młodzieży, nauczycieli szkół średnich, co nie jest prawdą, bo znaczną większość stanowią profesorowie uniwersytetów i archiwiści. Takie lekceważenie

przedsiębiorstwa prywatnego może się zaostrzać przez niechęć stronników Villarego względem Carducciego, który jest wielkością współrzedną tak stanowiskiem społecznym, jak wziętością u narodu. Szczegółów nie znamy, ale musiało coś dolegać wydawnictwu Muratorego, jeżeli wytoczyło swoją sprawę przed kongresem; jeżeli Fiorini zadał sobie trud usprawiedliwiania swego planu, metody i zabiegów, a Lapi, dodając koszt na bezpłatnie rozdawaną broszurę, widział się zmuszonym zapewniać czytelników, że podjął swoje wydawnictwo nie dla zysków, lecz „w chęci jedynie utrzymywania najlepszej tradycji sztuki drukarskiej włoskiej,“ związania ich z imieniem rodziców, drogich jego sercu, i wywdzięczenia się za zaszczyt obywatelstwa miastu rodzinnemu.

Zdaje się, że obadwaj doznali zadowolenia, obudzili bowiem w całym zgromadzeniu sympatyę dla swego przedsięwzięcia i uzyskali wyraz rządowy uznania natychmiast. Po południu Villari ponowił zapewnienie, że odroczenie wniosku 43-ch było zarządzone jedynie dla kwestyi regulaminu, lecz d. 8 kwietnia dyskusya odbędzie się i komitet stawi się na posiedzeniu sekcji jak najchętniej. Znikły tedy wszelkie niesnaski i zaświtała nadzieja że wspaniałemu wydawnictwu nie zabraknie uzdolnionych współpracowników, ani funduszków.¹⁾

Na temże posiedzeniu popołudniowem delegaci wielu krajów mówili o praktykowanych w ich szkolnictwie sposobach nauczania Historji, jako to: Fredericq o wykładach uniwersyteckich w Belgii, a szczególnie o „laboratoires d'histoire“, wprowadzonych przez Kurtha naprzód w Leodyum 1874, a następnie upowszechnionych od 1890 r.; Block o wszystkich szkołach w Holandyi, poczynając od niższych, gdzie się wykłada tylko historia narodowa, aż do jedyngo fakultetu historycznego w Lowanium, o łączeniu historyi z filologią i teologią, o nieistnieniu oddzielnego doktoratu dla historyi; Nielsen odczytał referat nieobecnego Gertza o Danii; Bresslau informował o nauce uniwersyteckiej w Niemczech, zaznaczając nadmierną specjalizacyę katedr i przedwczesne dopuszczanie uczniów do seminaryów historycznych; Monod wyłożył przepisy, obowiązujące we Francyi dla szkół wszystkich trzech stopni; Altamira czytał referat o reformie, dokonanej w 1900 r. w Hiszpanii, o utworzeniu stopni licencyata i doktora Historji, o pożytecznej działalności wolnego uniwersytetu, zwanego Institucion libre de enseñanza. Hjärne przed-

¹⁾ Zeszyty pojedyncze o 112 stronicach sprzedają się po cenie 10 lirów, a w prenumeracie na całość po 5 lirów; zatem roczna prenumerata dosięgnąć może 60 lirów.

stawił zadawalniający system nauczania w Szwecyi a Bryce z humorystyczną szczerością wytykał wady organizacji uniwersyteckiej w Anglii, którym rząd zarządzać począł dopiero od lat 6-iu; referat Putnama (nieobecnego) przedstawiony przez Thayera charakteryzował tylko naukę w szkołach średnich Ameryki północnej; Villari, zaznaczając ulepszenia, dokonane w szkolnictwie włoskiem od r. 1859, nie pochwalał wykładu w szkołach średnich technicznych, uznawał liczbę katedr w uniwersytetach za niedostateczną i pragnął nadania wykładom kierunku bardziej naukowego, niż panujący obecnie literacki. Dembiński, widząc, że nikt się nie zgłosił z referatem o pedagogice austriackiej, scharakteryzował w krótkim przemówieniu urządzenia uniwersyteckie w monarchii Austro-Węgierskiej, których wybitną cechą stanowi dbałość o katedry historii narodowej w każdym z krajów tej monarchii, a więc historii polskiej w Galicyi; lecz ubolewał nad zaniedbaniem historii powszechnej, która posiada wszędzie, oprócz Wiednia, po jednej zaledwo katedrze, oraz nad niedostatecznym rozwojem prac seminaryjnych

Po wyczerpaniu porządku dziennego, gdy nastąpiła chwila syntezy wypowiedzianych uwag, docent uniwersytetu wiedeńskiego, d-r Ludo Moritz Hartmann, zaproponował uchwałę w następnych wyrazach: „Sekcja II kongresu pragnie, aby we wszystkich krajach metoda nauczania historii zreformowaną została na korzyść dziejów kultury, ekonomiki i prawa publicznego z usuwaniem tych sposobów historyograficznych, które posługują zwykle do podbudzania nienawiści ku ludom obcym ze szkodą dla obiektywizmu historycznego.“

Szkoda, że projektodawca użył mowy niemieckiej, bo chociaż dostał oklaski gorące od wszystkich, co go rozumieli, został jednakże pokonany przez pruskiego profesora Bresslau, który wypowiedział opozycję swoją po włosku. Zgromadzenie odrzuciło projekt Hartmanna większością głosów i przyjęło bezbarwną propozycję profesora Siragusy, że Sekcja zaleca ogłosić w Aktach kongresu wysłuchane referaty świetnych profesorów o nauczaniu historii w różnych państwach.

Na tem właściwie zakończyła się czynność pozytywna w auli głównej grup A i B, najliczniejszych w sekcji II, gdy na ostatnich 5-u posiedzeniach 7, 8 i 9 kwietnia czytane były tylko specjalne wypracowania przed bardzo szczupłą gromadką słuchaczy.

Zajrzyjmy teraz do sal parterowych tejże II-ej sekcji.

Grupa № 1, nazwana *Metodyką*, zawiodła moje oczekiwania. Zapisując się do niej, mniemałem, że skupi i rozstrzygnie, albo przynajmniej roztrząsać będzie najpilniejsze kwestye z Teoryi nauk

historycznych, czyli t. zw. Historyki. Otóż sam program źle wróżył pominięciem tych nazw, które warte były pamięci chociażby przez wzgląd na dzieła Lelewela, Wachsmutha, Gervinusa, Droysena. Mniejsza zresztą o nazwę, ale tytuły zameldowanych referatów wskazywały na kwestye szczegółowe bez ujęcia całości przedmiotu i liczba ich była tak szczupłą, że komitet wyznaczył tylko dwa posiedzenia popołudniowe, 3 i 4 kwietnia, bez żadnej dyskusyi. Połowa referentów nie stawiała się; jedyny sekretarz, młody d-r Benussi, nie spisywał treści referatów, poprzestając na powtarzaniu nagłówek: więc i „Diario“ zamieścił sprawozdania beztreściowe, i gazety nie dostały takich informacji, jakich dostarczały im inne grupy. Przy stole prezydyalnym uprzejmie osadzono cudzoziemców, którzy wyglądali wskazówek od rzeczywistego kierownika, członka Komitetu d-ra Benedykta Croce, ten zaś przy świetnych przymiotach swego umysłu, jako filozof, krytyk i redaktor neapolitańskiej „Rivista Critica“, żywi negacyjne usposobienie względem Historji, odmawia jej bowiem cech nauki (science), a przyznaje tylko godność wiedzy (connaissance). Nie wiem, komu przypisać mam uchybienia w klasyfikacyi referatów, mianowicie: niewłaściwe zaliczenie sprawozdania Kochanowskiego p. t. „Rozwój historyografii polskiej w drugiej połowie XIX wieku“ do Metodyki, a rozprawy Hartmanna o ewolucyi historycznej do grup historyi średniowiecznej i nowożytnej.

Przyszedłszy na pierwsze posiedzenie, zastałem salę dobrze zaludnioną, ale niebawem rozpoczęło się wychodztwo. Prezydował p. Rafael Altamira y Crevea „Catedratico de la Universidad de Oviedo“, posługiwał się on wszakże językiem nie hiszpańskim ani włoskim, lecz francuskim. Rad byłem poznać tego autora wychodzącej od lat kilku Historji Cywilizacyi w Hiszpanii, chwalonej przez recenzentów; cieszyłem się, że usłyszę z ust jego zapisaną na dzień ten rozprawę: *La certezza y el caracter científico del concimiento storico*, i że się o nią posprzeczamy albo pojednamy. Aliści, gdy nadeszła kolej, p. Altamira powstał i oświadczył, że z taką rozprawą występować nie zamierzał i że ją wpisano do programu skutkiem jakiegoś nieporozumienia. Rzeczywiście, widzieliśmy go później na katedrze w grupie B i w sekcji prawnej, które obchodziły go żywiej, ale w metodyce zachowywał się biernie i milcząco, poprzestając na pełnieniu formalności prezydyalnych.

Słowa jego, powyżej przytoczone, sprawiły demoralizujące na słuchaczach wrażenie, którego naprawić nie zdołały odczyty panów Benussiego o „Pamięci i oczywistości“ (*Evidenza e memoria*) i Vailatego „o zastosowalności pojęć przyczyny i skutku w naukach histo-

storycznych". Sprawozdanie o historii polskiej w zastępstwie p. J. Kochanowskiego zaczął czytać p. A. Wyslouch, lecz zaledwo zdążył załatwić się z poglądem ogólnym na położenie narodu i z nazwiskiem Lelewela, dostał ostrzeżenie od vice-prezesa Croce, że upływa minut 20: więc trzeba opuścić część środkową, żeby wystarczyło czasu na zakończenie. Stropiony prelegent przeskoczył od razu do ostatnich kilku wierszy i uciął. Nieliczni słuchacze nie dowiedzieli się ani jednego nazwiska z historyografii naszej spółczesnej.

W tak oziębionej temperaturze wypadło mi produkować moją Definicję Historii Powszechniej (*Définition de l'Histoire Générale*), znaną uczniom moim oddawna, a czytelnikom artykułów moich w Encyklopedyi Wielkiej Ilustrowanej od r. 1901.¹⁾ Jedyną pobudką do postawienia jej na tle literatury europejskiej, do porównywania z określeniami teoretyków niemieckich, francuskich, angielskich, włoskich była dla mnie chęć doprowadzenia wszystkich historyków i pedagogów do zgody na formułę, złożoną z 5-u wyrazów, a jednak wystarczającą tak dla nauczycieli, jakoteż dla badaczy-specjalistów, oraz dla konstruktorów chociażby najobszerniejszych wykładów historii powszechniej. W tym celu postawiłem trzy wnioski z prośbą, aby je kongres uchwalić zechciał. Pisałem to, rozumie się w Warszawie, (w końcu 1901 r.), tworząc w swojej wyobraźni idealną salę, pełną historyków z różnych państw i zakładów naukowych, którzy mieli roztrząsać każdy wyraz określenia, krytykować, a w końcu przez głosowanie zatwierdzić lub odrzucić. Rzeczywistość nie odpowiadała ideałowi; przykłaśnięto mi, powiedziano kilka komplementów, lecz dyskusji nie zarządzono, ponieważ porządek dzienny zawierał same tylko „*communicazioni*“. Otrzymałem nawet ostrzeżenie od czujnego d-ra Croce, za pośrednictwem przewodniczącego p. Altamiry, że moje 20 minut już upłynęły. Szczęściem, doszedłem już do konkluzji, więc w ciągu 21-ej minuty skończyłem, czytając pośpieszniej.²⁾ Tym sposobem wszakże, pożądaney uchwały nie już od całego kongresu, ale od jednej

1) Artykuły: *Cywilizacya, Historia, Historyka, Historyografia, Historyozofia* w tomach XIV i XXIX-ym powołanej „Encyklopedyi“.

2) Wykreślałem w domu ze swego rękopisu zdania i pojedyncze wyrazy dopóty, póki nie doprowadziłem go do miary dwudziestominutowej przy żwawem czytaniu, lecz za radą życzliwego mi Francuza, ośmielony tolerancją, jaką widziałem na posiedzeniach grupy A, czytałem wolniej i wyraźniej, zwłaszcza, że po mnie zapisany już był ostatni referat. Jakoż posiedzenie, zaczęte o godzinie 3-ej minut 30, zakończyło się o 5-ej, po odczytaniu nadesłanego przez profesora Gentile referatu o zadaniu historyozofii.

grupy w sekcji II-ej nie uzyskałem. Mój popęd do propagandy międzynarodowej musiał zadowolnić się obecnością profesorów z kilku uniwersytetów rosyjskich, jednego a może dwu lub trzech Czechów, jednego Szweda, jednego Hiszpana, kilku Włochów—no i czterech dam, do których wysłałbym specjalne podziękowanie, gdybym znał ich nazwiska i narodowość. O łaskawych na mnie współziomkach rozwoździć się nie będę; znaleźli się wszyscy oprócz hr. Sierakowskiego. Mam jeszcze w perspektywie widoki pozyskania tu i ówdzie kogoś, co zechce przeczytać rzecz moją w Aktach Kongresu, jeśli wydrukowaną zostanie; jeśli zaś ukaże się nie w całym tekście, lecz w krótkim sprawozdaniu lub streszczeniu, będę sobie tłumaczył taki ostateczny zawód warunkami wydawniczymi, nie posądzając bynajmniej redaktorów o żadne prześladowcze zamachy na moją osobę. Owszem, winienem wyznać, że świadczono mi największą możliwie uprzejmość i na posiedzeniu następnem przeznaczono dla mnie zaszczyt przydywania.

Nie przewidując obioru, a czując się wolnym po wygłoszeniu swego referatu, zabawiłem o kilkanaście minut za długo na wystawie klejnotów bibliotecznych. Wszedłem do sali, kiedy dr Benedetti Croce czytał swoje dwie rozprawy: a) o zasadzie przyczynowości w historyografii, b) o obiektywności historycznej i sposobie osiągnięcia jej. Oba tematy są wielce zajmujące, sprawność p. Crocego w argumentacji filozoficznej niepospolita, ale niepospolita również szybkość wymowy udaremniła wysiłki moje do pochwycenia biegu jego myśli. Stało się więc, że początku nie słyszałem, a końca nie rozumiałem. W tem powstaje prof. Altamira i ustępuje mi fotelu przydywanego, powiadając, że zasiadał na nim, jako mój zastępca. Wymawiałem się gorliwie, ale p. Croce poparł jego nalegania przestrogą, że „tak postanowiono“ to jest uchwalono zapewne przez aklamację na początku posiedzenia. Uległem tedy z największym zakłopotaniem, ponieważ wiedziałem, że dziś nastąpić musi zamknięcie prac grupy Metodica (*chiusura dei lavori del gruppo*). Wysłuchałem uważnie rozumowań profesora Nitti co do godziwej dla historyka ilości własnego (subiektywnego) oświetlenia w opowieści o działaniu sił społecznych¹⁾ i zdobyłem się na podziękowanie prelegentowi w imieniu sek-

¹⁾ Tak rozumiem zawity tytuł referatu: „In quali limiti nella ricostruzione di un'epoca passata può uno storico, senza venir meno al carattere generale della verità storica, ispirare la propria narrativa all'azione di specifiche forze sociali, in quel dato tempo poco sensibili nelle impressioni e nelle voci dei contemporanei, ma sebbene latenti pure efficacemente attive e dive-

cyi, reprezentowanej wówczas przez kilku zaledwo słuchaczy. Wszyscy następni prelegeuci, pp. di Sarlo, Groppali, Trojano, Squillace, Salazar nie stawili się i referatów swoich nie nadesłali. Zgłosił się jako ochotnik nadetatowy, profesor i delegat uniwersytetu charkowskiego, p. Leon Łazarewicz-Szepielewicz z komunikatem o Cerwantesie; za przymówieniem się życzliwem prof. Altamiry otrzymał głos nadprogramowy; przedstawił w krótkim, ale nader zajmującym wykładzie odkryte podczas podróży naukowej po Hiszpanii nowe przyczynki do literackiego spadku po twórcy Don Quixote'a — i nic już więcej nie było do czynienia. Posiedzenie trwało jedną godzinę, od 3-ej do 4-ej. Nadeszła utrapiona dla mnie chwila zamknięcia. Cóż mam zreasumować z 5-u odczytów (własny pomijając), które nie wypełniły 5-u paragrafów podręcznika Historji lub Metodyki? Jak wysławiać grupę, która tak mało pracowała, a tak wiele nagrzeszyła absenteizmem referentów swoich? Prawda historyczna, tu wciąż powoływana, nie pozwala ludzić nikogo pochlebstwem, a grzeczność nakazuje milczeć o niemiłych przygodach, niemożliwych do naprawienia. Czułem też własną ulomność w ocenianiu wygłoszonych referatów, gdy na pierwszym posiedzeniu słuchałem nieuważnie, zafrasowany swoim odczytem, a na drugim nie zrozumiałem najważniejszego. Zwróciłem się przeto do p. Crocego z prośbą, aby mię wyręczyć zechciał chociażby przez wzgląd na moją niedostateczną znajomość języka włoskiego; on wszakże uchylał się od takiego zastępstwa, upoważniając mię do przemówienia po francusku. A więc sparafrazowałem nagłówki referatów, ogólnikowo wspomniałem o kilku cennych dla nauki spostrzeżeniach i radach, użalałem się na niestawiennictwo kilku kolegów, wyraziłem nadzieję, że ich rozprawy znajdą się później w Aktach Kongresu i ogłosiłem zamknięcie prac grupy. Dyaryusz zaznaczył, że „prezes streścił krótko całą pracę sekcyi“, ja zaś dodałbym sobie samemu atestacyę o nieudolnem sprawowaniu zaszczytnego urzędu. Przy pożegnaniu p. Croce dał mi na pamiątkę swój [artykuł o studiach nad Teoryą Historji we Włoszech w ciągu ostatnich lat 15-tu, pouczający mię o żwawej polemice, jaką toczyli profesorowie włoscy w czasopiśmie i kilku książkach szczególnie od 1893 za jego własną podniętą, ale mało przydatny do mego referatu, albowiem obejmuje kwestye z zakresu historyoryozofji, nie zaś historyki. Była to zarazem grzeczna protestacya przeciwko memu określeniu hi-

nute nell'epoca appresso preponderanti e chiaramente direttive nel moto della vita sociale.

stori, jako nauki, odsłaniająca pogląd p. Crocego na historję, jako na sztukę¹⁾.

Grupa II *Archivistica*, bibliografia etc. miała roboty na 3 posiedzenia. Na pierwszym przewodniczący Davidson, po wysłuchaniu komunikatu prof. Pribrama „Ueber die Frage einer allgemeinen historischen Bibliographie“ chciał otworzyć zaraz dyskusję wbrew regulaminowi, ze względu na wielką doniosłość przedmiotu, lecz dr Puliti wskazał legalną drogę odwołania się do prezydium kongresu, aby zamieścił dyskusję na porządku dziennym ostatniego posiedzenia. Lanczy dostarczył komunikatu o nowych badaniach na kalendarzem XV i XVI wieku; Lambros czytał *Beiträge zur griechischen Kryptographie des Mittelalters*; prof. Ignacy Guidi donosi o archiwach abisyńskich XIII wieku, czyli raczej o licznych dokumentach wpisanych między wierszami ksiąg świętych, Amelli o szczątkach archiwum mennicy medyolańskiej, przeniesionych do Montecassino; Livi o archiwum handlowem kupca toskańskiego, Fr. Dattini z XIV wieku; Putnam dostarczył tematu o banderach i herbach trzynastu miast włoskich, lecz dyskusya nie wywiązała się.

Na następnych posiedzeniach była znów mowa o bibliografiach i wydawnictwach dyplomatarjuszów: normandzko-sycylijskiego (Garuffi), toskańskiego (Simonetti), kalabryjskiego (Riva), waltelińskiego (Galli), muratoryńskiego (margr. Campori), o Manuel bibliographi-

1) Sztuce nadaje p. Croce rozleglejsze i głębsze znaczenie, niż poprzednicy jego i ogół, nazywa ją bowiem „pierwszą i najszczerszą postacią prawdy“; reformuje też określenie Estetyki, żeby uczynić z niej „filozofję sztuki“ i zarazem „teoryę Historyografii“. Skutkiem polemiki, musiał zmienić w drugim wydaniu (1896) tytuł swego memoriału, przedstawionego w dniu 5 marca 1893 roku Akademii Pontiniańskiej w Neapolu. Historia ma być sztuką, nie nauką, dla tego, że zna tylko „indywidualność, realność faktu, a więc jest wiedzą intuicyjną“, nie abstrakcyjną. Mógłbym od siebie zaproponować poprawkę wyrazu: „intuicyjną“ na: „indukcyjną“, i w razie zgody, dotarlibyśmy już razem prostą drogą do pojęcia nauki, bo czyliż indukcya nie jest narzędziem naukowego wnioskowania i dociekania, wcale nie gorszem od dedukcyi? nie operuje również przez abstrakcyę, nie dochodzi do uogólnień, które mogą mieć wartość praw? Rozprawa, o której mówimy, była drukowana w „Revue de Synthèse Historique“, 1902, p. t.: „Les études relatives à la théorie de l'histoire en Italie durant les quinze dernières années par Benedetto Croce, traduit par J. Second“. Nie czytałem jej przed wyjazdem do Rzymu, ponieważ zeszyt tego pisma nie był mi jeszcze dostarczony przez księgarnię.

que des femmes célèbres, wydanem przez prof. Ungherina z Turynu, o dykcyonarzu bibliograficznym dla Włoch i Portugalii, przyczem sprawozdawca Padula wskazywał sposoby odtworzenia zatraconych dokumentów z XIV i XV w. Santini przedstawił swoje badania historyografii florenckiej najdawniejszej, zwracając uwagę na Gesta Florentinorum i na kroniki tłómaczone z dzieła Marcina Polaka (Martinus Polonus); Rodolico zawiadamiał o nowem wydaniu ważnej kroniki florenckiej Stefaniego. Po południu 7 kwietnia odbyło się posiedzenie nadzwyczajne, 4-te, celem rozważania projektu Pribrama. W dyskusyi brali udział: Hartmann, Romano, Crivellucci i Monticoli (wydawcy bibliograficznego Rocznika historii włoskiej), Santini, Gabotto, Casini. Uchwalono propozycję, sformułowaną przez Pribrama i Hartmanna, że „Kongres pragnie, aby mająca się utworzyć Komisya poczyniła kroki przygotowawcze do bibliografii międzynarodowej tak retrospektywnej, jakoteż bieżącej“.

W grupie III-ciej, Historii dyplomatycznej i napoleońskiej, odbyły się oddzielnie dwa posiedzenia 5 i 6 kwietnia pod przewodnictwem Feliksa Bouvier i E. Rotta. A. Martini dowodził, że w korespondencji międzynarodowej dyplomatycznej powinien być przywrócony język łaciński. Hr. Greppi dał przyczynek do dziejów wojny greckiej 1828—1829 r., mianowicie przedstawił usiłowania Turcyi, czynione w celu sprowadzenia napowrót ambasadorów, którzy opuścili Konstantynopol. Darvai z Budapestu, jak mi się zdaje, nie właściwie roztaczał tutaj podbojową akcyę różnych królów węgierskich i dążenia ich do imperyalizmu. Ognibene informował o swoich skorowidzach i regestrach korespondencji poseselskiej z XIII—XVIII wieku, znajdujące się w archiwum domu Este, a Terlizzi o swoim kodeksie dyplomatycznym do stosunków Karola I Andegawenicyka z Toskanią w latach 1265—1285. Gallavresi wskazywał na źródła do pierwszej kampanii włoskiej Bonapartego, przechowane w dwu archiwach medyolańskich. Simonsfeld odczytuje studyum Hüffera o bitwie pod Marengo i o konwencji zawartej 15 czerwca 1800 r. Prof. Gorrini udzielił nowych dokumentów o ucieczce Napoleona z wyspy Elby. Bouvier wyjaśnił tajemne przyczyny, dla których Napoleon powstrzymał się od wjazdu do Rzymu. Rott i senator hr. Greppi w imieniu Societé d'histoire diplomatique wzywali Włochów do popierania prac tego Towarzystwa, zmierzającego do rozszerzenia wydawnictw historyczno-dyplomatycznych.

Na tem zakończymy sprawozdanie o pracach sekcji II-ej.

SEKCJA III-cia, Historia Literatury, słuchala komunikatów Ottona Harnacka o Goethem w stosunku odrodzenia włoskiego; Piageta o poemacie „Le temps recouvré“ przez Piotra

Chatelain; prof. Zuccaro o koloniach prowansalskich w prowincyi Capitanata; profesora Paduli o społecznej literaturze portugalskiej; Hallberga o pierwiastku grecko-rzymskim wergiliuszowym w czterech epejach chrześcijańskich (Boskiej Komedyi, Jerozolimie Wyzwolonej, Raju Utraconym i Mesyadzie); Novatiego o początkach liryki prowansalskich trubadurów pod względem muzycznym; Lisio o przeróbkach poematu Orlando Furioso i kartach z autografu Ariosta, przechowywanych w Ambrosianie i w bibliotece Ferrary; Flaminiego o naśladowaniu i okradaniu poetów włoskich we Francyi przez Antoniego De Baï i Jana-Passerata; prof. Vianeya z Montpellier, popierającego wywody poprzednika; Meyera o rozpowszechnieniu języka francuskiego we Włoszech średniowiecznych; Władysława Jabłonowskiego: *L'état actuel de la littérature en Pologne*. Na ten odczyt młodego literata warszawskiego przyszli wszyscy, żeby śleźć wrażenia słuchaczy. Audytoryum było dobrze zaludnione; prelegent czytał głośno i dobitnie; w 20 minutach potrafił zarysować główne zwroty w poezyi i belletrystyce naszej z ostatniego trzydziestolecia, wyliczył najwybitniejsze nazwiska, po większej części znane Zachodniej Europie, i otrzymał, oprócz oklasków, powinszowanie od kilku poważniejszych osób, w których dostrzegliśmy profesora literatury włoskiej z Florencyi, Gwidona Mazzoni. „Diario“ zamieścił sprawozdanie w następujących wyrazach: „P. W. Jabłonowski... kreślił obraz życia intelektualnego, historycznego, artystycznego, filozoficznego w tym narodzie (polskim) i rozwoju, objawiającego się w zetknięciu z cywilizacją i nauką współczesną; zaznacza oryginalność literatury polskiej, nie wyłączając silnych wpływów obcych, a najbardziej włoskich“. Jest tu więcej, niż mógł powiedzieć i niż powiedział rzeczywiście prelegent: ale jest to dowodem korzystnego wrażenia, jakie odniósł sprawozdawca. Odczyt został już wydrukowany w *Rivista d'Italia*, Aprile, p. t. *Litteratura polacca contemporanea*.

Długa i ożywiona dyskusya wywiązała się w sprawie bibliografii społecznych, żyjących pisarzy włoskich. Wzniesił ją prof. Guido Mazzoni, a podtrzymali: Morici, Casini, Cian, D'Ancona, Barbera i pani Picot. Zakończyła się uchwałą: „Sekcyja III kongresu, przyklaskując wnioskowi, postawionemu przez prof. D'Ancona i przez pana Józefa Fumagalli, co do repertorium bibliograficznego włoskiego, odwołuje się do J. E. ministra oświecenia o wszelką możliwą pomoc, iżby dzieło to zostało urzeczywistnione podług norm wskazanych w odczycie profesora D'Ancona“. Krótką wymianę zdań wywołał p. Benedetto Croce swoim planem historyi krytyki literackiej, mianowicie wytknięciem dla niej trzech zadań: 1) wyświeślenia, jak się objawiła

metoda krytyczna w pierwszym zarodku, 2) jak się wytworzyły dzisiejsze sądy o pisarzach, 3) jak się rozwinęła idea samoistnej historii literatury. Nie zupełnie godził się z prelegentem prof. Lisio w szczegółach.

O posiedzeniach ostatnich, 5-m i 6-m brak nam sprawozdań; program zapowiadał 6 komunikatów z zakresu literatury średniowiecznej i renesansowej.

SEKCJA IV-ta obejmowała cztery grupy: Archeologię, Numizmatykę, Historię Sztuki (plastycznej), oraz Historię muzyki i sztuki dramatycznej.

Archeologowie zaczęli od rozpraw nad proponowaną przez d-ra Ashby historią drogi Appiuszowej (Via Appia), słuchali jego informacji o niewydanych dokumentach i oglądali cenne księgi rysunków oryginalnych Karola Fabruzzi. Potem Puschi i Sticotti mówili o cmentarzyskach i grobach, odkrytych niedawno pod Nesa-zio; Teramelli o stacyi neolitycznej, znalezionej w Bardonecchia przy robotach tunelowych w górze Cenis; inżynier Boni o nowych odkryciach na Forum Romanum, jako to: o rostrach Cezara, źródle Juturny, o świątyni Westy i o cmentarzysku przedhistorycznym z urnami kształtu chałupy; Savignoni o wykopanych na wyspie Krecie pod kierownictwem Marianiego i Teramellego pałacu Festosa z ruchomościami i willi z wazą piękną steatytową, ozdobioną szeregami wojowników; Montelius przypomina, że świetne powodzenie rozkopów kretańskich zawdzięcza nauka profesorowi Halbherrowi i proponuje, żeby go uczczono oklaskiem; Mariani donosi o odkopanych w Aufodnie: bazylice, małej prastarej świątyni, bramie, drodze i murze cyklopejskim; Savignoni o odkopanej w 1901—02 r. Norbie z 4 świątyniami, o cmentarzysku pod Sermonetta, a Mengarelli o świątyni Mater Matuta w Conca, czyli dawnem Satricum, stolicy Wolsków; Pinza o meblach, jakie się znajdują w grobach etruskich, późniejszych, z okresu żelaza; Pigorini przeczytał list Antoniego Magni o odkryciu zagadkowych grobów kamiennych w okolicy miasta Como. Montelius przedstawił w oświetlonych fotografiach liczne przedmioty, znalezione w Skandynawii, a pochodzące z Italii, na czem oparł swoje wywody o niustannych stosunkach handlowych pomiędzy temi półwyspami nie tylko w czasach rzymskich, ale i w okresie brązu. Sogliano czyta sprawozdanie z rozkopów, dokonanych w Pompei od roku 1873 do 1900; Eusebio donosi o odkryciach w Alba Pompei i proponuje założyć Museo Albanese.

Dyskusję wywołał prof. De Petra swoją tezą o początkach ciążenia, rezultat jej wszakże był negacyjny, gdyż prof. Pigorini przekonał słuchaczy, że nie tylko we Włoszech, ale i w całej Europie niema

jeszcze dostatecznej ilości zabytków, żeby się dała określić data, kiedy zaniechanem zostało grzebanie ciał w ziemi i kiedy się zaczęło palenie zwłok. Podobnie nie zdołał Ghirardini udowodnić wszechstronnie wpływów handlowych byzantyjskich, na cywilizację wenecko-helleńską, bo monet greckich nie znalazł w krainie weneckiej. Z lepszym skutkiem wytoczył swe żale Orsi, że rozkopy, prowadzone w prowincyi Brutium i wynagrodzone odkryciem Sybarysu, utknęły przy poszukiwaniu starożytnych Lokr: Sekeya uchwaliła odwołanie się do ministra oświecenia. Pigorini otrzymał także jednomyślną prośbę sekcyi, aby minister oświecenia, o ile to od niego zależy, ułatwił układanie atlasów paletnograficznych, z których ma się złożyć Corpus starożytności prahistorycznych Italii.

Numizmatycy mieli w programie posiedzeń 6, ale w rzeczywistości załatwili się na 3-ch, skutkiem niestawiennictwa większości prelegentów. Roztrząsali dnia 3 kwietnia tezę, przedłożoną przez prof. Ambrosoli o wprowadzeniu języków narodowych do piśmiennictwa numizmatycznego i postanowili używać języka łacińskiego tylko w opisach wszystkich monet, oraz w katalogach do numizmatyki klasycznej, a 4 kwietnia po wysłuchaniu 8-u głosów uchwalili jednomyślnie wniosek prof. Stefana Ricci (z Medyolanu), aby przy urządzeniu zbiorów z numizmatyki średniowiecznej i nowożytnej monety były układane w porządku geograficzno-topograficznym mennic; wizerunki — w porządku historyczno-chronologicznym, a cenniki handlowe — w porządku alfabetycznym; tym sposobem zbiory włoskie uwydatnią rozwój historyczny myncarstwa w pojedynczych państwach włoskich. Wysłuchali Babelona referatu o monetach Septymianusa Sewera, strasburskiego profesora Bresslau o denarach Fryderyka Barbarossy i kilku innych o monetach neapolitańskich, sycylijskich, papieskich z XVIII wieku. Zieliński, ze Skempego, nie stawił się, lecz referat jego o włoskich artystach, Janie Maryi Mosca i Jakóbie Caraglio, którzy pracowali w Polsce w wieku XVI, był czytany przez sekretarza Ricci. Tenże Ricci proponował wprowadzenie wykładów numizmatyki do kursu nauk w szkołach średnich i wyższych. Ambrosoli informował o nowych mennicach, Piccione o technice myncarskiej. Zamknięcie prac grupy odbyło się 7 kwietnia z uchwałą, że fotografia wszystkich jej członków ma być złożona w hołdzie miłośnikowi numizmatyki, królowi Wiktorowi Emmanuelowi III-mu.

Grupa sztuk plastycznych (dell'Arte) uchwaliła od razu na pierwszym posiedzeniu cały plan nauczania nie tylko w szkołach artystycznych i technicznych, ale też w gimnazjach, liceach i uniwersytetach z zaleceniem, aby wszędzie znajdowały się reprodukcje dzieł sztuki do pokazywania uczniom. Następnie przyjęto jednomyślnie

nie projekt Venturego o wysłaniu komisji historyczno-artystycznej do Syrii, Afryki, wysp Archipelagu greckiego, do Istrii, Dalmacyi i Rosyi południowej dla badania pomników. P. D'Achiardi wykazał potrzebę sporządzenia inwentarzy dzieł sztuki wedle jednakowego typu dla całej Europy: Sekcyja wnet poleciła udać się do ministra o wyznaczenie komisji specjalnej, któraby opracowała przepisy i przeprowadziła porozumienie z innymi narodami. Podobnie uchwałała wnioski: Goffreda Grilli o zjednoczeniu towarzystw artystycznych, opiekujących się ojczystymi skarbami sztuki i pomników; Walenty Leonardi o wyjednaniu u wszystkich rządów prawidłowej ustawy, aby dzieła sztuki pozostawały w miejscach swego pochodzenia (*ad patriam*), nietykalne, unieruchomione (*inamovibili*); Alfreda Romualdi (po wysłuchaniu raportu wydelegowanej komisji) o wydaniu rocznika bibliograficznego p. t. *Annuario bibliografico dell'arte italiana*, przez wydawcę obieralnego, przy poparciu komisji centralnych i okręgowych; d-ra Toesca o ustanowieniu opieki rządowej nad pomnikami opactwa San Vincenzo al Volturno; Woldemara von Seidlitz o potrzebie protekcyi rządów dla wystaw artystycznych; Hermanina o wydaniu *Corpus di avori* to jest spisu wyrobów z kości słoniowej średniowiecznych i medali renesansowych z reprodukcjami fotomechanicznymi; Karola Romussi o zachowaniu wszystkich szczegółów architektonicznych na facyacie katedry medyolańskiej w obecnym stanie, bez przeróbek przekształcających, żeby nie zatrzeć szczegółów charakterystyki kilkuwiekowej budowy; Martinello o założeniu Międzynarodowego Towarzystwa Historji Sztuki średniowiecznej i nowożytnej z poleceniem, aby prezydium utworzyło niezwłocznie komitet tymczasowy do opracowania ustawy dla Towarzystwa takiego.

Jak widzimy, grupa ta okazała wielką pochopność i łatwość do ustawodawstwa: czy równie łatwym okaże się wykonanie jej uchwał? Czy znajdzie ona chętny posłuch u rządów nie tylko włoskiego, ale i zagranicznych? Rzecz ciekawa.

Komunikaty zajmowały się przeważnie byzantyzmem. Prof. Strzygowski, który przewodniczył na kilku posiedzeniach i wywierał duży wpływ na wszystkich niemal dyskusjach, miał odczyty o pomnikach architektonicznych Rawenny, Medyolanu, Rzymu, których pierwowzory znajdują się w Azji mniejszej, a pochodzą z czasów Dyoklecjana i Konstantyna Wielkiego, oraz o byzantyzmie w najdawniejszym okresie malarstwa włoskiego; Lengton Douglas znajdował styl byzantyjski w Sienie, Lombros w rzeźbach kościelnych i rękopisach ilustrowanych włoskich. Fogolari mówił o ilustracjach popularnych z XIII wieku, Lazzaro o znalezionych w Tripoli freskach

z najdawniejszej epoki malarstwa staro-rzymskiego; Venti o Bewencie, jako punkcie, w którym stykają się dwa kierunki artystyczne: neapolitański i apulijski; Waille daje nową interpretację fresków z S. Clemente itd.

Grupa muzyczno-dramatyczna była też poehopną do uchwał: o wydawnictwie p. t. *Scriptores musici latini* (Ramorino), o indeksach i katalogach kodeksów muzycznych (Barini), o poprawie wykładów historyi muzyki w konserwatoryach (Barini), o ujednostajnieniu partytur orkiestrowych w różnych krajach (Vessela), o zebraniu fanfar z miast włoskich (Brozzi), o porządkowaniu pism muzycznych w bibliotekach publicznych przez specjalistów, którzyby sporządzili katalogi i wydawali buletyny (Bonaventura), o wydaniu pism zmarłego w 1874 r., muzykologa i kompozytora Fr. Caffi (Salvagnini), o wprowadzeniu historyi muzyki do uniwersytetów (Villanis), o muzeum sztuki dramatycznej włoskiej (Rasi).

Cametti w komunikacie swoim o testamencie Izabeli Pierluigi donosił z wielkim żalem, że jedyny autograf Palestriny, przechowywany w Rzymie, znikł niedawno. Torchi zawiadomił o wydanej przez Ricordiego w Medyolanie „*Arte musicale italiana antica*”. Witany był oklaskami maestro Teodor Dubois, gdy przybył z Paryża na posiedzenie d. 4 kwietnia.

W SEKCYI V-jej p r a w n i c z o - e k o n o m i c z n e j najobszerniejszą dyskusję wywołał (6 kwietnia) prot. Altamira tezą o niezbędnem reformowaniu kursu historyi prawa w uniwersytetach pod względem programów i metod. Przemawiali Gierke, Semeraro, Scaduto, Quintilli, Ehrlich, Galante, Saleilles, Scialoja, Minguzzi, Landucci Gaudenzi; uchwalono propozycję Giudice i Landucciego, że wykłady historyczne nie powinny być uszczuplane w uniwersytetach europejskich, a we włoskich w szczególności należy przywrócić dawniejszy zakres prawa rzymsko-włoskiego i kościelnego. Dodatek Quintillego względem łączenia historyi prawa z historyą urządzeń ekonomicznych odrzucono. Ponieważ przewodniczący prof. Leonhard zagaił posiedzenie przemową łacińską: więc Semeraro podziękował mu za to z nadmienieniem, że pożądanemby było przywrócenie łaciny wedle dawnego zwyczaju w rozprawach prawnych. Prof. Altamira został powołany do prezydowania na posiedzeniu następnem. Druga uchwała zapadła na wniosek prof. Galanta, że Królewski Instytut Historyczny Włoski powinien zająć się bibliografią dokumentów historyczno-prawnych i systematyzować je okręgami (per regione). Zastosowanie nowych procesów metody historycznej do rozwoju prawa skodyfikowanego, podług projektu prof. Saleilles, spotkało się z opozycją Gaudenziego i Gierkego.

Komunikaty Schustra, Rufiniego, Meyniala, Agostiniego, oraz teza Salviolego, łącznie z Scadutą, dotyczyły spraw miejscowych. Teza Caillemera o istocie starożytności XII Tablic była omawiana przez sześciu oponentów, lecz pozostała nie rozstrzygniętą; podobnie bez uchwały pozostała teza Pollocka o rozwoju prawa porównawczego (?). Buonamici zawiadomił o wykonaniu fototypii z florenckiego rękopisu Pandektów.

SEKCYA VI-ta Geograficzna zajmowała się na dwu posiedzeniach projektem atlasu historycznego Italii i doszła do decyzji, że poprzednio należy opracować Glossaryusz nazw terytoryalnych włoskich. L. Palazzo, profesor i dyrektor Urzędu Centralnego do Meteorologii i Geodynamiki, dał informacje historyczno-bibliograficzne o kartografii magnetycznej we Włoszech. Aleksander Jabłonowski pokazuje swoją mapę do historii województw ruskich w XVI i XVII wieku, i ustnie wyklada swoją metodę tworzenia map historycznych polskich; zapytują go o szczegóły przewodniczący Lambros i wiceprezes Gallois, a nadto proszą o zredagowanie referatu na piśmie. Prof. Magnocavallo, nie mogąc przedstawić teraz referatu o mapach geograficznych Marcina Sanudo starszego, prosi sekcję o zdanie: czy pożądanem jest wydanie dzieła tegoż Sanudo? Poparty głosami przychylnemi Simonsfelda, Dalla, Vedova i Gribandiego, uzyskał uchwałę, że „Sekcja, powołując się na opinię Kongresu Geograficznego Międzynarodowego z roku 1881, wyraża życzenie, aby się rozpoczęło wydawnictwo krytyczne dzieła M. Sanuda: „Liber secretorum fidelium Crucis“, ze wszystkimi odnośniami mapami geograficznymi pod opieką Kr. Deputacyi Weneckiej do Historii Ojczyzny“. Towarzystwo Geograficzne Włoskie i Towarzystwo Włoskie Poszukiwań Handlowych złożyły sprawozdania o działalności swojej; Mori wyłożył historię prac geodetycznych i topograficznych, jakie były wykonywane we Włoszech od XVIII-go wieku; Pellati podobnie skreślił dzieje kartografii geologicznej (posiadającej 420 prac), a Baratta mówił o kartografii seismicznej (sismica) we Włoszech; Vidal de la Blache (autor niedawno wydanego pięknego atlasu) podał swoje spostrzeżenia nad niektórymi nazwami terytoryalnemi we Francji; Gallois — nad krainą właściwie francuską, wedle warunków przyrodniczych, le pays de France; Lambros nad nomenklaturą geograficzną w Grecji średniowiecznej, Grasso nad toponomastiką obecną Włoch; Cossu nad znaczeniem Morza Śródziemnego w dziejach geografii greckiej. Nie zapomniano też o zasłużonych pracownikach. Lambros oceniał dzieło Attalosa Filometora Pergameńczyka, Simonetti zasługę Petrarki, Günther — kardynała Bembo, Gorrini odualazł zapomnianego podróżnika włoskiego, Della Vitella, w XVI

i XVII-tym wieku w Brazylii; Uzielli zachęcał do wydania kodeksów Wespucyańskich, które rzucają światło na stosunek między Toskanellim, Kolumbem i Vespuccim, a więc na fakt odkrycia Ameryki; Mcretti dowodził, że wynalazek busoli dokonany był nie w Amalfi, że znanym był w XII-ym wieku, lecz Porena zauważył, że ulepszenia amalfitańskie były warte wynalazku; zgadzają się z tem zdaniem Günther i Bertelli, ale mniemają, że Flavio Gioja nie był autorem ulepszeń i że nie istniał zapewne.

SEKCYA VII-ma Filozoficzna okrzyknęła swoim prezesem honorowym Adolfa Harnacka z Berlina, badacza pierwocin chrystyanizmu, autora słynnej „Dogmengeschichte“, a sędziwemu historykowi filozofii, Edwardowi Zellerowi, przesłała pozdrowienie na wniosek profesora Chiapellego. Potem słuchała ze spokojem filozoficznym referatów: o kwestyi platońskiej (Tocco), o pochodzeniu filozofii Talesa z Egiptu, z kosmogonii egipskiej (Chiapelli), o Pytagorasie i Demokrycie (Milesi), o Minucyuszu Feliksie i Tertulianie (Ramorino), o Nowym Testamencie (Harnack), o filozofach neapolitańskich, późniejszych od J. B. Vico (Gentile), o ewolucyi w logice ilościowej i diagramach logicznych (Itelson), o historii pedagogiki (Tauro), o momencie historycznym w wychowaniu fizycznym (Terace). — Uchwaliła, o ile wiem, jeden tylko wniosek Ludwika Steina i Feliksa Tocco: „Kongres międzynarodowy nauk historycznych wyraża życzenie (fa voti), aby rząd włoski, który tak dobrze przysłużył się badaczom dziejów filozofii z okresu Odrodzenia wydaniem dzieł Bruna, Galileusza i rozpoczętym już przedrukiem Leonarda da Vinci, oraz najcelniejsze Akademie europejskie połączyły swoje starania w celu ogłoszenia zbioru pisarzy byzantyjskich z okresu Odrodzenia, jako też najlepszych i najdokładniejszych monografii o filozofach i uczonych z okresu Odrodzenia, w szczególności Cesalpina i Cardanusa. Akademiom przypadnie obowiązek sformułowania programu dla zharmonizowanej pracy i dostarczenia środków odpowiednich“. Zapisuję tę uchwałę pod adresem naszej Akademii Umiejętności do właściwego, lub możliwego uwzględnienia.

SEKCYA VIII-ma Matematyczno-przyrodnicza zaczęła działalność swoją od uchwalenia wniosku E. Millosevicha, zachęcającego wydawców berlińskich, Mayera i Müllera, aby do dzieła Ginzela o zaćmieniach (Spezieller Kanon der Sonnen-und Mondfinsternisse für das Ländergebiet der klassischen Altertumswissenschaften etc.), dodać zechcieli atlas zaćmień z przedmową, objaśniającą tablice, i aby uprzystępnili swoje wydanie szerokim kołom nabywców przez cenę niską. Lebon zaznaczył, że we Francyi do programu kosmografii dla szkół średnich wprowadzono już historję

astronomii. Przewodniczący na tem pierwszym posiedzeniu, Paweł Tannery, który uświetnił w 1900 roku posiedzenia takież sekcji swojemi referatami z historyi nauk matematycznych i był wówczas mianowany prezesem stałej Komisji historyi Nauki, zdaje sprawę z wniosków jej. Drugi znakomity historyk matematyki, profesor heidelberski, Maurycy Cantor, nie mógł przybyć osobiście z powodu podeszłego wieku, lecz nadesłał biografię Cardanusa, którą przeczytał p. Loria, profesor z Genui. Później Tannery wykladał jeszcze historię analizy i syntezy matematycznej; Loria komunikował badania swoje o rachunku całkowym Fermat'a, Vailati o zasadzie dźwigni u Archimedesesa. Imię wielkiego mędrca greckiego wywołał jeszcze raz Günther, przyznając mu używanie narzędzia astronomicznego Jakobstaba, którego wynalazek niesłusznie później, w XV-ym wieku, przywłaszczył sobie Regiomontanus; Pittarelli dociekł, że twórcą perspektywy był Pier della Francesca, i dla tego to właśnie Leonardo da Vinci nie napisał traktatu; Winterberg nadesłał swe dzieło: Petrus Burgensis de prospectiva pingendi. Vacca w imieniu profesora Peano złożył *Formulaire Mathematique 1902 — 1903*, a Müller dał katalog skrótów tysiąca tytułów pism matematycznych. Historię medycyny we Francji zaskwicował Blanchard; dawniejsze czasy przed rokiem 1000 scharakteryzował Pensuti, dotykając nie tylko lecznictwa, ale i szpitalnictwa; Barduzzi udziela wiadomości o Mattiolim, który w roku 1501 używał merkuryusza do leczenia przymiotu i o szkole lekarskiej, Studio Senese, która istniała w XIII-ym wieku przed rokiem 1246; Pirotta mówił o dziejach botaniki w Rzymie i złożył dzieło: *Flora Romana*; Baldacci pokazał zielnik z XVI-go wieku; Celani informuje o drugim zielniku z tegoż wieku, znajdującym się w *Biblioteca Angelica*; Mori wskazuje na korespondencję naukową Leonarda Ximeneza z drugiej połowy XVIII-go wieku, znajdującą się we florenckiej *Biblioteca Nazionale*; Camerano widzi ślad teorii Lamarque'iańskich w rękopisach Fr. Bonellego pod rokiem 1800, przechowywanych w muzeum turyńskim. Guareschi porusza sprawę rzekomych plagiatów Lavoisiera, wytoczoną w roku 1845 przez lorda Brougham i popieraną przez kilku chemików angielskich; odrzuca to oskarżenie, przypominając, że Lavoisier zostawał wciąż w przyjaźnych stosunkach z Blackiem i Priestleyem, a Lagrange'a uratował od gilotyny podczas terroryzmu Robespierre'a. Dziękuje mu za tę obronę Blanchard. Baratta opisuje seismograf i inne przyrządy seismograficzne (do obserwacji trzęsień ziemi) w obserwatorium w Turynie. Uzielli, profesor z Florencyi, dowodzi, że w wiekach średnich we Włoszech za jednostkę miary uznawano długość ciała Pana Jezusa.

Sekcja uchwaliła jeszcze na wniosek Lorii: 1) wydanie pism Toricellego po zbadaniu ich przez Akademię dei Lincei pod opieką rządu; 2) na wniosek Giacosa powierzanie katalogu manuskryptów matematycznych w bibliotekach specjalistom, znającym paleografię grecką i łacińską, pomijając na teraz kodeksy arabskie; 3) na wniosek Blancharda, a z uwzględnieniem uchwały sekcji V-ej kongresu paryskiego z roku 1900, wprowadzenie do kursów uniwersyteckich: a) historii nauk matematycznych i astronomicznych; b) fizycznych i chemicznych; c) przyrodniczych; d) medycyny. Początki historii nauk powinny się znaleźć nawet w programach nauczycieli szkół średnich.

*

*

*

A co? Czyż nie imponuje, czyż nie przeraża ogromem Historia już nawet w tak pobieżnym przeglądzie, w tym rejestrze nazw, pod którymi ukrywa się przecież mnóstwo wiadomości i wyników niezmiernej pracy umysłowej uczonego Arcopagu? A rejestr nie jest zupełny, bo liczba wygłoszonych referatów jest: sto piętnaście. A same referaty i przemowy oponentów w dyskusjach nie zabierały całego czasu i trudu członkom Kongresu. Każdy, stosownie do swej specjalności, miał jeszcze naukę pogładową na pomnikach i arcydziełach, którymi Rzym jest przepelniony, z objaśnieniami, udzielanymi przez najbogiejszych rzeczoznawców, z rysunkami, programami, katalogami, umyślnie na tę chwilę sporządzonemi, ozdobnie wydanemi i darmo rozdawanemi za okazaniem karty uczestnictwa. Nie będziemy tu wyliczali rzadkich i cudnych miniaturowych kodeksów, jakie rozłożyła w swojej wielkiej sali Biblioteka Casanatense, ani wystawy rycin, ilustrujących przeobrażenia miasta Rzymu i planów archeologicznych od roku 1400, aż do ostatniego największego, sporządzonego w latach 1893 — 1900, w rozmiarze 7-miu metrów długości na 4.50 szerokości przez Rudolfa Lanciani dla Biblioteki Vittorio Emanuele, która je załączyła w odbiciach fototypicznych do katalogu, wydanego pod tytułem: *Mostra di Topografia Romana, ordinata in occasione del Congresso storcio... 1903*; ani obrazów i sal odnowionych w zamku świętego Anioła; ani stu obrazów, rzuconych na ekran przez aparat elektryczny w Aula Massima na wieczornej konferencji inżyniera Boni o najświeższych odkryciach na Forum Romanum; ani

samych wykopalisk, pokazywanych na miejscu przez tegoż inżyniera Boni; ani sal muzealnych, kolumnady i wszelkich robót do pomnika Wiktora Emanuela I, które będą ukończone za lat osiem, a trwają już od lat dwudziestu i t. d. Muzycy i ludzie muzykalni mogli nasłuchać się utworów Palestriny, Aneria, Pitoniego, Pergolesego, Cherubiniego, Rossiniego, na koncercie historycznym w teatrze Argentina, a nowszych kompozytorów, którymi się chlubią różne kraje, na festynach, urządanych przez ministra Nasi, przez syndyka Colonnę i w Kolosseum, oświetlonem fantastycznie ogniami sztucznymi. Zaznaczyć winienem, że dostojni gospodarze Kongresu chcieli i umieli wytwornie ugasać wszystkich członków płci obojej. Król Wiktor Emanuel spędzał po kilka godzin na wystawach bibliotecznych, a dnia 5 kwietnia zaszczylił 105 delegatów cudzoziemskich zaproszeniem na obiad dworski ¹⁾, który odbył się bez ceremoniału i toastów; nawet podczas poobiedniego cercle panowała w salonie swobodna pogadanka; król zaś i królowa darzyli uprzejmymi słowy i komplementami profesorów, których im przedstawiali prezes i wiceprezes Komitetu bez dworskich ukłonów, po mieszczańsku.

Zamknięcie Kongresu nastąpiło, zgodnie z programem generalnym, dnia 9-go kwietnia, o godzinie 4-ej po południu, w Aula Massima. Nasi i Colonna pożegnali cudzoziemców serdecznymi telegramami, a Villari mową, w której stwierdzał osiągnięte korzyści, ugruntowaną łączność Akademii i Towarzystw naukowych cudzoziemskich z włoskimi przez wspólne wydawnictwa, ponawiał hasło braterstwa narodów.

W istocie hasło to nigdy jeszcze gorliwiej i szczerzej nie było zastosowane do krótkiego wprawdzie, ale na długo pamiętnego obcowania ludzi różnoplemiennych. Nigdzie też nie przedstawiało się ono tak ponętnie. Nie omylimy się podobno, przyznając największą część powodzenia tego Kongresu godnemu uwielbienia prezesowi, Paschalisowi Villaremu, który w siedemdziesiątym siódmym roku życia zachowuje znakomitą zdolność działania, przemawiania, zjednywania serc, który zaskarbił sobie miłość niezliczonych uczniów swoich, a pracami naukowymi i wydawnictwami zdobył poważanie wszystkich uczonych w Europie.

¹⁾ Listę gości podała gazeta rzymska „L'Italie“ w numerze z dnia 7-go kwietnia; oprócz delegatów, znajdowali się członkowie prezydium, kilku urzędników i oficerów, dwie damy królowej: hrabina Guicciardini i księżna de Vivaro; tym sposobem liczba ogólna biesiadników była 136.

W imieniu cudzoziemców wystąpił, jak się domyślam, motu proprio, prof. Harnack, z mową bardzo grzeczną, ale po niemiecku. Dla czego? Czyż p. Harnack nie potrafił przemówić po włosku, jak mówilo tylu Niemców? Czy chciał wskrzesić wspomnienia Ottonów, Fryderyków, tych Sasów i Hohenztaufów, co przybywali na koronację cesarską do Rzymu? Czy miało to być zapowiedzią pretensyi światowładczych nowego cesarstwa berlińskiego? W każdym razie nie było to miłą wróżbą dla przyszłego Kongresu, który się ma zebrać w Berlinie w 1906 roku.

Wdzięczność nakazuje mi wspomnieć jeszcze o wysoce pouczającej i miłej wyprawie do katakumb, wyznaczonej wyjątkowo dla naszej gromadki polskiej przez profesora Horacego Marucchi, który, jako sługa Watykanu, nie zapisał się na członka Kongresu królewsko-włoskiego, lecz nam ofiarował się pokazać świeżo odkryte Ostrianum i grób papieża Damazego. W Wielką Sobotę, dnia 11 kwietnia, o godzinie 2-iej po południu, pojechaliliśmy tedy pod jego przewodnictwem do katakumb świętej Pryscylli przy Via Salaria. Oczekiwała na nasze przybycie służba miejscowa. Zapuszciliśmy się przez wązkie korytarze w ciemne podziemia, dostaliśmy się do obszerniejszej pieczary. Tu, przy świetle stoczków woskowych, słuchaliśmy półgodzinnego wykładu w języku francuskim z licznymi przytoczeniami tekstów łacińskich, lub greckich na pamięć. Profesor zapoznał nas z miejscowością i z planem dalszej wędrówki; wyznał, że pobudką do rozpoczęcia robót kopalnych był opis zgromadzenia chrześcian, skreślony z dziwną intuicyą przez „waszego wielkiego pisarza, Henryka Sienkiewika“ w „Quo vadis“ (przyczem uczył go zdjęciem kapelusza); dowodził następnie, że nagrodą trudów badawczych było odkrycie prawdziwego Ostrianum, albowiem tutaj znalazły się groby Pudencyanny, Pudencyusza, Aquili, właściciela tych gruntów, i źródło, z którego święty Piotr Apostoł czerpał wodę przy udzielaniu Chrztu świętego. Jakoż pokazywał z kolei wszystkie wymienione pomniki aż do podziemnej sadzaweczki Piotrowej, i wschody, prowadzące do niej z powierzchni ziemi. Sienkiewicz tyle tylko chybił, że swoje Ostrianum zbliżył zanadto do Via Nomentana. Jechaliśmy stąd trzy kwadransy aż na Via Appia ku katakumbom świętego Kaliksta. Pomimo spóźnionej pory, niestrudzony profesor zadzwonił do furtki klasztoru Trapistów i znowu wszedł do podziemi. Napis na sarkofagu Damazego jest niekompletny i niedość czytelny, więc musi być uzupełniany za pomocą zawiłych kombinacyi. Wartość argumentacyi może być należycie oznaczona dopiero przy uważnem czytaniu wydrukowanej już monografii; lecz za udzielenie nam wniosków, za

okazanie przedmiotów, za nadzwyczajną uprzejmość, podziękowaliśmy gorąco profesorowi, on zaś zlecił p. Aleksandrowi Krausharowi pozdrowienie dla Sienkiewicza.

I tutaj przypomnieliśmy sobie słowa, słyszane na Kapitolu: „Roma communis patria!“.

TADEUSZ KORZON.

DZIEŃ DUCHA ŚWIĘTEGO.

Z POWODU WYDANIA „TRAKTATU O TRÓJCY“ ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO ¹⁾.

Myśli Schellingowej, streszczonej tu w zasadniczych rysach, należało by poświęcić głębszą i poważniejszą pracę. Zestawienie zapatrywań filozofa z temi, jakie rozwinął August Cieszkowski i Zygmunt Krasiński, byłoby niezmiernie ważnem i ciekawem dla poznania genezy naszej filozofii religijnej.

Nikt bowiem nie jest bliższym jej duchowo od Schellinga. Powstawała w czasach późniejszych nieco — w okresie od 1835—45 i kształtowała się przeważnie na Heglu, ale duchem od Hegelianizmu odbiegła, daleko bardziej przechyła się ku myśli Schellingowej. Nie twierdzę, by wiednie i naśladowczo, ale współrzędnie i podobnie. Schelling niejedno zapatrywanie mógł wnieść do niej, niejedną myśl filozofa poczytałby trzeba za rodzicielkę; ale w rozlicznych innych rozwój myślicieli polskich własnym i przyrodzonym był — niemniej przeto zbieżnym w bardzo wielu. Niewątpliwie też nie znali ani czytali oni w s z y s t k i c h ważnych i znamienych Schellingowych dzieł i rozpraw, zwłaszcza tak ważnych wykładów, które w opisach jedynie długo znanemi były.

Wykłady Sztutgardzkie z 1810 o nieśmiertelności duszy, pisma z lat monachijskich (1806—12), z czasów przyjaźni z Baaderem, polemiczne rozprawy z Jakobim i Eschenmayerem, prace o wolnej woli i o filozofii religii, cała treść wreszcie pozytywnej filozofii Schellinga, zwłaszcza jaką zawierają późniejsze prelekcye (90 wykładów z lat od 1815—1854 pod tytułem: *Filozofia Mitologii i Objawienia*

¹⁾ Patrz zeszyt majowy. str. 205.

w 4 tomach, wydanie Sztutgardzkie, Cotta, 1856—8), mogły nie być dostatecznie i całkowicie znanymi twórcy Psalmów i autorowi „Ojczenasza“ a są tu materiałem pierwszorzędneho znaczenia. — P o z y t y w n ą bowiem filozofię odnajdziemy w „Ojcie naszu“, wiarę w „Spełnię czasów“ i „Dzień Ducha Świętego“, przekonanie o p o d w ó j n e m Objawieniu w Naturze i Myśli religijnej — u Krasińskiego i u Cieszkowskiego. To samo mówićby trzeba o p a l i n g e n e z i e, o idei złego jako n i e d o m i a r u dobrego, o stanowisku wreszcie, przyjmującym porówni naturalistyczną jak idealistyczną podstawę w panteistycznym Monoteizmie, lub jeżeli tak mianować myśl tę chcemy, M o n o - p a n - t e i z m i e, — a którą Schelling nazwał „d e r p a u l i n i s c h e P a n t e i s m u s, d e r d e r g e s t e i g e r s t e u n d s u b l i m s t e M o n o t e i s m u s i s t“ (patrz Kuno Fischer: Schelling, 807) (porównaj: *Vorlesungen Schelling's Werke* II Bd. 4. Vorles. XXVI S. 66)

Rozeznąć, o ile i w jakim stopniu umysły naszych myślicieli przejęły się lub pokrewnemi są idei Schellinga, rozświetlić różnice i zbliżenia, oto zadanie, które czeka bacznego krytyka, a dziś, skoro ukazuje się w druku „Trójca“ Krasińskiego, wydawnictwo zaś „Ojcie-Nasza“ ku następnemu, a drugiemu ma się tomowi, praca ta wdzięczną i arcyważnąby się stała. Poczytywać zwykliśmy Hegla, jako światło, które promieniowało najsilniej w epoce dojrzewania pojęć filozoficznych Krasińskiego i które nie jedną myśl poety rozświetliło. Niewątpliwie wpływ Hegla odnajdujemy, i silny, ale myśl Krasińskiego stanowczo bardziej ku Schellingowej się kieruje, z własnej woli i pod wpływem Cieszkowskiego, który znów z własnej woli i dążenia przecie tak pobratymczym Schellinga. Jest tu więc może pokrewieństwo duchowe raczej, niż naśladownictwo. Jedno tu także wziąć pod uwagę należy. Oto do roku 1838 Krasiński nigdzie o Heglu nie wspomina. W listach do Reeve'a niema wzmianki o filozofie, który już znanym i sławnym był w Niemczech i który już od r. 1818 przez długi lat szereg wykładał Logikę, filozofię dziejów i filozofię religii na Berlińskiej Wszechnicy. Natomiast o Schellingu parokrotnie mówi do przyjaciela Anglika. Reeve słuchał wykładów filozofa w Monachium i prawdopodobnie o nich obszernie Krasińskiemu donosił. Listów tych nie mamy, z wielką szkodą sprawy. W odpowiedzi z 5 Września 1832 pisze Krasiński do Reeve'a „Je n'ai pas d'ange gardien de Schelling — Satan me couve sous ses ailes“. (Tom. Korespondencyi II str. 9) W liście z Petersburga (21 Listopada 1832 r.) wspomina o „marzeniach mistycznych Schellinga“ — parę dni później (30 Listopada) odpisuje na list, w którym, jak mówi, pełno jest „de grandes images

de Görres et de Schelling“ i zna już po części myśl filozofa, skoro na końcu listu wypowiada taką opinię o Cousinie: „Cousin, pair de France et Ballanche sont deux voleurs de Schelling et autres Germains“. A Ballanche był może pierwszym filozoficznym wpływem obok Schlegla i Lamennais'go na umysł poety (patrz Korespondencya z Reeve'em z lat 1830—32) ¹⁾.

Cztery lata później pisze z Florencyi: „Nie mogę Ci opisać goryczy, jaka mnie opanowała w tych czasach. Zaiste spojrzenie, jakie rzucam światu pełnem jest rozpacz. Poszedłem pić z czary wiedzy niemieckiej, rozmyślałem nad Okenem, Schubertem, Schellingiem i — niech mnie dyabli porwą—grałem rolę doktora Fausta—oni Mefistofelesa. Słowem, smutnym jestem do głębi. Ale czemu się skarżyć? Dni parę jeszcze a nadejdzie nieśmiertelność. Dusza moja zarówno obrzydzone myślą nicości — brakiem indywidualności po śmierci, jak z drugiej strony myślą ciągłego czynu bez końca ²⁾, nieskończonej ilości światów—wieczystej metempsychozy nędzy i bólesci. Albowiem to jedynie możliwem: albo sen—albo żywot, nicość—albo alternatywa szczęścia i złego. Otóż w alternatywie tej pewnem jest, że zło przemaga, a gdyby nie przemagało, dobro i szczęście przestałoby nam być tak słodkiem i tak drogiem. Warunkiem niezmiennym działania — cel, — skoro zaś celem nieskończonym szczęście, jedno z dwojga być musi: albowy ustała czynność, skoro celu dosięgnie, a wówczas nastaje n i c o ś ć, albowy trwała odłączona od celu, a wówczas to znów trud i ból. Nie mogę wyjść z tego fatalnego dylematu i kiedyś głowę sobie o to rozbiję. Szczęśliwi ubodzy duchem, albowiem ich jest Królestwo Niebieskie. (Do Reeve'a list CXLIX 6 marzec Florencyja 1836. Korespondencya tom II str. 101).

Z dylematu bez wyjścia — wyjście było. Żywot wieczny ku Bogu nie jest bólem — bólem są tylko zapory, które przezwyciężone być muszą, nie jest trudem, gdy staje się coraz większem w y z w o l e n i e m. Drogę tę wskazał Zygmuntowi Krasieńskiemu August Cieszkowski, — ale droga ta w Schellingowej myśli rozjaśniła się i rozbudowała w dziełach filozofa.

Od zawiązku przyjaźni z Cieszkowskim datuje też zapoznanie się bliższe z systemem Hegla. August Cieszkowski już był napisał

¹⁾ „Hegel wiele wzięł od Schellinga, ja, o tyle od obydwóch słabszy—wzięłem od obydwóch“. V. Cousin w swej przedmowie o francuskiej i niemieckiej filozofii. Wydał po niemiecku Dr. H. Beckers 1834 — str. 35—41).

²⁾ Porównaj: „teraz idź, stwarzaj wieczne niebo w niebie“.

swoje „Prolegomena” i przyjmując, zasadniczo teorię logiczną Heglizmu, jako prawo myślenia li rozumowanego, nie zgadzał się na historyozoficzne wywody niemieckiego myśliciela, a przeciwstawił mu pozytywną dążność wiedzy.

Cieszkowski skłania się też ku Schellingowi, przyjmując ideę spełnienia objawień w przyszości za sprawą Ducha Świętego. Powinowactwo to poznać należałoby jasno i zwrócić uwagę na rozprawy myśli z owych czasów, rozprawy pełne kontrowersów, w których dyskusja nieraz bardzo gorąca i namiętnie się rozwija, wydobywając i wyodrębniając nowe poglądy. I tak Schelling z roku 1841—1842, członek Akademii w Berlinie, inaczej w swych wykładach o Filozofii Objawienia mówi o Heglu, niż w czasach dawniejszych, monachijskich, w epoce, gdy pisał przedmowę — do przedmowy Wiktora Cousin (1833). Naukowo-religijne poglądy rozwijał jeszcze i uzupełniał w ostatnich latach życia — znaczna część rozumowań o religii późniejszą jest od „Prolegomenów”, współczesną powolnemu powstawaniu „Ojciec-Nasza”.

Jakkolwiek bądź, znaczenie filozofii Schellinga arcyważnem jest dla pojęć, z których zrodziły się „Trzy Myśli”, „Psalmy” i „Trójca”, ważniejszym raczej od Hegla. A nie dziwnem, skoro Hegel sam wywiódł system swój i ugruntował na podstawie, którą był Schelling założył. Rozwój historyczny Idei, pojęty inaczej w systemie Hegla, jest przecie w najgłębszej swej treści zasadą konsekwentnie i z wielką mocą u Schellinga przeprowadzoną. Lecz pozytywna filozofia Schellingowa nabiera u Hegla logiczno-rozumowej wartości, a przeto w istocie swojej pozytywną być przestaje, stawając się — jak o niej Schelling mówi taką „w której jeno sztuczna rządzi successya, przecząca sobie w myśli ostatecznej”.

Wilhelm Fr. Hegel, rodowodem umysłu od Kanta i Fichtego idący, więcej przecież Schellingowi winien, jest porównie jemu filozofem Ewolucyi Ducha. Najgłębsza różnica między nimi w pojmowaniu świadomości ludzkiej wobec świata rzeczywistości Ducha. Schelling twierdził, że umysłową jedynie prawdę rozumowaniem pojąć możemy, kształty zaś, zmysłową stronę rzeczy, jedynie przez bezpośrednią świadomość. Zaczem, wobec każdej rzeczywistości i umysłem, i poczuciem poznawamy, a jest to poczucie rozumne (intellectuelle Anschauung), a nie zgoła logiczne rozumowanie. Przeciwno tej myśli zarzuca Hegel, że poczucie jest wręcz nieokreślonem i zagadkowym zaiste prawem dla nas, mętnem i dziwnem pojęciem. Poczucia tego bowiem ani określić, ani nauczyć się nie sposób, jest tu więc *absurdum* zagadki. „Trzeba je mieć w sobie i to jako bezpośred-

nie“—mówi Hegel,—a to, co można mieć, tego równie dobrze można nie posiadać“. „Stąd w Schellingowej filozofii pozór, jakby potrzeba ludziom było dla rozumienia jej specjalnego daru sztuki, geniuszu i stanów umysłu przypadkowych a niezwykłych — szczęśliwcom jeju wśród śmiertelników udzielonych“ (patrz Kuno Fischer: Hegels Leben, Werke und Lehre. Geschichte der neuern Philosophie. Band VIII, 2, Jubileumsausgabe Heidelberg. C. Winter 1801 str. 1151).

Jeżeli więc zależy na udowodnieniu jednolitości myśli i Bytu, a to jest podstawą filozoficznej wiedzy; jeżeli system identyczności na prawdzie oparty, to zasadą być musi konieczna i bezwzględna możność pojmowania prawdy myślą. Istnienie musi być pojęte i udowodnione rozumowo. Tematem więc głównym nauki Hegla będzie rozwój świata według praw rozumowych (Die vernunftgemässe Entwicklung der Welt).

A droga, wiodąca do zrozumienia tego rozwoju—Logika, którą Hegel fundamentem systemu swego założył.

Rozwój logiczny, to postęp nie od rzeczy ku rzeczy, ale od pojęcia ku pojęciu, od jasnego pojęcia umysłowości, to jest od Logiki, ku filozofii przyrody, stąd ku filozofii podmiotowego i przedmiotowego Ducha, dalej Ducha zbiorowego w dziejach, Ducha absolutnego w sztuce, w religii, a wreszcie ku najwyższemu zrozumieniu w filozofii, rozwiniętej jako filozoficzne dzieje Ducha.

Aby uznać tak postawioną zasadę za prawdziwą, trzeba przede wszystkim poznać pojęcie Heglowskiego pojęcia. Rozumuje on w tej myśli: albo pojęcia są mrzonkami — wówczas jedność myśli i bytu nie istnieje, albo mają w sobie prawdziwość, a w takim razie prawdziwe pojęcia zbiegają w jedno z treścią rzeczy. Rzeczywiste pojęcie jest już rzeczywistością rzeczy, a więc we wzroście, w ruchu pojęć (Selbstbewegung der Begriffe) żyje rozwój nie wyobrażony już, ale istotny. Pojęcie, według myśli Hegla, nie jest wyobrażeniem oderwanym, ale spełną podmiotową właściwością rzeczy. Pojęcie ma zarazem w sobie dążenie do celu i spełnianie się celu tego, jest ideą żywą (der sich selbst realisirende Zweck), w tem znaczeniu, jak Wola u Schopenhauera.

Zatem pojęcie prawdziwe nie jest wiedzą naszą o rzeczach, ale istotną rzeczą tej treścią. Wiedza nasza jest pojęciem ograniczonym, nie zaś spełnym. Ale wiedza ta jest nierozdzieloną zgołą od poznawania pojęć, i myśl ludzka z myślą Wszechrzeczy tem samem prawem powiązana.

Wprawdzie Logika, jako nauka, nie jest Ideą logiczną; przejście z Logiki prowadzi do filozofii natury, nie do natury samej, ale Idea logiczna przeradza się w naturę. Już Schiller powiada w Wallensteinie:

„Eng ist die Welt — und das Gehirn ist weit —
 Leicht bei einander wohnen die Gedanken,
 Doch hart im Raume stossen sich die Sachen“ ¹⁾.

Lecz Idea, rozwinięta do zupełnej Prawdy, ma w sobie tyle siły, że sobie tworzy sama kształty. A to jest wołą ku naturze, wołą postać sobie dającą w Stworzeniu. Tu Hegel niezmiernie blisko stoi Schopenhauera i jego nauki o woli: „Absolutną wolnością idei“ — powiada — „jest to, że nietylko przeradza się ona w życie, nietylko jako ostateczne poznanie przynosi światło życiu, ale że w absolutnej Prawdzie swej istoty postanawia czyn i odrębności swej, i pierwszego poznawania, i bytu innego; — bezpośrednio promieniowanie, — tedy jako Natura z wolnej woli ze siebie powstaje (Band. VI § 244 str. 413, 414).

To rozróżnienie między pojęciem spełnem, a nauką o pojęciu jest dla zrozumienia Hegla zasadniczem. Atoli sama już nauka o pojęciu jest także poznawaniem prawdziwym i możliwym, gdyż umysł nasz z tej samej prawdy wzrósł i dąży ku coraz to wyższemu pojmowaniu. Logika zatem nie jest, jak Kant chce, nauką o prawach myśli abstrakcyjnej, ale o prawach Idei rzeczywistej. Idea stawa się rzeczywistością, lecz jedynie gdy absolutną jest — „życiem nie ginącym, prawdą, która wie o sobie, i wszelką Prawdą“ ²⁾. Taka Prawda, która siebie poznaje — jest najwyższą ideą, tą, o której Arystoteles mówi — *νόησις νοήσεως*. Rozwój logiczny Idei nie zna czasu — w naszym pojmowaniu jest on ku spełni dążącym. System logiki jest według Hegla treścią absolutnej Idei. Metodą — ściśle logiczną — ewolucja. Metoda ta określa pojęcia roz-

¹⁾ Wall. Tod. II, patrz Fischer: Hegel I, str. 573.

²⁾ Dzieła Hegla (Bd. V, str. 317, 318. Diese Einheit ist hiermit die absolute und alle Wahrheit, die sich selbst denkende Idee und zwar hier als denkende, als logische Idee. Hegels Werke, Duncker Humblot, Berlin, 1832—40, w 20 tomach).

różniając z n a m i o n a i p r z e c i w i e ń s t w a. Twierdzeniu przeciwwstawia się zaprzeczenie i szuka łączni—w troistości dowodu, złożonego z Tezy, Antytezy i Syntezy—i tak stopniowo określa i poznaje cechy rzeczywiste.

Absolutem zatem logicznej idei nic innego nie będzie, jak najwyższe i najprawdziwsze Istnienie — a zarazem Istota — Bóg—ten, który myśli o sobie i w sobie, według słów Arystotelesowych: ἀπὸν ἄρα νοεῖ, εἴπερ ἐστὶ τὸ κρᾶτιστον, καὶ ἐστιν ἡ νόησις νόησεως νόησις.

A Hegel tak streszcza swoją myśl filozoficzną:

„Jest tedy logika systemem czystego rozumu, państwem czystej myśli i tak ją pojmować należy. Państwem tem jest Prawda, tak jak jest w sobie bez obsłony. Można tedy wyrazić się, że treścią tą jest przedstawienie Boga, jakim jest On w swej wiecznej Istności—przed Stworzeniem Natury i przed Stworzeniem Skończonego Ducha“ (L o g i k a — Wstęp str. 33. Wydanie Berlińskie, 1831).

Tą jest myśl Absolutu logiczna. A myśl o Duchu i rozwoju jego już z niej wynika, jak wynika Stworzenie całe, które jest s t o p n i o w a n i e m ś w i a d o m o ś c i w Duchu (porównaj *Syna Cieniów* i *Psalmy*). Dalsza nauka Hegla, oparta mocno na logicznej swej podstawie, jest zatem ewolucją Ducha ku poznawaniu się w życiu świata. — Tę podstawę przyjmuje Krasiński — różny atoli w dalszej dedukcyi, gdzie się bardziej schodzi z Schellingiem. Bóg, jako Duch najwyższy myśli, jako Myśl, rozróżnia siebie, ale to rozróżnienie nie jest rozłaniem w sobie, jeno pojmowaniem, a więc musi być powrót ku jedności w Syntezie. Dlatego Hegel pojęcia Trójcy za niezmiernie doniosłe i ważne we wszystkich uznaje religiach.

Świat, uczyniony z Mocy Bożej, jest t e m r o z r ó ż n i e n i e m i Antytezą, a Stworzenie, jako Myśl Boża, wiecznem; świat ten atoli ani w a l k ą odrywa się od Boga, ani spłynąć się z Nim w jedno koniecznością, ale zjednoczyć się z Nim wola ma, a tak Bóg będzie w Świecie i w Sobie zarazem. („Rozlał się po wszej ziemi, a ostał na niebie“). Wieki prowadzą ku temu, a że jest w pojmowaniu Boga różność i wzrost, a religia Trzy Osoby Boże oznacza rozróżnieniem całego szeregu pojęć, zatem rosnącą w obliczu czasów myśl ku Bogu zawrzeć można w okresach panowania Ojca, Syna i Ducha Świętego.

Hegel nazywa czasy przed Stworzeniem Świata Królestwem Ojca. (Bóg poza Światem, to jest Bóg w swej Idei jako taki.) Świat nasz od kolebki Stworzenia aż do Odkupienia—to panowanie Syna. Zrozumienie Odkupienia—religia jako pojednanie z Bogiem i miłość ku Niemu—oto czas Ducha Świętego. Panowanie

Ojca to wieczysta Boża Idea w czystym myśleniu, a więc w nierozłącznej, nierozzerwalnej ze sobą Jedności. Tem panowaniem—mówi Hegel—jest Prawda taka, jaka jest w sobie bez obsłon.

I tu filozof stara się przedstawić Ideę Trójcy, porównywując ją do Miłości. Miłość, pojęta prawdziwie, ma też trzy Hypostazy, jak Duch i jak Bóg—poznanie się w sobie przez drogą osobę.

W misteryach religii pogańskich, w głębszej treści starożytnej filozofii widzi Hegel przejawy myśli o Trójcy i wskazuje Trimurti indyjską, Pytagorejczyków, Platona, uczącego o jedności *ταὐτὸν ὁμολογῶν*, wskazuje Gnostyków, a wreszcie Jakóba Böhmego, który Trójcę we wszystkim i wszędzie mieścił i powiedział, że „musi się w sercu ludzi urodzić“.

Państwem Syna jest, słowami Hegla, „wieczna Idea Boga w elemencie świadomości i wyobrażenia, czyli w r o z r ó ż n i e n i u“ (Die ewige Idee Gottes im Elemente des Bewusstseins und Vorstellens oder der Differenz), a zatem Świat jako Objawienie. Świat ten jest w stopniowaniu—jest systemem królestw natury, a na najwyższym szczeblu państwem żywych stworzeń, z których rodzi się i budzi Duch. Stąd rozdział na Królestwo natury i Królestwo Ducha.—Człowiek, żyjący w świecie tym Ducha, jest ograniczonym, a więc pragnącym, a więc żądzy podległym. Człowiek nie jest ani złym, ani dobrym z natury, ale ma porównie złe, jak dobre dążenia. Celem jego jest w r o s t ku wyższemu powołaniu, a więc w założeniu i celu dobro żyje—zło zaś w sile i woli własnej,—w s a m o w o l i.

By nastąpiło pogodzenie tego rozbratu w człowieku, woli ku Bogu i woli ku Światu, trzeba, by przeciwieństwa doszły do n a j w y ż s z e j m i a r y. Najwyższy Ból powstaje z wewnętrznego rozdarcia między człowiekiem a Bogiem, największe nieszczęście z uczucia niezgody między duszą człowieka a Światem. W tej chwili rodzi się czas pojednania—spełnia się godzina a b s o l u t n e j r e l i g i i. „A gdy spełniły się czasy“, zstąpił Zbawiciel—to jest, według Hegla, człowiek napełnion jest, nasycon Bożą Myślą i Mocą—i w o n c z a s rodzi się Chrystus.

Chrystus zakłada społeczność chrześcijańską—w tej społeczności żyje na wieki jako Wzór i Prawo. Społeczność ta stawa się i jest państwem Ducha. (Die Idee im Element der Gemeinde—oder das Reich des Geistes—Hegel, XII, str. 308—318). Niema więc, jak w Schellingu, odrębnego czasu i Objawienia spełniejszego, ale już życie w prawie Chrystusowem i społeczności—w g m i n i e wiernych, jest Ducha Świętego czynem i działaniem. A w społeczności rozwój dalszy prowadzi od gminy chrześcijańskiej ku Kościołowi, od Kościoła

zaś ku rzeczywistości religijnej myśli w całej ludzkości, czyli od wiary określonej do wiedzy, od Religii do Filozofii. Nie wiara w Chrystusa przeszłego, ani w przyszłego, jaki ma objawić się, by tysiącletnie Królestwo Sprawiedliwości założyć, jest duchowego rozumienia prawdą—te bowiem wiary skończonością i ograniczonością są, a nie uduchowieniem pojęcia; ale wyznawanie wiecznego Chrystusa w miłości społecznej jest Ducha Świętego Objawieniem.

W Królestwie onem Ducha, patrzeć się na Boga znaczy tyle, co poczuwać się do świadomości w Duchu Prawdy i to jest przeznaczeniem człowieka.

Największem zaś świadectwem o prawdzie tej—Świadectwo Ducha, stwierdzające czyny w dziejach świata w postępie religijnej myśli, która wiedzie ku konieczności chrześcijaństwa. Filozofia dziejów i Filozofia religii świadczą chrześcijańskiej nauce. Nie Historia Dogmatów i kościelnej tradycji, ale głęboka treść duchowej a niewstrzymanej Rewelacji najsilniejszym dowodem Prawdy.

„Prawdziwa treść wiary chrześcijańskiej nie dziejami, ale filozofią da się stwierdzić. Co Duch czyni, nie jest historią, o to się troszczy jedynie, co jest samo w sobie istotnem, nie przeszłością, ale wręcz terażniejszością (Hegel, XII, str. 328—332).

Królestwo Boże powstaje i rozbudowuje się w świecie, wobec świata zaś niema ono być odwróceniem się od spraw doczesnych, ale owszem ogarnięcie i przeniknięcie życia czynami prawdy.

„Prawdziwe pogodzenie, w którym Boża Myśl się spełnia w rzeczywistości, polega na życiu państwowem, prawu i moralności podległym, a to jest prawdziwe pokonanie myśli światowej“. („Die Wahre Versöhnung, wodurch das Göttliche sich im Felde der Wirklichkeit realisiert, besteht im sittlichen und rechtlichen Staatsleben, dies ist die wahrhafte Subaction der Weltlichkeit“ — Heg. *ibid.*, str. 344).

Filozofia zaś wnosi moralność najwyższą i z wolnej woli pojętą; dlatego jest dla Hegla filozofia dopełnieniem religii i jej najbardziej wzniosłą — ostateczną formą. Godnością swą nie ponad Ideą religii, ale po nad jej formą — wyznawaniem, treścią swą z nią ściśle w duchu złączona, wyraża filozofia wszystkie myśli i wszystkie pragnienia człowieka.

System Hegla, porównie jak filozofia Schellinga, zamyka się na rozważaniu głębokiem prawdy religijnej; — jest przecie wielka między filozofami różnica. Schelling, wyjaśniwszy przyrodzenie świadomości ludzkiej, nie widzi możności zrozumienia Idei Bożej inaczej, jak

Duchem całym, uczuciem i rozumem porównie; Hegel wszystką myśl na prawie rozumowym założył i wierzy w potęgę logicznego poznawania. Wiedza w pojmowaniu obydwóch nie jest pod temże samem prawem. U Cieszkowskiego odnajdujemy analizę Heglowską, a niemniej poczucie Schellingowe. Włączając bowiem do historyzofii swej przyszłość (patrz „Prolegomena“) i spełnienie Objawień, włączając te kstę Pisma, które, jako zapowiedzi przyszłości, poznaje i rozwidnia, w poznawaniu tem nie mniej kieruje się logiczną, analityczną myślą, jak poczuciem — tem, które Faustowi każe pisać: „Am Anfang war die That“. Tu więc przekracza Hegla ku Objawionemu Pismu, ku objawiającej się w poczuciu Ducha ¹⁾ myśli, ku pozytywnej swej filozofii — a przeto bardzo ku Schellingowi. Ścisłejszy atoli w uznawaniu tekstów i katolicki bardziej, stoi bliżej kościelnego dogmatu.

Naukę Hegla słusznie nazwano Pan-logizmem, lub Monizmem myśli (patrz K. Fr. Göschel, 1832. Der Monismus des Gedankens), Hegel sam zwał ją absolutnym Idealizmem. Treścią jej pełną: rozumowy rozwój świata (die vernunftgemässe Entwicklung der Welt). Metodę ewolucyjną przejął Hegel po Schellingu, ale słusznie mógł mu Schelling zarzucić, że w niej światło zagasił.

Miasto poczucia rzeczywistej Idei, stawiając rozumowe pojęcia, a więc martwe i niezdolne życiowego rozwoju widziadło — marę — wraca mimowolnie ku Kantejskiej zasadzie. Dlatego Schelling widzi w Heglizmie schematyczną, mądrą bardzo i suchą naukę, a nie wiedzę żywą, — widzi „nowy Wolffianizm“

„To empiryczne poczucie — jeden z późniejszych“, — mówi tu o Heglu — „którego Natura przeznaczyć zdała się ku nowemu Wolffianizmowi, przeto instynktywnie zagasił, że na miejsce życia i rzeczy w istości, której dawniejsza filozofia przypisywała tę właściwość, że z podmiotu na przedmiot przechodzi i wraca znów do podmiotu — postawił pojęcia logiczne, któremu najdziwniejszą przypisał fikcyę podobną i konieczną właściwości ruchu.“ (Dieses Empirische hat ein später Gekommener, den die Natur zu einem neuen

1) „Albowiem ten Duch świadectwo daje duchowi naszemu, iżemy są synami Bożymi“ (Do Rzymian, c. VIII, 16). „Także też i Duch dopomaga krewkości naszej, albowiem, o cobyśmy prosić mieli, jako potrzeba — niewieemy, ale sam Duch prosi za nami wzdychaniem niewymownem“ (Święty Paweł do Rzymian, c. VIII, 26).

Wolffianismus für unsere Zeit prädestinirt zu haben schien, gleichsam instinktmässig dadurch hinweggeschafft, dass er an die Stelle des *Lebendigen Wirklichen*, dem die frühere Philosophie die Eigenschaft beigelegt hatte, in das Gegenteil (das Object) über und aus diesem in sich selbst zurückzukehren—den *logischen Begriff* setzte, dem er durch die seltsamste Fiction oder Hypostasierung eine ähnliche notwendige Selbstbewegung zuschrieb.“ Vorrede zu Victor Cousins Vorrede 1834. Victor Cousin über die französische und deutsche Philosophie—Aus dem Französischen von d-r H. Beckers nebst einer beurtheilenden Vorrede des Herrn Geheimraths v. Schelling.)

„Ta próba powrócenia z pojęciami rozwiniętej już daleko filozofii realnej na stanowisko scholastyki i rozpoczęcia metafizyki pojęciem, które wyklucza wszelką empiryczną własność, ten epizod w historii nowszej filozofii miał tę zasługę, że chociaż się nie przyczynił do rozwoju dalszego tej filozofii, to przynajmniej posłużył do wykazania na nowo, iż niemożliwym jest dobić się do rzeczywistości czysto-rozumowanem dowodzeniem.“ (Dass es unmöglich ist mit dem rein Rationalem an die Wirklichkeit heranzukommen. Ibid.)

Sąd ten Schellinga przeczy znacznie późniejszemu oświadczeniu filozofa, w którym uznał, że jedynie Hegel zasadniczą myśl jego pojął w zupełności i rozwinął najlepiej. Na jednym z wykładów swych berlińskich z roku 1841—1842 powiedział o Heglu te słowa: „on to filozofię identityczności uczynił pozytywną filozofią, a tem samem absolutną i nic nie pomijającą.“ (Er hat die Identitätsphilosophie selbst zur positiven Philosophie gemacht und damit überhaupt zur absoluten nichts ausser sich lassenden Philosophie erhoben.—Patrz: Kuno Fischer: „Schelling“ str. 266.) Świadcstwa tego naprózno byśmy w drukowanych wykładach szukali. Schelling sam nie uznał go i w ostatnich dziełach zaparł się ponownie Heglizmu. I nic dziwnego. System Hegla spójniejszym jest, zwartym bardziej i konsekwentnym od założenia, ale przeczy owej pozytywności, o którą tak stoi Schelling, której tyle zawiera. Logika i kryterium umysłu nie wystarcza do ogarnięcia całej prawdy stworzonej, gdyż umysł nasz, a my—nie jednym, i życie, wypowiadające się myślą, nie wypowiada się całe.

Dlatego wierzenia Schellinga w Duchową przyszłość ludzkości zawierają więcej rękojmi, gdy myśl Hegla ma więcej pewności. I dlatego Schelling wierzy, że panowanie Ducha Świętego nadejdzie jako Ewangelja wieczna, wnosząca miłość, i będzie wylewem Łaski i promieniowania, a Hegel nie epokę Łaski, ale panowanie wie-

dzy ogłasza. „Wprowadzenie we wszelką prawdę”—według słów Pisma pojmuje Schelling, jako przyszłość, zgotowaną ludziom przez rozrost świadomości rzeczy Bożych. Hegel widzi w niem rozum naszego zdobycze i zwycięstwa. Jeden przejmuje się Duchem, aby pojmować, drugi pojmuje, aby duchem opanować. Jeden dorastać każe ku prawdzie, drugi dobić się do niej myślą przykazuje. Ale że dorobek nie myśli całej powierza, a stawia jedynie logiczny wywód za obowiązek, więcej ma w sobie negacyi i więcej oschłości od Schellinga. Bowiem Schelling chce raczej wyrozumieć treść rzeczy, Hegel wyrozumować. I Schelling wierzy więcej w Ducha Świętego, a Hegel w Ducha Świata. Obydwaj atoli rozwinęli zasadę ewolucyjną i przeprowadzili w swych dziełach — obydwaj mają troistą modłę stawania się i spełniania się Idei.

To też pokrewni są Neoplatończykowi, który Absolut w troistej formie rozwoju pojmuwał. A ucząc na wykładach swych o Proclucie — tak z przejściem się tą myślą, blizką sobie, mówił Hegel:

„To stanowisko Neoplatończyków nie jest filozoficznym widzeniem — ale odruchem Ducha ludzkiego. Ducha świata i Objawienia Boże widzi on nie jako obcy. To, co my tu tak sucho i abstrakcyjnie rozważamy, konkretnem jest. Mówią, że zapatrywania te nasze, gdy się o nie filozofowie kłócą w pokoju — to gry słów, to abstrakta, Nie! Nie, moi panowie! to są prawdziwe sprawy Ducha Świata — a przeto sprawy Losu. Filozofowie bliżej tu stoją Pana, niż ci, którzy się karmią okruchami Ducha,“ (Dzieła Hegla XV str. 79—81). „Do czego Duch świata sto i tysiące lat potrzebuje, to my szybciej sprawiamy, bowiem mamy tę korzyść, że to dla nas przeszłością jest i abstrakcyjnie się dzieje.“ (Ibidem) (Wozu der Weltgeist Hundert und Tausend Jahre braucht, das machen wir schneller — weil wir den Vorteil haben, dass es Vergangenheit ist und in der Abstraction geschieht).

A tą wiarą w sprawy Losu, w Ducha Świata nieustanne i przewodniczące dążenie, zamyka swe rozumowania filozof, który potężnie myślą na czasach swoich zaciążył.

III.

Tak! Są to sprawy Losu, ale nie onego, ciężącego olbrzymio a potwornie, — onego Fatum, Tytana o pogasłych źrenicach i nieubłaganiem sercu, ale chrześcijańskiego Losu, który wymierza czasy, a który Duchem Świętym jest, Poczyszycielem.

On to sprawia, że Wiara i Wiedza, odbiegłe od siebie, przecież ku powrotowi dążą i, jak przeciwne bieguny magnesowe, pożądają się wzajem.

W dziejach myśli wiecznie rozbrat ten i to żądanie powraca. Myśl ludzka czuje i wie w głębinach swoich, że jest Prawdy więcej, niż to, co poznałem, i niż to, co objawionem jej w czasie; więc nastaje pragnąca i w nagłości swej przeczyć skora temu, co jest, za to, że nie jest w całym, i wytężona ku poznawaniu, wczorajsze widnokreśli nienawidzi. Jest jak rzeźbiarz, któryby posągi kruszył z przekleństwem, gdy dłuto odrzuci i spojrzy na dzieło swoje, a któryby z umiłowaniem poczynił nową rzeźbę, ale jest też podobną wstępującemu na górę — a widzącemu coraz rozleglejszy kraj, dlatego, że poznawanie rozrasta się i rozwija w miarę pokonanych trudów i wyżyny zwyciężonej. Jest pożądającą i dumną, gdyż ufność w sobie jedynie położyła, dla tego wiecznie niedoskonała, niesprawiedliwie na swą przeszłą niedoskonałość gniewna, niebacznie w swej terażniejszej zakochana, jak dusza artysty, naiwna i przewrotna zarazem.

A przecież w dziejów swoich rozwoju nieustawającym, nie artyście człowiekowi, ale Artyście-Bogu posłuszną jest i повинną; odpadają i marnieją jej chwilowe owoce, jako uschłe, lub przegniłe, a jeno ziarno, ku kiełkowaniu sposobne, przetrwa i przyjmie się w ziemi. Oto konieczność Prawdy. Myśl ludzka prometejską ma duszę, oczy ma utkwione w chmurach, przysłaniających światło niebieskie, serce niepewnościami targane i wyciągnięte ku przestworzu dłonie, człowiekiem jest, wołającym do nieba: *quo non ascendam?*

Wiara przecie ufać umie więcej i lepiej, i pożądać umie goręcej, a spełniej, jeżeli nie zamarła w literze, jeżeli zaprawdę jest

w D u c h u. I wiara taka wiedzy nie zlorzeczy, ale powtarza za Apostołem Pawłem: „*In quo quis audet, audeo et ego... plus ego!*“ (Z list. do Korynt. 11, 21 — 23).

Posłuszeństwem atoli wierzących jest, że w sądach o przyszłych sprawach Ducha, w nadziejach religijnych jutra porównnie, jak w dzisiejszych rozumowaniach o Prawdzie objawionej, prawo wyroku danem jest Kościołowi, w którym czuwanie Ducha Bożego trwa po skończeniu wieków.

Ze stanowiska wiary tak o tych rzeczach mówić potrzeba: Kościół ma klucze Pańskie, klucze wyroku, myśl ludzka ma wolność poznawania.

Kościół, jako z Bożej Mocy, ale w Ludzkich dziejach założona społeczność, ludzką i jawną mieć musi sposobność wyrokowania o prawdzie myśli, a tą jest Sumienie Kościoła, wyrażone w słowach Władzy jego.

Usuńmy tę wiarę, a wiązania Kościoła rozpadają się, i nastaje rozerwanie jedności. Jeżeli w Kościele żyje Duch Boży — kierujący, a bez tej wiary ostać się nie może żadna inna, i rozpadłby się Kościół, jak każde ludzkie ogniwo, to musi być uwidocznioną i ujętą niejako w szranki moc ta stanowienia o prawdzie. Jak w Sakramentach ujęte w kształt, — w znak widomy, — są Łaski, tak wyroki Kościoła wyrażać się muszą w jawnym a zrozumiałym sposobie. Inaczej nieubлагany wszczyną się rozstrój, sprzeczność wiar, sprzeczność sądów, rozterka wyznawania, chaos religii.

Jest bowiem na głębi samej przyczyna - matka, że ludzkie przyrodzenie nie może się ostać bez prawa widomego. Tą jest cielesność nasza.

A tu założenie błędów heretyckich, które się wspierać usiłują na sądzie i na sumieniu człowieka, założenie zasady protestanckiej, prowadzącej w koniecznej a ostatecznej konsekwencji do samowolnego odcięcia, odrąbania części od całości, zasady, która od wieży Babilońskiej po wszystkie czasy kruszy i psowa spójnię wyznawania.

Po wszystkie czasy bowiem dążenie herezyi szło ku temu, aby Sumienie Kościoła, dane i zapewnione wyraźnem Słowem Pańskiem ku wspomóżeniu świata, zastąpić sumieniem człowieka, lub sumieniem Ludzkości. Sumienie Kościoła,

Arka przymierza chrześcijańskich wieków, światło na brzegach morza rozbłysłe, aby ratować żeglarzy, — uznawajacem i sądzacem jest w rzeczach wiary. To znaczy: p o z n a w a n i e każdemu otwartem i przykazanem, a miara prawdy w nim od człowieka zależy, od pracy i wytężenia myśli jego, od szczerości i nieobłądy woli. Tam zaś, gdzie Bóg łaską swą siłą i światła przysparza, poznawanie wyrasta ku wyższej mierze i może być dalekowidzącem i proroczem myśleniem.

Sąd przecie jeszcze inną ważony wartością. Gdyby miał ludzkiej myśli wartość, mógłby zawsze być błędnym, zawsze pod pewną miarą, w pewnym stosunku błędnym. A wówczas jakżeby utrzymywała się jedność w wierze? Niepodobnaby już oddawna i zapomnianą była! „Bo próżności poddane jest Stworzenie — nie dobrowolnie, ale dla Tego, który je poddał p o d n a d z i e j ę“ (Święty Paweł do Rzymian, c. VIII, 20).

Dlatego w Kościele, jeżeli trwa jedność, trwa i rozsądzenie nie z mocy ludzkiego rozumu, ale z mocy Bożego czuwania. A to o Duchu Świętym trzymać powinniśmy. Kościół nie przeczy, że prawdy poznawane i rozjaśnione lepiej być mogą przez człowieka, i nigdy się dochodzeniu prawdy nie przeciwil, ale zastrzega sobie zawsze władzę przyjmowania, lub odrzucenia myśli, rodzących się w czasie.

Sumienie ludzkie ma bowiem zawisłość wprost u Boga co do czystości intencji jedynie, co do szczerości wiary. Aliści szczerłość i prawda nie jedno znaczą, i pomiędzy nimi ostać się może błąd. Gdyby to dopuszczalnem nie było, Kościół nie miałby znaczenia. Gdyż Kościół nie po to jedynie trwa, abyśmy byli szczerymi, ale abyśmy żyli w prawdzie. I Kościół nas ku temu żywotowi prowadzi, a wzamian żąda ufności i posłuszeństwa.

Sumienie czyste w intencji może być, w zrozumieniu, podległem ułudzie, a sumienie człowieka omylnem jest w Prawdy wymiarze porównie, jak sumienie ludzkości, dwa niestarczające i zbyt słabe, gdyż ludzkie fundamenta, — dwa dążenia, nie dwie ostoje, dążenia o myśli zawodnej nieraz, dwa okręty płynące..

Gdy zaś burza się pieni, kotwice nie sięgają, gdzie dno pewne, a ludzkość bez kotwicy na wolę wichrów podana. Dlatego wierzyć nam trzeba, że sumienie Kościoła innem i zgoła pewniejszym jest. To zapewnienie dają nam Chrystusowe słowa.

Dopóki miara Łaski będzie w człowieczeństwie niezmienioną do tyle, że nie przełamie zależności od ciała, dopóki tą za-

leżnością wzajem dusza i ciało powiązane, czynić z nas będą ludzi, póty omylność potrzebować będzie kierunku widomego — wiara Kościoła, a Kościół władzy, mocnej mówić złudzeniom myśli: nie masz u was prawdy.

A nie znaczy to, aby Prawda nie rosła, nie męziała i nie potężniała w czasie, i abyśmy przez nią nie stawali się bliższymi Duchowi, ale znaczy, że Kościół, jako orzeka o błędzie: *anathema sit*, daje także świadectwo Prawdzie. Jedno znaczy, że w rzeczach wiary prawo widome sądu jemu powierzone i ster w rękach jego, inaczej nie masz jedności. I jeżeli kiedyś w czasów kolei nastąpić ma zniesienie, lub ograniczenie tego prawa, to ludzka nasza natura zmienić się musi porównie i uświęcić od podstaw.

Nie widzieć tego jest zaślepieniem herezyi.

A tu jest kamień węgielny Władzy i dogmatu — Nieomylności założenie. Oto konieczność dogmatu tego — prawa wyrażonego w Osobie, jak myśl Boża w Osobie o ludzkiej cielesności przemawiała do świata, — oto konieczność Władzy Chrystusowego Namiestnika.

Dlatego wolno zawsze umysłem dociekać nierozjaśnionej prawdy, ale skoro człowiek twierdzi, że ją posiadał, obowiązkiem mu iść i pytać, zali prawdę ma, — gdzie drogowskaz w kształt krzyża stawiony, gdzie klucze domu sług Pańskich, gdzie ster, gdzie ziemski uwidoczniiony znak, gdzie stolica Piotrowa.

A mówimy o rzeczach wiary dla wierzących, którzy uznają, że z grzechem pierworodnym wprowadzona omylność, że na nim zawisło przyrodzenie nasze niedoskonałe, pragnienie prawdy chwiejne i sąd, złudom podległy, a którzy wiedzą również, że przeto Zbawiciel świata, chcąc nam dać rękojmię przewyciężenia złego, ustanowił w Kościele nieomylność w sądzeniu i wyrokowaniu o Prawdzie.

Chce mieć Kościół prawem, aby nie było rozjaśniania w Piśmie, którychby wierności nie poświadczyl. Jest bowiem w dowolnem rozpatrywaniu prawd wiary nieuchronne niebezpieczeństwo, a jest nim chwila uczucia, że się nową prawdę posiadało. Umysły różnej miary i mocy, wola miarkowana nierównie, pomimowolnie poddają się wrażeniu, które je opanować zdoła, często uwięzi i wyjść nie dozwoli dalej z pośród raf i skał podwodnych na morze pełne, rozjaśnione słońcem. Wówczas stają się sługami i wyznawcami w łasnego zrozumienia Prawdy i wówczas łatwo apostołami są błędu.

Granica między wolnością a posłuszeństwem oznaczona. Rozpatrywanie tych prawd sprawiedliwą rzeczą—powinna zaiste, służbą Ducha,—głoszenie sądu o nich mimo lub wbrew woli Kościoła: błędem. Myśl ludzka pomną niechaj będzie na to, że z prochu i z ciała nigdy się dotąd nie usamowolnił człowiek. Niech pomni, że droga rozstroju na oścież otwarta, a bez drogowskazów oczy nie poniosą ku Prawdzie. Niech pomni na słowa Ducha Ziemi we Fauście—na owo potężne odpowiedzenie człowiekowi: *Du gleichst dem Geist, den Du begreifst, — nicht mir!*

— Nie znaczy przeto, aby określenie Kościelnej, uznanej za prawowitą egzegezy, było czynem jednolicie od razu podjętym i dopełnionym. Przeciwnie stawało się i staje w miarę czasów. Kościół płynący i dążący jest łodzią, jeno ma w kotwicy swej ostoję przed burzami, w sterze wśród wichrów prawidło. Nie wyrokuje Kościół o każdej myśli odrazu, czeka i zwleka nieraz, ale skoro wobec poruszonych głosów, wobec powstających wierzeń, wobec nadeszłego czasu mówić mu przyjdzie, mowa ta świadcetwem i sądem jest. A świadectwo uznać i sądowi poddać się muszą wierzący.

Nie potępił Kościół nigdy nadziei, ani też nie wypowiedział konieczności powszechnej jakiejś Łaski Ducha Świętego, dalszego dowodu Miłości i Miłosierdzia nad rzeszą, potępił atoli wiarę w tak pojęte Objawienie, któreby nowym zgoła wydawać się miało Przymierzem, wprowadzającym miasto Chrystusowego Zakonu, Zakon Ducha Świętego; potępił myśl potrojnego prawodawstwa (Triplex litera) — zdania tych, którzy głosili, że nadszedł już czas nowego powołania Ludzkości. Nie potępił opata Joachima, potępił mistrza Gerarda, który naukę Joachimową przejął i dowiódł do Herezii.

Wiarę Apostoła Pawła i myśl Ewangelii Czwartej podaje Kościół w rozumieniu, że droga wzrostu w Duchu dostępną każdemu, jest bowiem działanie Ducha Świętego wiecznie trwającym, wiecznie uświęcającym w społeczności Chrześcijańskiej i żywą łaską kwitnie, a rozwija się ciągle, nie zaś osobnym, odrębnym czasem będzie, Epoką narodzić się mającą.

Dojrzewają czasy i dojrzewają ludy. Tak jak pracujący, aby duszę wzmódt i uświęcić, wznosi się Ludzkość cała i dorasta w miarę zbożnej myśli rozwoju ku przeznaczeniom swym odwiecznym, a to jej

umacnianie się i ten jej pęd ku Prawdzie, jest Ducha Świętego czynem nieustannym, niema atoli w Objawieniu nastąpić przełom i przemiana, któraby nas z pod znaku Chrystusowego pod znak Parakleta powołała, odmiana naturze naszej przeciwna, a ż by s a m o przyrodzenie rdzenie zmienionem nie było. „A toć mówię, bracia, iż ciało i krew Królestwa Bożego osiągnąć nie mogą — ani skaza nieskazitelności osiągnie” (Święty Paweł I, do Korynt. XV, 50). „Bywa wsiane ciało cielesne — a powstanie ciało duchowne. Jeśli jest ciało cielesne—jest i duchowne“.—„Jako napisano: Stał się pierwszy człowiek Adam w duszę żywiącą; pośledni Adam w Ducha ożywiającego“. „Lecz nie pierwej, które duchowne jest, ale które cielesne, — potem które duchowne“ (Ibidem, 44 — 46).

Jeżeli by myślą ludzką zgoła bronić tego zapatrywania przyszło, możnaby powiedzieć, że Bóg przemówił do Ludzkości największą, najpotężniejszą Miłością, po której nie masz wyższego objawienia dla ludzi. Pragnąc bowiem z człowiekiem najszczerzej mówić, obcował z nim jako człowiek i dał życie za słowa swoje. Cóż wyżej pomyślanem być może?! Gdyby Bóg chciał mniej uczynić, byłby umysł natchnął nadludzką mocą, ale Pan chciał, byśmy się sami ku zbawieniu mieli. Dla tego dał nam Najwyższy Wzór, nie Rozkaz ani Natchnienie. Dla tego Krzyż hasłem naszego trudu, a zarazem naszej wolności uczynił. Zastąpić Krzyża niczem nie podobna, nie znosząc równocześnie ludzkiej, a więc wolnej wraz, a ułomnej natury—nie zmazując zupełnie wszelkiej przewiny krwi.

Drogę żywota dał nam Zbawiciel drogą przyjętego ciała, inną Objawienia modłę daćby mógł jeno wyzuwając nas z więzów cielesności doczesnej, ku powołaniu, w którym nie masz krwi żywej ani ciała żywego życiem pożądlivości i pragnień nieukojonnych. A takim życiem żyje człowiek.

Ci przeto, którzy się Objawicielami czasów mienili i w ludzkość wnosić chcieli prawa Chrystusowego dopełnienie Zakonem Parakleta, przypisywali snąc ludziom inną rzeczywistość przyrodzenia, kiedy wierzyli w możliwe spełne odrodzenie Ludzkości w nastającej Dobie. I mieli inną świadomość o prorokach, niż ją ma Kościół. Jeżeli bowiem wiarą trwałą wierzymy, że Duch Święty czuwa w Kościele, cóż to innego jest, jak przekonanie, że wszelkiego przyrostu prawdy Kościół nie odrzuca, ani nieświadomie przeoczy? W starym Zakonie prorocтва, a wiara rozchodzić się mogły—można było wyobrazić sobie jakiś Kościół wierzeń i jakieś wy-

znawanie proroctw, jako rozbieżne niewspółmierne zjawiska i mówić o prorokach kamienowanych przez Synagogę. Można było, gdyż Duch Święty nie trwał w Kościele. Skoro zaś przyjmuje się za prawdę czuwanie Ducha Świętego, czyż można dopuścić wiary jakiejś walki lub niezgody chrześcijańskiego Kościoła z proroctwami? Czemże byłoby owo czuwanie Boże? — Jedno więc przyjąć wolno: — i w Nowym Zakonie budzić się i budzić świat mogą prorocze głosy — ale prawdy Kościół już nie może potępić. Nie odrzucenie, lecz odłożenie prawdy, jako przedwczesnej, możliwem jest, jeżeli Kościół sądzić ma o potrzebie czasów, lub jako nazbyt jeszcze zmieszanej z niedoskonałością, nie spełna czystej, nie spełna uświadomionej. Ale i tak pojmując musiał osądzić głosy, zwiastujące nowych czasów nastanie za co najmniej przedwczesne, a przeto nie spełna prawdziwe. Skoro zaś osądził je za kacerskie, miały w sobie miarę błędu przewyższającą. I w herezyi tkwić może iskra prawdy. Jeżeli ukryta i niedobyta spoczywa, przyjdzie czas na wyświecenie jej, lecz wówczas znów powie o niej Kościół, czy jest godziwą i godną. Bowiem Kościół, nie może z a t r z y m y w a ć P r a w d y B o ż e j. Zatrzymują ludzie sądami opacznymi. Ci zaś, którzy, jak Amalryk lub Gerard oświadczają, że wnoszą z e s o b ą czasów przemianę, podobni są człowiekowi, któryby przyszedł do przełożonego przez Pana nad gospodarstwem włóдаря z mową: odejdz, bo wiem, że już nie pora na ciebie — przyjdzie bowiem inny. Włóдарz zapytuje, skąd ta wiadomość niesłychana, a odpowie mu człowiek: wiem to, gdyż Pan mi mówił o Tobie. A na to włóдарz: Ale mnie o Tobie Pan nic nie polecił i trudnoć mi nieznanemu zawierzyć. Dopóki nie posłyszę głosu Pańskiego i przykazania o tobie, nie mogę twojej radzie dać posłuchu. Zostaję, gdzie mi pracować kazano. Idź bracie, ostaw mnie w spokoju. A człowiek odszedł smutny, gdyż mu się zdało, że miał Prawdę w piersi.

Heretycy serca szczerego sądzili, że Prawdę tę posiadli i wyznawcami jej byli i męczennikami swej uludy, a czasy przeszły nad nimi, którzy żyli w przywidzeniu i zapatrzeniu w czasy. Patrzyli oni na to, co odległe kryje się może w głębinach wieków, a pragnieniem nieukojonem stworzyli sobie wizyę, że to już blizkiem, już jest, już nadeszło. Jest bowiem w obietnicy uczynionej duszom łakącym, w obietnicy, że przejrzą, co było zakryte przed oczami wielu, niebezpieczeństwo wielkie dla dowierzających sobie nadmiernie. „Bóg otwiera kontemplatywnym duszom już w tem życiu dostęp do rajskiej Jerozolimy“ — pisze protestancki autor książki o mistycyzmie we Włoszech: „daje im przejść z Kościoła Słowa do Kościoła Ducha.

Ta wiara szczególnie odnajduje się w dziejach przełomu doktryny średniowiecznej u herezyarchów, którzy otwarcie zrywają z Kościołem rzymskim, jak u dyssydentów o umysłach raczej filozoficznych niż sekciarskich, którzy zadawalają się uduchowieniem Chrześcijaństwa i poprawkami dowolnemi w dawnym Credo. Jedni, jak i drudzy przekonani są, że wreszcie prawdziwą wiarę posiadli i że kroczą na ścieżkach Pańskich. Kościół oskarża ich o Apostazyę, oni zaś sądzą, że są u przywilejowanych tłumaczami Ewangelii, i odpadnięcie od Kościoła, przypłacone przez wielu z nich męczeństwem, jest im drogą Królestwa Niebieskiego¹⁾.

Tak protestant jasno i sprawiedliwie osądził tu początek wszelkiego protestantyzmu.

*

*

*

Równoległe do rozumienia Kościelnego, o rzeczach tych sędzi myśl filozoficzna niezależna. Jeżeli pragniemy utrzymać wspólność jakichkolwiek pojęć, a taką wspólnością Religia, w sądach nie sprawdzonych i uchylających się od natychmiastowego sprawdzenia, trzeba nam przyjąć zasadę lub fikcyę, której *a priori* przyznajemy kierownictwo. Ze stanowiska bowiem myśli niezależnej wszystko, czego nie wiemy ani nie możemy udowodnić, hipotezą jest lub znakiem zapytania i niema tu żadnej innej wskazówki prócz uczciwego badania, w którym od poznanych idziemy ku niepoznany. W religii zaś przeciwnie zaczynamy od całego mnóstwa pojęć niepoznanych — więcej, gdyż może nie do poznania w naszej doczesności — pojęć, w które nam wierzyć trzeba, i nie jest obojętnem przyjąć je lub nie przyjąć, jako hipotezy niepoświadczone.

Czekać, aż dogmata wiary dojrzeją do pewników wiedzy, znaczyłoby bowiem tyle, co odjąć im sankcyę moralną w życiu. A przecież życie na nich budowały pokolenia. Dla tego pytanie stawia się wręcz: czy dogmata te potrzebne i czy pożyteczne dla życia?²⁾ Twierdząc, przyjmujemy zasadę Kościoła; — przecząc,

1) Emil Gebhart „l'Italie mystique“, str. 61.

2) Porównaj tu stanowisko Schopenhauera wobec teoryi wolnego wyboru wiary J. J. Rousseau. Patrz: „Die Welt als Wille und Vorstellung“.

stajemy poza Kościołem i wiecznie wracamy do Tertulianowego *Credo quia absurdum*, mimo, że poznanie Prawdy w Kościele wzrastać i rozwijać się może. Stąd jasnem, że Wiara jest a p r i o r y s t y c z n y m postulatem religii, a Kościół praktycznym postulatem wiary. Mówimy tu o Kościele w ogólnem, nie określonym, wyznaniowem znaczeniu. Stąd jasnem, że zapoznanie tej zasady wiedzy w ciągłe, a nienuknione odszczepieństwa, co widzimy na coraz to większej niespójności w nowszym protestantyzmie, o którym na jednym z wykładów swoich powiedział sędziwy Kuno Fischer z Heidelberga, że był najwspanialszym buntem Ducha przeciw literze i świeckiej dumie Kościoła, gdy jako Kościół i wyznanie słabością jest i omdlewaniem Jedności. A Jedność w rządzie dusz to siła, dawająca liczbę — ową *multitudo sequentium*, która czyni Kościół uniwersalnym, niedozwalając na targanie wewnętrzne przez szczepowe, narodowe i wreszcie indywidualne przeciwieństwa.

Przeto w związku Kościelnej żyjący, dbać i zważać muszą na zachowanie Jedności. Skoro zaś wykład nauki stanowi najprzedniejszy tej jedności warunek, — baczyć będą, by wykład nie był dowolnym, zaczem zmiennym. Umocnią więc Nieomyślność. Tu staraniem będzie, aby bronić Egzegezy i wielka być musi dbałość wobec myśli i wyobraźni ludzkiej, skorej do rozumienia innego. Obawa ta nie płoną wcale i nie dziw, że się nią Kościół przejmuje. Wyczekiwaniem i upragnieniem namiętnie dusze samotników, oderwanych od świata, porównie, jak umysły filozofów, na świat poglądujące, zatapiają się chętnie w tajemniczość wiary, nurtują i zgłębiają usilnie słowa Pisma. Staje się wówczas, co dojrzewa zwykle, gdy zapatrzony umysł oderwie się od wszelkiej innej rzeczywistości, by jedną choćby najwyższą myślą żyć niepodzielnie i wkoło niej świat stworzyć wywołany, staje się, że słowa, o których rozmyślali, poczynają dla nich nabierać znaczeń nowych i rodzi się mistyka wizyi lub tłumaczenie racjonalne — jedno jak drugie z dowolnej autonomii umysłowej poczęte. Pogląd na świat i na Ewangelię z celi niebezpieczeństwem był często dla Kościoła. Pogląd z celi, czy filozoficzny, czy religijny ściśle, łatwo zbliżał do widzenia — przywidzenia, a przeto zwichniętą była równowaga, ta miara, którą daje życie pod rozjaśnieniem niebem — na szerokiej ziemi, a którą przysłowie w słowa „*ora et labora*“ zawarło.

Dla tego zapatrzanie się, czy w uczuciu, czy w rozumie niezmiernie utrudnia równowagę, dla tego prowadzi wręcz ku przyrodzonej, a najbliższej umysłowi właściwej barwie myśli —

a filozofie, powstawające noszą obok prawdy nieraz głęboko pojętej — częściej jeszcze indywidualne piętno wyobraźni i pragnień człowieka.

Są bowiem systemy filozoficzne w dochodzeniu swem podległe równie wiecznej prawdzie, jak wiecznej ułomności ludzkiej. Myśl dążąca, o ile prawą jest, nie może nigdy wypoczywać na błędzie. A błąd poznaje się po tem, że wypoczywać na nim nie można, nie utracając pragnienia prawdy. Zatrzymać się myślą na stanowisku błędnem, a żyć dalej — nie sposób bez cofania się widocznego z wyżyn. Niema bowiem z błędu rozwoju i żywotności, jest przeciwnie pogrążanie się, martwienie, zanik. Dlatego wiedza nieustannie dążyć musi, i to dążenie jest dopiero absolutną wiedzy koniecznością. I tak się dzieje i działa zawsze, a to jest pracą w y s w o b a d z a n i a s i ę p r a w d y. Cały ciąg filozoficznych rozumowań — to dzieje wyswobodzenia się tego od najróżniejszych więzów, i filozofia, gdy się ją tak pojmuje, jest w każdym swem obliczu odbiciem dokładnem jedynie jakowegoś mniemania ludzkiego, w którym część błędu żyje, lecz w dziejach swych wszelkich jest ciągłą i dorastającą prawdą. Dlatego dzieje filozofii tak bardzo do dziejów myśli Faustowej podobne.

Ale przeto właśnie, że takim jest prawo wiedzy, nie da się ono spełna do wiary stosować.

Różniczkują się pojęcia według rozumów i usposobień, różniczkuje się taką modłą myśli przystosowana wiara i podobnie, jak w fizyologicznej przemianie materji, następuje ciągły zanik i przyrastanie, nieustanna przetwórcza praca. Aby w niej jakieś pojęcia zasadnicze przetrwały, trzeba je oprzeć na niezbitym, jawnym d o w o d z i e. Jeżeli usuniemy oparcie na jakiejś, za pewną poczytanej z a s a d z i e, będzie w dorobku myśli nieuchronny zamęt i niepewność, gdyż nie starczą nam naukowe pewniki z a w s z y s t k o i c a ł a, wielka, olbrzymia reszta zawisnie na indywidualnej hipotezie. Nauka znaczy drogi postępu swego żelaznymi słupy, które wbija na granicach swych zwycięstw; wiara nie może otoczyć panowania swego takim ostrokołem, gdyż jest ona myślą, która sięga za granice rzeczy poznanych. Gdyby wiara stać chciała na samych pewnikach poznawania i doświadczenia, stałaby się zgoła sobie sprzeczną. Innemi słowy, w nauce, o wszystkim, co pozytywnie nie jest udowodnionem, wątpić wolno, a nawet po części trzeba, gdyż w tem wątpieniu jest z a k w a s i z a c z y n i e n i e p o s t ę p u; nie wolno zasię we wierze.

Ona bowiem jest dla żywota całego, — gdy przeciwnie lata i życie powoli dorabiają naukę. Jeśli więc tem samym rządzić ma się prawem, popada w tysiące sprzecznych wyobrażeń i pożądań ludzkich i nie będzie cierpliwą dla czasu, ani czas dla niej cierpliwym.

Umysł nasz żyje ciągle pod prawem cielesności—przyrodzonym jest zgoła. Wiarę poczytujemy jako nadprzyrodzoną. Tu jest niezgoda filozofii i dogmatu, niezgoda, którą wyrównać spełnienie te czasy dopiero będą mogły, któreby niosły ze sobą Wyzwolenie z pod prawa krwi¹⁾. Pomyślaną być może inna cielesność, harmonijnie Duchowi zbratana—ta nie jest atoli naszą, może nią będzie; skoro przecie dziś nie jest, mus nam sądzić z przyrodzenia w jakim żyjemy.

„A nie tylko ono — ale i my sami mający pierwiastki Ducha i sami w sobie wzdychamy, oczekując przywłaszczenia Synów Bożych, Odkupienia ciała naszego“ (Do Rzym., VIII, 23).

To zaś przyrodzenie żąda dla wiary posłuszeństwa, nie zaś wiedzy. Wiedza bowiem musiałaby pełną być, by pojąć Prawdę wiary. Nie pełna, taka, jaka jest i jaką znamy, wiedzie ku pomieszeniu wyobrażeń i rozumów raczej niż ku pojęciu wiary. Nie znaczy to, że trzeba usilnie, aby myśl nie starała się ku prawdzie wiary pojmowaniem dorastać, nie znaczy to, by odrzucała wiara świadectwo wiedzy—przeciwnie pożądać go i szukać będzie, ale, by nie czyniła fundamentem i zadatkiem swem jedynie i przeważnie rozumowań, które dorastające są, a więc nieraz pacholące i zawodne gdy posłuszeństwo lat nie ma.

Ze stanowiska samej wiedzy inaczej o wierze mówić nie sposób, można więc nie uznać dogmatów jej i przepisów, można ją zgoła odrzucić; ale skoro się rozważa jej istnienie, logicznie uznać trzeba, że wiara jako Kościół oparta na prawie posłuszeństwa, nie zaś na prawie wiedzy²⁾.

¹⁾ Albowiem oczekiwanie stworzenia oczekiwania objawienia Synów Bożych.—Wiemy bowiem, iż wszystko Stworzenie wzdycha i jako rodząca boleje aż dotąd. (Św. Paweł do Rzymian R. VIII, 19, 22).

²⁾ „Albowiem po części znamy, i po części prorokujemy. Ale gdy przyjdzie co jest doskonałego, co jest po części zniszczone“. (Do Korynt. Św. Paweł, R. XIII, 9, 10).

Pojmując to, a patrząc na dzieje spodziewania się w Duchu łaski Bożej, wyższej i wznoszącej, sądzić nam wolno, że i posłuszeństwo ma się ku wiedzy tem skorzej, im bardziej wiedza ku posłuszeństwu się skłania, że jest tu dojrzewanie dziejowe, w którym sposobą się coraz bardziej Duchy ku wolności przeto właśnie, że żyją w posłuszeństwie. I wierzyć winniśmy z Apostołem, że my wszyscy, „którzy z odkrytem obliczem na chwałę Pańską, jako w oblicze patrząc mamy w tenże obraz przemienieni będziemy z chwały w chwałę, jako od Ducha Pańskiego“.

Aliści to przemienienie nastąpi i następuje w dziejach przez utrzymanie jedności i zarazem rozwoju w Kościele, inaczej nie jest możliwym i stawa się ciemnością chaosu. Religia wolności możliwą jest jedynie przez zgodną i wspólną pracę, przez wysiłek łączny, w którym wielu pracuje dla jedności, a wszyscy umieją wyzuć się z własnych upodobań. Wolność bowiem na posłuszeństwie wyrasta. Inna zaś jest samowola, w krwi naszej poczęta. Dlatego myśliciele sprawiedliwości burzycielami nieraz byli niesprawiedliwymi. Dlatego w mesyanizmie naszym błędnem założenie i fałszywem było wyjście z Kościelnej zwięzi ku jakiemuś nieokreślonemu Kościołowi Ludzkości, już obecnie poczynającemu się, a przeciwstawionemu obecnej władzy.

Mam tu na myśli przedewszystkiem Towiańskiego, chociaż i Zygmunt Krasiński i August Cieszkowski, aczkolwiek innego pojmowania drogą, zbliżali się i skłaniali ku tej myśli,—zarzekając się i zastrzegając przed wszelakim protestantyzmem, pragnąc, przeciwnie, rozszerzyć i rozwinąć katolicyzm, czując się ku temu powołanymi w Duchu, a nie bacząc dostatecznie, że przeniesienie sądu z określonej władzy Kościoła na nieokreśloną Wszechludzkiego sumienia—owa apelacya od Papieża do Ludzkości rdzennem już jest protestantyzmu *principium*.

*

*

*

Towiański rozróżnić chciał sługi Kościoła od Kościoła samego, i słuszność miał, twierdząc, „że nieraz płynęła stąd szkoda, ile razy człowiek-dziecko, zadawalniając się formami Chrześcijaństwa i posłuszeństwem ślepem Sługom Kościoła, nie wychodził ze swego dzieciństwa i nie przyjmował w przewidzianej mu mierze istoty Chrześcijaństwa, a tem samem posłuszeństwa Chrystusowi i Jego Kościołowi“¹⁾, — gdyż sługi Kościoła, jako ludzie omylni są porównano i nieraz straszliwie. Aliści nasze i dowolne rozsądzanie zatrzymuje się i zatrzymać musi na Dogmacie nieomylności *in rebus de fide*.

To też rozumienie Towiańskiego, niewątpliwie prawdziwe, mąci się natychmiast, gdy z niego wyprowadza wniosek, że: „w czasach dzisiejszych, w których pe c z y n a się E p o k a wyższa, Bóg, powołując człowieka do nowego postępu Chrześcijaństwa, powołuje go do oparcia się na Chrystusie Panu i na Jego Kościele, a stąd do posłuszeństwa i nieposłuszeństwa chrześcijańskiego względem sług Kościoła“. Tu bowiem, w owem powołaniu ku nieposłuszeństwu, tkwi błąd samowolności sądzenia. Inna rzecz nieposłuszeństwo ludzkiej niedoskonałości z odwołaniem się na prawo Chrystusowe, inna windykowanie sobie prawa nieposłuszeństwa. Pierwsze jest przypadkiem, drugie jest zasadniczem; pierwsze zresztą odwołuje się od sług Kościoła do Władzy Najwyższej w Kościele, a poza Kościół nie wykracza, drugie Władzy tej wprost nie uznaje. Towiański zatem kousekwetnie musiał tej Władzy zaprzeczyć.

„Nie wolno człowiekowi odpychać“ — głosi — „miłosierdzia Bożego dlatego, że Najwyższy Urząd Boży na ziemi odmawia przyzwolenia do przyjęcia go, tem bardziej, że Bóg, który łaskami swemi odzywa się wprost do sumienia człowieka, karze już wi-

¹⁾ Andrea Towiański — Vita da Tancredo Canonico, Roma 1896 E. Forzani, tipografia del Senato. Edizione fuori commercio (str. 511 — 512).

docznie tych, co odrzucają Jego miłosierdzie (ibid., str. 296 — 297). Kiedy Stolica Apostolska nie dopełnia warunków swojego świętego posłannictwa, i z tej przyczyny Kościół, przeznaczony na to, aby żył w całym blasku dla świata, usuwa się z ziemi, kiedy na tem świętem miejscu rządzi nie Chrystus Pan, ale Duch, przeciwny Chrystusowi Panu — człowiek, w swoim nieszczęściu nie znajdując tu na ziemi Stolicy Apostolskiej, nie znajdując Zastępcy Chrystusa Pana, musi zwrócić się bez pośrednio do Chrystusa Pana. Nie zadawałnając się formami, pozorami Kościoła — musi wzdychać za Kościołem i szukać go, gdzieby był... Musi szukać go, gdziebądźby się znajdował, w jakiejby nie był duszy, pod jakąby nie był formą, i pod jakąbądź nazwą onby żył i objawiał się“ (ibidem, str. 488 — 489). Gorąca miłość dla Kościoła i uczucie, że On jest jedyną bezpieczną przystanią wśród ciągłych burz tego świata, były dla mnie pobudką do szukania go, gdziekolwiekby nie był na ziemi, pod jakąkolwiek formą... I odtąd Jezus Chrystus, Słowo Boże, które On spełnił i przykazał człowiekowi, aby je spełniał, a w końcu Kościół Jezusa Chrystusa, w którym to Słowo się spełnia — Kościół w Niebiesiach i Kościół w sercach na ziemi stały się dla mnie Jednością Chrześcijańską, przedmiotem mojej miłości, mojej czci, moich ofiar“ (ibid., str. 454 — 455).

Te słowa, to zerwanie z prawem cielesności, przyrodzenia naszego znamieniem kardynalnem, — to uprawnienie nieuchwytej, nadludzkiej, abstrakcyjnej istności Kościoła, która przecież wśród ludzką być powinna niechybnie, skoro ma za przedmiot człowieka i dla ludzi potrzebna, — to zaprzeczenie wreszcie widomej władzy w Kościele.

Musiał więc Towiański zerwać z Kościołem i odsądzić Kościół od prawdy. Służyć Kościołowi widomemu, jest to dla niego wystąpić z prawdziwego. „Przez tę niewolę dobrowolną i grzeszną“ — powiada — „odłączył się Chrześcijanin od Kościoła, stąd upadek Kościoła Chrystusowego a podniesienie się Kościoła o samych formach Chrześcijaństwa, które nie stanowią Kościoła Chrystusa Pana.

„Kościół Chrystusowy żyje w niektórych duszach, wiernych Jemu, ale nie żyje już na ziemi, a w śmierci swojej nie rozlewa swych dobrodziejstw“ (str. 515).

Któż tu „zatrzymuje prawdę Bożą?“. Potępiać ciasną, kłopotliwą o drobne formy, służącą literze jeno, myśl sług Kościoła, — potępiać je z u i t y z m, jeżeli się przez to słowo pojmuje czepianie się formulek, a grzebanie Ducha, wolno zaprawdę, i nic innego nie czy-

nili wielcy reformatorzy Kościoła, wielcy wodzowie rozwoju i postępu w Kościele. Ale potępiać zarazem to pierwsze i znamienite prawo, że w Kościele Głowa widoma jest i władna sądzić, i że jej dano Łaską Ducha rozeznać sprawiedliwie drogę Prawdy, że w Namiestniku Chrystusowym ustanowiony Sędzia w sprawach wiary — przeczyć temu — znaczy to, przeoczać prawdę, zapoznawać istotną i najgłębszą zasadę Jedności kościelnej, — znaczy to burzyć kolumny sklepienia.

„Wszelaka Dusza niechaj będzie poddana wyższym zwierzchnościom. Albowiem nie masz zwierzchności, jedno od Boga: a które są od Boga, są postanowione. Przeto kto się sprzeciwia zwierzchności, sprzeciwia się postanowieniu Bożemu. — A którzy się sprzeciwiają, ci potępienia sobie nabywają“¹⁾.

Nie inaczej jest — i jeżeli Kościół ma się ostać, nie inaczej być może. Jest bowiem dwojakie dążenie myśli religijnej. Albo trwać w związku bratniej i widomej, a więc w Kościele, a wówczas podwalina taka konieczna, by jedność trwała i przetrwała — skalny fundament, — opoka — „której bramy nie przewyciężą piekielne“. Albo zasię połączyć ludzi duchowym jedynie splotem z Niebem i przeznaczeniem ich wiecznym. Ale, że ludźmi jesteśmy, to powołanie na sumieniu oparte, nie stanie się Kościołem rzeczywistym, gdyż brak mu słowa i znaku. To powołanie może być abstrakcyjną wiarą, — Teizmem filozoficznym, religią indywidualną, ale nie wyznaniem, łączącym ludzi — nie Kościołem.

„W Duchu i w prawdzie“ wyznawamy Pana, ale zarazem usty i czynami. W Duchu i Prawdzie cześć Mu oddajemy, ale zarazem stawiamy ołtarze. W Duchu i w Prawdzie mamy poznawać Go, lecz przecież ludzkimi myślami. Zatem słowa te pojmować winniśmy, jako przykazanie szczerzej ku Bogu Miłości, która nie bałwochwalczą jest, ale serdeczną, i wznosi się ku światłu, nie przywiązując do świecideł. Ale nie znaczy to przeningdy, byśmy się naszego ziemskiego wyrzekli przyrodzenia, które jest prawdą naszą i naszego ducha. Jako ludzie do Boga wołamy i szukamy Go „w koło siebie“. Wszelka myśl przekroczenia dzisiejszego Kościoła płonąją zaiste będzie, dopóki Pan nie wymierzy czasów²⁾,

1) Święty Paweł do Rzymian, XIII, 1, 2.

2) „A jeśli się nadziewamy, czego nie widzimy, przez cierpliwość oczekiwamy“ (święty Paweł do Rzymian, roz. VIII, 25).

a wszelkie ogłoszenie, że czas nadszedł ku Kościołowi Odrodzonej Ludzkości—zawodnem jest, jeżeli Kościół sam nie da świadectwa. O to świadectwo wierzącemu pytać i zachodzić należy. Nie masz tu obrony w konieczności zgorzsenia (*necessarium est, ut veniant scandala*), gdyż inną miarą mierzy się ta konieczność, jako czyn, inną, jako prawo czynu. Zgorzsenia przychodzą i przyjść muszą, ale wnosić ich wierzącemu nie wolno. Skoro zaś prawo owo człowiek przysądza sobie, jak to uczynił Towiański z prawem posłuszeństwa i nieposłuszeństwa — łamie jedność Kościoła.

Tak się począł niemiecki protestantyzm, tak Towiańszczyzna, będąca słowiańskim i polskim protestantyzmem w duchu. Wypowiedzenie posłuszeństwa Władzy Kościoła — we wzniosłem imieniu Łaski i Miłosierdzia Bożego, a zarazem ludzkiej Wolności — herezyą jest, z ducha omyłności poczętą i niemniejszą, acz bardziej szczerą uczuciem, jak odszczepieństwo dla zarozumiałości. Jest to herezya serca — słowiańska raczej, uczciwsza w zasadzie od germańskiej herezyi rozumu, ale porównie na słabości ludzkiej osadzona, choć ma i ufność, i miłość, i natchnienie. A oni wszyscy nasi, rozumujący i czujący, o ile błędzili, błędzili ze serca, a nie z pychy.

Zygmunt Krasiński był na drodze odszczepieństwa, uznał atoli błąd swój i nawrócił. A nawrócił, gdy pozwolił w liście do Jerzego Lubomirskiego na sąd Kościoła nad myślą swoją, pisząc: „A posród śladów, jeżeli co znajdziesz heretyckiego, to wyrzuć. Będziesz mógł o to naradzić się z Kajsiewiczem, który szerokomyślnym i głęboko serdecznym Duchem jest“ (List z 20 kwietnia 1854 roku).

Albowiem w Zygmuncie Krasińskim żyła myśl wielka bardzo o skrzydłach szerokich i jasnych, a żyła w Nim także wielka, prawdziwa pokora, która posłuszeństwo uznaje. A najbliższy Poecie duchem, najbliższy rozumem i przyjaźnią, August Cieszkowski, milczeniem, pokory pełnem, dowiódł porównie miłości i ufności w posłuszeństwie. Synowi zdając myśli swej objawienie, polecił mu czuwanie i czucie wobec czasów, jak nie mniej wiarę w Prawdę, która w dziejach nie zamiera. Żyjąc zaś i umierając w Kościele, stwierdził najgłębsze wiary tej uznanie. Tak więc dwa te bratnie duchy, te wielkie serca, prawdy miłośnicy i bojownicy za prawdę, szczerze i duże katolickiej myśli złożyli świadectwo. To, co w rozumowaniach i wierzeniach ludzkim u nich i niepewnem, co błędnem i słabszem być może, odpadnie; pozostanie jasna moc, ta, która zawsze w wyż się garnie, żądna „nic nie spychać nigdy w dół — lecz do coraz wyższych kół“

iść -- i serca za sobą porywać, ta, która zbożnych nadziei ludziom przymnaża po wszystkie dni, ta, która odkupuje i zbawia, ta, która nas łączy w Panu i dziećmi czyni Bożemi.

I skoro w myślach, jakie wnoszą, tyle mocy tej jasnej, dla tego trwać będą i przetrwają błędy własne, jak światło, które cień przewalczyć musi, bo ma iskrę żywota.

ADAM KRASIŃSKI.

27 marca 1903. Zakopane.

AD ASTRA.¹⁾

DWUGŁOS

przez ELIZĘ ORZESZKOWĄ i JULIUSZA ROMSKIEGO.

XXVII.

Murren.

Masz słuszność. Ziemskie istoty i ich losy nie mogą już obudzać we mnie trwogi, ni troski, bo sam do pyłów ziemskich należeć przestałem. Już wybiłem się po nad mroki, które były we mnie słabością człowieka. Dotarłem do zenitu, wyzwolony i zwycięski. Stałem u celu i otrząsnąć mi trzeba wszelki atom powszednich żalów i nadziei. Czy możesz tryumfy moje zrozumieć? Czy mi uwierzysz? Ach, ty nie wiesz, co w jednej godzinie stać się może z pogromcą szczytów, walczącym nieustraszenie na wietrze, ciemnościach i słońcu!

W jednej godzinie przedarłem się przez ostateczne zasłony poznania. Dzisiaj na koniec jestem jak słońce, o którym śpiewały fińskie runy Kalewali, że niema dlań nic ukrytego. I potężniejszy od słońca, bo ono tylko planetom swoim króluje, a ja patrzę okiem odtwórcy na obroty wszechświatów. To dzieło, które znasz, było zaledwie niedoleżną, drżącą przygrywką do tej wiedzy i władzy, które należą do mnie dziś. Jakże daleko poza mną zostały dawne myśli moje!

Czego szukałem tak długo, niepewnie i po omacku, co mi się w ciasnocie umiejętnych formułek majaczyło przeczuciem nieśmia-łem, ową tajemnicę, nieodgadnioną, a jednak już blizką, chwyciłem

¹⁾ Patrz zeszyt październikowy, str. 1;—listopadowy, str. 253;—grudniowy, str. 458 roku zeszłego; — styczniowy, str. 14; — lutowy, str. 244; — marcowy, str. 429; — kwietniowy, str. 71; — majowy, str. 274.

wreszcie w gorejące dłonie, jak znicz prometejski. Kamień mądrości, za którym wdychały wieki, kryształ prawdy, dyament poznania — jest dziś moim, i nawet już nie wiem, dokąd jeszcze dążyć? Sam jeszcze nie wiem dobrze, czym jest to, co posiadam. Mnie samego łup mój jeszcze przeraża. Ale czuję ją już w sobie, tę gwiazdę gwiazd — i mógłbym ręce założyć na piersi...

Pragnęłabyś może i ty dostrzedz rąbek mojej jasności? Nikomu nie odstąpiłbym jej chętniej, aniżeli tobie. Wszak nikomu nie ofiarowałem tyle, co tobie. Hojną dłonią rzuciłem ci pod stopy klejnoty, zebrane na mych drogach odludnych. Daremnie. A jeżeli nie chciałaś, czy nie mogłaś nadażyć za mną przez trzeźwe etapy rachunku, tem bardziej dziś nie dosłyszałabyś żadnej treści dla siebie w deklamacjach żywiołowej, mistycznej, nie wiedzy, ale wyższej od wiedzy czujności, czy harmonii, spływającej z elementów bytu, w słońce twórczego ducha. Tam poza mną na ziemi niema zaiste tajemnic dość głębokich, ani symbolów dość ciemnych, którychby najprostsza dusza niewieścia nie zdołała odgadnąć sercem — jeżeli serce zadzwięczy. Lecz, aby stanąć tu przy mnie, trzeba wprzód zaprzeć się życia i wyrzec się szczęścia, jakim jest istnienie. Więc trzeba także wyzwolić się z bólów miłości i płaczów, — a czyż nie jest po ziemsku szczęśliwy ten, kto ma jeszcze za co cierpieć i płakać?

Czy wogóle z gościńców, kędy zawiane duchy same sobie starczą, przyniosę kiedy wieść taką, jak z Rothornu? Czy wogóle można wyjąć cośkolwiek z blasku obrażonej prawdy i zamknąć w łupinę naukowej ścisłości? Tu, gdzie się teraz znajduję, może nigdy nie przyjdzie za mną ludzka powszechność, i próżnoby szukał dziś zrozumiałych wysłowień dla mojej obecnej wiedzy. Prawdy, które oglądam teraz, jak krąg nowego horyzontu, i w które wierzyć muszę, bo czuję je nietylko dokoła siebie, ale i w sobie, zdają się być dla biednych wykładników ludzkiego rozumu za wielkie, za boskie. Ogarniam je poza naukową ścisłością i ogarniam je tylko dla siebie. Mózgi filozofów tkają w rzemieślniczym znoju bezpieczną kanwę systemów, aby mogły dopełznąć aż do ich mądrości ślimaki przeciętnych umysłów. I ja wlokłem za sobą dotychczas taki splot powrozów i dziwiło mnie, że posuwam się naprzód tylko krok za krokiem! Dziś rzuciłem pęta śmiesznie ciasnych schematów i nie troszczę się o ślimaka ludzkości. Co wiem i czuję obecnie, to już nie system, ale ocean światła, żadnym łańcuchem nie skuty z ziemią, bez drabin, dostępnych dla tłumu. Pocóż zresztą bezcześcić jego wielkość parodią nieomyślnej umiejętności. Czyż nie dość, że przynajmniej ja jeden do-

szedłem do mety? Czyż prawda dopiero wtedy nabywa ceny, gdy przetrawi ją cała zgraja? Czyż nie starczy jeden duch?

Pereat mundus!

Sam chcę się dzisiaj poić nieskończonością i usta moje niechaj będą zamknięte. Droga, którą zaszedłem aż tutaj, mogą pójść wszyscy, bo wysnuła się ona z najpierwotniejszych poziomów— z kłębka waszej ołowianej chmury. Ostatnią placówką tępej umiejętności, spowitej w całun chmury, było mi zrozumienie, że w odrobinie mego własnego „ja“ zastąpione są wszystkie istniejące gdziekolwiek żywioty, a związane takim samym węzłem, jak świat i światy. W tem leży tajemnica mojej nowej wiedzy, jądro prawdy, wyniesionej z alpejskich pustkowi. By ją zrozumieć, trzeba, jak ja, analizą rozezuwać w sobie ułamki wiecznie powszechnych pierwiastków, i rozpoznane fragmenty zharmonizować tak, jak zestrabajają się one wzajemnie w przyrodzie. Wtedy uderzył we mnie grom poznania, znikła fatalna granica pomiędzy jednostką a bytem ogólnym, i duch mój wybucha, jak wulkan z ciężkich brzemion chmury. Nie zostało we mnie żadnego atomu, którybym mógł nazwać sobą i skreślić jako „ja“ człowieka, zdolne samo przez się coś czuć, myśleć, kochać, pożądać, lub cierpieć. Nie znajduję w sobie nic, czegoby nie było w źdźble trawy, w powiewie górskiego wiatru, w kamieniu, staczającym się ze stromizn do przepaści. A jednak czuję się pełnym potęgi. Czemu więc jestem? Więzią strun, drgających w kalejdoskopie świata, ogniskiem zbornem powszechnych promieni bytu, ale ogniskiem, które mogłoby się skupić i zapłonąć gdziekolwiekbądź w przestworzu, na wierzchołku lodowca, w próżniach szafiru, albo we wnętrzu granitowych Alp. Jestem czemś drobnem, a zarazem ogromnem, pyłkiem i wszystkim, mógłbym cały rozproszyć się w przyrodę i w jakimkolwiek jej punkcie, jako świadomość myślna, od nowa się począć, bo ja a wszechświat to jedno. To klucz potęgi stwórcy i biernoty stworzenia, rdzeń przyrody i boskości, wiedza nieśmiertelnego Sfnksa. Myśl moja, zestrojona z myślą świata, rozlewać się może w kręgi nieskończone. Poezja duszy mojej jest zarazem rapsodyą chaosów.

Jestem więc tam, gdzie być chciałem, i nic mnie już z tronu nie strąci. Rozeznałem w sobie wszystkie akordy symfonii wieków i nie potrzeba mi już nikogo. Obce mi są skargi i uśmiechy niemowlęcej Psychy. Nie krępuje już mej wszechwładzy żaden ujawniony dogmat nieświadomości.

Jednak zwycięstwo nie było łatwe. Nigdy nie walczyłem z wewnętrznymi wrogami ducha tak strasznie, jak w chwilach ostatnich. Raz jeszcze ziemia poczęła mnie przyzywać wszystkimi głosami do siebie. Raz jeszcze widma osobistego szczęścia opadły mnie zapalczy-

wą sforą. Raz jeszcze, patrząc na zaszępioną panoramę Alp wallijskich i na smugi słoneczne, które przez szczeliny śniadych sufitów schodziły z nieba na ziemię, i na tę, to na ową okolicę lodowców złotawym blaskiem się kładły, pomyślałem sobie, że w tem przypadkowym kołysaniu się blasków i szarości zawarte jest odbicie zbiorowej nawy istnienia. I ona tak się chwieje, zaszuwa się w mroki, to znów na smugi jaśniejsze wypływa, a wtenczas losy poszczególnych ludzi, bez winy ich i bez zasługi, świetnieją albo gasną — i nazywa się to ślepotą przeznaczenia. I zadumany nad rozległością krajobrazu, pomyślałem sobie, iż moje własne życie padło może na taki załom skał smutny, kędy w godzinie mojej żadna światłość nie schodzi, i padło nieszczęśliwie, bo niema anioła miłosierdzia, któryby siłą uczucia zwyciężył chmury i wyłamał w nich okno i ubrał mnie w aureolę przyniesionych z zenitu promieni. Niefortunny przypadek — rzecz nieciekawa. Można wszakże wyczuwać rozumem obieg sił w przyrodzie i wyprowadzać analizą konieczność jałowej zagłady, a mimo to modlić się do życia i chcieć wszystkie jego obszary własną wypełnić istotą! I oto dla czego, mimo całej mądrości mej, nie czułem się szczęśliwy.

Tymczasem z posiewu trudów i prac, które zmordowały mnie do omdlenia, powstały zarody nowej siły, możliwości, stokroć wyższej nad możność dawnych i dzisiejszych umysłów. I tęskniąc, jak pacholik zbłąkany, do macierzyńskich skrzydeł kochania, trwożyłem się bardzo, że wszystko, co było mną, we śnie moim umarło, a to tymczasem z myśli mojej, zapłodnionej błyskawicą minionej ekstazy i pogrążonej w niemoc, urodził się taki kolos nieznaney mi dotąd potęgi, że trzeba było nadludzkiego wysiłku, aby go pehnać i zbudzić do życia! W krótkim, ale gwałtownym znoju tych zapasów byłem już gotów zgasić w sobie wszystkie płomienie i tęsknić począłem za ciszą grobu... I grób ten chciałyby już był mieć na tych rodzinnych kurhanach, przy których ty czuwasz z aureolą dziewictwa i męczeństwa na pięknem czole... Gotów już byłem zasiąść przy tobie na cmentarnej straży, i chociaż wiem, że nie zostać nie może po narodach, bojujących na ziemi, chciałyby byłem kochać, ludzi się i choćby cierpieć z tobą. Jednakże w żelaznych okowach losu kryła się jakaś pozawymiarowa Opatrzność, która nie chciała, abym utonął we wspólnym odmiecie ludzkości — i z próby ognistej wyszedłem zwyciężca.

Coś zamigotało mi przed oczyma ogromną glorią nieznanego na ziemi ideału. W nagłej błyskawicy zjeżyło się we mnie jakieś sumienie wyższego stopnia i każdą chwilę przebląkaną marzeniem w cienistych ustroniach puszczy, do których nie przyzywałaś mię do

siebie, bo do życia nie byłem ci potrzebny, każdą cząstkę siły, którą ideałom szczytnym odkradłem ze skąpej sumy mojego życia, każdy dzień nektarniczey gnuśności i każdy dzień rozpaczliwej tęsknoty, każdy grzech taki, których tyle nagromadziło się poza mną, wytknęło mi gniewne sumienie jak zbrodnię, jak hańbę, jak krzywoprzysięstwo. Więc chwycił mnie żal, i gniew, i strach o coś olbrzymiego, co pali się gdzieś nade mną na wysokościach, mnie jednemu ukazane a przez słabość ducha może utracone, i razem ogarnęła mnie jakaś ostateczna zaciekłość i ostateczna żądza przesadzenia granic, o które rozbijają się inni.

Bliziej ci o tem mówić nie będę, ani nawet mogę. Dość, że wszelką wszechwładzę i niespożytość świata, o ile zakłęte są w iskrę ludzkiej istności, oplotłem myślą — i uderzyłem jak gromem w tysiąc pęt człowieczych. Doczekałem godziny tryumfu. Mózg i nerwy nie pękły. Odrazu rozkruszyły się wokół mnie, jakoby okowy i skorupy, stanowiące człowieczeństwo i cierpienie moje, i odrazu znalazłem się jakoby przed morzem ulatującym w górę, na którego bezmiary wyciągniętą była linia mego życia. Odrazu też, wyzbyty z mamideł szczęścia i straconych bojów, odczułem, że ocknęła się we mnie właściwa przyszłość moja, że zadrzał we mnie kolos sfinksowej potęgi i teraz wyskrzydła się i występuje ze mnie nakształt pożogi tak olbrzymiej, iż mnie samego oślepia. Rwie mnie ona naprzód gościńcami przebóstwień. Zapadły za mną w głąb zapomnienia horyzonty ludzkie wraz z plejadami gwiazd waszych. Roztoczony przede mną majestat straszliwej powagi bytów nagością swą ścina mi rysy w nieruchomość marmuru. Ludzie nie będą wiedzieć, czemu twarz moja staje się bledszą, a w wyteżonych orbitach silniej płoną oczy. Wzrok mój nie może ani pragnie zwracać się ku stopniom przebytnym. I nawet pamięć o tem zgasnąć powinna, iż są półsennie przestanki rozwoju, gdzie pragnienie słodkich lepów, łączących jednostki, zapala i strąca z firmamentu gwiazdki ludzkich przeznaczeń.

Cóż mnie obchodzi, że tam, gdzie ciała nasze snują się we śnie biernym a ciężkim, zostanie ktoś bez współnika swych krótkich smutków, że ja sam, ginąc, próżno wołać będę czyjejs troski serdecznej; że moja gwiazda szczęścia zesuwa się ze stropu i w nicości przepada, cóż mnie obchodzi, czy pożegna mnie tam śmiech pusty, czy stoczy się ciemna perła czyjegoes żalu i skruszy pod stopą moją. Wszak najognistszy piorun ludzkiego serca, pękającego z erotycznej rozpaczey, jużby nie przemógł otchłani, rozemkniętej pomiędzy mną a światem, i duszyby mi nie spalił! Niech one biją w jałowe pnie Atlesów, strojnych we wianki

powoju, a utkwionych bezwładnie w szkliwie bagniska, niechaj im prują wypróchniałe wnętrzel.. I to mi się kiedyś śniło.

.

Nie zdołałem przywołać cię ku sobie i ty mnie do siebie nie wolasz, więc rozstajemy się. Już jesteśmy sobie obcymi. Ale, zanim umrę dla ciebie, niech mi wolno będzie raz jeszcze odwrócić się i pojrzeć: czy ścigają mnie smutne oczy twoje? Czy widzisz mnie na szczytach? Na strasznych, samotnych szczytach myśli przeczystej i dumy nadludzkiej.

Dzięki wam, góry Szwajcaryi! Na zrębie waszej dumnej, mroźnej skalistości odkryłem wreszcie misteryum magicznego węzła. Gdy chcę, mogę się z wami w jedno przeradzać, myśl moją czyścić waszą myślą, serce moje wkładać w wasze piersi, silnym być waszą siłą, pięknym być zorzą waszych śniegów, oddychać tchnieniem waszego wiatru, gniewać się waszym orkanem. Najobszerniejszy krajobraz jest obrazem mej duszy. Na głębiach widnieją złoża luźnych szutrów i rozpierzchle głązy opuszczonej moreny; tu i owdzie połyskują wśród żwirów srebrne prądy lodowego strumienia i czerwienią się płaty drobnych goździków, jak krople krwi; wyżej biegną łańcuchy ścian stromych i bezludnych, ponad niemi wstęga alpejskich lodowców, której końce wtapiają się w niebo. Po niebie płyną obłoki, jak myśli. Ciężkie i nieprzejrzyste, białe, wysokie i lotne, wszystkie płyną w jednym kierunku, jaki im wyznaczy wiew duszy. Czasem który obłok z tych, co płyną niżej, utknąwszy na wystającym zadziorze skały, wstrzymuje się w drodze i staje nad nim cicho, jak fioletowy posąg zadumy, póki go nowe myśli nie spłoszą. Czasem który z obłoków najniższych oprze się czołem o piękną rzeźbę ziemi, nęcącą go szmaragdowym lasem, i już nie idzie dalej, lecz tuli się do zieleni miękkim zawojem; a gdy opadnie zupełnie, ruń lasu zachodzi mgłą. Są też chmury dalekie, nagromadzone kędyś w niewyraźnej głębi, jak mroki legend Homera; mroczą się, lub rozstępują, gdy wnikną w ich kłęby promienie pogodnej godziny, dobywając z poza nich blade zarysy przestrzeni, czy zdarzeń, nieznanych, lub zapomnianych. To znów słońce przed zachodem zgarnie je wszystkie gorejącą dłonią i wszystkie pod zenit odrzuci, a wtenczas poszarpane krawędzie

Alp zostają bez zasłony i kamienieją na niebie gestem rozpacz, lub bólu. Aż zakrwawią się całe zorzą borealną i gasną w ciemności.

Tak mieszają się, płyną, myśli nieba i ziemi, a ta gra elementów stworzenia jest tożsamością mojej własnej myśli, sięgającej bez kresu na niebo i na ziemię. Na bezludnych ołtarzach alpejskiej świątyni, gdy piechotnicy globu, w żądaniach swych mali, nie znieważają ich wzrokiem, gdy grunt pod nogami nie wydaje już kwiatów, gdy lody świecą kręgiem brylantowym, gdy ciszę świata trąca tylko szelest zimnej wody i wołanie wron górskich, błędzących ponad moreną; wtenczas z każdym tętnem wielkiej godziny mnożą się nici spójni ostatecznej. Z myśli i uczuć, godnych człowieka, zostaje tylko pojęcie wiecznej jednolitości istniejących i możliwych światów. Ta jedna myśl spójni rozwiązała mi usta, pozwala rozmawiać z bezmiarem stworzenia i być tego bezmiaru uduchowioną modlitwą. Nie znajduję i nie znam żadnego jądra, którebym z elementów bytu mógł wyodrębnić jako własne „ja“, a jednak widzę, że nie zginałem i trwam. Wszystko jest jednością. Ów orszak niebotyczny lodowych szczytów, od wschodu do zachodu ciągnący się nieprzerwanie, owa jednolita wstęga biała, o lśniących liniach, pełna granitowych cieni, wspaniale rozwinięta w fałdach olbrzymich, to jeden rzut twórczości genialnego twórcy. Fałdy jej, zda się kapryśne, a przecież od jednego rozmachu zawisłe, nazywa ludzkość rozmaitemi imionami szczytów, i patrzy w nie od wieków zdumionem okiem, dziwiąc się własnej małości. Zaś na tło tej wstęgi rzucony jestem ja, odrębny, zda się, i samoistny, zanieiony tu wyrokiem samodzielnej woli, a jednak będący pomysłem tego samego artysty, który rozwinął przede mną białą szarfę grzbietów, ja, szczegół przypadkowy, ale do zupełności obrazu konieczny, garść światła, w którym tęcza lodowych blasków i błękitów odbija się niespokojną gamą wrażeń, tęsknot i uniesień. Szukałem niegdyś serca bijącego w przyrodzie i chciałem łowić uchem jego tętent. I nie wiedziałem, dla czego niebo i ziemia milczą? A one milczały, bo tętno ich bytu zrastało się ze mną samym, z jednym kruchem sercem człowieka, bijącym za siebie i za obszar granitowej martwoty. Taka wspólność i jednordzenność nie daje się nawet przemyśleć do końca, a nie mniej wyłania się z samowiedzy, jak pewnik najdoskonalszy i najwyższy. Cały świat jest wariantem jednej rzeczywistości. Realizuje się on w jednej prawdzie, w znaku jedynej trójcy, którą jestem ja sam, przyroda i żyjąca w nas dwojgu myśl.

Opanowawszy zaś myśl, która przejawia się światłem mego ducha, jestem tak silny i tak wytrwały, jak ona; stanąć też mogę, gdy zechcę, ponad obszarem przyrody i trójcę stworzenia przemienić na

wykładnik mej własnej twórczej istoty. I odtąd mam wszystko pod sobą, wierzchy gór i szczyty ludzkości. Moc moja nie zależy odtąd od zewnętrznych czynów. Wyższa jest od trudów i znoju zasługi. Wszystkie gościńce stoją przede mną otworem. Tysiącem rzek i oceanów może we mnie spływać wszelka moc bytu, energia i eutropia światów. One są odtąd falami krwi mojej i przeistaczają mi duszę w śpiewną lirę, w ekstatyczną harmonię porywów, uczuć i przeczuć na tle arcypięknego świata. Do kogo z żywych czy umarłych geniuszów zwrócę się, każdego duchem przerastam. Rozumiałem dawniej, że musiałbym życie zaczynać na nowo i niewolniczo przykuć się do pracy, aby któremukolwiek z nich dorównać w dziełach wiedzy, w samoistności talentu. Atoli odkryta potęga moja wynosi mnie ponad miarę ludzkich dzieł i geniuszów. Tam orły spętane targają swoje więzy, ja jeden zdobyłem wolność. Żadna rana nie psuje mi piersi, żadna blizna nie szpeci mi czoła. Zaczynam się tam, gdzie wszystko wasze się kończy. Gdzie wieczność wasza idzie do grobu, tam dopiero zmartwychwstaje moja nieśmiertelność. Rozkuty wreszcie lew mego ducha wstaje z nizin szlamistych, z krainy zwiędłych Atlosów, i pnie się na szczyty. Każdy krok jego rozrywa skałę i strąca lawinę szyderstwa na kretowiska ludzkie, pachnące bagnem i gliną.

Czemże są dla niego szranki Alp i globów!

Poezya wasza nigdy nie wzleci ponad ich ciasną arenę. Czystość śniegów i błękitu, srebrność wód, złoto i purpura słońca, orle skrzydła i zygzaki gromów, — oto wszystkie natchnienia i palety wasze. I ja widzę, iż na szafrowym rozłogu żarzy się tarcza wrącego bursztynu, iż jasne jej promienie rozbijają się na ostrzach skał kaskadami opalów, a wieczór pławią się w topielach złocistego szkarłatu. I ja mógłbym przed wami stawać złocisty i brylantowy, gdy grają mi w duszy błyskawice. I ja znam, co skrzydła, bo w godzinie objawień spadła na mnie dzika skrzydlatość — inna od orlej. I ja wreszcie widywałem rozkazy gniewnych bogów, pisane głoskami piorunów na czarnem niebie. Jednakowoż ja wiem, że te blaski i kolory są tworem żrenic moich, że to ja sam rzucam przed siebie tę arenę jaskrawą, i wiem, że milion nowych tęcz barwnych, grzmotów i piorunów zależy od twórczej woli, której przypląwy i odpływy skupiają się we mnie.

Wyjęty jestem z pod prawa czasu i przestrzeni. Nie stworzyłem sobie żadnego wczoraj, więc nie trzeba mi i żadnego jutra. Kędyś dolami przemyka się pode mną czas światów, toczą się wieki z wrzawą takich kataklizmów, takich tarć nowych prądów o stare, że ogromny ich łoskot mógłby się stąd wydawać prawie spokojem i ciszą. Można się zresztą nauczyć rozmierzać te odległe zjawiska cał-

kiem dokładnie i dostrajając do takich wyżyn, z których duch opasuje ogólną historję egzoterycznych rozwojów, a na stulecia i tysiące stuleci spogląda, jak na niktające stada jednostajnych, szarych i krótkodniowych ptaków.

W przestrzeniach moich topnieją góry, jak w nurtach potopu. Oto znalazście Jungfrau, zimną i niebotyczną, Matterhorn, wzbity, jak protest ziemi, pod niebo. Ze słońca wytryskują góry ogniste, wielkie, jak cała ziemia. A teraz przychodzę ja i jednym zamachem skrzydeł żywiołowych roztrącam w puch wzrosty nadchmurne. Pracą jednego oddechu mogę je w siebie pochłonać, a potem znów wcielać w naturę, stokroć większe, śmielsze i trwalsze. Biadałem wczoraj, że Jungfrau stroić się w złote rumieńce i świecić będzie jednak, gdy z prochów moich i śladu już nie zostanie. Dzisiaj poznaję, że od niej silniejszy. W lodach jej widzę rany, głęboko wypalone jesiennem słońcem, a każda rana płacze potokiem łez. Tak rozleje się ona w płaczach całą, i zapadnie w morza, które przyjdą po niej, by rychło wyschnąć i zniknąć, jak gwiazda, na której szumiały, a ja, pradawny i starszy od świata, tak przesięgam wzrokiem te wszystkie minione i przyszłe upadki, że trwały jestem, jak wieczność.

Tak więc, na wysokościach bezludnych ołtarzy stają się poeta, eklezyastą i hierofantem natury. W słowach tak silnych, jak fale wieczności, odprawiam modlitwę moją, a paramentami odprawianej ofiary są mi glorie kosmicznych chaosów. Gdzie kolumnady świątyni, tak bezmiernych, jak moje? Modlitwa moja jest poezją eterów, rozlewających się kręgami twórczej myśli.

Moja poezya — to niewyczerpana wszechmoc ducha i tryumf siły. Któżby mógł tekst jej zrozumieć, zmysłami pochwycić? Zdławiłby was huk lawin, zwęglilyby was piorunowe słońca, rozmiotłyby was echa ciosów, rozwalających globy na ówierci. Jak słabe echa!!

Jestem psalmistą kreatorycznej boskości, o którą zaczepiona istota moja rozgorzała nade mną w pochodnię wielką, jak Bóg. Jestem na raz ofiarnikiem i ofiarą. Ciało jakiegoż giganta przetrwałoby żar takiego ogniska dłużej nad godzinę. Toż czuję wyraźnie, jak z każdym tętnem pulsu wypala się i ucieka życie moje. Ale cóż po życiu!

Na mgnienie chwili, którą mam przeżyć pomiędzy wami, miałbym może prawo być dumnym świetnością lodowca i zażądać czci waszej, zanim przymknę spalone powieki. Wszak przyrzeczone wam było w świętojańskich objawieniach, że stanie anioł na łąkach i na morzu, i rękę podniosłszy, ogłosi, że czasu już nie będzie. I oto dzisiaj przybywam do was ja, mieszkaniec szczytów. Kiedyż ujrzy ludzkość podobną wiedzę i potęgę! Skoro z gór cichych wchodzę w mury miasta, odkrywają się przede mną dachy falansterów, gdzie pędzą żywot

niewolnicy bioder i obowiązków. Znam każdą sprężynę ich istnienia, ich losów i przeznaczeń, i ludzkość nie mi już dać nie może: mnie, który poruszam atomy, przenoszę góry i światy.

Więc grzmieć przede mną powinny najgłośniejsze surmy chwały. Więc witać mnie powinny wszystkie ludzkie ekstazy i tęsknoty. Do mnie powinny się modlić źrenice błękitnych anielic. Ku mnie niech śpieszą z za siódmej skały i z siódmej otchłani korowody dziewic łąbędzich i narcyzowych, mdlejących za pieśnią boskości i za kotwicą zbawienia. Wszystko ułomne, cierpiące i rozpaczone powinno iść za mną, który jeden nie potrzebuję niczyich ramion, żadnej podpory, żadnych kwiatów, żadnych marzeń, żadnych żalów, ani nawet tego żalu... Cóż daćby mi mogło jedno wątłe serce?

Znów chowa się ziemia za obłok szary.

Bez świata, bez ludzi, bez Boga

Myśl moja pali się jak dyament. Krwią kipi rubin serca. Szaleję! Wzbijam się, lecę, płonę, — znikam ci z oczu! Ginę.

XXVIII.

Krasowce.

Bóg z tobą! Bóg niech będzie z tobą! W przerażeniu, którem napelnily mię obłędne twe uniesienia, nic nad te słowa wymówić jeszcze nie mogę, ale one wybuchają mi z serca, nigdzie na ziemi nie widzącego ratunku. Bo tu ratunku trzeba; ja to wiem, czuję i—nic nie mogę! Rozumiem, że te próby zatracenia się w naturze i te szwały samoprzebóstwienia są niczem innym, jak tylko rozpaczem wzbijaniem się nad otchłan zguby. Ale to nie pomoże. I ja nie mogę nic. Zaczekaj trochę; niech odzyskam mowę. Niech trochę czasu przepłynie nad otchłanią, którą pod stopami twojemi ujrzałam.

.

Upłynął cały dzień i nie powstało we mnie żadne światło, któreby mogło zaświecić w ciemności. Skądże mam brać światła? Skąd mi wziąć sił do rozdawania? Twojej filozofii, ani twojej tryumfującej radości nie rozumiem, bo w głowie mi się nie mieści, jakim sposobem duch wielki i lotny może, zatracając się w świecie materii, rozradowywać się aż do obłądnych szalów. I przebóstwiać się, jak ty

to czynisz, ani próbować mi nie podobna, bo owszem, czuję się tak małą i sama w sobie poniżoną, że gotowam nisko skłaniać głowę przed każdą trawą niewinną i prosto stojącą w obliczu ziemi i nieba.

Jest mi tak, jakbym od stóp do głowy okrytą była łachmanami, ale to nie suknie moje podarły się, tylko z duszy zwisają w strzępach niedawne jeszcze jej blaski.

Zawiodłam się na samej sobie. Pozwoliłam zwątpieniu, aby niosło mi chmur na gwiazdy; pozwoliłam marzeniu, aby, jak wezbrane wody, spodnie ily istoty mojej wyrzuciło na szczytne jej wierzchołki. I zaszło we mnie najgorsze z rozłamań się wewnętrznych: rozłamanie się pojęcia o życiu z jego urzeczywistnianiem.

Muszę wyznać ci prawdę: popełniłam coś wręcz sprzecznego z tem pojęciem o życiu, za które niedawno jeszcze oddałabym była życie. Łamię główną sprężynę życia, którą jest zgoda z duszą własną; cóż dziwnego, że życie omdlewa?

Myśli i słowa omdlewają; dni pustoszeją. To, co przedtem zajmowało, dokucza, co pocieszało, udręcza, co koilo balsamem wiary i nadziei, nudzi niesmakiem zwątpienia i piecze piołunem ironii. W iklim morzu próżni przegląda się blada nuda. Wiem, gdzie ucieczka od nich, lecz wstyd mi uciekać. Jeszcze godność człowiecza cofa mnie przed zmaleniem aż do złego czynu, i jeszcze nad Letą, w której toną święte pamiątki, za skraj sukni trzymają mię dawne bogi.

Gdy ty przed męką pustki i chłodu chronisz się w nieprzejrzane labirynty myśli i na skrzydłach piekielnej poezji szalejesz po szczytach niebosiężnej pychy, ja z ciężkiem czołem i zwartemi usty spełniam wszystko, nad czem dotąd jaśniały mi święte słowa: dobro, cnota, obowiązek, tak, jak Julian Apostata, utraciwszy wiarę w naukę Chrystusową, a wiedziony wszczepionemi mu przez nią nawyknięciami, wznosił przybytki Chrystusowemu miłosierdziu. Ale czasem doświadczam chęci upadnięcia na ziemię przed jakimś hufcem Aniołów czy bohaterów, aby po mnie deptał, lub ukrycia się pod ziemią, aby nie widziało mię oko słońca, ani żadnego człowieka z duszą czystą i mężną.

Mówisz o sobie: „Bez Boga, bez świata, bez ludzi!“ A któż jest z ludźmi? Kto w krwawych i znojnyc momentach jest z ludźmi? W takich momentach nikt z nikim nie jest. Ludzie z ludźmi bywają tylko na godach i giełdach, różnego rodzaju godach i giełdach. I jeszcze tam oni bywają z sobą niekiedy, gdzie jaskrawe nędze życia lub śmierci uderzają w źrenice i targają serca za struny elementarnych wzruszeń. Może i wilczyca za zerem idąca przystanie na chwilę, aby żalośnem wejrzeniem ogarnąć inną wilczycę, wyjąca nad zwłokami swojego wilczęcia. Ale dla dumnych czy skromnych boleści, dla

smutków głębokich, dla podmywających sam fundament życia fal myśli wzburzonych zwątpieniem, ufnych zapytań, mądrych odpowiedzi, powierników, pomocników, obrońców—niema. One dla łyżwiarzy trzeźwo i zręcznie mknących po ślizgawkach życia są kaprysem próżnym lub sentymentem błahym, a lenistwu dobrych nawet nektarników grożą zbyt wielką fatygą. Aby ich serca do współczucia pobudzić, trzeba im w same uszy przeraźliwie krzyczeć, a od przeraźliwości krzyku zależy siła współczucia. Lecz kto dla wydawania krzyków jest zbyt dumny czy skromny, ten samotne pojedynki z życiem staczać musi i sprzymierzeńców ani lekarzy nie ma.

Jak okiem po świecie sięgnąć, nie mam w walkach z sercem i z myślą sprzymierzeńca, ni spowiednika. Jednak gdy łódź moja trafiła na wir z zawrotnemi kręgami, uczuвам tęskne, niezmożone pragnienie zarzucania rąk na szyję istoty współczującej, garnięcia się do opiekuńczej piersi, ufnego wyznawania całej siebie przed duszą silną, a dobrą.

Ufać bez granic tkliwości i przyjaźni czyjejs, na oścież otwierać duszę przed rozumem a wyrozumiałem okiem, chwając się, czuć na dłoni swej dłoń podtrzymującą, musi to być szczęściem takim, że przed samą myślą o niem oczy mrużą się, jak przed oslepiającym blaskiem. Nie mam tego szczęścia.

Dla czego nie mam? Nie jestem dezerterką z pod chorągwi prac, cierpień i nadziei wspólnych. Więc gdy teraz, jak przelękniona lani cienistej ubieży, pragnę i szukam myśli uważnej i nad moją wyższej, której wezwać na pomoc byłoby dla mnie ratunkiem, a nie znajduję, na usta piołunem sparzone cisną mi się twoje słowa: „nie lubię ludzi!“ Na usta cisną się a wszakże z ust nie wychodzą, bo na uwięzi trzymają ogromny żal. Coś niewynagrodzonego pękłoby mi w sercu, gdybym na wyrzeczenie słów tych przystała i na samym sercu powstałaby rysa, której zagoić nie mógłby olejek, z róż choćby rajskich wyciśnięty.

Taką, widzisz, jestem przepołowioną, taką pomiędzy wiarą i zwątpieniem, miłością a zniechęceniem, rozdartą; takim jestem motylem ze spalonymi w ogniu skrzydłami i z rozpaczonym żalem po dawnej lotności swych skrzydeł. I patrz, co się to staje z harmonią harf, długo strojonych na tony wysokie; na jak nędzne okruchy rozpadają się monolity wyniosłe, gdy podstawami ich zachwieją burze uczuć i myśli.

Budowniczymi monolitów, artystami życia bywają tylko fanatycy wiary albo przeczenia, enoty czy zbrodni, zdolni rzecz wszelką widzieć ze strony tylko jednej, bo do oglądania jej ze stron różnych wzroku im nie starczy, i postępować drogą zawsze jedną, bo do wstą-

pienia na inną chęć się w nich nie budzi. Inni, ci, z widzeniem wszechstronnem i z mnóstwem strun na sercach napiętem, te natury, tak zwane, bogate, uskrzydłone, dotknięciom świata i życia poddające przestrzeń szeroką, pokrytą unerwieniem subtelnem i tkliwym, to fuzszy życia, którzy wyrzeźbiać z niego nie umieją ani wspaniałego posągu świętości, ani wdzięcznej statuetki miłego grzechu. Tacy, idąc ku wschodowi, z zalem oglądają się ku stronie zachodniej, a na zachód puściwszy się, umierają z tęsknoty za wschodem. Na każdym słońcu niebieskiem zdolni są spostrzedz szczyt i każdy kwiat ziemski razem z wonią przynosi im truciznę. Ikary to są, wiecznie lepiący sobie skrzydła z wosku, który, od własnego ich ognia topniejąc, umyka im przez blade palce. Zbyt miękkie, zbyt drżące, zbyt niespokojne są te palce, aby woskowi życia nadawać mogły niespożytość kruszcu i wygniatać go w kształty wiecznotrwale.

Niema dla nich miejsca pomiędzy nasyconymi, ani pomiędzy świętymi tego świata, a poza światem jedynym losem ich godnym jest w towarzystwie Franceski i Paola miotać się z wolą wiatrów po kręgu Dantejskiego piekła.

Siły potrzeba! Wśród walk i pokus życia,—powiadają—silnym być trzeba!

Lecz skąd brać siłę, gdy z wiary i miłości bić ona przestaje? Życie—to ciężkie brzemie, ludzkość—to nizina; tylko wiara podejmować może brzemia i tylko miłość chroni przed wzgardą dla nizin. Skąd brać siłę, gdy usychają te górne jej krynice?

I jak rozróżnić siłę od słabości? Stonoga nie spala się w ogniu jak motyl, bo skrzydeł nie ma. Pociąg motyla do ognia to słabość, niosąca zgubę, lecz skrzydła to siła, która, nim spłonął, lśniącem dyamentem wzbija go w słoneczne złoto.

.

Przed paru dniami umarł tu nagle jeden z najlepszych ludzi, jakich kiedykolwiek znałam. Nie był to umysł świetny, ale było to serce złote i szczerze mi oddane. Nazywał się tout simplement: Zwirkiewicz. Myśli moich podzielać nie mógł, lecz wiele rzeczy razem ze mną kochał. Niegdyś dopomogłam mu zachować w ręku kawał ziemi, namiętnie kochany i wykształcić dzieci; więc w pocziwych oczach, z pod powiek zmęczonych, jaśniały mu zawsze, gdy na mnie patrzył, dwa rzadkie, trudno nawet przypuścić, jak rzadkie uczucia: wdzięczność i tkliwość. Czasem, gdy bywałam smutna, dość mi było spojrzeć na te dobre, wdzięczne oczy, aby uczuć szczęście, że obroniłam je od łez rozpaczy. Czasem też, gdy wierząc we wszechwagę serc na losy na-

sze, z głębokiem zaniepokojeniem myślałam o tem, jak lekką, lekką jest szala, na której są złożone, jechałam do niego, aby popatrzeć na człowieka z sercem czystym i prawem. Pojechałam i teraz.

Nad prostą podłogą, pod niskim sufitem, wśród cisnącej się przez otwarte okna zieleni bżów i klonow, ujrzałam go przemienionego ręką potężnej rzeźbiarki w marmur biały, gładki, spokojny, majestatyczny. Wybielał, wygładziły się zmarszczki jego czoła, ukoila się ust bolesność, powieki odmłodzone okryły zatroskanie źrenic i rozwlókl się po nim majestat spokoju bez granic i końca. Dokoła rozlegały się łkania i westchnienia, a ze mną stało się coś dziwnego.

Uczułam wielką, bezosobistą, altruistyczną radość, że to pocziwe serce nigdy już cierpieć i ta skołatana głowa nigdy już frasować się nie będzie, że tak upiękuszony, ukojony, w szlachetny marmur zaklęty, wpłynął on już na bezkresny ocean spokoju. „Bo cóż jest życie, aby go żałować? Czy jest to Anioł dobry, który nas opuszcza w godzinie śmierci?“ On wiedział i ja wiem dobrze, jakie grotty Anioł życia miota na swych poddanych, jakie żagwie zniszczeń rzuca na ich gmachy. Więc dobrze być musi zrzucić z siebie szatę Dejaniiry...

Lecz, gdy znalazłam się już w domu, zdjął mię żal wielki, własny, nad pogłębioną o jedno to dobre serce samotnością swoją, nad zgęstniałą, przez zgaśnięcie tej jednej pary oczu przyjaźnych, swoją ciemnością. Z jednej ciemności ptak ten wyleciał niegdyś, do drugiej teraz wleciał – i zniknął. Wszystko trwa chwilę i znika. Wszystko przepływa; wszyscy przemijamy. Cieniami jesteśmy, które płaczą po cieniach.

W pomrokę nocy patrząc, myślałam o tym tylko co przeminionym i w duchu wołałam: „Gdziekolwiek jest, jeżeli jest, lituj mej żałości!“ Jeżli jest? Czy jest? A jeżeli nie jest, po co był? O, któż mi to powie? Nikt. Własny duch mi to mówił, pokąd miał dar wiary. A teraz, na tem zapytaniu, jak na zachwianej osi, chwieją się nad przepaścią wszystkie gwiazdy.

Przedmiot ironii twojej, kratkowanie dni na zajęcia różne, już nie istnieje. Wszystko mi jedno. Zimno, pusto, nudno, martwo. Tak jestem smutną, że nawet smutną być nie mogę.

Ośądź, czy dla kogokolwiek, cokolwiek mogę? Czy mogę cokolwiek dla ciebie?

Ostatni raz przemów jeszcze do mnie, a potem... niech nad twe biedne życie znijdzie jaka jutrznia poranna. Mój poranek przeminął, a o południu zaszła mi drogę noc...

XXIX.

Giessbach.

Ostatni raz!

Ostatni raz przemawiam do ciebie.

Dziękuję, że wyciągnęłaś do mnie dłoń przyjaźną. Dziękuję za zyczliwość, za słodycz, za wyrozumiałość siostry, i za to także, że młodość moja nie będzie prózną pamiątek.

Na więcej nie zasłużyłem, albo może nie prosiłem dość gorąco. Lecz ja kolan zginać nie umiem.

Ty musiałaś przecież zrozumieć, czy odgadnąć sercem, co jątrzyło się we mnie raną tęsknoty, co mi było do życia tak potrzebne, jak kwiatom słońce, jak płucom powietrze, co się mogło stać kotwicą i zbawieniem mojem! A że, wiedząc o tem, nie możesz dla mnie nic, to znak, iż tych przepaści, któremi odstręczyłem się od życia i świata, nic też wypełnić nie zdoła. Wydziedziczyłem się z kochania dobrowolnie i z nikim już sprzęgać się niem nie mogę. Wydziedziczony i samotny zostałbym musiał na zawsze, choćbym nie miał za sobą płomiennych godzin pychy i obłąkania.

Jest to dziś dla mnie jasne i oczywiste jak nigdy, i dla tego nie będę już pukał do wrót twoich.

Jeżelim ci zgotował chwile udręczenia i smutku, wybacz, zapomnij. Twe serce to patrafi. Wierz mi, zem takiego końca nie spodziewał się, ani pragnął. Podawałem ci napój ze źródeł mocnych i trzeźwiących, a tyś się napiła hyzopu zaprawnego piolunem. Nie, nie chciałem niewolnictwa twych wierzeń. Nie chciałem gasić gwiazd twoich! A jeżeli próbowałem jaskrawą pochodnią rozumu oświetlać grobowce, z których wyrastają twoje świętości, to dla tego, zem szukał tych łańcuchów, które przykuwają cię do pustyni. Łańcuchy okazały się silniejsze ode mnie, nie pękły, a jam spustoszył ci błękitny kościół duszy. Podkopałem w tobie tajemną moc wytrwania i zatruliem cię jadem analiz, a nie dałem sił nowych i nie włożyłem w rękę nowego oręża. Zaciężyłem nad tobą postrachem nocy okrutnej i nieskończonej, a nie umiałem wskazać żadnego świtu. I nie zdołałem dokonać jednej największej rzeczy: przywołać cię do siebie.

I oto zostaję sam jeden, opuszczony, jak nigdy, i jak nigdy rozdarty sam w sobie, bez broni i bez oparcia. Był moment, że mierząc siłę prawd moich z twojem królestwem spodziewałem się zwycięskiej nade mną przewagi twoich gwiazd. Teraz doleciał mnie łoskot zdruzgotanej strażnicy i jęk gwiazd konających. Oh, jakże mi się krwawia w sercu ostatnie słowa twoje, jak się krwawia!

To jedno wiedz, że jestem nieszczęśliwszy od ciebie. Kiedym zrozumiał, do czego się najskrytsza tajń duszy mej wyrывa i że to płonna tęsknota, podniosłem rozpaczliwy bunt przeciw samemu sobie, chciałem się otoczyć murami własnej warowni, chciałem zdeptać wszystko i stanąć na szczycie za cenę wszystkiego. I miałem przez chwilę złudzenie, że już na szczycie, że zbudowałem kościół dla samego siebie, którego nie rozwalą, że już jestem jak słońce i że zgromadziłem w sobie dosyć promieni, by nimi przestrzelić wszelką wieczność i nieskończoność.

A teraz wiem, że budowałem kościół pusty.

Myślałem, że stworzyłem świat, który cały wypełnię sobą, a teraz widzę, że chodziły tam tylko myśli me na gonitwy i podboje, ale duszy mojej nie było tam nigdy. I gdy myślałem, że go już zasklepiłem potężnie ponad wszystkie niebiosy, dziś odnajduję się na jałowej mieliźnie, a ocean wieczności przepływa gdzieś nade mną, jak dawniej, z grzotem wszechmocy, wysoko, wysoko i niedościgle.

Co się z tem wszystkim stało, nie pytaj. Nie trafiłem na gościniec przebóstwień. Nie jestem ani Sfinxem, ani prorokiem nadniebiańskich tronów, ani chorążym płomienia. O duszy własnej nie umiem powiedzieć pół słowa. Jestem czemś takim, o czem wspominać nie warto. Ty jedna mogłaś... ty jedna.

Jestem w Giessbach.

Nieszczęście zaniósło mnie w ten kąt opuszczony, dławiony teraz przez jesień. Nie wiem zresztą, czy winna temu tylko jesień, występująca suchotniczym rumieńcem na żółkłe wzgórze, które widywałem w zdrowiu i kwiatach, czy winien temu jakiś jęk echowy? dość, że tu właśnie uległem zupełnemu rozbiciu. Pierwszy liść spelzły i martwy, lecący przede mną na wietrze, rozdarł królewską purpurę mojej filozofii. Jeden liść wystarczył, aby strącić mnie z piedestałów w jakąś nicość bezkresną, gdzie wszelka myśl gmatwa się i zamiera. Jeszcze się patrzył na ten kraj jesienny, jak człowiek obcy i ciekawy, na smugi mgły, która nasycy fioletem zrudziałe tło borów lub wznosi się ponad drzewa, jak liliowe westchnienia, jeszcze się spoglądał na skłębione iskry jasnego złota, które mięnią się klony na ciemnych ścianach świerkowych, a już przypaść do mnie i owionąć mnie całego wróg, odpychany ze wzgardą—smutek.

Znów zrobiłem odkrycie, że samotny i smutny. Długo moco wałem się z tem prostym zdaniem, jak z tytanem. Rozgryzałem je myślą, jak najzawilszy z problematów; ale siła przemożna ściągnęła mnie w dół.

Wszystko we mnie zagasło i wszystko się rozprzęgło. Uczułem się nagle martwym i wypalonym aż do dna. To już nie cienie

dawnej melancholii, okraszonej dumnym złudzeniem, zem świetniejszy i większy od tłumu. To już upadek tak zupełny, że nawet nie pragnę rzucić okiem wstecz, na zawrotną piramidę myśli, i że mi się stało zgoła obojętnem, czy to ona chwije się jak domek karciany, będąc dziełem błędu i zaślepienia, czy też ja niedorosły jestem i nie dokształcony. Wiem jednak tyle, że mnie samemu ta moja filozofia, błędna czy słuszna, na nic się nie zdała. Ona może iść w grzy albo stać i burzom urągać, ale nic nie zmieni faktu, że jestem sam i że nie widzę dla czego miałbym żyć dalej, skoro serce moje puste.

Serce jest chorobą myśli. Myśl przez selekcję wieków nabiła się tej niemocy, a teraz na nią we mnie umarła. Zostało tylko delirium głuchych pragnień i tęsknoty. Właśnie wtedy, gdy gwiazdy twoje gasły, we mnie zatliły się światełka lamp żałobnych nad utajonemi grobami, gdzie leżą strofy przygniecione kamieniem, lecz w pogrzebanych żywcem życie przetrwało uciski i poruszyły się w grobie, chcąc jeszcze zmartwychpowstania. Ulegam mściwym władzom, z którymi szamotałem się długo a daremnie. I w tej okrutnej godzinie pogromu jestem sam.

Dla czego ja jeden mam cierpieć w opuszczeniu? Dla czego nie wyciągnie się ku mnie litosna ręka, aby odegnać upiory, osłodzić cierpienie? Zazdroszczę najlichszej cząstce tych gromad, co tłoczą się przez lato na tych stokach szumiących.

Najlichszy miał dokąd wracać i powrócił do kogoś, kto razem z nim czuje i walczy. Na mnie patrzano czasem, jak na rzecz błyszczącą, ale nikt istoty swej ze mną stale nie związał. Twój i mój duch otarły się o siebie jak dwa liście niesione na wietrze: spotkały się i rozeszły. Czyś ty spytała siebie: co się z sercem mem stanie.

Więc podniosły się we mnie gęste mgły goryczy i spowiły mi przyszłość. Ta natura, pachnąca jesienią, przecieka mi do serca fermentem rozkładu. Wzera się we mnie ta sama rdza, która przyłgnęła do ziemi całunem nieżywych liści. Ja, duch, niegdyś znikomością bytu niespokojny, nie gromadziłem żadnych skarbów za sobą, bo przed sobą widziałem wszystko. Dzisiaj wiem już, że wszystko leży poza mną, że nie posiadam dla siebie nic, ani na życie, aui na wieczność.

.

Na dnie tych mogił, innych niż moje, przy których chcesz wytrwać na straży, musi coś być, coś jednak potężnego i zbawczego, czego ja nie znam. Dla czego nie znam? Dla czego nie znam?

Nazwałaś się raz mrówką, ciągnącą drobne żdźbła słomy do budowy mostu pomiędzy ziemią a niebem. Powracaj, powracaj do swej

promiennej, do swej błękitnej roboty i bądź szczęśliwą. Wiarą, pracą, wytrwaniem bądź szczęśliwą i nie daj wyschnąć w swem sercu zdrojowi miłości powszechnej, bo kto wie? czy nie w jego to wodach tkwi zagadka przebóstwienia, którą daremniem ścigał w szalach myśli i pychy, probujących wystarczać samym sobie. Bądź szczęśliwa! Otaczaj skronie i napelniaj serce czarnymi perłami szczęścia, wyłowionemi w morzu niedoli swojej i powszechnej! Ty posiadasz tę sztukę. Nie zrzucaj jej, nie trać w niej wprawy. Dla czegoż nie chciałaś mnie jej nauczyć? Dla czego nie mam Beatriczy swojej? Ach, dla czego palce twe zadrzały na strunach harfy i pieśń zakołysała się w powietrzu, jak słup ognia w podmuchu złego wichru? Z mojej to duszy zionął ten podmuch..

Przebacz, zapomnij, powracaj na szlaki anielskie! Niechaj po mnie na drodze twej nie zostanie ani śladu, ani popiołu pamięci. Niech nigdy nic nie przypomni ci potępieńca, który za dobroć odplacił ci złością, za słodycz goryczą. Nie chciałaś zbawiać go, niechże on nie będzie sprawcą twego piekła. Powiedz sobie, że wszystko, com mówił, że i ta książka moja — to kłamstwo. Powiedz sobie, że wszystko jest kłamstwem, oprócz twoich gwiazd, i stój jak przedtem w świetle ich, wspañiała i dobra. Taką widzieć cię będę w swych wspomnieniach, o takiej myśleć wtedy, gdy przyjdzie mi szukać ratunku od zadławienia się śmiechem ze świata, z jego omyłek, z nudy życia i z samego siebie. A ja?..

Ja wrócę pomiędzy ludzkie twarze, blaski, sławy, omyłki i nudy. Będę dalej zarabiał na sławę wielkiego augura, a gdy żądza słodyczy zbyt natarczywie przemówi w mojem gorzkim sercu, znajdzie się zawsze w pobliżu jakaś Kleona czy Oreada, która poda mi kroplę mętnego jej surogatu.

Będzie więc sława i miłości nie zabraknie. Możesz być o mnie spokojną i nie macić sobie jasności gwiazdzistych żadnym z mego powodu żalem, ni wyrzutem. Nie jestem Allighierim...

Jestem śmiertelnie smutny. W duszy mojej, tak, jak na świecie, opadają liście.

Taryfy kolejowe dla zboża.

(MEMORIAŁ RADY ROLNICZEJ PIOTRKOWSKIEJ).

Od pierwszej chwili zaprowadzenia w państwie na drogach żelaznych taryf na przewóz zboża, mocno zmniejszających opłatę od jednostki przebiegu w miarę zwiększających się odległości, a obok tego równających mąkę z ziarnem pod względem opłat przewozowych, właściciele ziemscy w Królestwie Polskiem, znajdując w tych urządzeniach nader szkodliwe dla siebie strony, wyteżali usiłowania ku wyjednaniu ich zmiany. Chociaż Komitet Taryfowy nie tai bynajmniej, że „przy układaniu taryf wcale nie miał na celu zapewnienia rolnikom Królestwa Polskiego rynków miejscowych“, jednakże przedstawiciele interesów rolniczych gubernii Piotrkowskiej, upatrując w tych urządzeniach jedną z głównych dla siebie przeszkód postępu gospodarczego, nie mogą, mówiąc o potrzebach rolnictwa, przemilczeć o jednej z najgłówniejszych. Sumienne i szczegółowe przedstawienie rzeczy powinno, ich zdaniem, przekonać o tem, że potrzebne dla nich w porządkach taryfowych zmiany w najmniejszej rzeczy nie uwłaczają ogólnopństwowym korzyściom. Skoro zaś tylko pojęcie to zdoła utorować sobie drogę, to już bardziej względne dla ziemian gubernii Królestwa Polskiego ustosunkowanie taryf stanie się prostą kwestyą czasu.

I.

W ostatniem dziesięcioleciu ceny zboża w guberniach Królestwa Polskiego stanęły na tak niskim poziomie, że przestały opłacać nakłady i zabiegi rolnika. Z cyfr statystyki rządowej (dołączonych do memoriału) okazywałyby się, że według *przecięciowych* urodzajów

i cen (w pięcioleciu 1894 — 1898 r.), niedobór na życie wynosił 6 rub. 50 kp., na pszenicy 4 rb. czysty zaś dochód: z owsa 1 rb. 50 kp. i z jęczmienia 25 kp. na mordze. Okazujący się, według tych danych, znikomy dochód na owsie i jęczmieniu nie mógłby pokryć ani części ogromnego niedoboru na życie i pszenicy, i gdyby cyfry urzędowe kosztów i dochodu sprawdzały się w zupełności i na całej przestrzeni kraju, to w skutek zbyt niskich cen produkcyja zboża w Królestwie Polskiem musiałaby się chylić do upadku. Nie można jednak zapominać o dwóch, nader ważnych, okolicznościach.

Naprzód, że dla określenia ogólnej urodzajności kraju przyjęto do obliczeń na równi z gruntami dworskimi i włościańskimi, przedstawiające znacznie niższą cyfrę urodzajności, w skutek czego produkcyja gruntów dworskich w rzeczywistości wypada znacznie wyżej od tej, jaką do powyższych obliczeń przyjęto. Włościanie zaś sami spotrzebowują własne zboże; a gdyby musieli je sprzedawać, mieliby niedobór jeszcze większy ¹⁾.

Powtóre zaś, że przejście pewnej części gospodarstw folwarcznych do intensywności, z użyciem nawozów mineralnych, udoskonalonych narzędzi i nasion uszlachetnionych, podwyższa w nich urodzajność i kondycję, a zatem i cenę zboża, przedstawiając ilościowy i jakościowy korektyw normalnej dochodowości. Właściciele ziemscy szukają pomocy w gospodarstwie hodowlanem, w rybołówstwie, w przemyśle różnego rodzaju, lub też opierają swój dochód na lesie, jeżeli ten znajduje się w majątku.

Nie można nie zauważyć jednak, że właściciele, zaprowadzający intensywność z kapitałów zapożyczonych, wpadają, w braku kredytu melioracyjnego, w długi wysoko procentowe, skutkiem czego zadłużenie idzie u nich szybszym krokiem, aniżeli podwyższenie dochodu, tak, że interesa ich, w razie kilku lat niepowodzenia, psują się niepowrotnie. Ci zuowu, którzy nie uciekają się do tego, lub owego postronnego dochodu, rzadko kiedy zamykają rok bez niedoboru.

Łatwo byłoby wskazać inniennie wiele majątków, rządzonych starannie i umiejętnie, posiadających nawet fundusz obrotowy dostateczny, które jednakże przynoszą deficyt, jeżeli chcą się obejść bez pomocniczych dochodów. Tym sposobem tylko rzadko napotykanie połączenie umiejętności, kapitału, przedsiębiorczości i pracy, otwiera drogę do pomyślnego wyjścia. W przeciwnym razie zjawia się położenie bardzo trudne. Nadzwyczaj małe ilości zboża, przewożonego na

1) Naturalnie, gdyby doliczyć wartość roboty na ciężar produkcyi.

blizkie odległości miejscowemi drogami żelaznemi wymownie dowodzą, że ceny zboża nie wytrzymują kosztów przewozu.

Ilości te były następujące:

W roku 1893	11,184	pud.,	to	jest	5.6%	produkcji
"	1894	8,159	"	"	4.3%	"
"	1895	6,819	"	"	3.7%	" 1)

Nie można tłumaczyć tej okoliczności spotrzebowaniem zboża na miejscu, ponieważ znaczną część jego wywożono w owym czasie za granicę. Zastanawiającem jest także, iż w roku 1898, według wiadomości departamentu kolejowego ministerjum finansów, wydanych pod tytułem: „Wyciąg ze statystyki ruchu ładunków zbożowych“ przy ogólnej dostawie do Warszawy kolejami zboża w ilości 12,586,000 pudów, przywieziono z wewnętrznych gubernii Rosyi 10,559,000 pudów, tak, że na dostawę miejscową kolejami pozostało tylko 2,297,000 pudów, to jest 18.2%, pomimo, że Warszawa jest najkorzystniejszym z krajowych rynków zbytu.

Bądź co bądź, nie licząc się z wyjątkami, jest niezawodnem, że produkcya zboża, jeżeli nie zawsze i nie w całym kraju, to po największej części przynosi raczej niedobór, niż dochód. Wahania się z roku na rok pomiędzy deficytem a dochodem pomiernym nie mogą pozostawać bez szkodliwego wpływu na stosunki majątkowe większej własności; pogorszają one również położenie ludności bezrolnej i małorolnej, którym większa własność nie może dostarczyć odpowiednich zarobków, i które z tego powodu uczą się szukać chleba w Ameryce i w Niemczech.

Takie zjawisko w kraju, którego przemysł szybko się rozwija, szczególnie jest dolegliwem. W samej rzeczy, ogólna wartość fabrycznej i górniczej produkcyi dokonała w czasie od 1857 do 1892 roku następującego zastanawiającego postępu:

W milionach rubli			
W roku 1857	.	.	42.5
"	"	1871	. . 66.7

1) „Złota księga przemysłu fabrycznego, handlu i rolnictwa“, Warszawa, 1898/9, str. 55.

W milionach rubli	
W roku 1880 . . .	171.8
„ „ 1892 . . .	228.3 ¹⁾

Od tego czasu minęło z górą dziesięciolecie, podczas którego wartość produkeyi fabrycznej zapewne jeszcze wzrosła.

Z drugiej strony, w guberniach Królestwa miasta liczą przeszło 2 miliony mieszkańców. Przy tak rozwijającym się przemyśle i tak licznej ludności miejskiej można byłoby spodziewać się cen zboża, wynagradzających rolnikowi jego pracę. Zwłaszcza wypadłoby to sprawiedliwie dla ziemian gubernii Piotrkowskiej, gospodarujących w pobliżu olbrzymich środowisk fabrycznych, ze względu, że ziemie tej gubernii odznaczają się własnościami, powodującymi nader wysokie koszta produkeyi.

Temu stają na przeszkodzie niskie taryfy kolejowe na przewóz zboża z wielkich odległości. W samej rzeczy, według zdania, zamieszczonego w Dodatku do № 25 Gońca Finansów Przemysłu i Handlu, a pochodzącego z najpoważniejszego źródła, bo od p. ministra finansów, „wobec przewagi zaofiarowania nad zapotrzebowaniem niskie koszta przewozu obniżają ceny na rynkach przywozowych“, to jest w miejscach ostatecznego zbytu. Prawo to niezawodne znalazło sobie najzupełniejsze potwierdzenie w guberniach Królestwa Polskiego. Do czasu, dopóki taryfy kolejowe na przewóz zboża nie zapewnią do pewnego stopnia rynków miejscowych dla krajowego rolnictwa, dopóki nie postawią miejscowego zboża na własnych rynkach — przynajmniej na równej stopie konkurencyjnej ze zbożem obcym, dopóki przewóz na drodze żelaznej jednego puda zboża z południowo-wschodnich krańców Cesarstwa nie dorówna ceną różnicy kosztów produkeyi tegoż puda nad Wołgą i nad Wisłą, do tego czasu niskie taryfy kolejowe będą obniżały cenę miejscowego zboża.

Nie ubiegając się za rozstrzygnięciem szczegółowem tak zawiłego pytania, jak różnica kosztów produkeyi dwóch grup gospodarstw, znajdujących się w zupełnie różnych warunkach, dość będzie wskazać: że z jednej strony wchodzi do porównania ziemie dziewicze, czarnoziemne, produkujące przewyborną pszenicę bez nawozu, z drugiej zaś strony grunty, bardzo wymagające pod względem kultury, potrzebu-

¹⁾ Cyfry podane z dzieła zbiorowego pod tytułem: „Złota księga...“, o przemyśle w guberniach Królestwa Polskiego. Warszawa, 1889/90 roku.

jące nawożenia, zaopatrzenia w liczny i kosztowny inwentarz, i uprawy staranniejszej i nierównie bardziej złożonej. Z drugiej strony podatki i opłaty nierównie mocniej obciążają ziemię nieczarnoziemne Królestwa Polskiego. Według Suligowskiego ¹⁾, suma podatków, oraz ziemskich i gminnych opłat, wynosi z morgi ²⁾:

W guberniach Królestwa Polskiego:			
"	"	Nadbałtyckich	7.03
"	"	Przemysłowych	8.52
"	"	Wschodn. i Płd.-Wschd.	7 01
"	"	Sredn. Wołgi i za Wołgą	5.55

Lecz opłaty gminne w guberniach Królestwa Polskiego wciąż i znacznie rosną, z tego powodu obciążenie ziemi w tym kraju zapewne jest dziesięć razy mocniejsze, niż w guberniach, nad Wołgą położonych.

Z tych przyczyn ziemianie gubernii Królestwa Polskiego uważają, że 28 kopiejek, wynoszące $\frac{1}{3}$ część średniej ceny pszenicy w Warszawie, są bardzo niedostateczne, jako taryfa przewozowa z Saratowa, lub Kiszyniowa, jeżeli ta ma zrównoważyć różnicę kosztów produkcji stref tamtejszych z tutejszą.

Lecz i tej nawet różnicy ziemianie Królestwa Polskiego nie realizują nigdy z dwóch przyczyn: pierwszą stanowią wysokie stosunkowo taryfy na blizkie odległości, jakie opłacać musi ziarno miejscowe, wtedy, gdy zboże, dowiezione do składu w Warszawie z innych dzielnic, opłaca taryfę nader niską, dzięki przywilejowi tranzytowemu, z mocy którego zboże z odległych dzielnic opłaca taryfę różniczkową do miejsca przeznaczenia taką, jak gdyby wcale nie zatrzymało się w Warszawie. Skutkiem tego, w razie braku zboża w jakimkolwiek punkcie kraju, na przykład w Częstochowie, nie może go dostarczać inny punkt własnej dzielnicy, na przykład Kutno, ponieważ z odległości 277 wiorst koszt przewozu wyniesie 7.4 kopiejki od puda, oprócz wielu dodatkowych wydatków, wtedy, gdy przewóz saratowskiego, lub innego obcego ziarna ze składu taryfowego warszawskiego do Częstochowy kosztować będzie nie więcej od dwóch kopiejek od puda, oprócz opłaty składowej w Warszawie. Tym sposo-

¹⁾ „Produkcya rolna i taryfy kolejowe“, Warszawa, 1895, str. 81.

²⁾ Diesiątyny tekstu przyjęto za dwie morgi.

bem miejscowi rolnicy mają odjętą możność wyzyskania polepszających się w pewnych punktach kraju koniunktur.

Najlepiej przekonywa o tem mała ilość przewożonego kolejami miejscowego zboża, która w roku 1895 uczyniła zaledwie 3.7% całorocznego plonu. Rzecz można, że rolnik Królestwa Polskiego za obrębem najbliższej okolicy jest najrzadszym gościem we własnym kraju ¹⁾.

Drugą i najgłówniejszą szkodę przynosi zupełne zrównanie mąki z ziarnem pod względem opłaty przewozowej. Skutkiem tego postanowienia, ceny zboża w guberniach Królestwa Polskiego nie mogą dorównać cenom południowo-rosyjskim, łącznie z kosztami przewozu. Ażeby dowieść słuszności tego zdania, przytaczamy kalkulację, opartą na cenach saratowskich, z powodu, że w czasie, pomiędzy 1894 i 1898 rokiem, największą ilość zboża do Warszawy dowieziono z Saratowa.

Według informacyi Departamentu Handlu i Przemysłu Ministerjum Finansów, ceny jednego puda rosyjskiej pszenicy wynosiły w Saratowie ²⁾ w kopiejkach:

w roku 1895	w roku 1896	w roku 1897	w roku 1898
51	51	71	92

w tymże samym czasie ceny jednego puda pszenicy tejże kondycji (pstrej) wynosiły w Warszawie kopiejek:

w roku 1895	w roku 1896	w roku 1897	w roku 1898
66	74	88	103

Różnica cen na korzyść Warszawy kopiejek na pudzie:

w roku 1895	w roku 1896	w roku 1897	w roku 1898
15	23	17	11

¹⁾ Chociaż mąka nie posiada przywileju tranzytowego, jednakże osiąga też samą korzyść przez bezpośredni dowóz do rozmaitych punktów Królestwa Polskiego za jednakową, albo prawie jednakową opłatę.

²⁾ Strona 26 i 27.

Ponieważ jednak koszt przewozu drogą żelazną wynosi 28 kop. od puda, zatem cena warszawska okazuje się niższą od właściwej, to jest saratowskiej, powiększonej o koszt przewozu

w roku 1895	w roku 1896	w roku 1897	w roku 1898
13	5	11	17

kopiejek na pudzie.

W tem obniżeniu ceny dyskontuje się premia za przewóz mąki po cenie transportu ziarna. Mianowicie, przyjmując cenę puda pszenicy naprzykład na rubla, cena wyższych gatunków mąki pszennej (tj. tych, które sprzedają się do Warszawy), wyrobionych z tegoż puda, oznaczy się na 80 kopiejek, waga zaś ich na 20 funtów. Skutkiem tego pud tego mlewa, wartością 1 rb. 60 kp., przewozi się po tejże samej cenie, co pud ziarna, kosztujący rubla. Tym sposobem cena przewozu na każdy rubel wartości towaru wypadnie na $\frac{100}{160}$, czyli na $62\frac{1}{2}\%$ od ceny przewozowej 28 kopiejek, obciążającej pud pszenicy. Daje to $37\frac{1}{2}\%$ oszczędności, czyli $0.28 \times 37\frac{1}{2}$, czyli $10\frac{1}{2}$ kop. premii na pud za przewóz zboża w postaci mąki, a nie ziarna.

Jeżeli teraz powrócimy do obniżenia ceny saratowskiej, powiększonej o koszt przewozu

w roku 1895	w roku 1896	w roku 1897	w roku 1898
13	5	11	17

i weźmiemy średnią z czterolecia:

$$\frac{13 + 5 + 11 + 17}{4} = \frac{46}{4} = 11.5 \text{ kop.}$$

to dojdziemy prawie matematycznie do obniżenia ceny ziarna (10.5 kop.) określonego teoretycznie stosunkiem wagi i wartości mąki wyborowej do wartości ziarna w pudzie.

Aby przekonać się o gruntowności tego dowodu, mamy dwa fakta: pierwszy, że wobec nieznaczonej ilości pszenicy w ziarnie, dowożonej do gub. Królestwa Polskiego, główna treść dostawy składa się z mąki pszennej, korzystającej z ulgowej opłaty przewozowej.

Mianowicie zaś, według informacji Departamentu Spraw Kolejowych w roku 1898 ¹⁾ dostarczono do Warszawy tysięcy pudów:

	z własnej dzielnicy	z obcych dzielnic
Pszenicy w ziarnie	293	128
Mąki pszennej	666	2,340

Drugim zaś faktem jest ten, że owies, który nie potrzebuje przemiału, osiąga cenę dzielnicy dostarczającej, łącznie z kosztem przewozu, bez obniżki.

Owies dostarcza się do gubernii Królestwa Polskiego najglówniej z trzech dzielnic: centralnej rolniczej, średnio Wolżańskiej i małorosyjskiej.

Przytaczamy ceny puda w kopiejkach z materiałów do statystyki handlu zbożowego ministerjum finansów ²⁾:

	L a t a			
	1895	1896	1897	1898
Jelec . odlegl. 1,100 wiorst transport 20 kp.	36	40	52	72
Kozłów " 1,200 " " 21 " "	39	45	58	79
Saratów " 2,000 " " 28 " "	37	38	49	71
Warszawa ceny najniższe	57	62	70	81
" " najwyższe	68	72	84	96

Przyjmując na rynkach wywozowych ceny najwyższe (ponieważ na wywóz idą najlepsze gatunki) i dodając wartość przewozu, powinni bylibyśmy otrzymać na warszawskim rynku za 1 pud owsa

	L a t a			
	1895	1896	1897	1898
	K o p i e j k i			
Jeleckiego	56	60	72	92
Kozłowskiego	60	66	79	100
Saratowskiego	65	66	77	99

Rzeczywiście zaś w Warszawie były

ceny owsa	57—68	62—72	70—84	81—96
---------------------	-------	-------	-------	-------

¹⁾ Tablica VIII.

²⁾ Str. 26, 28, 30, 33.

Trudno znaleźć świetniejszy dowód na poparcie prawa, że na rynku spożycia cena wytwarza się z ceny rynku wywozowego, łącznie z kosztami przewozu.

Obniżenie wbrew temu prawu ceny miejscowej pszenicy o 10¹/₂ kop. na pudzie okazuje się wyraźnym następstwem zrównania taryfowego mąki z ziarnem, obniżającego rolnikom gubernii Królestwa Polskiego ceny ziarna na korzyść młynarzy dzielnic odległych.

Chociaż ubytek ten 10 i pół kopiejek na pudzie, przy trzydziestu milionach pudów produkcji pszenicy w guberniach Królestwa Polskiego stanowi, po odtrąceniu ziarna na zasiew, około 2 i pół miliona rubli straconych rocznie, jednakże ta strata odległe nawet nie dosięga doniosłością swoją tej szkody, jaką wyrządza krajowi niewystarczający rozwój młynarstwa, wcale nieodpowiadający wzrostowi zaludnienia.

Trudno wyobrazić sobie, jak zawiłe, a obok tego niekorzystne wytworzyło się położenie wskutek taryf kolejowych, równających mąkę z ziarnem, w połączeniu z mocnym różniczkowaniem na dalekich odległościach. Południowe Cesarstwo, produkujące pszenicę na zao-ranych stepach, zabudowało się olbrzymimi kapitalistycznymi młynami i dostawia najwyższe gatunki mąki dzielnicom zachodnim, otręby do Niemiec, a najniższe gatunki mąki sprzedaje na miejscu, co dla ludności tamtejszej okazuje się bardzo niekorzystnym, jak o tem świadczą głosy najpoważniejsze. Dość przypomnieć znakomitą mowę księcia Jana Oboleńskiego podczas narad nad rewizyą taryf zbożowych z roku 1900, kładącą nacisk nie tylko na okoliczności, powyżej przytoczone, ale prócz tego jeszcze na zjawisko wagi pierwszorzędnej, że pod ciśnieniem potężnej konkurencji młynów zawołańskich, przedsięwzięcia te w innych dzielnicach chyłą się do upadku. Na poparcie tego twierdzenia można przytoczyć fakt, bardzo przekonujący. Mianowicie, powtarzający się przez kilka lat z rzędu niekorzystny stosunek procentowy pomiędzy premią roczną od pewnej kategorii ubezpieczenia, a rocznym również wynagrodzeniem za szkody ogniowe w tej kategorii posłużyć może za niezawodną wskazówkę niezdrowych stosunków, jakie się do niej zakradły. Rzeczywiście, jeżeli zastanowić się nad tem, że w każdym rodzaju przedsięwzięć stopień niebezpieczeństwa ogniowego równoważy się wysokością premii, wyprowadzonej z wieloletniego doświadczenia, to stanie się jasnym, że uparta w ciągu lat kilku w danej kategorii ubezpieczeń przewyżka pogorzeli ponad premiami świadczy o zmianie na gorsze warunków ekonomicznych tej kategorii. Przedsięwzięcia, chyłące się do upadku, palą się, i tego przypisywać nie należy ani samemu przy-padkowi, ani samej złej woli; najczęściej jest to skutkiem złej admi-

nistracyi, towarzyszącej nieodmiennie zachwianiu się w interesach. W takich chwilach zjawiają się u steru nowi ludzie, którzy nie dbają ani o technikę, ani o porządek, lecz o to jedynie, aby wyłowić dla siebie jakąś cząstkę w chwilach upadku. Otóż statystyka Towarzystw ogniowych, działających w Rosyi, dowodzi, że od roku 1889 po dzień dzisiejszy młyny, pomimo podnoszenia stopy opłat od 1.4% w roku 1889 do 2.35% w r. 1894, 3.5% w r. 1900 i 4.9% w roku 1901 były stale i nieodmiennie źródłem straty, tak dalece, że gdy od 1889 do 1900 roku łącznie premia uczyniła 9,706,043 rubli, to szkody z pogorzeli młynów dosięgły w tymże czasie olbrzymiej cyfry 13,624,513 rubli. Gdy nadto w ubezpieczeniu ogniowem wydatki na administrację wynoszą około 25% od premii, zatem przy opłacie 9,706,043 uczyniły one 2,426,511 rubli, ogół rozchodu dosięgnął 16,051,024 rubli i czysta strata wyniosła 6,344,981 rubli, czyli około 66% od premii. Pomimo kilkakrotnego podwyższenia stopy opłat, ta okazywała się zawsze o 40% niższą od tej, jaka była potrzebną. Towarzystwa oznaczały stopę opłat, rządząc się doświadczeniem przeszłości, terażniejszość zaś okazywała się stale o 66% od przeszłości gorszą. Czyż nie jest to oznaką jawnego, niczem niepohamowanego upadku?

Wzrost młynów południowej, a zwłaszcza południowo-wschodniej dzielnicy, zaciężył z siłą żywiołową na młynarstwie całego państwa, i zagraża tem, że się zamieni na monopol w rodzaju wyłączności, przysługującej nafcianym przemysłowcom w Baku, skutkiem naturalnego umiejscowienia nafty.

Nieświatny stan młynarstwa miejscowego pozbawia rolników gubernii Królestwa Polskiego najlepszego nabywcy zboża. Mając pszenicę oddaloną z rynków wielkich środowisk przez dostawy mąki południowej, nie mogąc skutkiem wysokich opłat taryfowych na blizkie odległości ubiegać się ze składem tranzytowym pod względem zaopatrzenia zbożem tych punktów kraju, w których się zjawia chwilowe polepszenie ceny, bywają oni często zmuszeni sprzedawać zboże za granicę, przyczem potracą się im z ceny najwyższa stopa opłat kolejowych, to jest wywozowa zewnętrzna w promieniu 300 wiorst, w jakim znajduje się prawie cały kraj. Ze szczegółowych tablic, zestawionych przez p. Żukowskiego w jego cennej pracy pod tytułem: „Bilans handlowy Królestwa Polskiego“, okazuje się, że w okresie 1894 — 1898 roku około sześciu milionów pudów zboża wyciskało się corocznie przy najmniej korzystnych warunkach za granicę przez zboże i mąkę, przywożone w nadmiarze z wewnętrznych gubernii. Byłoby zbyt cennym dowodzić, że niekorzystne te warunki handel dyskutował nie tylko na tych sześciu milionach pudów, ale na całej zbożowej produkcji kraju, idącej na sprzedaż. Ale i ta druga wielka niekorzyść,

polegająca na uprzywilejowanej stopie taryf kolejowych dla mąki, jeszcze nie wyczerpuje sprawy.

Młyny stref południowych, dokonywając przemiału ogromnych ilości pszenicy i nagromadzając przytem masę otrąb, znalazły na nie wyborny odbyt w Niemczech. Cenę przewozu ich ponosił chętnie rolnik niemiecki, znajdujący się w tym czasie w najgorętszej chwili przejścia od intensywnego ziarnowego do takiegoż hodowlanego gospodarstwa. Według źródeł niemieckich z Rosyi do Niemiec przywieziono otrąb w milionach kilogramów ¹⁾:

W roku	1895	1896	1897	1898	1899
	240	289	273	205	268
W cenie	13.2	21.4	19.9	16.0	22.1 mil. mar.

Cena otrąb w Królestwie Polskiem określa się przez cenę ich zagraniczną, która jest zależną od kosztów przewozu i wynosi dla odległości od młynów dzielnic południowych do punktów pogranicznych u nas około 30 kop. od puda. Z tego powodu, chociaż otręby są odpadkiem, dochodzą jednak w Królestwie Polskiem do ceny bajecznej — 65 kop. za pud, dorównywając niemal w cenie żytu. Rolnicy Królestwa Polskiego pragną mocno przejść do intensywności, zwłaszcza w hodowli, ale w skutek zbiegu bardzo zawiłych okoliczności, warunkujących stagnacyę miejscowego, wobec szybkiego wzrostu południowo-wschodniego i południowego rosyjskiego młynarstwa, pozbawieni są możności doprowadzenia do skutku tego zamiaru, i przymuszeni się widzą odłożyć to do lepszych czasów. Jedynie tylko przy jednoczesnem zakwitnięciu miejscowego młynarstwa, dostarczającem korzystnego zbytu dla zboża miejscowego, i taniaści otrąb, stanowiących najlepsze pożywienie dla bydła, możliwem byłoby osiągnąć dochód należyty z gospodarstwa, opartego na hodowli. w kraju, szczupło uposażonym w łąki. Tymczasem otręby, stanowiąc dla młynów miejscowych, w skutek wysokiej ceny, towar najkorzystniejszy, nie znajdują, wskutek drożyzny, odpowiedniego zbytu wewnątrz kraju, tak, że młyny miejscowe wywożą je w znacznej ilości za granicę. Mianowicie, według wiadomości, zaczerpniętych ze sprawozdań dróg żelaznych przez p. Żukowskiego za lata 1894/7, i Wierzchleyskiego za

1) Beitrage zur neuesten Handelspolitik Deutschlands, Leipzig, Duncker, 1900, pag. 336.

1898, wywóz otrąb miejscowego pochodzenia z gubernii Królestwa Polskiego za granicę uczynił w tysiącach pudów

W roku	1894	1895	1896	1897	1898
	4,984	2,083	2,417	4,909	2,971

Razem za pięć lat 17,384.

Położenie stało się tak do rozwikłania trudnem, że rolnicy gubernii Piotrkowskiej, pomimo koniecznej potrzeby tańszych otrąb dla wdrożenia gospodarstwa hodowlanego, wstrzymują się od starań o obniżenie kosztów przewozowych dla otrąb, ażeby przez obniżenie ich ceny nie zaszkodzić młynom miejscowym, których podtrzymanie uważają za najpierwszą i najpilniejszą potrzebę.

Tymczasem przejście do hodowli i do intensywności byłoby z korzyścią nietylko dla nich, ale też i dla innych dzielnic, ponieważ gubernie Królestwa Polskiego, zwróciwszy się do produkowania paszy dla inwentarza, stałyby się najlepszym rynkiem zbytu dla innych dzielnic.

Obniżenie taryf na blizkie odległości, przy jednoczesnem osłabieniu różniczkowania na wielkich, uchylenie przywileju dla warszawskiego magazynu tranzytowego, i podwyższenie opłaty za przewóz mąki w porównaniu z ziarnem, oto byłyby trzy środki, których wspólne działanie mogłoby wzmocnić i podnieść młynarstwo miejscowe, dając na tej drodze znaczną podporę bardzo trudnemu obecnie bytowaniu rolnika w Królestwie Polskiem. Dałyby one możność istnienia gospodarstwu intensywnemu, do którego przejście na obszarach jak najszerszych leży w interesie państwowym. Tylko stwarzając mocno ugruntowane środowiska prawidłowego gospodarstwa, oddające się hodowli bydła rasowego i prowadzeniu szlachetnych odmian zboża, można zataczać stopniowo coraz szersze kręgi postępu gospodarczego, uwalniając się od kosztownych usług zagranicy i stosowując się dokładnie do klimatycznych właściwości rozmaitych stref państwa, oraz do warunków bytowania jego ludności.

II.

Postanowienie Komitetu taryfowego, względnie do gubernii Królestwa Polskiego, aby zapewnić szeroki dostęp do tego kraju dla zboża z gubernii wewnętrznych za pomocą taryf kolejowych, opiera się na przypuszczeniu, że gdyby zboże, pochodzące z dzielnic południowych, nie miało ulgowych warunków przewozu, pozwalających mu poprzestawać na cenie umiarkowanej, w takim razie już to nie znalazłoby odbytu na rynkach gubernii Królestwa, już cena jego uległaby znacznej obniżce.

Rolnicy zaś gubernii Królestwa są tego zdania, że, w razie zła-godzenia ostrego różniczkowania, zboże nadwołżańskie nie spadnie w cenie ani na jedną kopiejkę, a jedynie tylko zboże tutejsze podnie-się się w cenie.

Zdanie to otrzymało potwierdzenie z najpoważniejszej strony w memoryale, dołączonym do № 25 Wiestnika finansów, przemysłu i handlu, gdzie zaznaczono następujące zdanie osób, najbardziej kompetentnych:

„W takim położeniu międzynarodowego rynku zbożowego, które znamionuje się przewagą zaoferowania nad zapotrzebowaniem, każde zmniejszenie kosztów przewozu ma tendencję do ob-niżenia cen zboża w krajach przywozowych, nie zaś do podwyższenia ich na miejscach pro-dukcyi“.

To znaczy, że na obniżeniu taryf kolejowych nie nie zyskuje Sa-ratów, tylko traci Warszawa.

Rolnicy Królestwa Polskiego doświadczyli na sobie w zupełno-ści stron szkodliwych tej prawdy; ażeby zaś sprawdzić ją ze strony pożytecznej na drodze praktycznej, powołują się na fakty nastę-pujące:

Od roku 1891 istniała w Prusach taryfa różniczkowa, wpraw-dzie łagodna i dająca się uczuć zaledwie na wielkich odległościach. Ale i ta upadła w roku 1894, pod naciskiem namiętnej opozycyi po-ludniowo i zachodnio-niemieckich rolników, sprzeciwiających się jak najporczywiej wywołaniu wewnętrznej konkurencyi na niemieckich rynkach. Z niewielu wyjątkami, mianowicie dla zboża, wywożone-go za granicę na podstawie świadectw tożsamości, lub też przewożo-nego tranzytem nawskroś całych Niemiec, co nie może prowadzić do

konkurencji wewnętrznej; wreszcie, w celu podtrzymania portów—dla zboża rosyjskiego, dowożonego do Królewca i Gdańska, ustanowiono w Niemczech jednostajną taryfę pudowiorstową, wynoszącą 4.5 fenigi na tonno-kilometr, oprócz 1.2 marek wydatków ekspedycyjnych na przebieg, przenoszący 100 kilometrów. Takim sposobem opłata przewozowa od ładunku wagonowego 10 tonn (610 pudów) na odległość 200 kilometrów (186.5 wiorst) wynosi 102 marki (47 rubli 22 kopiejki); na 500 kilometrów (468.7 wiorst) 237 marek (109 rubli 73 kopiejki) i na 1,000 kilometrów (937.4 wiorst) 462 marki (213 rubli 90 kopiejek).

Rosyjskie taryfy wynoszą porównawczo:

Na 186 wiorst	33 rub. 36 kop.		
	wobec 47	" 22	" niemieckich
Na 468.7 wiorsty	68	" 58	"
	wobec 109	" 73	" niemieckich
Na 937.4 wiorsty	110	" 59	"
	wobec 213	" 90	" niemieckich

Według słów Lotza ¹⁾, którego uważają za bardzo poważnego i gruntownego ekonomistę, najłżejsza nawet wzmianka o powrocie do taryf różniczkowych zbożowych wywołuje takie oburzenie u rolników Niemiec południowych, że w razie najskromniejszej próby wznowienia ulg przewozowych, poszłaby w niwecz cała więź solidarna agrarnego stronnictwa ²⁾.

Przypatrzmy się teraz, jakie są skutki prostej pudowiorstowej taryfy.

Monachium (w Niemczech Zachodnich) wobec niemieckiego cła zbożowego 35 marek od tonny (1,000 kilogramów) korzysta normalnie z cen zboża wyższych, aniżeli Paryż, nie bacząc na cło francuskie od pszenicy po 70 franków, czyli 56 marek 70 fenigów od tonny.

¹⁾ „Der Schutz der deutschen Landwirtschaft“, Berlin, Simion 1900.

²⁾ Strona 48.

Przywziodzimy tablicę cen za tonnę pszenicy w markach:

Lata	1898	1897	1896	1895	1894	1893	1392
Monachijskie	210.5	187.3	174.5	164.3	155.8	174.0	205.5
Paryskie . . .	206	205	157	155	156	169	188
Angielskie . .	159	142	123	108	107	123	142

„Francuskie taryfy dla zboża, również jak i dla innych towarów są różniczkowe. Wagon z Marsylii do Paryża z odległości 826 kilometrów, czyli 774 wiorst, opłaca 189 franków, czyli 70 rubli 87 kopiejek; w Niemczech kosztowałyby 383.7 marek, czyli 177 rubli 66 kopiejek, w Rosyi 98 rubli 27 kopiejek“.

Ale Lotz czyni zaraz przytem wzmiankę, że Francya potrzebuje przewozów zboża nierównie mniej, niż Niemcy, i że przebieg ze zbożem całkowitego dystansu Marsylia – Paryż należy do bardzo rzadkich ¹⁾.

Tak, czy owak, ceny w Niemczech Zachodnich nierównie są wyższe, niż we Wschodnich. Gdyby staropruscy magnaci Wschodnich Niemiec znajdowali to niekorzystnem dla siebie, potrafiliby zapewne doprowadzić do wznowienia taryf różniczkowych, ponieważ oni-to nadają ton pruskiej polityce, i znaleźliby sobie, gdyby chcieli, bardzo czynnych pomocników w obrońcach interesów klasy robotczej. Ale nie ma to miejsca bynajmniej. Pomimo dokładnej znajomości sprawy, wschodnio-pruscy panowie milczą. Jak się okazuje zatem, przekonali się oni, że wysoka cena w Monachium wcale nie powoduje niskiej ceny na Pomorzu; cena w Niemczech Zachodnich jest wyższa, lecz wschodnio-niemiecka cena nie traci na tem, a raczej zyskuje przez odbicie, w skutek ogólnego podniesienia się poziomu cen zboża.

Tym sposobem okazuje się z doświadczenia, o ile jest ono w takich razach możliwem, że praktyka bynajmniej nie usprawiedliwia obaw wschodnich dzielnic państwa rosyjskiego o spadek u nich cen zboża w razie podwyższenia taryf kolejowych.

Należy usunąć jeszcze drugą obawę, że w razie przekształcenia taryf kolejowych na przewóz zboża ustanie w guberniach Królestwa Polskiego odbył na zboże z innych dzielnic.

¹⁾ Strona 14.

Ale to przypuszczenie zbija się jeszcze zupełnie i dokładniej, niż pierwsze. Mianowicie: według ogólnego spisu ludności w państwie z roku 1897, okazało się w Królestwie Polskiem:

Mężczyzn (wraz z wojskiem)	4,774,007
Kobiet	4,691,936
	<u>9,465,943</u>
Razem	9,455,943

Ażebym odłączyć wojsko, posilkujemy się stosunkiem, zachodzącym pomiędzy liczbą kobiet a liczbą mężczyzn w guberniach Królestwa Polskiego. Według III-go Zeszytu Prac Warszawskiego Komitetu Statystycznego, na 100 kobiet wypada w naszym kraju 94.697 mężczyzn. Obliczając według tego stosunku ludność miejscową męską z roku 1897 okaże się:

Kobiet (jak wyżej)	4,691,936
Mężczyzn 94.967 %, z tej liczby	4,423,123
	<u>9,115,058</u>
Razem	9,135,058

Ponieważ w dniu 1 stycznia 1890 roku ludność krajowa wynosiła 8,266,562 mieszkańców, zatem przyrost jej obliczy się podług zasad procentu składanego na 1.45%, co znaczy, że czynił w końcu siedmiolecia około 130,000 głów rocznie.

Spżycie zboża, według szczegółowych rachunków¹⁾, dających rezultat, bardzo zbliżony do obliczeń Warszawskiego Komitetu Statystycznego, czyni na głowę ludności po 14.2 pudów rocznie.

Z tego powodu zapotrzebowanie u nas zboża powiększa się o $130,000 \times 14.2$, to jest 1,850,000 pudów rocznie, a mając na względzie, że stopa 1.45% stosuje się do zwiększającej się z każdym rokiem ludności, należy oznaczyć coroczne powiększenie zapotrzebowania zboża na dwa miliony pudów.

Na rozmaite potrzeby wynosił roczny rozchód zboża w roku 1896, podług szczegółowych obliczeń:

Na pożywienie mieszkańców	127.7
Na pożywienie dla wojsk z obrokiem dla koni kawaleryjskich	16.7
Na wyżywienie koni w kraju	38.7

¹⁾ Rachunki te do memoriału dołączono.

Na cele przemysłowe	1.8
Na zasiew	40
	Razem 224.2

Krajowa produkcya zboża, podług wykazów Centralnego Komitetu Statystycznego, czyniła w tym czasie około 206 milionów pudów rocznie. Okazuje się zatem, że już w roku 1896 potrzeby przewyższały produkcję krajową o 18 milionów pudów, i potrzeby te, jak wiadomo powyżej, wzrastały następnie o dwa miliony pudów rocznie, tak, że obecnie, po latach siedmiu, przewyżka zapotrzebowania ponad produkcję wynosi już, według wszelkiego prawdopodobieństwa, przeszło 32 miliony pudów rocznie.

Lecz ze szczegółowych rachunków, popartych badaniami pp. Żukowskiego i Wierzchleyskiego, okazuje się, że w czasie pomiędzy 1894 a 1898 rokiem inne dzielnice dostarczały corocznie ponad potrzebę po sześć milionów pudów produktów zbożowych. Zapewnie ma to miejsce i obecnie jeszcze, nie można wszakże utrzymywać tego z całą pewnością w braku odpowiednich danych.

Ponieważ powyżej obliczone 32 miliony pudów rocznie są krajowi nieodbitie potrzebne dla wyżywienia, nie może zatem zachodzić najmniejsza wątpliwość co do łatwego i korzystnego zbytu tej ilości na rynkach Królestwa, bez względu na to, jakie będą taryfy kolejowe i inne warunki. Co się zaś tyczy ilości, dostarczanej ponad potrzebę, która uciska rynek i obniża ceny, to dowóz jej wywołuje się — rzecz można — przez niskie taryfy, a głównie przez ulgowy przewóz mąki i przywilej tranzytowy. Nie byłoby w tem najmniejszej niesprawiedliwości, ani też krzywdy dla nikogo, gdyby inne dzielnice, w skutek zaprowadzenia łagodniejszego różniczkowania taryf i uchylenia ulg, znalazły się w położeniu bardziej równouprawnionem z miejscowem rolnictwem.

Co się tyczy gatunków produktu, to południowo-rosyjska pszenica wyróżnia się obfitością białka, polska zaś miejscowa: białością mąki i smakiem przyjemnym: W dziele Balloda: „Die deutschrussischen Handelsbeziehungen“ ¹⁾, wykazano następujące zawartości białka w pszenicy:

¹⁾ Beitrage zur neuesten Handelspolitik Deutschlands, Leipzig, Duncker 1900.

W „Białoturce“, produkowanej w południowej części gubernii Samarskiej i zachodniej części Orenburskiej na ziemi odleżałej, najwyższa zawartość, bo	22%
„Pererod“, „kubanka“, „girka“ i „ruska“ na całej przestrzeni rzeczonych gubernii i na punktach bardziej wyczerpanych	16—18%
Malorossyjsko-podolska	15—17%

Dla porównania z zagranicznymi przytaczamy z tegoż źródła następujące dane:

Pszenica węgierska i rumuńska zawierają białka po . . .	15—17%
Amerykańska Dakota	15.01%
„ Ontario :	12.05%
Wschodnio-indyjska	12.33%
Według miejscowych badań pszenica polska (Puławka) zawiera białka	10.09%

Pszenicę, produkowaną w Anglii i w Niemczech, pomimo wszelkich starań, rzadko przechodzą w zawartości białka 10%.

Białko, jako materia najpożywniejsza, bardzo się ceni w pszenicy, i mąka, która w nie obfituje, daje największy przyrost ciasta; według zdań osób kompetentnych, około 30%.

Dla pożywności chleba i otrzymania właściwego przyrostu, mąkę normuje się zwykle w ten sposób, żeby zawierała w sobie 12% białka. Z tego powodu pszenica rosyjska, jako obfitująca w białko, nadaje się najbardziej na przymieszkę do innych pszenic.

Pszენica Królestwa produkcji miejscowej bardzo jest cenioną z powodu białości i przyjemności smaku. Dla pożywności i przyrostu ciasta dodają zwykle do trzech części miejscowej, jedną część południowo-rosyjskiej pszenicy w postaci ziarna, lub mąki. Mąka z pszenicy miejscowej, jako bardziej obfitująca w krochmal, daje bułki ze skórką chrupką, lubione przez publiczność bardziej wymagającą, tymczasem kiedy pszenica rosyjska bez domieszki miejscowej daje skórkę mięk-

ką i daleko mniej białe ciasto. Skutkiem wszystkich tych właściwości mąka miejscowa ma zbyt w Warszawie, Łodzi i najznacniejszych miastach, pozostałe miejscowości zadawalniają się wypiekami z rosyjskiej mąki pszennej.

W najnowszym czasie dostawy z Saratowa ustały, w to miejsce zjawiała się mąka z Bessarabii; mąka zaś, dowożona z Krzemieńczuga, oraz innych punktów kraju Południowo-Zachodniego, ustępuje jej w dobroci, ale zyskuje sobie odbyć przez taniość, co obniża ceny miejscowe mąki i pszenicy.

Mąka żytnia dowozi się głównie dla wojska, w ilości znacznie mniejszej, aniżeli pszena.

Miejscowi młynarze świadczą, że mąka ta obniża ceny miejscowego mlewa.

Wobec okoliczności powyższych niema najmniejszej wątpliwości, że pewne podwyższenie taryfy przewozowej dla mąki pszennej (10 do 25%) w niczem nie osłabi jej siły konkurencyjnej, opartej na pożywności, i posłuży jedynie do polepszenia cen miejscowych i podtrzymania młynarstwa, co autorowie memoriału uważają za najgłówniejszą potrzebę. Zasada, przyjęta przez Komitet taryfowy, ażeby pszenicę mielono tam, gdzie została wyprodukowana, gromadząc odpadki w promieniu gospodarstwa najbardziej ekstensywnego, i doprowadzając otręby do niesłychanej drożyzny w dzielnicach państwa najintensywniej gospodarowanych, obniża stanowczo ogólny poziom i dochodowość gospodarstwa wiejskiego w państwie.

Przez złagodzenie urzędzeń taryfowych, sprzecznych z naturalnym postępem kultury, ani w części nawet nie tyle ucierpi dochodowość wschodnich dzielnic, ile wzrośnie możność doskonalenia gospodarstwa rolnego w innych dzielnicach.

Ażeby wyjaśnić, jaki wpływ na ceny ziarna mają młyny, przytoczyć można fakty następujące:

W gubernii Siedleckiej nad Liwcem, rzeką, dostarczającą obficie siły poruszającej, młyny placą rolnikom ceny warszawskie, i to jest jedyny, korzystny punkt zbytu w gubernii Siedleckiej. W okolicach Zegrzynka, daleko bliżej od Warszawy, gdy młyn parowy zgorzał, ceny ziarna znacznie się obniżyły. Zrozumiałem jest, że wobec przewagi zaofiarowania, młyn, jako narzędzie zapotrzebowania, jest wielce dla rolnika pożądanym. Kamień węgielny reformy, która, według najgłębszego naszego przekonania, okaże się korzystną dla ogromnej większości rolników w państwie,

polega dla rolników gubernii Piotrkowskiej na podtrzymaniu miejscowego młynarstwa, za pomocą podwyższenia opłaty przewozowej dla mąki.

Rolnicy gubernii Piotrkowskiej pokładają nadzieję powodzenia najgłówniejszego przedmiotu swoich starań w tej okoliczności, że już w 1897 roku znaczna część Rady Taryfowej, z Prezesem swoim na czele, a mianowicie: wszyscy członkowie z ramienia ministerów Rolnictwa i Finansów, również jak wszyscy przedstawiciele rolnictwa, oświadczyli się za taryfą przewozową dla droższych gatunków mąki i kaszy o 10 procent wyższą, niż dla zboża w ziarnie.

P. Minister finansów przyłączył się do jednomyślnego zdania Komitetu taryfowego i Rady do spraw taryfowych, pochwalającego ten środek. Toż samo uczynił połączony komplet Komitetu ministrów i Departamentu ekonomii państwowej Rady państwa, i pomimo to wszystko Komitet taryfowy pozostawił taryfy na produkty przemianu bez zmiany, nie przytaczając pobudek, jakimi się rządził w tej mierze. Tym sposobem, pomimo tego, że taryfy na przewóz mąki pozostawiono w dawnym kształcie, zasadnicze rozwiązanie pytania tego w kierunku przeciwnym pozostaje w swej mocy. W naradach roku 1900 dla rewizji taryf zbożowych, rolnicy wszystkich dzielnic, z wyjątkiem południowych, głosowali za podwyższeniem taryfy przewozowej na mąkę wyższych gatunków.

Naturalnie, zupełna jednomyślność była niepodobieństwem, ponieważ to, co traci wiele innych dzielnic, zyskują, jakkolwiek w znacznie słabszym stopniu, dzielnice południowe. Z drugiej strony, w razie podwyższenia opłaty przewozowej od mąki, niesprawiedliwe byłyby skargi młynarzy, „że przez zniesienie korzystnej taryfy dla mlewa są niesprawiedliwie pokrzywdzeni, tylko bowiem przez taryfę tę ośmieleni, czynili ogromne wkłady“, gdyż w r. 1893, kiedy zrównano pod względem taryfowym mąkę z ziarnem, z góry zapowiedziano krótki termin stosowania tego środka, i nadano mu charakter czasowy. Zresztą tam, gdzie pytanie rozstrzyga się w głównej treści pomiędzy interesami młynarzy z jednej, a rolników z drugiej strony, wolno, ze względu na ogólnopaństwową doniosłość rolnictwa, liczyć rolnikom na powodzenie.

Na poparcie tych wywodów nie należy też zapominać o bardzo znamiennem zdaniu najwyższej instancji ekonomicznej w państwie, to jest połączonego kompletu Komitetu ministrów i Departamentu ekonomii Rady państwa. Instancja ta, wskutek przychylnego

przedstawienia p. ministra finansów wyrzekła: „że sama możność otrzymania zboża z dalekich miejscowości po cenach niskich, dzięki taryfie przewozowej, niewątpliwie wpływa na ceny w kierunku obniżenia ich na rynkach wewnętrznych.

Stosunek taki zmienić byłoby bardzo pożądanem“.

JÓZEF JEZIORAŃSKI.

Polska w niemieckiej literaturze pięknej dawniej i dzisiaj.

W literaturze niemieckiej istnieje od dawna osobny dział, zwany naukowo i powszechnie „Polenliteratur“. Jeżeli w szerszem pojęciu słowa mieści się w niej wszystko, co kiedykolwiek Niemcy o Polsce i o Polakach napisali i ogłosili, to zazwyczaj ogranicza się to określenie do niemieckiej literatury pięknej, do liryki, epiki i dramatu, gdzie jest mowa o polskiej ziemi i o polskich jej mieszkańcach. Tą literaturą, przedstawieniem jej dawniejszych dziejów i jej dzisiejszego stanu, zamierzamy się obecnie zająć. Przedtem jednak trzeba—choćby to nawet pozornie zbytecznem się wydawało—zastrzedz, że „Polenliteratur“ nie z artystycznego punktu widzenia może i powinna być sądzoną. Prawda, że nie brak w jej przeszłości sławnych nazwisk, jak Mikołaj Lenau lub Gustaw Freytag, a i teraźniejszość jej okraszają nazwiska Hauptmanna i Sudermanna; lecz nie artystyczny poziom ich odnośnych dzieł nas tu obchodzi. Naszem pierwszym zadaniem jest odpowiedź na pytanie: jak w niemieckiej powieści, liryce, czy dramacie odzwierciedla się Polska. Im większy szmat jej znajdzie tam swe odbicie, im wyrazistszem ono będzie, tem ciekawszem będzie dla nas to dzieło niemieckiej belletrystyki; sąd estetyczny odezwie się w nas zaledwo ubocznie i cicho, bo nie tego sądu teraz słuchać chcemy. Kto jest naprzykład pan Paweł Oskar Höcker? Zestawiony z Gerhardem Hauptmanem jest marnością ledwo dla oka dostrzegalną, a jednak zajmie nas dłużej, niż ten głośny twórca „Zatopionego dzwonu“, bo Hauptmann o Polakach tylko tu i owdzie mówi i to nawiasowo, Höcker zaś nas tylko wyłącznie w powieściach przedstawia.

Jeżeli zaś dzisiaj właśnie o tej „Polenliteratur“ mówić zamierzamy, to czynimy to w przekonaniu, że nigdy stosowniejszej do tego

pory nie było. Że sprawa polsko-niemieckiego stosunku stała się dzisiaj tak aktualną jak nigdy, rzecz to powszechnie wiadoma. Mniej znanem, chociaż w ostatnich czasach i u nas obserwowanem, zjawiskiem jest mnogość ech, jakie ta polityczna sprawa znajduje w dzisiejszem niemieckiem piśmiennictwie. Gdy lat temu kilkadziesiąt i kilkanaście dochodziły nas tylko uczone sądy Niemców ich historyków o nas, obecnie, obok dziennikówożyciwiście, poczynamy się zapoznawać z publicystami, piszącymi w tej materji, a nazwiska Roerena, Massowa, Wagnera, Delbrücka nie są naszemu wykształconemu ogółowi obce. Natomiast prawie nic nie wie powszechność o odbiciu się narodowościowych polsko-niemieckich stosunków w powieści i dramacie niemieckim. Niewątpliwie ta nieznajomość łatwo da się wytłómaczyć: znośniejszą jest rzeczą przeczytać broszurę polityczną, niż przebić się przez gruby tom powieści; tamta może nas rozgniewa i oburzy, lecz nawet zaciekłość publicysty zajmie nas jako patologiczny objaw; tu zaś narażeni jesteśmy niejednokrotnie na najgorszą przykrość, jaka czytelnika dotknąć może, na nudy. A jednak może poznanie odnośnej literatury jest potrzebnem i przydatnem, może odsłoni ono niejedną niejasność, może się przyczyni do wyświetlenia sprawy, będącej tłem tej „Polenliteratur“. Zdajmy sobie bowiem z tego sprawę, że dzisiejsze postępowanie rządu niemieckiego (nie tylko pruskiego), wobec Polaków nie jest samodzielnym czynem tych sfer, lecz powstało, istnieje i rozwija się pod parciem szerokich mas niemieckiego społeczeństwa. A literatura tak zwana piękną, zwłaszcza zaś powieść, tych mas jest razem i odbiciem, i podniecią. Powieść, i to powieść zwyczajna, artystycznie bynajmniej nie wybitna, jest w niemieckiem społeczeństwie czynnikiem daleko ściślej z opinią publiczną związanym, niż u nas naprzykład, w społeczeństwie o arystokratyczniejszych popędach. Nastrój więc tych książek, jak jest z jednej strony wynikiem odpowiedniego usposobienia ludności, tak z drugiej strony na jego urobienie wpływa więcej może, niż broszury publicystyczne, których decydujące w powszechnem głosowaniu rzesze nie czytają. Fakt, że — jak się okaże, może ku zdziwieniu wielu czytelników — w obecnej „Polenliteratur“ panuje duża różnaitaść tonu, cała skala usposobienia, fakt ten nie zostaje w sprzeczności z powyższem twierdzeniem, lecz jest raczej dowodem, że i w społeczeństwie niemieckiem obok dominującej brzmia i inne struny. Niemieccy wydawcy bowiem zbyt są praktyczni, by drukowali powieść, nie mogącą liczyć na ogłos w szerokich kołach... właściciele wypożyczalni książek (osobistość kupująca książki) jest w Niemczech zjawiskiem daleko rzadszem, niż u nas.

O ile mówić będziemy o dawniejszych czasach, pomocną nam będzie praca p. dr. Roberta F. Arnolda, temu przedmiotowi poświęcona ¹⁾. Bardzo dokładne w szczegółach, przejrzyste w układzie a sprawiedliwe i uczciwe w tonie to dzieło jest tak dobrym przewodnikiem, że z niecierpliwością czekamy dalszej jego części. Co się z „Polenliteratur“ w pierwszych dziesiątkach lat ubiegłego wieku działo, jest na ogół dość u nas znanem, to też nie tyle poszczególne części, ile całokształt tego obrazu wymagać będzie naszej pracy, a owe szczegóły posłużą jako składniki ogólnej syntezy sądu o tej epoce „Polenliteratur“, odmiennego od popularnego mniemania. W charakterystyce teraźniejszego stanu tej gałęzi piśmiennictwa niemieckiego korzystać będziemy z materiału, jaki już sami zebraliśmy, bez obcej pomocy. Czy jednak, mimo zwróconej od lat kilku bacznej uwagi na tę literaturę, nie przeoczyliśmy tej lub owej książki, powiedzieć nie śmiemy, a zapewne tę obawę potwierdzić należałoby. I nie może być inaczej. Osobnej bibliografii niemieckiej „Polenliteratur“ niema nigdzie („Przewodnik bibliograficzny“ swego czasu notował odnośnie książki, ale wtedy dopiero, gdy się o nich ukazało sprawozdanie podpisane w „Przeglądzie polskim“), musi się więc zbierać na własną rękę. A łatwo to nie przychodzi. Czytanie wszystkich powieści jest fizycznym niepodobieństwem, a byłoby zdrożnym marnotrawstwem czasu. Wyszukuje się więc te książki, o których przypuszcza się, że należą do „Polenliteratur“, czasem bez trudu, częściej mozolnie i zawodnie. Jeżeli na przykład wyczyta się jako tytuł nowel „Niemiecka i polska miłość“, to niema wątpliwości, że nasz zbiór o tę książkę powiększyć się powinien. Lecz któż się domyśli, że np. pod tytułem „Rozenkranzjungfer“ kryje się wyraźnie poloniec? Zostaje więc tylko ufność w przypadek szczęśliwy a podejrzliwość względem pewnych nazwisk, które bądź słowiańskiem brzmieniem, jak np. Skowronek, domysły uprawniają, bądź znane są z tego, że tylko o Polsce piszą. Wreszcie pomocna jest niekiedy sama firma wydawcy, bo są tacy w Niemczech, jak np. Otto Janke w Berlinie, którzy niemal same tylko „polskie powieści“ na targ księgarski wprowadzają. Możliwym jest więc przeoczenie trzech, a choćby i dziesięciu książek, lecz zarówno obfitość jak i różnorodność zebranego materiału jest rękojmą prawdy opartych na nim wywodów.

¹⁾ Geschichte der deutschen Polenliteratur von den Anfängen bis 1800, Halle 1900.

*

*

*

Historyczne walki Słowian z Germanami, a potem w szczególności Polaków z Niemcami wywoływały oczywiście liczne wzmianki, zapiski u historyków i rocznikarzy niemieckich. Ograniczywszy jednak swe zadanie do literatury pięknej, za pierwszy pomnik tej Polenliteratur trzeba uważać wspomnianą w kronice Gallusa pieśń niemieckiego żołdactwa, śpiewaną po pogromie wojsk cesarza Henryka przez Bolesława III Krzywoustego:

„Boeslave, Boeslave, dux gloriosissime,
 Tu defendis terram tuam quam studiosissime,
 Tu non dormis, nec permittis nos dormire paululum,
 Nec per diem, nec per noctem usque per diluculum“.

(„Bolesławie, Bolesławie, wodzu przesławny, ty bronisz twej ziemi, jak najzarliwiej. Ty ani sam nie śpisz, ani nam choćby trochę spać nie pozwolisz, ani w dzień, ani w nocy, ani o świcie“).

Jest to jednak wyjątkowy okaz nie pierwsze ogniwo łańcucha poetyckich utworów o Polsce; tak samo ma się rzecz z ową szyderczą piosenką, ułożoną w Niemczech na wieść o ucieczce Henryka Walezysza z Polski. Dopiero z początkiem wieku siedemnastego polsko-niemieckie stosunki znajdują odbicie w piśmiennictwie naszych sąsiadów. Znanym jest ogromny upadek, w jakim żyła, a raczej wegetowała literatura niemiecka z końcem szesnastego i w pierwszej połowie następnego stulecia. Czy jest to wśród takich okoliczności przypadkowym, że pierwsze ślady odrodzenia pojawiają się na ziemi najbliższej sąsiadującej z Polską i najbardziej z nią kulturalnie i historycznie związanej, na Śląsku?

Poezya polska stała wówczas na daleko wyższym poziomie. Wiemy również, że tłumaczyli ją wtedy na język niemiecki (naprzykład Scherffera przekład „Fraszek“ Kochanowskiego), wobec tego zaś, że

niejeden z przywódców reformy poezyi niemieckiej pozostawał w ściślejszym związku z Polską, jak na przykład Marciu Opitz, „historyograf“ króla Władysława IV, a o innych znowu, jak np. o Andrzeju Gryphiusie, wiemy, że władali językiem polskim — wobec tych wszystkich okoliczności nie zbyt śmiałem się wyda przypuszczenie, że mamy tu jedyną może chwilę, kiedy nie niemieckie piśmiennictwo na polskie, ale polskie na niemieckie wpływało. Nie naszym jest zadaniem zbadać dokładnie tę ciekawą kwestyę, — na którą zresztą pierwszy wskazał w uniwersyteckich wykładach w Krakowie, znakomity germanista, a szczerzy Polaków przyjaciel, prof. dr. Wilhelm Creizenach — bo dla nas jest to tylko gruntem, z którego wyrasta bujnie ówczesna „Polenliteratur“. Jej charakterystyka jest dość prosta: poezya to dworacka, opiewająca nie tyle Polaków, ile króla polskiego, pauegiryeczna, ale bez śmieszności, w motywach zaś szczególnie w przeszłość sięgająca.

Nie mogło być inaczej: historycznym był wówczas charakter dworackiej poezyi, wielbiącej dynastycznych przodków monarchy, owa zaś „polska poezya“ Ślązaków musiała tem bardziej przyoblec kostium historyczny, że terażniejszość ówczesna Polski tym ludziom wcale nie była znaną. I oto zaraz tutaj, u początku właściwej „Polenliteratur“ natrafiamy na wybitną a ujemną cechę całej tej gałęzi piśmiennictwa od siedemnastego, aż gdzieś do dwudziestego wieku: nieznaną polskich stosunków, o których się jednak mimo to pisze. Raz do tej ignorancyi przyzna się autor i dla tego cofnie się w przeszłość, którą łatwiej od biedy z jakiego podręcznika poznać, niż nieskodyfikowaną terażniejszość; kiedy indziej znowu autor, wbrew lepszemu sumieniu, mimo tej ignorancyi uprze się pisać współczesną powieść „polską“ i zmyślać w niej będzie. Czasem ta ignorancya w dziele uczciwego pióra wywoła na usta świadomego rzeczy czytelnika tylko łagodny uśmiech pobłażania; innym razem jednak ignorancya dla zamydlenia oczu czytelnika rzucać będzie tem szpetniejszym błotem paszkwilu i pamfletu. Najpiękniejszy w uczuciu a artystycznie najcenniejszy utwór tej poezyi związany jest z imieniem śląskich Piastów, którzy, wymarłszy w linii cieszyńskiej (w r. 1625), żyli jeszcze w linii lignicko-brzeskiej. Na powitanie oczekiwanego narodzenia się potomka tej rodziny, owego Jerzego Wilhelma, który miał być ostatnim Piastem, Andrzej Gryphius, wspomniany już poeta, głośny i wielbiony wówczas, pisze dramatyczny „Festspiel“ p. t. „Piastus“, rzecz w historycznym kolorycie bardzo naiwną, wzorem ówczesnej poezyi mieszającą wyobrażenia chrześcijańskie z grecką mytologią, lecz pisaną szlachetnie, a tam zwłaszcza, gdzie

o idylicznym życiu skromnego Piasta mówi, nie bez poetycznego wdzięku.

Wojny, jakie Rzeczpospolita prowadziła w drugiej połowie siedemnastego stulecia, sprzyjają rozwojowi „Polenliteratur“. Panoszące się w r. 1656 w murach stolicy Jana Kazimierza wojsko „wielkiego elektora“ natchnęło jakiegoś nędznego wierszokłite do podłego i ordynarnego pamfletu na Polskę, w którym się może po raz pierwszy pojawiają wszystkie przewiska, wszystkie oszczerstwa bliższych nam chronicznie paszkwilantów, a frazesy o „polskiej gospodarce“ i o „rządach szlachciców“ widnieją tu na czele repertuaru inwektyw, podobnie jak jest i po przeszło dwustu latach. Równocześnie jednak wychodzi we Frankfurcie nad Menem uczciwsze, aczkolwiek dziwniejsze, dzieło anonimowe „Polonia suspirans“, jedno z najstarszych niemieckich naśladownictw Lucjana „Rozmowa umarłych.“ Przed trybunałem, dziwnie złożonym z Cyncerona i Savonaroli, Tacyta, Tamerlana i innych, wywodzi Rzeczpospolita swe żalosne skargi na ucisk, jakiego doznaje ze strony Szwecyi i Marchii Brandenburskiej, a i w innych dziełach i broszurach brzmią echa orężnej rozprawy dwóch potężnych mocarstw północy. Jeszcze większy ruch uzdolnionych i mocnych piór wywołał rok 1683 z przesławną odsieczą Wiednia ¹⁾.

Ale jakżeż pouczającym jest nagły zwrot, który się dokonał pod tym względem w poezyi i opinii publicznej w Niemczech: o ile pod pierwszym wrażeniem i ulotne pisma, i wiersze wielbią Sobieskiego, jako zbawcę Wiednia i chrześcijaństwa, o tyle niebawem, gdy w politycznych stosunkach Austrii i Polski chłód zapanował, słyhać zrazu lekceważące uwagi, usiłujące osłabić znaczenie udziału Jana III w walce, a potem nawet i proste napaści na Polaków i na króla.

W nową epokę dziejów niemieckiej „Polenliteratur“ wstępujemy z chwilą wyboru pierwszego Sasa na tron polski. Jak brzemienym w smutne następstwa był ten moment dla Polski, wiemy dzisiaj dobrze, równie zaś zdajemy sobie sprawę z tego, że i dla Saksonii nie był on szczęśliwym, poczynamy wreszcie wierzyć, jak fatalnie rok 1697 zaciążył i nad Europą, ułatwiwszy — jeśli nie umożliwiwszy — wskrzeszenie cesarstwa niemieckiego w dwa wieki potem pod egidą Prus. P. Arnold, autor książki, która, jak się wyżej powiedziało, jest najlepszym naszym przewodnikiem aż do r. 1800, wykazuje, chociaż może za słabo uwydatnia, jak elekcya Augusta II Mocnego zde-

¹⁾ Por. Lucjana Tatomira „Głosy współczesnych Niemców o królu Janie III itd.“ w „Biesiadzie lit.“ z r. 1833.

prawowała i zdaje się na zawsze zepsuciem zakaziła i „Polendichtung!“ Już w początkach siedemnastego wieku widzieliśmy na ziemi śląskiej dworactwo w tej literaturze; teraz występuje ono tem wyraźniej, bo na owe czasy i na saskie kraje przypada rozkwit osławionego panegiryzmu, zaś jest o tyle mniej uczciwem od tamtego, że, pochlebając królowi, nie waha się lżyć narodu. Aby się przypodobać Augustom, wmawia się w nich poświęcenie, ofiarę, którą rzekomo spełnili, przenosząc się z dziedzicznego kraju do Polski, a chcąc wrażenie tej wymyślonej ofiary spotęgować, maluje się Polskę i Polaków w jaknajczarniejszych barwach, przemilczając dobro, generalizując zło, kłamiąc tam, gdzie nawet przesada dość ponurego obrazu nie daje. Utworów i wierszy jest tu co niemiara, nazwisk, od ówczesnego dyktatora niemieckiej poezji, od Gottscheda począwszy, cały legion — ale doprawdy, nie potrzeba być Polakiem, aby wzruszyć ramionami na to deptanie estetycznego smaku, a oburzyć się na poniżenie ludzkiej godności.

Takie wypadki, jak naprzykład smutna toruńska sprawa z r. 1724, dawały pożądaną sposobność lżenia Polaków z obludnego liberalnego stanowiska. August III nie mniejszą liczbę pochlebców miał wśród niemieckich pseudo-poetów, lecz i jego przeciwnik, Stanisław Leszczyński, cieszy się szczersem, bo bezinteresownem poparciem Muz. Nie tylko w Gdańsku, gdzie uczciwe sympatye polskie, dzięki mądrym naszym tam rządóm, najdłużej się zachowały, lecz i w rdzennej niemieckiej ziemi późniejszy władzca Lotaryngii był ulubieńcem poetów, a Herder, naprzykład, w pocziwch, chociaż kulawych, wierszach ubolewał nad „nieszczęśliwą Polską“, że dwa razy wzięła Leszczyńskiemu koronę, którą mu sama dała, i żałował jej, że sama nie chciała stać się ową idealną wyspą Demokala, o której „król-filozof“ tak pięknie pisał.

Po śmierci Augusta III w literaturze, o której mówimy, widać znaczny a łatwo zrozumiały odpyw: sprawy polskie z pierwszych lat panowania Stanisława Poniatowskiego nie pozostawały już w tak ścisłym, jak dawniej, związku z Niemcami, ani też nie zwracały na razie powszechnej uwagi Europy. Potrzeba było dopiero wypadków poprzedzających (pierwszy rozbiór), aby rozwinęła się na nowo „Polendichtung“. Czynem, który ją do życia powołał, budząc ze snu kilku dziesiątek lat, było zawiązanie się konfederacyi w Barze. Uważana w Niemczech jedynie za wybuch fanatyzmu religijnego i nietolerancyi, konfederacya ma swoją literaturę publicystyczną, która nas jednak tutaj bliżej obchodzić nie może. Niema braku jednak i jej odgłosów w literaturze, której, chociaż czasem tak niesłusznie, miano pięknej dajemy. Taki Jan Michał Hofmann, lekarz, znany zresztą

lepiej w medycynie, niż w literaturze, daje życie prozaicznej tragedji o „Konfederatach i dyssydentach, czyli skutkach nienawiści religijnej“, gdzie bez najmniejszej znajomości lokalnego kolorytu, jedynie z pomocą frazeologii wieku Oświecenia, rzuca tragiczne gromy na „intryganta“ marszałka konfederacyi, a losem jego niewinnych ofiar melodramatyczne łyż z ócz czulego widza wyciska. Fa, ten lekarz ma rywala w osobie Fryderyka Wielkiego, który, maczając pióro w wolteryńskiej ironii i w swej własnej perfidy, w drewnianych „vers communs“ na Aroueta „Guerre civile de Genève“ i „Dziewicy orleańskiej“ się wzorując, śpiewa „Guerre de confédérés“ (1771); pogardy godna „Sottise“ i Dyabeł w przebraniu Jezuity dzielą się hańbą fanatyzmu religijnego, a obrazowanie polskiego środowiska zamyka się w kilku polsko-francuskich wyrazach, jak „towargis“, „pacholek“ itd.

Poemat nie ukazał się w druku, tylko królewski autor posłał go do Petersburga w hołdzie Imperatorowej. Tymczasem zaś już inny wypadek zapłodnił niwę literatury o Polsce mówiącej, i to nie w Niemczech jedynie i nie w Niemczech szczególnie. Był nim nieszczęśliwy zamach na króla, dokonany dnia 3 listopada 1771, owa pamiętna noc, około której Henryk Rzewuski ugrupował fabułę swego „Listopada“. Sławnym poza granicami kraju stał się w pierwszym rządzie najdramatyczniejszy charakter tego zdarzenia, Kuźma-Kosiński, którego pewna arystokratyczna gazeta angielska zaraz oczywiście hrabią nazwała. W Niemczech roi się wprost od patetycznych ód o tym nieszczęsnym „3 listopada“, nie mniej sławnym w ówczesnej poezji, jak w pół wieku potem opiewany przez Manzonięgo „5 maja“ 1821 r., dzień śmierci Napoleona. Sam Fryderyk Wielki uznał za stosowne do wspomnianego już powyżej poematu dołączyć jedną zwrotkę o tej nocy, a i u niego, jak jeszcze wyraźniej u innych, działa chęć politycznego spożytkowania tego wypadku: Stanisław August pasowany jest na „najlepszego króla“; w Kosińskim, wybawcy napadniętego i uwięzionego, akcentuje się dyssydenta, a imię jego otacza taką chwałą, że Schiller uwiecznia go w szlachetnym (nawiasem mówiąc nie Polaku, jak się o nim u nas powszechnie sądzi, lecz Czechu), zbójcy Kosińskim; ha, do dziś dnia to nazwisko jest tam popularnem, a jeszcze w r. 1895 przypomniał je Sudermann w „Walce motyli“. Wobec takiego rozgrania się lirycznych strun nie leni się i Muza eposu, a ks. Adam Kazimierz Czartoryski otrzymuje w hołdzie od „stabs-fouriera“, gwardyi królewskiej, Niemca J. H. Albrechta, poświęcony sobie poemat o „Porwaniu króla Stanisława Augusta“, w czterech pieśniach, na nutę „Messyady“ Klopstocka śpiewany. Jako „curiosum“

dołączmy, że jeśli wolno wierzyć współczesnym pamiętnikarzom niemieckim, dzieje tej nocy opracowywano w gimnazyum w Halberstadt w ćwiczeniach szkolnych.

Wobec takiego pojmowania konfederacji barskiej, a rozgłosu zamierzonego zamachu na króla, nie można się dziwić, że pierwszy rozbiór Polski w r. 1772 w Niemczech nie tyle z narodowych, ile z politycznych pobudek nie wzbudził w społecznia. Przeważający w ówczesnym życiu duchowem kierunek Oświecenia widział w nieszczęściu Polski przede wszystkim karę za „zacofanie i średniowieczny fanatyzm religijny“, chociaż swoją drogą z bardzo nielicznymi wyjątkami tamtejsi publicyści mozolą się nad tem, aby z barków Fryderyka zrzucić odpowiedzialność. Po rozbiorze, gdy rozpoczęła się pierwsza emigracya polska pierwsza w zakresie kół arystokratycznych, nie chcących przyjąć obcego poddaństwa, rośnie czysto materyalna ciekawość do Polski, o której piszą teraz politycy, historycy a najszczerzej podróżnicy (jest w ich liczbie i Goethe, który w r. 1790 z ks. weimarskim Karolem Augustem podróżował po Polsce, był naprzykład w Krakowie, Wieliczce i Częstochowie, lecz poza mineralogicznymi notatkami napisał o swych wrażeniach tyle tylko w liście do Herdera: „Widziałem w tych ośmiu dniach wiele rzeczy godnych uwagi, aczkolwiek przeważnie tylko negatywnie godnych uwagi“) Nie o wiele wydatniej przedstawiają się notatki z podobnej podróży filozofa Fichtego (z 1791). Cała ta bogata, przynajmniej ilościowo, literatura stoi poza obrębem naszego zadania, a tak samo nawiasowo i dla podmalowania tła wspominamy o pierwszym istotnem zadzierzgnięciu ściślejszych węzłów pomiędzy polską a niemiecką nauką i literaturą, zarówno w sferze teatru czy księgarni (naprzykład sławny Gröll), jak i w dziedzinie tłumaczeń polskich utworów na język niemiecki, a niemieckich na polski, wreszcie i w kilku mniej lub więcej poważnych czasopismach ¹⁾).

Mimo wszystkie te objawy, tem częstsze, im bliżsi jesteśmy czasów rozbiorowych, niemiecka „Polenliteratur“ około roku 1772 dziwnie jest ubogą i chłodną. Sławne nazwisko twórcy każe na pierwszy plan wysunąć rzecz nieskończoną, pozbawioną artystycznej wartości, a prócz kilku polskich nazwisk nie polskiego niemającą. To „Horoskop“, dramatyczny fragment Lessinga. Miała to być tra-

¹⁾ Naprzykład „Warschauer Bibliothek“ w latach 1733—55 wydana przez Wawrzyńca Mitzlera von Koloff, nadwornego medyka króla Stanisława, bardzo dla Polaków życzliwa.

gedya w rodzinie Opalińskich, gdzie syn, Łukasz, kasztelan „von Cressici“ (sic!) przypadkowo zabija ojca, Piotra, wojewodę podolskiego, spełniając w ten sposób proroctwo, jakie przed urodzeniem dziecka uczony astrolog wypowiedział. Historycznym tłem miały być wojny Polski z Tatarami, odbicie pohańcom jeńców, między którymi znajduje się i Anna Massalska, wprowadzająca do dramatu pierwiastek erotyczny, wreszcie błąka się w scenariuszu historyczna postać angielskiego lekarza i podróżnika z końca XVII wieku: Connora. Całość porzucona w bardzo prymitywnym stadium, celuje chyba tylko dziwactwem pomysłu, to też bynajmniej nie żalujemy, że krakowski germanista, Creizenach, w r. 1894 na zjeździe niemieckich filologów wykazał jako źródło fabuły czwartą Deklamację Kwintyliana, którą Lessing zupełnie dowolnie w pseudo-polski kostium przyodział. Drugim dziwactwem ówczesnej „Polenliteratur“ jest śmieszna kopia „Werthera“ Goethego, „Masuren“ niejakiego von Gorié, przyczem osobno trzeba zapewnić, że „Masuren“ jest to nazwisko bohatera (!), a polską narodowość reprezentują panowie Wolziński i Bomirsky, zakochani w cudnej Euphrasii. Liryka zapewne jest mniej dziwaczną, lecz najcharakterystyczniejszy jej okaz (i najprzychylniejszy dla Polaków), patetyczna oda Schuberta, nieszczęśliwego nie bez własnej winy, wirtemburskiego ziomka Schillera, pierwsze typowe „Polenlied“ stanie przed sądem dopiero wtedy, gdy osądzimy sławną „Polenliryk“ pierwszej połowy dziewiętnastego wieku, której Schubert jest pierwszym zwiastunem.

Dopiero bezskuteczne wysiłki r. 1791 i 1794 zdołały pozyskać dla Polski tych wśród Niemców, którzy jej dotychczas z politycznych powodów byli nieżyczliwi. Około tych wypadków, a szczególnie około osoby naczelnika, grupuje się tyle ulotnych pism, broszur i książek, że można tylko w najogólniejszych zarysach nakreślić obraz tej literatury. Brzmi w niej ucziwe uczucie i poważna myśl, a Kotzebue, który dla upadłej sprawy nie ma współczucia, jest wyjątkiem. I on jednak zbyt bacznie zwykł był patrzeć na to, skąd wiatr wieje, żeby nie zapragnął dla własnej korzyści spożytkować tak popularne wówczas polskie motywy. Jak Francuza Louveta de Couvray ¹⁾, popularna powieść, ze słynną bohaterką romansu, Lodoiską, była niejako skodyfikowaniem romantyki polskiego środowiska, które zwłaszcza w operze Cherubiniego opanowało sceny europejskich teatrów, tak Kotzebue, ogłaszając melodramat p. t. „Hrabia

1) „Les amours du chevalier de Faublas“, 1787.

Benjowsky, czyli sprzysiężenie na Kamezacie“, wyzłobił tej romantyce równie wygodne łożysko, po którym ona pobiegła w świat, w części znowu za pośrednictwem opery: „Beniowski“ Boieldieu. Znacznie więcej sympatyj miał dla Polski Jan Gottfried Seume, który też daleko lepiej znał sprawę, służąc jako oficer pod Igelströmem. Nie sentyment przez jego usta przemawia, lecz rozum trzeźwy i bezstronny, nie egzaltuje się w tym lub owym kierunku, stąd głos jego, z razu obojętność wobec nas mający, później dopiero przyjazny, jest tem cenniejszym. Wyda się on jednak zimnym wobec tych świetnych fajerwerków entuzjazmu, jakimi bolesną drogę oświecał nam Zacharyasz Werner, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli niemieckiej „Polenliteratur“, łączący jej dzieje w wieku osiemnastym z dziewiętnastym stuleciem. W r. 1794 królewski pruski urzędnik w Płocku widział z bliska ówczesne wypadki i wtedy, dotychczasowy zwolennik Oświecenia, a jako taki przeciwnik Polski, zapalił się do niej i innych tym samym ogniem rozplomienić usiłował. Szlachetna to była niewątpliwie indywidualność, chociaż nie wyrównana i nie wolna od dziwactw; głośny w poezji, jako autor osławionych (nie zupełnie sprawiedliwie) „Schicksaldramen“, utonął potem w mistycyzmie, a nigdy granic w uczuciu ani miary w słowach nie znał. Takie samo piętno mają i jego utwory, a wśród nich i te, które o Polsce mówią.

Bądź co bądź, jednak Wenera imię otwiera kilkudziesięciolecie „Polenliteratur“, nie tyle znane, ile tradycyjnie w naszym społeczeństwie wspominane a dzisiejszemu usposobieniu przeciwstawiane. Zanim ta fala liryki i dramatów, eposów i romansów podpływie ku nam tak blisko, że i nas ogarnie, najlepsza jest pora przypomnienia tego utworu, który, będąc aż po dzień dzisiejszy najwspanialszym dziełem niemieckiej „Polenliteratur“, w tej powodzi patetycznych ód i entuzjastycznych pieśni zajmuje osobne, niemal obojętne, stanowisko ¹⁾.

Bo trzeba pamiętać o tem, że „Demetrius“ Schillera nie oznacza bynajmniej szczególniejszego zainteresowania się poety sprawą polską, tem mniej zaś jest dowodem jakiegoś współczucia. Zdawna lubujący się w wielkich „Staatsaktionen“, poeta zaciekał się szczególnie problematem pretendenta do korony, a jak plan „Warbecka“ tak i fragment „Demetriusa“, tej ciekawości przedewszystkiem istnienie zawdzięcza. Że zamiast angielskiego, zajął go pretendent

¹⁾ Porównaj końcowy rozdział Stanisława Tarnowskiego „O dramatach Schillera“.

do rosyjskiego tronu, w tem znowu Polska żadnej nie odgrywa roli. Podniety należy szukać gdzieindziej: w zaślubinach następcy tronu weimarskiego z wielką księżniczką Maryą Pawłówną. Szwagier poety prowadził negocyacye w tej sprawie, Schiller sam na wjazd młodej pary napisał piękny alegoryczny dramacik „Die Huldigung der Künste“, a myśl, raz zwrócona w tamtą stronę, odświeżyła dawniej, za młodych jeszcze lat, powziętą znajomość historycznego faktu. Jak mało poecie Polska znaczyła, przekonano się po ogłoszeniu wszystkich znalezionych w pośmiertnych jego papierach notatek i urywków. Oto w przeciwieństwie do istoty poważnych studyów, odnoszących się do historii Rosyi dzieł, których spis jest długim, brak w tych zapiskach najwybitniejszych książek niemieckich o Polsce. Powiedzmy bez ogródek, że to, co Schiller o Polsce powiada w „Demetriusie“ pomijając już błędne szczegóły (naprzykład „liberum veto“ już w r. 1605, omyłka nieco kompromitująca eks-profesora historii na uniwersytecie w Jenie), odtwarzanie Polski bynajmniej nie zadawała. Że nie ma paszkwilu o nas, to rozumie się samo przez się u poety tej zacności serca; że obraz jest wspaniały a zasadnicze jego kontury nie są fałszywe, to jest skutkiem i wielkiego geniuszu, i znacznie już mniejszej znajomości historii ogólnej, nie polskiej specjalnie. „Demetrius w jednym tylko momencie wynikł z ówczesnego zainteresowania się Polską, a zasługa wykrycia tego związku należy się dr. Arnoldowi. Zwrócił on uwagę na anachronistyczną, jakby Ibsena poprzedzającą, kreacyę Lwa Sapiehy, który sam jeden sprzeciwia się zerwaniu sojuszu z Moskwą a popieraniu Samozwańca i wygłasza te ibsenowskie słowa ¹⁾.

„Większość powiadacie?

Czemże jest większość? Większość to głupota:

Rozum, ten zawsze mniejszości udziałem.

.

Należy głosy ważyć a nie liczyć.

Wcześniej czy później państwo runąć musi,

W którym zwycięża większość nie rozsądek,

I bezrozumni rozstrzygają sprawę.“

¹⁾ Cytujemy według wydanego w roku 1900 przekładu S. Morawskiego.

Oto Arnold przypuszcza niewątpliwie, że postać ta powstała pod wpływem uroku, jaki otaczał za dni Schillera ks. Kazimierza Nestora Sapiehę, który założył publiczny a wymowny protest przeciw przystąpieniu króla Stanisława Augusta do Targowicy, i w latach 1792—1794 w Dreźnie przebywał. Wprawdzie więc wprost przeciwnem jest zachowanie się wobec Rosyi tego a schillerowskiego Sapiehy, obu jednak łączy energiczny protest przeciw ogólnemu prądowi. Z tym jednym wyjątkiem wspaniałe torso niemieckiej literatury nie jest dokumentem żywszych poety uczuć dla obcego narodu, a zarówno porzucenie pierwszego aktu mającego się w Samborze rozgrywać, jak i zależność od Louveta w epizodzie Lodoiski, świadczą o zupełnem milczeniu osobistej nuty w przedstawieniu Polski i Polaków. Nie zawadzi wreszcie dodać, że Schiller (wzorem Fryderyka Wielkiego) wplata w niemiecki dyalog parę słów polskich, co w naszych czasach się powtarza, a wywołuje nieraz pocieszne nieporozumienia, uieraz zaś niedorzeczności. Kto wie zresztą, czyby i u Schillera tak nie było: w zachowanych scenachwprawdzie poprawnie stoją wyrazy „rokosz“ i „sejm walny“, ale co powiedzieć na to, że zdaniem poety, jak czytamy w „Collectanea“, Polacy mówią do króla Moski Krullo (sic! tj. wielki albo łaskawy królu)...

Jeszcze ujemniejsze wyniki daje rozpatrywanie pism Goethego, o którym tu mówimy, by przemilczenie nazwiska nie wydało się przypadkowym. Najgenialniejszy poeta i najwszechstronniejszy człowiek znał Polaków z Karlsbadu i Weimaru¹⁾, nieco i polską literaturę, ale w tem jest towarzyski lub ogólnie kulturalny interes, a naprzykład wiersze do pani Szymanowskiej do „Polenliteratur“ nie mogą być zaliczone. Wydobyty niedawno z zapomnienia dziwaczny projekt germanizowania ziem polskich pod rządami pruskimi za pomocą teatru ludowego wędrownego jest jednym więcej dowodem obojętności względem Polski i—nierozumienia Polaków.

Poszedłszy śladami Schillera i Goethego, oddaliliśmy się od Zacharyasza Wernera, który wprowadził nas w sam środek polonofilskiej literatury. Zaczęta w wieku osiemnastym zapelnia ona prawie całą połowę następnego i z całego obiegu dziejów „Polenliteratur“, najlepiej, a raczej jedynie jest powszechnie znaną. To też na powtórzenie znanych szczegółów, nie zawsze na tem miejscu możliwe,

¹⁾ W dziełku podpisanego pod tytułem „Weimar“ (1902) omówione są najwybitniejsze polskie znajomości poety: pani Szymanowskiej, Mickiewicza i A. E. Odyńca.

ważniejszym jest ogólne ocenienie tej grupy autorów i utworów, a nazwiska jednych i drugich posłużą potem dopiero do uwydatnienia sądu zbiorowego.

Burzyć budowlę złudzeń jest rzeczą przykrą, a jednak znajomość i tej literatury, i charakteru narodu niemieckiego, innego sądu podyktować nie może, jak ten, który jednym się wyda przesadnie chłodnym, innym może wprost paradoksalnym. Znajomość narodowego charakteru naszych zachodnich sąsiadów mówi przedewszystkiem, że lubią być sentymentalnymi wtedy i o tyle, kiedy i o ile ich to nie nie kosztuje, nie dotyka ich materyalnych czy kulturalnych, ich indywidualnych, czy ogólnych interesów. Trzeźwy aż do oschłości i bezwzględności w życiu praktycznym Niemiec chętnie oddaje się w wolnych chwilach nieszkodliwej sentymentalnej egzaltacji, roni łzy w teatrze lub wzdycha nad romansem, lecz bacznie się chroni, by łzy i westchnienia nie wdzierały się w jego praktyczne życie, a kto by te teatralne łzy i romansowe westchnienia u niego chciał brać za stan trwałe, spotka się z szyderstwem, ktoby zaś chciał je na swoją korzyść spożytkować, spotka się z brutalnym oporem. Takimi teatralnymi łzami, takimi romansowymi westchnieniami była sentymentalna Polenliryk przed i po r. 1831, a żeśmy ją za inną brali, spotkało nas szyderstwo i brutalność, i spotkać nas musiały. Lecz stwierdzając to, nie wyczerpuje się jeszcze całej charakterystyki poezyi Lenauów i Mosenów, Wernerów i Holteiów. Świadomie lub bezwiednie było w niej jeszcze co innego, a gorszego. Ilekroć czytamy te egzaltowane wiersze, doznajemy wrażenia, jakoby bawiono się z nami, nadużywano nas do odgrywania komedyi. To nie o nas chodzi, to nie o sprawę niby to za słuszną uważaną, lecz jedni dawali ujście naszym kosztem swemu wrodzonemu popędowi do roztkliwiania się lub do wolnościowych zapędów, inni wyrządzali nam jeszcze większą krzywdę, bo używali nas jako czerwonej chusty do drażnienia kogoś innego, komu dokuczyć chcieli, a z kim inaczej rozprawić się bali. Obrazek śmieszny dla obcych, dla interesowanych bolesny: Michaś ściska serdecznie Stasia, aly wzbudzić gniew w Iwasiu. A Staś jest tak naiwnym, że te uściski za dobrą monetę bierze. Albo inny obrazek: Niemiec podbudza Bura do walki z Anglikiem, a gdy Bur ufny w złote słowa, chce praktyczną z nich wyciągnąć konsekwencję, Niemiec brutalnie za drzwi go wyrzuca. Być może, że pomiędzy wszystkimi ówczesnymi polonofilami nie było ani jednego, któryby świadomie tak z nami igrał; lecz charakter narodu działa w jednostkach nawet wtedy, gdy one sobie sprawy z tego nie zdają. Zrobilibyśmy wyjątek tylko dla jednego Lenaua, ale też on nie jest Germaninem

czystej krwi—rodził się gdzieś na Węgrzech, a cygańska muzyka mu do snu w kołysce przygrywała.

Ale reszta, ale wszyscy inni, chcąc, czy nie chcąc, wiedząc, czy nie wiedząc, nadużywali naszego imienia. I gdyby przynajmniej ta „Polendichtung“ była rozszerzyła, pogłębiła w Niemczech znajomość Polski. Lecz nie, ona wojowała tylko samemi frazesami, jeśli nie pobożnemi kłamstwami, a cała od początku do końca jest tak banalną, tak konwencyonalną, że wystarczy naprzykład zamiast nazwisk Sobieskiego, Poniatowskiego itd., podstawić inne z historii jakiegokolwiek bądź innego narodu, a ta „Polendichtung“ przemieni się w hymn na cześć innego narodu i doprawdy tak samo do niego będzie pasowała, jak do nas.

Nie dosyć na tem. Skutki były fatalne. Nie tylko dla tego, że braliśmy te frazesy za prawdę, na której opierać się można, lecz w tem przedewszystkiem była szkoda, jaką reakcją wywołała ta literatura w łonie samego niemieckiego społeczeństwa. Niemiec w jednostce i w zbiorowem ciele skłonny jest do lez i westchnień, lecz się ich wstydzi zaraz potem, i popłakawszy i powzdychawszy, tem chłodniej, tem zimniej weźmie się do codziennej pracy, a wspomnienie tamtych chwil pobudzi go do tem większej szorstkości. Podobnie musiało być i tutaj: „Katzenjammer“ po uniesieniach, szorstka reakcja po czułych deklamacyach, tak wśród jednostek, jak wśród rządu, któremu takie roztkliwianie się na stałe wydało się niebezpiecznem, bo nużby Niemcy rozsentymalizowali się i rozwichrzyli na dobre. Ani szyderstwo Heinego, ani nienawiść Freytaga nie byłaby się zrodziła bez czułości Platena i Mosena, a i dzisiaj jeszcze ówczesna „Polenlyrik“ jest czerwoną chustą, ale nie w oczach potężnego mocarstwa sąsiedniego, tylko wobec samych Niemców, których wspomnienie tamtego „dzieciństwa“, do tem większej ostrości w hakietyzmie podnieca... Więc doprawdy czas już, byśmy i my przestali wielbić tę „Polendichtung“, lzy ronić po jej zgonie, wzdychać za jej zmartwychwstaniem.

W szczególży tutaj wchodzić nie możemy. Zresztą zbyt dobrze znaną jest ta literatura. Zaczyna się na seryo i na większą skalę w Warszawie, wówczas pod pruskiemi rządami zostającej. Zacharyasz Werner, jak wiadomo, jest łącznikiem pomiędzy tą epoką a ostatniemi latami istnienia państwa polskiego. Nie ustaje w tej twórczości i później, a po dramacie o „Krzyżu nad morzem Bałtyckiem“ idzie w r. 1808 „Wanda“ wielka historyczna tragedia, która nawet Goethemu tak się podobała, że ją w Weimarze w tamtejszym nadwornym teatrze wystawił. Temat dla niemieckiego autora niebezpiecz-

ny, bo oparty przecież właśnie na antagonizmie polsko-niemieckim a jednak i Werner, i—co dziwniejsza—inni poeci niemieccy, którzy go się imali, przychylnie go dla Polaków traktowali (tak np. jeszcze w r. 1896, zdarzyło nam się czytać „romantyczny poemat“ o dziewiczej królowej, pióra człowieka bardzo poważnego, bo archiwisty w starożytnym, bardzo zasłużonym klasztorze, w St. Gallen, Jana Bolla, rzecz często w polskim kolorycie błędną, ogółem jednak szlachetną i piękną). W r. 1816 Werner przenosi się na Podole i znajduje był w polskim domu u hrabiego Chołoniewskiego, a ostatnie jego lata, zaznaczone w życiu nawróceniem na katolicyzm i coraz głębszym mistycyzmem, odbijają się w jego „polskiej“ poezji, szczególnie w religijnie nastrojonym dramacie o św Kunegundzie.

Okolo r. 1820 łożysko, którem płynie niemiecka „Polenliteratur“ na razie się nieco zwięża, co pozostaje oczywiście w związku z ogólnym wyczerpaniem się historycznego i narodowego interesu po upadku Napoleona, z drugiej zaś strony spowodowanem było chwilowym uspokojeniem spraw polskich. Lecz zastój przemija prędko, na to, aby niebawem ustąpić temu zalewowi, do którego przedewszystkiem odnosiły się nasze, dopiero co wyłożone, zapatrywania. Najbardziej znany i najzaśniejszy przedstawiciel tej Polenlyrik, Mikołaj Lenau, wszedł na tę drogę, po części polską ręką prowadzony. Zapoznawszy się mianowicie z Mikołajem Bołoz Antoniewiczem, przetłómaczył niemieckim wierszem jego „Pożegnanie Galicyi“, przylgnął do całego narodu i wnet znalazł w „Pieśniach polskich“ sposobność publicznego wypowiedzenia tych uczuć. Odtąd jego nazwisko utkwilo w pamięci polskiej, wiodąc z sobą imiona Platenów, Mosenów i innych. Mniej znanym jest udział Franciszka Grillparzera w liryce, powstałej w r. 1831, chociaż naczelny austriacki poeta jest ponad to autorem fantastycznego opowiadania p. t. „Klasztor w Sandomierzu“, spisane—jeśli mamy wierzyć zapewnieniu poety—„podług zdarzenia podanego za prawdziwe“. Zarówno nazwisko twórcy, jak i typowy charakter tego romantyczno-fantastycznego szkicu powieściowego zachęca do podania w paru słowach jego treści, a będzie to zarazem potwierdzeniem naszego sądu, że w czasach i wskutek rozkwitu polonofilstwa w poezji niemieckiej znajomość Polaków tam bynajmniej nie postąpiła, owszem cofnęła się w gąszcze tajemnic i teatralnych efektów.

Jak teatralnym i byronowskim bowiem jest bohater opowiadania, Polak Starzeński, który, ożeniony z Elgą (!) Laszek, sądzi, że jest szczęśliwym, zwłaszcza, gdy mu się rodzi długo oczekiwany syn; prawda, że chłopak, jakby „na wspak“ przypomina rodziców, tak jest do nich niepodobnym, lecz mimo to szczęście ojca jest niezamącone,

aż do chwili, gdy odkrywa mu się straszna tajemnica: oto żona zdradza go systematycznie ze swym kuzynem, Ogińskim, którego kochała już dawniej, nie mogąc za biednego wyjść. Teraz autor, dotychczas jeszcze dość powściągliwy stosunkowo w używaniu teatralnej maszyneryi i dekoracyi, puszcza je w ruch bez miary i rozważli: więc zdradzony mąż w tajemniczy sposób dostaje w swe ręce gacha i więzi go w ponurym zamku; więc wymusza na nim pisemne i ustne wyznanie, że obcował z Elgą; więc konfrontuje oboje winnych i pastwi się nad nimi, a gdy Ogińskiemu udaje się uciec, Starzeński obiecuje żonie przebaczenie, lecz pod warunkiem, że zginie dziecko, oczywisty dowód cudzołóstwa; więc wnet pożar, zapewne nie przypadkowy, zamienia w perzynę cały zamek, a ludność okoliczna daremnie szuka hrabiego, jego żony i dziecka; znajduje tylko zwęglone kości, lecz czy to ich szczątki, czy szczątki wszystkich trojga ludzi? Nie; bo wyobraźnia poety stawia u drzwi starej kobiety, w lesie mieszkającej, małe dziecko ze szkatułką złotem napelnioną, mającą wynagrodzić tę, która dziecko wychowa, a tuż po tem widzimy samego Starzeńskiego na, tajemniczem posłuchaniu u króla, potem w roli pokutującego mnicha w nocy o pierwszej godzinie w strasznej męce wewnętrznej karzącego się dobrowolnie za zbrodnię żonobójstwa... Co za wspaniały repertuar byronowskich sztuczek, lecz jak smutno to czytać z myślą, że tak pisze o Polakach pisarz bądź co bądź wybitny, ba, podobno genialny, jak się austriackim urzędowym estetykom podoba utrzymywać, chociaż słowa ich mają walor tylko w obrębie czarno-żółtych słupów granicznych... Jaką dopiero jest, jaką być musiała „Polendichtung“ drugorzędnych autorów!

A żeby Grillparzerem już nie zajmować się w dalszych wywodach, zanotujmy jego nie mniej charakterystyczne zachowanie się wobec wypadków roku 1846. Grozy ich on naturalnie nie pojął, zbrodni austriackiego rządu naturalnie nie napiętnował, ale też i nie milczał, tylko, bardziej zgryźliwy niż odważny, wypowiedział czterowiersz ironiczny i zapewne w tej chwili doznał błogiego uczucia spełnienia bohaterskiego czynu. Oto ten nieznany u nas epigram, pod adresem rządu austriackiego wystosowany:

„Was gebt ihr der Regierung Schuld,
Und klagt sie schmähend an?
Unschuldig ist sie ganz und gar,
Sie hat ja nichts getan“.

W ironii dwuznacznego zdania, że rząd austriacki, „jest niewinnym, bo on przecież nic nie zrobił“, ile słabości pokrywanej bohaterstwem, ile fałszu, osłoniętego pozorami znajomości rzeczy...

Reakcja przeciw sentymentalnej i entuzjastycznej „Polendichtung“ wcześniej się pojawia. Heine naprzykład w roku 1822 w rozprawce „O Polsce,“ wchodzącej do „Obrazów z podróży“, mówi o Polsce felietonowo i płytko, ale z dużą sympatyą i z widoczną chęcią przychylnego zaciekawienia rodaków dla nas, naszego kraju, nawet naszej literatury; szlachtę polską bierze nawet w obronę od zarzutów, jakie na nią z powodu jej stosunku do chłopów spadają. Inaczej już jest w r. 1831 w „Pamiętnikach pana von Schnabelewopski“, których, bez szkody dla literatury, tylko pierwsza część się ukazała. Do „Polenliteratur“ należy z nich właściwie tylko sam początek, wprowadzenie rzekomego autora Pamiętników: polonofibii na tak małej przestrzeni zadrukowanego papieru ostatecznie niema, są tylko marne drwiny, tanie dowcipy, szczególnie na temat trudnego wymawiania niektórych polskich wyrazów o kilku spółgłoskach razem. Tak naprzykład służący Schnabelewopskiego nazywa się „Prschtschtwitsch,“ „dowcipny“ zaś autor dodaje, że „trzeba przedtem kichnąć, jeżeli się chce to nazwisko dobrze wymówić“. Podobnie nazywa się służąca „Smurtszka“, „co w niemieckiem nieco szorstko, w polskiem nader melodyjnie brzmi“. Marne dowcipy znajdująć będą naśladowców aż do dni dzisiejszych, tak samo jak i niedorzeczne przekręcanie nazwisk polskich i urabianie ich przez to, że do jakiegoś zazwyczaj ohydę wyrażającego, wyrazu niemieckiego dodaje się końcówkę—ski i przezywa się tym dziwolągiem Polaków. Jest tak w wydanym w r. 1851 „Romanzero“, zbiorze drobnych poezji, wśród których znajduje się ohydna pseudo-ballada o „Dwóch rycerzach“ Krapülińskim i Waschlap-skim, gdzie Heine tworzy w końcowej zwrotce jako rzekome pendant do nazwiska Sobieskiego takie tendencyjne, jak „Schelmufski“, „Schubiaski“ i „Eseliński“.

Ów „moralischer Katzenjammer“, o którym była mowa, objawił się więc u Heinego wcześniej dla tego, że w naturze poety leżała sztydca żyłka, a niczego się on tak nie wstydził, jak sentymentalizmu. Jednak nie był on odosobnionym, a chociaż w inny sposób, to nie mniej konsekwentnie dokonywała się reakcja i u innych, bardziej poważnych umysłów. W dwa lata po publicystycznych „Listach z Paryża“ typowego rewolucjonisty burżuazyjnych „Młodych Niemiec“, Ludwika Börne, gdzie sprawa polska jest hubką, służącą do rozniecenia ognia

ogólnej opozycji, człowiek bez porównania poważniejszy, Henryk Laube, w więzieniu (bardzo łagodnym) w Berlinie pisze w 1834 drugą część wielkiej powieści o „Młodej Europie“ i z całą stanowczością występuje przeciw „Polenschwärmerei“. Jako bohatera wprowadza Niemca, który, zapalony do sprawy polskiej, poświęcił się jej pelen wiary w przyszłość swych marzeń; lecz oto wnet szron zimowy pada na kwiaty tych marzeń i Walery. Że Laube, dążąc do celu dla nas niewątpliwie przykrego, lecz dla Niemca pożytecznego, chwycił się kłamstw i napisał paszkwil na Polaków, wobec którego błędnie opisanej „polnische Wirtschaft“ u Freytaga, to rzecz inna, chociaż to pośrednio dowodzi szkodliwości entuzjastycznej „Polenlyrik“, która z niemieckiego punktu widzenia aż takiego antydotum potrzebowała.

Jeszcze do połowy wieku dziewiętnastego, o ile chodzi o Niemcy, a nie o niemieckie prowincje Austrii, sympatya dla Polaków przeważała przynajmniej ilościowo nad niechęcią do nich. Odrębny sąd, bezwzględny w trzeźwym egoizmie narodowym, był udziałem jednostek, w każdym razie mniejszości, a nawet w r. 1848, Wilhelm Jordan, głośny poeta i powieściopisarz niemiecki, przemawiając we Frankfurcie nad Menem wobec Narodowego Zgromadzenia w gwałtowny sposób przeciw Polakom, oburzył na siebie tak bardzo swoich dotychczasowych zwolenników i przyjaciół, że musiał z ich stronnictwa wystąpić. Przyszłość jednak do jego idei należała. Już w r. 1855 wychodzi wielki romans Gustawa Freytaga, prozaiczne eposu stanu kupieckiego, „Soll und Haben“ i zadaje na długie lata ostateczny cios sentymentalnej frazeologii na cześć Polaków¹⁾. Zrazu za młodych lat spłacił i on haracz popędem ówczesnej generacji i opiewał w ezulłych, na wzór heinowskiej „Pielgrzymki do Kewlaar“ urobionych zwrotkach, losy nieszczęśliwego żebraka polskiego; od chwili jednak gdy zostawszy redaktorem miarodajnego pisma „Die Grenzboten“ wszedł na szerszą widownię publicznego życia, zmienił swój pogląd a powieść „Ma i winien“ jest plodem zakończonej ewolucji przekonań. Z zupełną świadomością celu i środków Freytag wystąpił tu przeciw niemieckiemu polono- i judofilstwu, które istotnie długo ręka w ręką z sobą szły. Jak Veitel Itzig, spekulant, zdolny wszelkich

¹⁾ Porównaj we „Wzczasach historycznych“, Szymona Askenazego ustęp o „Epika nienawiści“ (wydanie 2-c, str. 242—254).

intrałtnych oszustw, miał Niemcom obrzydzić żydów, a satyryczny obraz literackiego salonu bankiera Ehrenthala miał ośmieszyć w ich oczach wyższe sfery żydostwa; tak przeciwstawienie porządku i solidności niemieckiej jaskrawo odmalowanemu „polskiemu gospodarstwu“ miało ich oduczyć sentymentalności, przenosząc kwestyę na grunt im najbliższy. Zwalczając Polaków wszelką godziwą i niegodziwą bronią, Freytag nietylko jako Niemiec walczył z nimi; on ich nienawidzi również zawzięcie, za ich mniemany arystokratyczny charakter, nienawistny jemu, burżuazyjnemu demokracji: Bratzyki czy Turowski muszą paść w błoto przed zwyczajnym komisyjnerem niemieckiego kantoru. Raz zaś oddawszy swe pióro na usługi polonofobii, Freytag pozostał jej wiernym do śmierci, i w wielkim cyklu powieści historycznych (które nie bez wpływu na Kraszewskiego były), „Ahnen“, niejedną kartkę tej złości poświęcił, czasem, jak to bystro wykazuje prof. Askenazy, nawet wbrew najelementarniejszej chronologii historycznej, stając się poprzednikiem żyjącego obecnie jeszcze starca, Feliksa Dahna, profesora uniwersytetu we Wrocławiu, autora ogromnie nudnych i już nawet w Niemczech nie czytanych powieści historycznych, w wolnych chwilach wzywającego Niemców na „święty bój“ ze Słowianami.

Jeszcze chrapliwiej zgrzytała „Polenliteratur“ w Austrii. U Freytaga jest przynajmniej powaga, wprawdzie przewrotna, ale drapująca się nawet szczerze w płaszcz niemieckiego patriotyzmu; jest dalej rzeczywisty i niepośledni talent pisarski, dzięki któremu te powieści stają się oburzającą, ale przynajmniej estetyczną lekturą. Sacher-Masoch i takiej pobłażliwości nie jest godnym. Urodzony we Lwowie, jako syn smutnej pamięci naczelnika galicyjskiej policji, potem docent historii na uniwersytecie w Grazu, wniósł w literaturę niemiecką przedewszystkiem to, co w niej ogromnie popłaca: nowość tła prawie dotąd niewyzyskanego. Sam ten fakt, że Sacher-Masoch odtwarzał galicyjskie środowisko, dawał mu już połowę rozgłosu. Drugą zdobył niesłychanie śmiałą, wprost cyniczną w przeprowadzeniu, a chorobliwą i patologiczną zmysłowością. Olśniewając barwnością i istotnie świetnymi efektami światła i ciemności, drażniąc wyrafinowaną lubieżnością, głębsze umysły ludzkie pesymistycznym nastrojem, z Schopenhauera brany, oparł się na pojęciu miłości, jako „walki obu płci“, a dziwaczne ilustracye tej tezy rysował na galicyjskiem tle raz dla tego, że ludził się, jakoby je znał, powtórę z tego powodu, że „egzotyczne“ środowisko było w oczach bezkrytycznych czytelników wytłómaczeniem ohydneho dziwactwa treści, on to bowiem po raz pierwszy wyraźnie w wyuzdanej „Wenerze w futrze“ stworzył ten

patologiczny typ mężczyzny, doznającego wtedy dopiero rozkoszy, gdy ukochana kobieta robi z niego podłego niewolnika i, dosłownie, aż do krwi go biczem smaga: to jest ów osławiony „masochizm“, chorośliwa erotyka mężczyzny, doznającego najwyższej rozkoszy w upodleniu i fizycznym bólu, przez kochankę zadawanym. Niemilo jest walać się w tym brudzie i kto patrzy jeno na dzisiejszy stan, może nawet niepotrzebnem to uznać; pamiętać jednak należy, że Sacher-Masoch, zmarły niemal w zapomnieniu w r. 1895, swego czasu był ogromnie popularnym, co więcej, uchodził nawet za artystyczną wielkość (do dziś dnia jeszcze uważa się w Niemczech za arcydzieło jego „Don Jnana z Kołomyi“, będącego i dla polskiego uczucia od innych utworów znośniejszym). W długim szeregu książek, rozchwytywanych natychmiast („Galicyjskie opowiadania“, „Wenus w futrze“, „Spuścizna Kaina“, „Polskie opowiadania“ itd.), dał Niemcom jak najfałszywsze o nas wyobrażenie i bardzo nam zaszkodził, tembardziej, że obok całej ohydy miał oryginalność. A i to policzonem mu być musi, że, nie poprzestając na lżeniu jednostek i narodu, szkalował instytucje i on to w „Iłanie“ przedstawia pewnego rodzaju galicyjsko-żydowskiego Uryela Acostę, który, zdobywszy z trudem wielką wiedzę, zrywa z żydowstwem, habilituje się we Lwowie na docenta, lecz z powodu wolnościomyślności i wyznawania teorii Darwina cierpi ze strony galicyjskich instytucji srogie prześladowanie, aż intryga Jezuitów doprowadza go do domu obłąkanych. Wobec potworności Sacher-Masocha, niewinną wydaje się nowelistyka Karola Emila Franzosa, który, urodzony w r. 1845 na Podolu, na austriacko-rosyjskiej granicy, wychował się Czortkowie w Galicyi, a dzisiaj żyje w Berlinie jako wydawca czasopisma „Deutsche Dichtung“. Czortków w jego powieściach figuruje jako „Barnow“, a ze szczególnem upodobaniem maluje Franzos żydów, uciekając się bądź do klikiwo sentymentalnych, bądź do kryminalistycznie groźnych wypadków, z fikcyi lub z życia branych. Franzos ma „zasługę“ spopularyzowania nazwy Galicyi i Bukowiny, jako „Halb - Asien“.

Torem wyżłobionym przez Freytaga i Sacher Masocha idzie potem długie lata niemiecka „Polenliteratur“. Motywa polskie cieszą się dużą wziętością u publiczności, a tem większą u autorów, którym wtedy bezkarnie wolno kłamać i zmyślać. W dziedzinie romansu przed zalewem tysięcy książek trzeba się chronić na te, które czemkolwiembądź wyrastają z ogólnego poziomu. Czy do nich należą dzieła bardzo popularnej przed laty i u nas autorki Natalii von Eschstruth (pseudonim pani Knobelsdorff-Brenkenhoff), która w wielu, nazbyt wielu, powieściach Polaków rysowała? Chyba niechaj to nazwisko autorki „Polnisch Blut“ i „Gänseliesl“ starczy za całą rzeszę piszących dam, które w polskim środowisku widzą przedewszystkiem kopalnię melodramatycznych czułych efektów i, dzięki swej kobiecej naturze, nie dbając nic o logikę, łączą w niewytłomaczony dla mężczyzny sposób sympatyę z nienawiścią do Polaków; tak naprzykład w „Polskiej krwi“ treść dla nas bardzo niesprawiedliwa kończy się niespodziewanie natchnionym dytyrambem do Polaków i o nich. Na podobnie niskim poziomie artystycznym stoją historyczne romanse, hurtownie, chociaż istotnie dość wdzięcznie, fabrykowane przez Grzegorza Samarowa (pseudonim Oskara Medinga), względem nas uczciwe, niestety jednak bałamutne; „Korona Jagiellonów“, odtwarzająca wcale barwnie życie warszawskie w r. 1830, z bardzo dobrą sylwetką księżnej na Łowiczu, może być przykładem całej grupy. Wogóle w historycznych powieściach, o ile one nie poruszają zagadnienia walki germańskiego szczepu ze słowiańskim, niema zazwyczaj takiego rozwydrzenia, jakie niebawem we współczesnych romansach zobaczymy. Oczywiście nie zapomniano tu o wybornym temacie, jakiego dostarcza znana romantyczna miłość Wilhelma, księcia pruskiego, w kilkadziesiąt lat potem cesarza zjednoczonych Niemiec, i Elżbiety Radziwiłłówny, córki księcia Antoniego i Ludwiki z Hohenzollernów. Zajmującą powieść napisał o tem niejaki Aleksander Olinda („Biała róża“), gładko, bez wyjątkowego jednak uroku. Najciekawszymi są te ustępy, gdzie działa kierowana przez ks. Bismarcka opozycja przeciw zamierzonemu małżeństwu. Według hr. Teresy Wodzickiej¹⁾, która powołuje się w tym wypadku na świadectwo współczesnych,

1) Porównaj jej ładną książeczkę p. t. „Eliza Radziwiłłówna i Wilhelm I“.

„prawdziwą zaporą do związku Wilhelma z Radziwiłłówną była raczej jej narodowość, niż prywatne stanowisko jej rodu“. Według Olindy głównym i istotnym szkopułem nie było ani jedno, ani drugie, ale obawa ministra, aby księżę Wilhelm, domniemany następca tronu, nie ulegał wpływowi ks. Antoniego, o liberalne skłonności podejrzanego, — obawa tem silniejsza, że na ścianach pruskiego absolutyzmu poczęły się ukazywać głębokie rysy.

Nie sentymentalne powieściopisarki jednak, ani autorowie spokojnych powieści historycznych nadają ton obecnej „Polenliteratur;“ dominującą jej nutą jest wroga nienawiść, rzucająca się przeciwnikowi wprost do oczu, albo też chyłkiem obrzucająca go błotem. Nie można zaś zaprzeczyć, że taka literatura jest rzeczywiście wyrazem przekonania przeważnej części niemieckiego społeczeństwa, które co najmniej nas nie lubi. W ostatnim dziele mistrza nowszej niemieckiej powieści, Teodora Fontane, o nazwisku francuskim, lecz Brandenbureczyka do szpiku kości, w „Stechlinie“ jest charakterystyczny epizod. Hrabia Barby, jedna z najwybitniejszych osób powieści, przysłuchuje się chopinowskiej muzyce i mówi: „Lubię Chopina, jak wogóle wszystkich Polaków, o ile są muzykami, poetami lub ludźmi mi nauki. Jako polityk nie mogę się z nimi zaprzyjaźnić. Może dla tego tylko, że jestem Niemcem, a nawet Prusakiem“. Wiele myśli znajdzie, kto głębiej te lekko powiedziane słowa rozważy. Ale na tem nie koniec. Słychać dalej tony fortepianu, grającego „Poloneza“ Ogińskiego i jest mowa znowu o Polakach, o tych czasach, kiedy w Niemczech grano w teatrach Holteia „Starego wodza“ i z zapalem powtarzano pieśń: „Czy pamiętasz mój dzielny Lagienka?“ A towarzystwo niemieckie zgodne jest w tem zdaniu, że to były czasy sentymentalizmu, a dobrze jest jak sentymentalizm znika...

Jak nas nie lubią, dowodem fakt, że zupełnie bez powodu, jakby dla złośliwej psoty, w powieściach, jak i w dramacie („Polenliryk“ dziś nie ma) najgorszej osobie daje się nazwisko o brzmieniu polskiem, albo przynajmniej na ski lub na cki zakończone. Przykładów możnaby przytoczyć mnóstwo, a niektóre wypadki są tak rażące, że doprawdy dziwić się trzeba, jak mało kulturalnymi są niektórzy pisarze niemieccy. Co powiedziec na przykład na to, że autor tak wybitny, jak O. E. Hartleben (znanym szczególnie jest jego „Rosenmontag“) nie waha się popełnić grubego nietaktu i w doskonałej skądinąd komedii satyrycznej o „Prawdziwie dobrym człowieku“ teściowi bohatera, d-ra Osterberga, daje polskie nazwisko, nazwisko szlacheckiej polskiej rodziny, w Prusach Zachodnich osiadłej, robiąc przytem tego Stanisława von Jantha Polczinski śmiesznym i szkodliwym typem w rodzaju Pławickiego z Sienkiewicza „Rodziny Po-

łanieckich“. A czyż podobnie nie postępuje sam genialny Gerhard Hauptmann? Wszak w jego pseudo-komedyi „Kolega Crampton“ ostatni łotr, portyer akademii sztuk pięknych, sprzedający uczniom i profesorom z dużym zarobkiem przybory malarskie, płaszcący się przed dłużnikami lub względem nich zuchwały, stosownie do interesu, słowem ten skończony łotr, ma, według poety, „typ Słowianina“, nosi polskie nazwisko „Janetski“, a dla usunięcia wszelkiej wątpliwości z ust innej osoby otrzymuje taki paszport: „pies ten Janetzki, chytry, polski pies“ (!) Wobec tego trudno się nawet gniewać na Sudermanna za „Barczinowską“ z „Końca Sodomy“, chociaż trzeba pamiętać, że autor „Honoru“ już dawniej dał ujście swej polonofobii. Ogłoszona w r. 1889 powieść „Der Katzensteg“ rozgrywa się w roku 1814 we wschodnio pruskiej ojczyźnie autora, a bohaterem jest Bolesław von Schranden, dzielny ochotnik w wojnie przeciw Napoleonowi, dziś wracający do rodzinnego kraju, tajemnie, pod fałszywym nazwiskiem. Musi się tak chować, bo nazwisko jest splamione: oto ojciec jego, nie dość, że zohydził go na całe życie polskiem imieniem, lecz na zawsze rodowe nazwisko hańbą okrył, zdradzając rodaków z polonofilskiego fanatyzmu. Gdy toczyła się walka pomiędzy Prusakami i Francuzami, wskazał tym ostatnim tajemną ścieżkę, po której idąc, otoczyli Prusaków nagle i w pień ich wyrznęli. Ta zbrodnia ciąży teraz nad synem, ona sprawia, że chociaż ojciec legł już dawno w grobie, a Bolesław w walce za pruską ojczyznę zdobył „żelazny krzyż“, nikt mu ręki podać nie chce. Oto tragiczny problemat powieści Sudermanna, oto w dzisiejszej „symfonii“ polonofobii nowa nuta: napiętnowanie polonofilstwa, jako zdrady narodowej.

Do tych dwóch, najgłośniejszych koryfeuszów dzisiejszej literatury niemieckiej przystępuje jako „der Dritte im Bunde“ Max Halbe, autor „Młodości“, którą kaprys dyrektora teatru wprowadził na scenę lwowską. Gdyby nie to i gdyby nie niesłychany fakt ogłoszenia Halbego za—„risum teneatis“—przyjaciela Polaków przez felietonistę pewnego dziennika krakowskiego, mogliśmy powołać się na to, cośmy o „Młodości“ i o „Matce ziemi“ pisali w ogłoszonej swego czasu na tem miejscu rozprawce o „Zwrocie w modernizmie niemieckim“! Lecz widocznie trzeba przypominać, że zaraz w pierwszym dramacie Halbego, w „Dorobkiewiczu“, jedyna osoba nosząca nazwisko o polskim brzmieniu, Schramowsky, w jedynej scenie, w której występuje, przedstawia się jako ostatni pijak, wyludzający pieniądze i zaraz je do karczmy zanoszący; że dalej w trzecim z kolei dramacie (w drugim Polaka niema), w „Eisgang“, parobek Rutkowski scharakteryzowany jest przez samego autora, jako „nałogowy pijak“, odznaczający się „polską służalczością“, „chwytający łatwo za nóż, aby

w następnej zaraz chwili chytrze poufalić się"; że w czwartym dramacie, we wspomnianej „Młodości“, pomijając już etyczno-moralne wątpliwości, z łagodnym i rozumnym proboszczem, Hoppem, skonstruowany jest fanatyczny wikary, Grzegorz von Schigorski (jedyne polskie nazwisko w sztuce), zły duch tego domu; że w „Matce ziemi“ jest ohydna dla polskiego uczucia scena, kiedy dwaj polscy szlachci- ce, von Głyszewski i von Laskowski, pijani po uczcie pogrzebowej śpiewają ulubioną pieśń polską wśród weselości grona obecnych Niem- ców (a jak wie każdy, kto widział to dzieło w Berlinie) i wśród szalo- nego szyderstwa niemieckich widzów; że wreszcie w „Tysiącletnim państwie“ jeden Polak, szlachetnie „Szczakrewskim“ nazwany z wyraź- nym dodatkiem, że jest Polakiem, pije jak zwierzę w karczmie i grozi nożem, jeśli mu wódki nie „zafundują“. Śmiało twierdzimy, że wśród pierwszorzędných pisarzy dzisiejszych Niemiec nikt tyle razy nas nie opluł co Halbe, i dla tego chorobliwym, patologicznym objawem było przedstawienie „Młodości“ we Lwowie, a bezprzykładną lekko- myślnością, wytłómaczoną chyba lichą znajomością języka niemieckie- go, było ogłoszenie Halbego w Krakowie za przyjaciela Polaków na podstawie... „Matki ziemi“.

A gdy sławne trias Hauptmann-Sudermann-Halbe tak o nas pisze, jak się dziwić wszelakim pismakom, sprzedającym się polonofob- bom-wydawcom, że lżą nas ostatnimi wyrazami? Czyż warto np. ciskać gromy na jakiegoś pana Pawła Oskara Höckera, za jego po- wieść, noszącą tyle obiecujący tytuł „Polska gospodarka“? Raczej cieszymy się na widok... odwagi tego osobnika. Wszak u niego jest „hrabina Tarnowska,“ szaloną zwaną, salonowa awanturница, nibyto demoniczna, z Monaco wypędzona za fałszywą grę w karty; wszak u nie- go każdy, wyraźnie każdy Polak, mężczyzna czy kobieta, to osobnik o temperamencie burzliwym i zawadyackim, lekkomyślności bezgra- nicznej, doprowadzającej czasem aż do występku i podłości, nieludz- ki względem niższych od siebie, dumny i zuchwały, leniwy i zbytku- jący itd. Według pana Höckera szlachta polska w Poznańskim — Korsakowie, Sadorsey, Kozłowscy — nie jest nic warta, lud zaś to bezrozumne bydło; wybory odbywają się w Księstwie jedynie z po- mocą wódki i kiełbasy; chłop trzeźwy i nieprzekupiony głośnie za- wsze na kandydata niemieckiego. Bo i jacyż są ci polscy posłowie? Ot, na przykład „Sadorski“, kandydat na posła, to lekkoduch i utra- cyusz, ba, nawet fałszerz weksli. Słowem, zdaniem autora, całe pol- skie społeczeństwo w Poznańskim jest zepsutem do szpiku kości, po- pozbawionem zupełnie wszelkiej wartości moralnej, nieposiadają- cem żadnych warunków do życia. Za to nieliczni Niemcy, występują- cy w tej powieści, świecą tem jaśniej zaletami; w nich siła i zdrowie

tej ziemi, która odetchnęła, przyjęta wspaniałomyślnie pod łaskawe panowanie Prusaków...

Oto jeden typ rzemieślniczych powieści, pisanych nie z innego, jak tylko spekulacyjnego stanowiska. Rodzaj ten liczy mnóstwo okazów i niema miesiąca, żeby się ich liczba nie powiększyła¹⁾. Pieprzyku dodaje im czasem kwestya religijna, walka przeciw katolicyzmowi; typowym przykładem tej grupy może być naprzykład powieść Ernesta Belowa o „Marchii wschodniej i pastorałe“, gdzie autor, posiadając tyle znajomości historii, aby móżdż przekręcać ją, pisze pamflet z czasów arcybiskupa Przyłuskiego, ze szczególną wściekłością rzucając się na pamięć księdza Jana Koźmiana, i podsuwa Polakom niedorzeczną i niehistoryczną myśl jakiejś Polski protestanckiej.

Czasem znowu tło czysto polityczne dostarczy autorowi motywów; tak naprzykład mało kto wie, że hr. Kazimierz Badeni tuż po swym dramatycznym upadku dostarczył hr. Edycie Salburg, bardzo znanej w Austrii autorce gwałtownie satyrycznych romansów, treści do wielkiej, trzyciomowej powieści, pod tytułem „Austryackie towarzystwa“.

Ale ostatnie lata nietylko ten kierunek i nie tylko takie płody niemieckiej „Polenliteratur“ przyniosły. Są i inne, dla nas miłsze, bezwzględnie po literacku sądzone, cenniejsze. Gdyśmy przed niedawnym czasem pisali na tem miejscu o „Zwrocie w modernizmie niemieckim“²⁾, mogliśmy w ostatnim rozdziale wskazać na kierunek różniący się zarówno od naturalizmu wczorajszej doby, jak i od tak zwanego modernizmu ostatnich dni. To tak zwane „Heimatkunst“, sztuka rodzima, która podkreśla ściślejszą łączność twórcy z rodzinną gębą, a w negatywnym ustępie programu rzucając hasło „Precz z Berlinem“ w pozytywnym nietylko pozwala, ale i każe realizm w odtwarzaniu obserwowanego rzeczywistego środowiska przepoić serdecznem przywiązaniem, ukochaniem tej ziemi, tych ludzi. Nie tu miejsce na wyczerpującą ocenę tego ruchu, posiadającego niewątpliwie i słabe, a może nawet szkodliwe strony, dość, że reprezentowa-

¹⁾ Jak liczną jest najnowsza „Polenliteratur“, dowodem spis, zawierający jedynie tegoroczne (styczeń — kwiecień 1903), jej płody, przyczem należy pamiętać o możliwości przeoczenia (jak o tem we wstępnych uwagach piszemy). A więc: E. Krickeberg „Dahinten in Polen“; Fritz Döring „Deutsche und polnische Liebe“; Richard Skowronnek, „Der Bruchhof“; Clara Nast, „Die Sängerin“; Henryk Lec, „Gräfin Leszek“.

²⁾ Biblioteka Warszawska z r. 1901, zeszyt z maja.

ny niedawno niemal tylko przez Fr. Lienharda, prąd ten wzmaga się w całym obrębie niemieckiego piśmiennictwa, a wystąpił ostatnio i w tej gałęzi, która nas tu obchodzi. W zasadniczej idei „rodzimej sztuki“ tkwi zwrócenie się do tych elementów, które w sobie najwięcej rodzimych pierwiastków zawierają. Stąd wynika ludowy, demokratyczny charakter tej literatury. Nie romantyka polskich bohaterów, nie istotna lub sztucznie wytworzona oryginalność polskiej szlachty, lecz lud polski jest treścią tej „Polenliteratur“ pod znakiem sztuki rodzimej się rozwijającej. I dobrze jest. Już bowiem wiemy, ile pobożnych, ile też przewrotnych kłamstw zrodziła i ówa rycerska, i tamta szlachecka literatura o Polsce mówiąca; dzisiaj zaś, gdy charakterystyczne narodowościowe cechy warstw wyższych i średnich niezaprzeczenie istnieją, lecz są widzialne tylko dla oka bardzo bystrego i wytrwałego obserwatora, jakim nie często Niemiec być może, choćby być chciał, dzisiaj tylko lud wiejski ma indywidualność, dość silnie na zewnątrz zaznaczoną, aby obcy twórca mógł ją w normalnych warunkach ujrzeć. Tak więc lud wiejski, który w poezji polskiej, jak i w życiu, tak poczytną odgrywa rolę, wszedł teraz pierwszy i do „Polenliteratur“ a fakt ten stanowi pierwszą właściwość i zasługę tego piśmiennictwa. Obok niej, może ponad nią, jest inna, wynikająca z zaznaczonego dopiero co zasadniczego charakteru „rodzimej sztuki“: niema w niej miejsca na szyderstwo czy nienawiść przedmiotu przedstawianego, ba, nawet naturalistyczna obojętność, chłodny obiektywizm z nią nie licuje, ona żyje właśnie ukochaniem przedmiotu, ukochaniem, jeśli nie ludzkim, to przynajmniej w sferze artystycznego uczucia. Polonofobii więc się tutaj nie znajdzie, za to zewsząd widać szczerą sympatyę dla środowiska powieści, a więc dla ludu polskiego. Sympatya to bynajmniej nie egzaltowana, jak ognia bojąca się entuzjastycznych frazesów, lecz właśnie w tem ośmielamy się najcenniejszą widzieć zaletę. Powrotu upajającej siebie i drugich frazesami „Polenliryk“ z przed stu i pięćdziesięciu lat nie pragniemy, i doprawdy wikt pragnąć nie powinien; lecz chcemy, mamy prawo żądać, żądać jako Polacy i jako ludzie, bezstronności i życzliwej znajomości nas. A tę istotnie daje dzisiejsza „Polenliteratur“, o ile nie tylko podszywa się, lecz rzeczywiście przyznaje się do wyznania wiary „rodzimej sztuki“; a że jest taką w chwili burzy narodowościowych walk, kiedy Niemcom nienawiść, a—bądźmy sprawiedliwi—nam uczucie krzywdy nieraz sąd mąci, że jest po męsku uczciwą i rozsądną, to ze szczerem uznaniem podnieść należy.

W Galicyi ten kierunek nie zapuścił korzeni i inaczej być nie może. Żywioł niemiecki w tej części dawnej Rzeczypospolitej nie

znaczy dzisiaj nie kulturalnie. Jeśli więc w jakich powieściach, czy nowelach (dramatu odnośnego nie znamy ani jednego), tłem jest galicyjsko-polskie środowisko, to utwór taki zawsze jest dziełem żyda i zawsze, stojąc obłudnie pod chorągwią „sztuki rodzimej“, głosi nienawiść. Chłop polski, w Galicyi zamieszkały, nie jest nigdy przedmiotem poezyi; autorowie godni są pochwały za tę wstrzemięźliwość, bo aż strach pomyśleć jakby tu wyglądał Krakowiak lub góral. Niekiedy błąka się wprawdzie chłop polski po niemieckich „galicyjskich“ nowelach, lecz wtedy mamy przeważnie z rekrutem do czynienia, a te opowiadania lub humoreski wojskowe (na przykład Torresanego) trudno zaliczyć do „Heimatliteratur“, choćby dla tego, że autorowie ich, zwyczajni oficerowie austriacy, są wędrownymi ptakami, dzisiaj w ziemi przedarulańskiej, za kwartał w Bukowinie. Z większą słusznością pieczęć rodzimej sztuki można położyć na żydowskich opowiadaniach, na galicyjskiem tle się rozgrywających. Żydowski autor ogarnia miłością swój własny naród, a wobec tego, że bieda galicyjskiego proletaryatu żydowskiego istotnie jest pożałowania godna, rzecz budziłaby współczucie, gdyby żydowski patryotyzm nie szedł w parze z nienawiścią Polaków. Okazem tej grupy powieści może być na przykład wydana przed dwoma laty powieść Róży Pomeranz „W kraju niedoli“ (Im Lande der Not), artystycznie małoważna, z naszego punktu widzenia bardzo ciekawa. Szlachcic polski, jako jednostka, i autonomia polska, jako instytucya, są dwoma kozłami ofiarnymi, dźwigającymi odpowiedzialność za nędzę galicyjskich żydów. A jednak, chociaż nie można nie wybuchnąć oburzeniem na ten stek oszczerstw, jakie się tu czyta, doprawdy nie najgorszą jest jeszcze ta nienawiść, na której dnie jest przecież miłość kogo innego. Oszczerstwa pani Pomeranz wydadzą się niemal szacownymi w porównaniu z perfidją pana Jakóba Wassermanna, dosyć znanego powieściopisarza. W „Molochu“, przed rokiem drukowanym, „unieśmiertelnia“ on historię rzekomego porwania żydówki Aratenówny przez Siostry Felicjanki w Krakowie, a nie wahając się wciągnąć do akeyi osób rzeczywistych i żyjących, gra na strunie, której chrapliwe dźwięki słyszało się po raz pierwszy w literaturze niemieckiej w epoce konfederacyi barskiej. Jak tam Polska cała, tak tutaj Galicya, a przede wszystkim jej rządzące sfery przedstawione są, jako fanatyczne, wrogie tolerancji religijnej. Napaść jest tem wstrętniejsza, że „Moloch“ rwie się do wyżyn najsubtelniejszych problemów duszy ludzkiej. Podobną zaś tendencyjność ujawnia ta „Polenliteratur“, która fabułę osadza na wschodnio-galicyjskim gruncie i obraca się wśród mieszanej ludności, polskiej i rusińskiej. Najświeższego okazu, noweli Iwana Franki p. t. „Der Bodensatz“, nie omawiamy, bo na przód rzecz znaną jest jedynie z odcin-

ka pewnego dziennika wiedeńskiego, powtóre nie uchodzi mówić o autorze tam, gdzie się z Niemcami rozprawiamy. Przedstawicielem więc tego typu niechaj będzie Hanus Weber-Lutkow (pseudonim p. Pokornego), który w oczach niemieckiej prasy i krytyki uchodzi, niestety, za rzeczoznawcę. Tymczasem, nie przyznając sobie prawa do osądzenia, o ile wiernie odmalowanym jest rusiński chłop, stwierdzić się musi, że Polak, prawie zawsze szlachcic, pojawia się u tego pisarza jedynie w karykaturze, bądź umyślnej, bądź może mimowolnej. Zarówno w pierwszym tomie nowel „Schlummernde Seelen“ (Drzemiące dusze 1900), jak i w następnym, „Czarnej Madonnie“, szlachcic polski, p. Weber-Lutkowa, jest jakimś nieistniejącym w rzeczywistości typem byronowskim, nawpół dzikim, nawpół sentymentalnym dziwołagiem, złożonym ze zbrodniczości i nieszczęścia, widziałem pokutującego ultra-romantyzmu. Jeśli zaś p. Franko walczy przedewszystkiem przeciw polskim rządóm w Galicyi, to niemiecki jego pobratymiec odznacza się szczególnie bujną wyobraźnią w wymyślaniu fantastycznych „Schauermärchen“ o mnichach i szerzonych przez nich zabobonach. Szczytem pomysłowości jest jednak wprowadzenie „czarnej Madonny“, obrazu N. M. Panny Częstochowskiej, jako... zachęty do zbrodni; tuż obok tego bluźnierstwa położyć trzeba oszczerstwo, rzucone na polskie duchowieństwo w osobie ks. Kaweckiego, który udziela absolucyi za parę koni! Powtarzamy zaś, że autor jest uważanym za głównego przedstawiciela niemieckiej literatury, na galicyjskich stosunkach osnutej.

Nie w obrębie czarno-zółtych słupów trzeba więc szukać dokumentów życzliwej nam, a choćby bezstronnej, „Polenliteratur“. Bajką niepodobną do wiary wyda się w pierwszej chwili fakt, że bez porównania więcej bezstronności, nawet pewnego ciepła, znajdzie się na terenie najgwałtowniejszej walki polskość z niemczyzną, w tych częściach Rzeczypospolitej, które zostają obecnie pod panowaniem Hohenzollernów. Pewnem wytłómaczeniem tego dziwnego zjawiska jest okoliczność, że pruska „Polendichtung“, o ile stoi na wyżynie artystycznej i nie należy do posledniej makulatury wypożyczalni książek, omija zdaleka motywy, oparte „a priori“ na antagonizmie narodowym; maluje Polaków nie w stosunku z Niemcami, lecz jako osobne etnograficzne środowisko. Kilka przykładów da czytelnikowi podstawę do wytworzenia sobie sądu.

Zaczynamy od Klary Viebig, nietylko dla tego, że autorka jest dzisiaj ogromnie popularną, a więc jej książki idą w szerokie koła niemieckich czytelników; lecz także i z tego powodu, że niedawno jeszcze, kilka lat temu, w ustępach—bardzo zresztą nielicznych—jej powieści i nowel, gdzie była o Polakach mowa, odzywała się pewna

niechęć, mająca zapewne źródło w bezkrytycznym powtarzaniu konwencyonalnych kłamstw. Tak np. w jej powieściach z berlińskiego świata literackiego i artystycznego, „Dyletanci życia“ i „Niech żyje sztuka“, najlichsze osobistości, jakaś niezbyt pewna śpiewaczka i równie wątpliwej wartości autorka dramatyczna, noszą polskie nazwiska, tak, jak to naprzykład u Hauptmanna lub Sudermanna się widziało. W ostatnich czasach dokonała się w usposobieniu autorki przemiana, a jej wyraz jest tak inkluzywnym i szczerym, że dowodzi stanowczego porzucenia dawnego uprzedzenia. W wydanym przed dwoma laty zbiorze nowel p. t. „Rezenkrauzjungfer“, większość opowiadań należy do liczby „polskich“, ich tłem jest polska wieś, ich osobami są polscy chłopci. Rysunek wolnym jest tutaj całkowicie od wszelkiej karykatury, koloryt chroni się jaskrawości, może nawet niekiedy ten wieśniak polski wyda się nam za mało narodowym, za nadto ogólno-ludzkim; lecz w plastycznych a życziwych sylwetkach podkreślona jest przedewszystkiem jedna cecha, zapewne z prawdą się nie kłócąca: wielka bierność polskiego chłopca, który więcej znosi, niż działa, więcej cierpi, niż cierpienie zadaje. Rzewnem i godnem uznania polskiego czytelnika jest opowiadanie „Matka“, ciekawsze i dlatego, że głębiej niż inne tkwi w społecznych stosunkach obecnej doby. Kasia Giemzianka ze Szczurowej jest obecnie zarobnicą w służbie niemieckiego dziedzica Przysienowa, sprowadzona, jak tyle jej rodaków, przez niesumiennego agenta. Tam w kraju ma maleńkiego synka, pozostawionego na łasce biednych i do litości niezbyt skłonnych ludzi. Tęskno jej za dzieckiem, a że dobrowolnie jej puścić nie chcą od roboty, więc ucieka. Żandarmerya chwyta ją oczywiście na drodze i gwałtem, katując oporną, sprowadza napowrót do Przysienowa. Kasia tęskni coraz bardziej, niepokoї się myślą, czy tam małego Grzegorza opiekunowie nie wyrzucili z chaty. Nagle dostaje list z wiadomością, że jeśli natychmiast pieniędzy na dziecko nie przysle, jej chłopak zostanie chyba na opiece Boskiej. List pisany był już dość dawno, do Kasi szedł długo, więc teraz dziecina pewnie już z głodu i zimna zmarniała. Dziewczyna wymyka się znów z dworu, w ciemną, burzliwą noc zimową, a autorka kończy proste opowiadanie krótkim, lecz wymownem zdaniem: „Ale żandarm jej już nie przychwycił. A i do Szczurowej nie przyszła“. To samo zaś współczucie przenika i inny szkic, o polskim rekrucie, który w czasie marszu zapada na śmiertelny udar słoneczny. Pogrzeb odbywa się ze zwykłą w takich razach ceremonią wojskową, a ksiądz niemiecki, przemawiający nad grobem, kończy słowami: „Umarł jako dzielny żołnierz w służbie swego króla“. Nie tylko polski czytelnik dojrzy w tem zdaniu bolesną ironię...

Polska ludność Wschodnich Prus, kraina obfitująca w wielkie jeziora a należąca do Pruskich obwodów Jahannisburg, Lyck i innych, znalazła w ostatnich czasach swych piewców w dwu pisarzach o wcale nie niemieckiem brzmieniu nazwiska: we Fryderyku i Ryszardzie Skowronkach. Ryszard jest głośniejszym, zwłaszcza jako autor dramatyczny; dla nas jednak Fryderyk Skowronnek jest ciekawszy, jako autor kilku „mazurskich“ książek. I tu, jak u Klary Viebig, dostrzedz można zmiany na lepsze, postępu zdolności artystycznych, a co ważniejsza i życzliwości dla opisywanego tła. Przed trzema laty naprzykład w zbiorze nowel p. t. „Krew mazurska“, dla jednostronnie pojętego realizmu, kształconego zresztą widocznie pod wpływem dawniejszych swojskich szkiców Sienkiewicza, dla naturalizmu poświęcał niekiedy bezwzględną prawdę, malując barwami jak najciemniejszymi. Nie dosyć mu było przedstawić drastycznie nędzę materyjalną mazurskiego chłopa; jeszcze gorsza od niej jest nędza moralna, zanik pojęć etycznych, chociaż za to inne uczucia, często szlachetne, tem silniej występują. Według autora tych studyów mazurskich, ludność pije, pije aż do upicia się; gdy jej braknie środków do tego, bez najmniejszego wahania dopuszcza się występków, co więcej, kradzieże drzewa lub inne, bynajmniej nie są uważane za coś złego, hańbiącego; więzienie jest czemś tak zwyczajnem, że zbrodniarz, wypuszczony z kryminału, odrazu nawiązuje serdeczne stosunki z ludnością, w której zresztą znajdzie wielu „towarzyszy niedoli.“ Jedyńszlacheć-dziedzic, występujący w tym pierwszym zbiorze nowel, Kostka Zawadzki, wróciwszy po r. 1863 do domu, uwodzi dziewczęta wiejskie, pozbywając się ich, gdy mają zostać matkami. Na ogół więc trudno byłoby dla takiej książki pozyskać sympatyę Polaka. A jednak już wtedy nie było w tem brzydkiej złośliwości, była raczej zależność od fałszywych doktryn naturalistycznych. Pomijając szczery talent, tliła tam jeszcze prawość uczucia. Obu zalet przykładem może być opowiadanie, z tego tomu wybrane („Matka szlachcica“). Stara Mrotzkowa była krótki czas kochanką dziedzica i miała z nim syna. Co się z nim teraz dzieje, nie wie dokładnie; podobno jest w Berlinie w pułku gwardyi. A matka tymczasem wiezie marny żywot, próżnując, żebrząc i pijąc. Jest już stara, ale mimo to chce ją wziąć za gospodynię do domu Jan Gerlitzki, też już podeszły, świeżo wyszły z kryminału, gdzie siedział za kradzież. Z pomocą dobrej żony leśniczego Mrotzkowa pisze do syna i odnajduje go; Ludwik przyjeżdża i wita nieznaną matkę serdecznie. Chce jej starość zabezpieczyć, a oboje pozbywają się Jana, widząc, że mu chodzi tylko o pieniądze. Mrotzkowa jest szczęśliwa: w upojeniu wraca z leśni-

czówki w nocy do wsi sama, bo syn, żołnierz, musiał odjechać z powrotem do garnizonu; po drodze zamarza na śmierć, ale zamarza w szczęściu. Streszczenie powszedniej historii nie może oddać tych szlachetnych szczegółów, które stanowią właściwy urok noweli.

Dwa lata, jakie od tego tomu do ostatniego, z tytułowanego „*Wie die Heimat stirbt*“, upłynęły, spowodowały w autorze zmianę korzystną. Pozbywszy się formułek naturalizmu, patrzy na Mazurów okiem czystsze i życzliwsze. Mniejsza o to, że np. w opowiadaniu o „*Wojnie granicznej*“ nawiązuje do tradycji polonofilstwa, cenniejszymi są te obrazy z życia Mazurów, które są pisane bez wszelkiej tendencji. Szczególnie obchodzą nas te opowiadania, które przynoszą nowość, dotąd w „*Polenliteratur*“ niespotykaną. Tak np. w dwóch szkicach, w „*Historii pewnej rodziny*“ i w „*Historii pewnej gminy*“ Skowronnek przedstawia objawy, należące ściśle do obecnego czasu: tam Ludwik Soyka emigruje po śmierci żony na robotę do Westfalii, dokąd poszło już tylu jego rodaków, bo w ojczyźnie wszyscy się posługują w gospodarstwie maszynami, więc robotników nie potrzebują; tutaj znowu gmina cała emigruje do Ameryki, idąc za natchnionym kaznodzieją sekty „*Filoponów*“ (Lippowanów), Jordanem, którego nauk zabrania im słuchoać dwór oraz władza duchowna i świecka, a zwłaszcza te ostatnie szczegóły dużą wzbudzają ciekawość. Jak sprawiedliwym zaś autor jest, dowodzi najlepiej inne opowiadanie, „*Dwie matki*“, gdzie z jednej strony polski nauczyciel wiejski, Abramowski, etycznie i kulturalnie góruje nad niemieckim kolegą, z drugiej zaś matka tego Polaka w swem macierzyńskie poświęceniu przeciwstawiona jest zimnej, nadętej i egoistycznej matce Niemce.

Przegląd niemieckiej „*Polenliteratur*“ dokonany przez nas w granicach, miejscowemi warstkami zakreślonych, wykazał całą skalę usposobienia i uczucia, od wścieklej namiętności i ślepej nienawiści aż do sentymentalnego roztkliwiania się. Że nasz sąd nie jest po stronie ani tej, ani tamtej ostateczności, to wynika jasno z poprzednich wywodów. Że zaś istotnie w dzisiejszych czasach bezstronna „*Polenliteratur*“ jest objawem godnym, jeśli nie uznania, to przynajmniej uwagi, to zapatrywanie niejeden z czytelników zapewne z nami podzieli. Przecenianie podobnych objawów, równie jak spożytkowy-

wanie ich w kierunku jakiegokolwiek politycznej tendencji byłoby niewłaściwym, a tem niewłaściwszem, że dodatnim momentom w tej chwili można przeciwstawić mnogość i siłę ujemnych. To też nie inny mieliśmy cel na oku, jak zaznajomienie czytelnika z dawniejszemi losami i dzisiejszym stanem literatury, którą my obchodzimy, która nas obchodzi.

DR JÓZEF FLACH.

Geneza nowych prądów w sztuce.

Jest to fakt powszechnie nam znany, że zdobycze kultury Zachodu przyswajamy sobie zawsze ze znacznym opóźnieniem, wspominamy zaś o nim dla tego, że pragniemy zwrócić uwagę na następstwa, jakie z tego powodu u nas w sprawach sztuki wynikają.

Wielkie środowiska kultury Zachodu, niby mrowiska, bez ustanku zabiegają koło jej rozwoju. Jest to praca dnia i nocy, nieustająca jak życie kosmiczne. Środowiską łączy stały kontrast ciekawości wzajemnej, współzawodnictwa i współdziałania. Każda zmiana, zdobycz każda, każdy krok w tę czy ową stronę postawiony, każdy niemal zwrot myśli budzi uwagę i czujność powszechną, odbywa się w oczach całego Zachodu. Przyjście na świat każdego noworodka myśli lub czynu, zrodzonego tu i owdzie, zajmuje je wszystkie. Jeśli zrodził się we Francyi, do chrztu trzymają go i Anglia, i Niemcy, i Skandynawia etc; jeśli przyszedł na świat niedonoszony, lecz rokujący życie, wszystkie zabiegają koło niego, pielęgnują go wspólnie, póki nie sformuje się, nie dojrzeje. Staje się dzieckiem wszystkich, wszystkie go znają dobrze, od chwili poczęcia, aż do czasu, w którym zaczyna pełnić obowiązki społeczne.

Cały ten proces odbywa się bez nas i zdala od nas, my nic o nim nie wiemy, długo i dopóty, póki pewnego dnia artysta jakiś, tego czy owego znaku, ów cygan kulturalny, chciwy na wrażenia, ciekawy ostatnich objawów żywotności ducha, ambitny i żądny wszystkiego, co mu horyzont rozszerza, nie zetknie się z tą nową energią, nie skąpie w jej atmosferze i nie przeniesie zarodków jej na grunt ojczysty w postaci wiary artystycznej, dążenia lub dzieła. I wówczas—pomimo, że istota samej rzeczy gdzieindziej wchodzi już do historii—u nas jest dopiero noworodkiem, a co gorsza, dla ogółu, który nie zna jego początków, jest podrzutkiem, dzieckiem nielegalnym, pochodzenia, konduity i zamiarów nieznanych. Z niedowierzaniem więc patrzy się na niego i rozwój mu się utrudnia.

Tak się dzieje z jednymi, inne przeżywają czas swój i przechodzą, nie zawadziwszy o nas zupełnie. Czasem znane nam są z nazwy; wątek atoli ich powstania i związek z ogólnym rozwojem kultury długo pozostają obce. Skutkiem tego przejaw nowy, uzasadniony, niejednokrotnie wydaje się modą tylko, tłómaczoną ekscentrycznością, pogonią za oryginalnością, gdy w rzeczywistości jest logicznym, usprawiedliwionym zwrotem, prądem nowym stale wzbogacającej się kultury.

Podstawy każdego nowego prądu nie koniecznie muszą być zupełnie nowe. Często prawda jakaś, dowiedziona szeregiem prób, stwierdzona już i wypowiedziana na pozór ostatecznie, nagle ukazuje się w nowym oświeteniu i staje się nowym zadaniem artystycznym, otrzymując nazwę specjalną.

Zadanie rozwiązują artyści, ale o nazwę się nie troszczą. Omawiając sprawę poglądów artystycznych w swoim kółku, łatwo porozumiewają się z sobą, nie potrzebują całego owego magazynu literackiego, t. zw. terminologii, w zasadzie są nawet jej przeciwnikami. Terminologia zjawia się z chwilą, gdy sprawy te dostają się z pracowni przed sąd społeczny estetyków i historyków sztuki, którzy, dążąc do uświadomienia i wskazania możliwie ścisłego różnic, jakie zachodzą w twórczości, dzielą je na prądy i chrzczą nazwami rozmaitemi. Artyści utrzymują, że terminologia ćwiartuje sztukę, dzieli na części niepotrzebnie, że w teorii jej winno się brać na uwagę tylko indywidualność talentu, albowiem ten, kto dobrze odczuwa charakter twórczości danego artysty, ściślejszych określeń nie potrzebuje, dla tego wystarczy samo nazwisko artysty.

Pogląd taki ma wiele racji, gdyż liczy się tylko z osobistemi zasługami każdej twórczej jednostki. W epoce np. Odrodzenia we Włoszech, pomimo ogromnej ilości artystów i pomimo zasadniczych różnic, jakie w twórczości ich zachodziły, nie myślano o kierunkach i prądach, nazw dla nich nie szukano, brano pod uwagę tylko artystę i sądzono go podług właściwych mu osobiście cech i talentu. Dziś zasada ta stała się tylko poglądem, w życiu zaś powszechnem, każdy nowy przebłysk myśli niezwłocznie otrzymuje nazwę, z czego powstaje coraz liczniejsza terminologia. Chcąc w jej pojęciach obracać się swobodnie, trzeba często zajrzeć do historii sztuki, a czasem potrącić i o przyjęte zasady estetyki.

Jest-li ten objaw ogólnie dowodem i następstwem rozwoju, czy potrzebą mózgu dzisiejszego człowieka, pragnącego wszystko zanalizować i podciągnąć pod rubrykę odpowiednią w to wchodzić nie będziemy, przyjmujemy jedynie fakt, że w słowniku sztuki powsta-

ło mnóstwo nazw, odpowiadających całemu szeregowi prądów nowych, konieczność przeto zastanowienia się nad wzajemną ich łącznością nasuwa się sama.

*

*

*

Wszystkie dawniejsze przemiany w sztuce nie były niczem innym, jak prądami. Były niemi: sztuka grecka, renesans, gotyk, sztuka maurytańska—słowem wszystko, co nosi nazwę stylu, i co było odmianą przyjętej formy.

Zmiana form szła równolegle ze zmianą pojęć i postępem uzdolnienia, którego historię najlepiej streszcza następujący pogląd jednego z estetyków.

Bez względu na to, czy dzieło należy do budownictwa, rzeźby czy malarstwa, obejmuje on myślą wszystkie razem, traktuje jako jedną całość, poczynając od czasów najdawniejszych. Bierze więc pod uwagę i sztukę egipską z tajemniczymi piramidami, sfinksami i sztywnymi posągami faraonów, assyryjską z jej skrzydlatymi bykami o głowach ludzkich, męskich, sztukę grecką, następnie chrześcijańską ze wszelkimi odmianami romańszczyzny, gotyku, renesansu itd., jednym słowem: bierze cały ogrom dorobku artystycznego i dochodzi do wniosku, że wszystkie utwory dzielą się na symboliczne, klasyczne i romantyczne, tj. na dzieła trzech prądów sztuki, odpowiadających różnym stanom uzdolnienia artystycznego człowieka.

Dziełami symbolicznemi nazywa te, w których artysta nie okazuje uzdolnienia do tyła, aby myśli swoje wyrażał w formach plastycznych, zupełnie jasnych i zrozumiałych, skutkiem tego mimowoli stworzył formy umówione, jak np. sfinksa, który ma wyobrażać boga wschodzącego słońca. Wszystkie dawne sztuki Wschodu są według tego poglądu symbolicznemi.

Dziełami klasycznymi mieni oczywiście utwory sztuki greckiej i rzymskiej, których cechą jest zupełna równowaga między myślą a jej formą, wytwarzająca zupełną harmonię. Uczuć atoli sztuka grecka, zwłaszcza w epoce najwyższego rozkwitu swego, nie odtwarzała; pierwsze usiłowania w tym kierunku zjawiają się dopiero pod koniec jej istnienia w wypadkach sporadycznych, jako kierunek zaś rozwija i uprawia je dopiero sztuka późniejsza—romantyczna—i dla te-

go zajmuje ona najwyższy stopień rozwoju, cała bowiem dusza człowieka, to jest myśli i uczucia, znajduje wyraz w formach plastycznych.

Pogląd ten jest interesujący dla tego, że jednocześnie najlepiej streszcza wzajemny stosunek formy i treści—dwóch czynników, którymi się warunkuje każdy prąd nowy. Romantyzm wszakże jest to pojęcie ogólne. Trwając ogromny okres czasu, pod względem formy wypowiedzania się podlegał rozmaitym zmianom, w ciągu zaś ostatnich kilku dziesiątków lat jego istnienia powstały w nim dwa silne, jeden po drugim następujące, kierunki, mianowicie: r e a l i z m i n a t u r a l i z m.

Uwydatniły się one szczególnie w literaturze i malarstwie, zdobywając prawo do nazwy kierunków, dzięki talentowi swych ojców i przedstawicieli—takich, jak Flaubert, Balzac, Géricault, Delacroix, Zola i inni.

Wyrażenie: wywalczyły sobie prawa do nazwy kierunków—posiada tu znaczenie specjalne dla tego, że realizm i naturalizm, jako cechy dzieł poszczególnych, istniały oddawna. Realizm oznacza rzeczywistość, naturalizm to, co przedstawia natura w najdrobniejszych szczegółach. Każdy artysta plastyk musiał się zawsze wzorować na rzeczywistości i naturze, jeden atoli czynił to w większym stopniu, inny w mniejszym, jeden był realistą, drugi naturalistą. Granice między realizmem a naturalizmem można oznaczyć łatwo, jeśli z temi dwoma pojęciami zestawia się trzecie, mianowicie to, które nazywamy idealizmem.

Na przykładzie będzie to wyglądało w sposób następujący.

Artysta bierze modela, chcąc namalować z niego — przypuśćmy nadobuego Adonisa. Uszlachetnia go przeto, zmienia odpowiednio proporcye jego budowy, łagodzi cokolwiek za wypukłe plecy, nadaje czaszce owal regularniejszy i t. p., czyli idealizuje go. Realistą będzie ten artysta, który w stanie zupełnej równowagi myślowej, nie zastanawiając się nad tem, czy model jest piękny, czy nie, idąc tylko za ogólnem wrażeniem wzrokowem, pochwyli typowość jego, zachowując ścisłość tylko najważniejszych rysów i proporcji, jakie go charakteryzują. Naturalista zaś nie ograniczy się takim traktowaniem modelu, w szczegółach pójdzie dalej, i jeżeli model będzie miał brodawkę na policzku, zgrubienie kości w stopie, zdeformowany palec, lub inne tym podobne zwyrodnienia przypadkowe, wykona każdy taki szczegół, dbając jedynie o prawdę, nie bacząc zaś na to, że tą drogą dojść może do nie artystycznej bezcelowości, a czasem i do więcej jeszcze nieartystycznego niesmaku.

Realizm istniał zawsze. Nawet idealizująca rzeźba grecka nie jest wolna od dążeń realistycznych, pośród zaś dzieł jej istnieje posąg brązowy, wyobrażający szermierza na pięści, dzisiejszego boksera, z naderwanymi uszami, rozmaitemi guzami i szramami na twarzy i monstrualną budową, który jest w najściślejszym znaczeniu słowa utworem naturalistycznym. Zarówno jednak realizm, jak naturalizm są—jakeśmy to powiedzieli—tylko cechami poszczególnych utworów dawnych, ale nie są ogólnym celem usiłowań artystów ówczesnych.

Realizm—jako prąd—powstał prawem koniecznej reakcy przeciw pseudoklasycyzmowi, który panował jeszcze w pierwszych dziesięcioleciach wieku XIX. Wiadomo, że pseudoklasycyzm lubował się w zawikłanych alegoriach, wymuszonych apoteozach faktów i postaci, i w modnych wówczas scenach z mitologii greckiej. Łączył w sobie trochę umówionego symbolu, źle odczuwany i fałszywie rozumiany klasycyzm oraz trochę romantyzmu, jeśli go pojmiemy jako objaw przesadnej afektacyi. Konwencyonalność jego i brak prawdy, którą wykoślawiał, znużyły. Sztuka bez niej istnieć nie może, zwrócono się więc ku tej prawdzie, jaką bezpośrednio i wszędzie widzi się dokoła siebie i powstał hold dla rzeczywistości—realizm.

Naturalizm jest dalszym ciągiem realizmu, jest jego krańcowością. O ile pierwszy starał się chwytać życie w jego objawach najcharakterystyczniejszych, o tyle drugi zwraca się głównie ku przedmiotowości natury. Pierwsza lepsza rzecz stawała się tematem godnym naśladowania go w sztuce. Rzemiosło brało górę nad talentem twórczym i wyjaławiało artyzm. Na szczęście przyszedł z pomocą prąd inny.

Niemal współcześnie z realizmem, tj. mniej więcej około 6-ego dziesiątka lat zeszłego, stulecia zrodził się kierunek, którego celem było również zerwanie korony panującemu pseudo-klasycyzmowi. Stało się to drogą następującą.

Z końcem wieku XVIII dziewięciu młodych Niemców przybyło na studia artystyczne do Rzymu. Posiadając środki bardzo ograniczone, trzymali się gromadnie, ułatwiał to bowiem warunki bytu. Wyrobiwszy sobie pozwolenie na zajęcie wielkiego refekterza w jednym z opustoszałych klasztorów, zamieszkali w nim razem, podzielili się obowiązkami gospodarczemi, sami sobie gotowali, wzajemnie usługi wszelkie spełniali, kolejno służąc sobie za modele. Oglądając dawniejsze dzieła malarskie po galeryach i kościołach Rzymu oraz miast prowincjonalnych, pomimo, czy właśnie dlatego, że byli wykarmieni na ideałach pseudoklasycyzmu, zostali uderzeni prawdą i prostotą artystyczną utworów z epoki przedrafaelowskiej. Wobec nich

odczuli cały niesmak teatralności i wymuszoności pseudoklasycyzmu, postanowili zerwać z niemi i iść za prawdą, przez utwory te wskazywaną. Zagorzali pseudoklasyści śmieli się z nich, traktowali jako sekciarzy i przypięli im nazwę żartobliwą nazareńczyków.

Najgłośniejszymi z nich stali się Overbeck i Cornelius. Na nich atoli dążenia do przywrócenia sztuce szczerości byłyby się skończyły, wśród ziomków bowiem wyznawców dla zasad swoich nie znaleźli, gdyby następnie z pracami ich nie był się zaznajomił przybyły do Rzymu malarz angielski, Madex Brown. Ulegając urokowi świeżości i prawdy, jakiemu tamci hołdowali, przeniósł dążenia nowe do Anglii. Tam prace jego zwróciły uwagę kilku młodszych artystów, między innymi zaś słynnego Rossettiego. Nie był to jednak wpływ decydujący, młodzi ci malarze za mało znali wzory bezpośrednie i dopiero kiedy Hunt, Millais i Rossetti dostali przypadkowo sztychy, wykonane podług fresków Gozzolego na Campo Santo w Pizie (z w. XV), poruszeni ich wdziękiem, szczerością i prawdą, postanowili iść za tym wzorem i zawiązali formalne stowarzyszenie.

Z chwilą ukazania się pierwszych obrazów ich występuje znakomity Ruskin, jako estetyk, apostoł nowego kierunku, szeregiem artykułów i prelekcji podnosi znaczenie i dążności grupy młodych artystów, którzy jedynie w prawdzie, pojętej najprościej i najszlachetniej, w naturze nie zwyrodniałej i nie zepsutej zaborczością człowieka, widzą źródło poezji i natchnienia.

Utwory malarzy włoskich z epoki przedrafaelowskiej cechuje specjalny sentyment łagodności, wdzięku i pietyzmu, odczuwany przez nich głęboko i subtelnie, a wyrażany w sposób wymowny, zarówno w wyrazach twarzy, w typach postaci, jakgdyby należących do jakiejś sfery wyjątkowo uduchowionej, jak w ruchach pełnych godności, a zarazem prostoty, obserwowanych szczerze i sumiennie na naturze. Temi to cechami młodzi malarze angielscy, do których przyrosła nazwa praerafaelitów, starali się zastąpić pretensjonalną, krzykliwą i banalną sztuczność pseudoklasycyzmu.

Był to więc także realizm, ale inaczej zrodzony. Realizm francuski, dążąc do prawdy za daleko, zabrnął na jałowy grunt naturalizmu i skończył na nim. Realizm praerafaelitów wykwił na podstawach tejże prawdy, ale z tą różnicą, że przeszła ona już przez kulturę sztuki malarzy włoskich. Utwory ich bowiem przekonywają, że zaczęli oni raczej od naturalizmu, a doszli do realizmu, że nauczyli się brać z rzeczywistości to tylko, co jest w dziele sztuki koniecznym, stworzyli przeto podstawy, które same wskazywały dalszy kierunek

rozwoju, a mianowicie zastosowanie do nich wszystkich późniejszych zdobyczy technicznych, doświadczenia, zrozumienia i umiejętności zachowywania warunków światłocienia itp. To też śmiało rzec można, że jeżeli zwrot taki, jak np. impresjonizm, był konieczną a raptowną reakcją przeciwko krańcowemu realizmowi, to w stosunku do praerafaelityzmu prądy, które przeżywamy obecnie, są tylko konsekwentnym dalszym ciągiem rozwoju sztuki.

Postać i pochodzenie impresjonizmu są dziś ogólnie znane,—na rzecz jego pisano całe rozprawy naukowe. Chcąc go objaśnić i uzasadnić, przytaczano dowody naukowe Helmholtza, stwarzano specjalne teorie barw, tłumaczono prawami dopełniania się wzajemnego, wibracją powietrza, ustrojem oka i t. p., słowem z artysty prawdziwego, nie po rzemieślniczemu traktującego swój zawód, z artysty dążącego jedynie do uświadomienia sobie własnych pragnień artystycznych, zrobiono fizyka i oftalmologa. Śmiemy twierdzić, że wszelkie podobne objaśnienia impresjonizmu są naciągniętymi doktrynerskimi wywodami, przez które przeziiera wszystko, ale nie dusza artysty Gustawa Maneta.

Manetowi wprost nie wystarczył ów trzeźwy, stale zimną równowagę widzenia dyktowany realizm, nie zadawała go ów zdrowy sens przeciętnego człowieka, który nie pozwala mu dostrzegać całej poezji w barwach, a w powietrzu owego czarodziejskiego czynnika, który rzeczywistość zmienia często nie do poznania. Jak realisci do pseudoklasycyzmu, podobnie czuł on wstręt do realizmu, który mu naturę czynił pospolitą. On zaś widział w niej źródło natchnienia, widział ją idealnie piękną, chciał ją przeto przedstawić idealną w efektach, olśniewającą blaskiem światła i idealnie czystą w barwach. Był malarzem, nie fizykiem, szedł za szczerem poczuciem ar-

1) Nie mniej i dowodzenia Signaca, w broszurze jego o impresjonizmie.

tystycznym, nie za chłodną spekulacją mózgową. Stwierdza to i Zola w swoim „L'oeuvre”, w którym bohatera wzoruje na Gustawie Manet. Charakteryzując go jako malarza, Zola wspomina o jego usiłowaniu wywołania możliwie silnego efektu świetlnego i barwnego, ale zarazem, opisując jego obraz, który przedstawia kobietę obnażoną w towarzystwie paru mężczyzn, spędzających czas wypoczynku na łonie natury¹⁾, wyraźnie zaznacza dążenie już nie tylko malarza, lecz artysty, do zerwania z tą prawdą zdrowego rozumu, który, nie uznając możliwości podobnego wypadku dla tego tylko, że nie może się zdarzyć w życiu towarzyskiem, kładzie przeto pęta swobodzie twórczej.

Impresjonizm więc był przedewszystkiem rzuceniem rękawicy tak zwanemu zdrowemu rozsądkowi, pospolitości realistycznej i objawem swobody indywidualnego myślenia. Słusznie przyznawana mu zasługa podniesienia w malarstwie barwności była tylko następstwem artystycznie zapoczątkowanego dążenia.

*

*

*

Wszelkie zmiany, jakie zachodziły w pojęciach artystów, wywołując nowe prądy, odbijały się oczywiście przedewszystkiem w sposobie stosowania środków malarskich, tj. linii i barwy.

Linia ma swoją psychikę. Wyraz jej zależy od postaci. Inaczej przemawia linia prosta, inaczej krzywa, wklęsła lub kolista, inaczej linia płynna, miękka i cienka, a inaczej zarysowana grubo, energicznie i szorstko.

W rzeźbie i malarstwie linia stanowi o stylu, ona jest podstawą każdego stylu dekoracyjnego.

Ów wdzięk prostoty i łagodności, jaki posiadają postaci w obrazach praerafaelitów włoskich, zawdzięczają wyłącznie rysunkowi, charakterystycznemu kaligraficzną niemal poprawnością żywej, płynnej linii. Praerafaelieci angielscy, wzorując się na włoskich, na nią przedewszystkiem musieli zwracać uwagę, podnosząc tem samem

¹⁾ Obraz G. Maneta „Le dejeuner sur l'herbe“.

samodzielność znaczenia jej, które wkrótce, dzięki nowemu współczynnikiowi, mianowicie wpływowi malarstwa japońskiego, stało się pierwszorzędnem.

Utwory pędzla japońskiego, dostawszy się do Europy w ilościach ogromnych w 7-em dziesięcioleciu, po ostatecznym utrwaleniu stosunków Europy z Japonią, wpadły w ręce artystów angielskich. Nadzwyczajna szlachetność i doskonałość linii, na których wyrobienie składały się wieki i odnośne kanony, zelektryzowały malarzy europejskich tem silniej, że spotkały się z gruntem już przygotowanym. Linie japońską podchwycono i zaczęto uprawiać zawzięcie. Płynne, pełzające i snujące się linie o specjalnym, nieznanym dotąd charakterze stały się nową formą wyrazu, która jako taka weszła do malarstwa i rzeźby, wytwarzając styl o owej przypadkowej nazwie *secesyi*.

Jest to niezaprzeczenie nowy styl dekoracyjny, o zupełnie już dzisiaj zdecydowanym charakterze, na który złożyły się pierwiastki praerafaelityzmu w połączeniu z linią japońską. Wkrótkim stosunkowo czasie wydał on owoce doskonałe: tam, gdzie zajmowano się nim racjonalnie i poważnie, przybrał cechy miejscowe, — inne naprzykład w Anglii, inne we Francji i inne w secesyi wiedeńskiej, wobec zaś nowych środków budowlanych, jakich używa architektura, tak zwanej konstrukcji żelaznej, rola jego, jako stylu architektonicznego wydaje się tylko kwestyą czasu. Słowem, stał się on już dziś zupełnym konkretem, zdobyczą wyłowioną z pośród chaotycznych, mętnych, pierwszych jego objawów, z lekceważeniem lub negacją witanych ongi przez ogół.

Wrodzona każdemu samozachowawczość pociąga za sobą konserwatyzm pojęć i wymagań. Z niedowierzaniem i pewną trwogą przyjmuje się każdy zwrot nowy, zwłaszcza jeżeli zjawia się raptem i zmusza do zerwania z tem, co było i stało się przyzwyczajeniem. Ogół w każdej epoce i dobie wierzy, że jest on ostatnim wyrazem tego, co stać się miało, do czego ludzkość dążyła. Znalazłszy się wobec rzeczy nowych, stawia pytanie: po co to? i w twórcy ich widzi zakłóci-ciela porządku przyjętego dla celów egoistycznych. Zaostrzona podejrzliwość nie pozwala wnikać głębiej, oddzielić istotę rzeczy od jej formy, formę udaną od nieudanej, sięgnąć do samej istoty, aby zrozumieć, iż jest ona bratnim objawem tego samego ducha, który zawsze kierował postępem ludzkości. Stąd często w szczerym odrodzicielu swobody duchowej widzi się tylko modernistę, spekulującego na nowościach, miasto artysty, ktorego świat wewnętrzny pociąga silniej niżeli otoczenie, i który dla wypowiedzenia ukrytych w sobie

subtelności szuka w sztuce dokumentu, widzi się człowieka wykołajonego, niezdolnego do odpowiedzenia wymaganiom współczesnym i goniącego za sensacją. W istocie — i tak bywa, lecz jeżeli wobec tego czujność i ostrożność krytyczna jest potrzebna, nie mniej jest konieczna i wtedy, gdy w artyście szczerym z zapalem i talentem widzi się tylko sekciarza.

KAZIMIERZ BRONIEWSKI.

ROZMAITOŚCI.

SZLACHECTWO RODU SŁOWACKICH.

Kartka ze stosunków rodzinnych Juliusza Słowackiego,
na podstawie nieznanych materyałów

O rodzinie wielkiego poety bardzo skąpe a błędne posiadamy dotychczas wiadomości. Zajmowano się troskliwie życiem autora „Króla Ducha“, rozbierano szczegółowo i sumiennie jego utwory, lecz nie zwracano uwagi na gniazdo, z którego wyszedł, nie starano się przyjrzeć zblizka domowym, rodzinnym i majątkowym jego stosunkom.

Może szczegóły te nie są koniecznie potrzebne do zrozumienia dziejów fantazyi i dróg twórczości poety, lecz wyjaśnić one mogą niejedną okoliczność w życiu człowieka i niejedną rzecz w jego dziełach.

Rozpowszechnione jest mniemanie, że rodzina Słowackich pochodzi z Galicyi, z oficyalistów, należących do biednego stanu mieszczańskiego. Tymczasem jedna i druga wersya jest nieprawdziwą.

Przyczyną tak skąpych, a przytem błędnych wiadomości, było zaniedbanie odpowiednich poszukiwań archiwalnych. Stan dotychczasowych dostatecznie tłómaczy się zupełnym prawie brakiem ważniejszych źródeł i spożytkować się dających materyałów.

Pierwszą wzmiankę o rodzinie poety znajdujemy na wstępie do zbiorowego wydania dzieł Euzebiusza Słowackiego, skreślonym przez Leona Borowskiego ¹⁾. Lecz wiadomości tych jest bardzo mało i one również są błędne.

¹⁾ Dzieła, Wilno, 1827.

I.

Słowaccy nie zasłynęli w dziejach naszych i nie dobili się żadnego wybitniejszego stanowiska. Jeden tylko z ostatnich tego rodu potomków, którego wielki geniusz poetycki pozostawał w sprzeczności z wątlą jego istotą, zajaśniał niezwykłym blaskiem na horyzoncie romantycznej poezji polskiej i stał się przedmiotem rosnącego wciąż uwielbienia następujących po sobie pokoleń.

Jednakowoż z nazwiskiem Słowackich spotykamy się dość często w aktach dawnych urzędów Rzeczypospolitej, i spotykamy nawet kilka głośnych w nauce osobistości.

Na pokwitowaniu, danem Barbarze z Rożnowa, wdowie po Janie Amorze z Tarnowa, kasztelanie krakowskim, z dnia 28 listopada 1500 roku, przez dłużników i wierzycieli jej męża z sum, im wypłaconych, wspomniany jest Albertus Slovaczski, czyli Słowacki ¹⁾.

Przypadkowo wśród starych papierów znaleziony dokument dostarcza dowodów, że Słowaccy już w XVI wieku używali tego nazwiska i zamieszkiwali w Wielkopolsce, we wsi Duszniki. Jest to dokument z dnia 4 września 1565 roku, w którym Andrzej Słowacki poświadczają, że pobór królewski ze wsi Duszniki Przewielebnego Pana Biskupa Poznańskiego, płaci się od 32 i pół łanów, 2 karczmem, zarnem od zagrodników 5, plebańskich 7 i od jednego kowala.

Współczesnym Andrzejowi był znakomity astronom polski, Piotr Słowacki, który urodził się w Zdakowie, i stąd też pisał się po łacinie: *Petrus Slovaciuss Sdakoviensis*, albo też: *Petrus Sdakoviensis*.

Spotykamy nadto jeszcze jednego tego samego nazwiska astrologa i doktora medycyny: Stanisława Słowackiego, który w roku 1548 na wszechnicy krakowskiej, w letnim semestrze, za dziekaństwa Jakóba Wyrzykowskiego, wykładał „Listy Cycerona“ ²⁾. U schyłku zaś XVI-go i w następnym wieku żył trzeci, tegoż nazwiska, matematyk i astrolog: Franciszek Słowacki. Jego, bez wątpienia, pomieszcza S. M. Hieronim Juszyński w „Słowniku poetów polskich“ (Kraków, 1820, dwa tomy), z okazji autorstwa wiersza łacińskiego i polskiego w rodzaju Anakreontyków pod tytułem: *Epthalamium Andreae Petri-*

¹⁾ Archiwum ks. Sanguszków w Sławucie. Lwów, 1890, tom drugi, str. 282.

²⁾ Władysław Wisłocki: Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce. Tom czwarty. „Liber Diligentiarum Facultatis Artisticae Universitatis Cracoviensis“. Pars I (1487 — 1563). Kraków, 1886, str. 279 i 280, w Indeksie II, str. 495.

covio et lectissime (!) Virgini Annae Joannis Belza Filiae (Kraków, w drukarni Marcina Filipowskiego, 1622) ¹⁾.

W XVIII-tym nareszcie wieku spotykamy jeszcze jednego Słowackiego Stanisława, Franciszkanina, doktora teologii, przyjętego w poczet profesorów do wykładu tegoż przedmiotu w Akademii Zamyskiej w 1745 roku.

Od tych uczonych przejdźmy do zwykłej szlachty, osiadłej na Wołyniu, a noszącej nazwisko Słowackich, szlachty, której życie pozostawiło pewne ślady w aktach grodzkich i ziemskich. Wszyscy oni byli niezawodnie Leliwitami, gdyż tego herbu używali oddawna Słowaccy osiedli na Wołyniu.

Tam, a nie gdzieindziej i nie wśród uczonych astrologów i medyków, lecz wśród tej krewkiej, do sporu i do korda pochopnej, szlachty polskiej, należy szukać praocjów i krewnych Juliusza Słowackiego.

Słowaccy należą do liczby tych ziemian, osiadłych na Wołyniu, którzy uniezależnili się na swych działkach z książęcych włości książąt Czetwertyńskich. Pochodzili z drobnych gniazd szlacheckich, rozsianych w powiecie Łuckim, gdzie zamieszkiwali pierwotnie we wsi Sławatycze *vel* Słowatycze, i od której te miejscowości wzięli prawdopodobnie swoje nazwisko.

W tem domniemaniu, że gniazdem rodowym Słowackich jest Wołyń, a szczególnie powiat Łucki, utwierdza nas nader ważna okoliczność, że niedaleko od Słowatycz, bo tylko o wiorst ośmnaście, znajduje się w tymże powiecie wieś Jezioro *vel* Oziro, której część stanowiła „dobra dziedziczne“ przodków Juliusza Słowackiego.

Już w pierwszej połowie XVII-go wieku spotykamy Słowackich różnych imion, złączonych może pewnym węzłem pokrewieństwa, osiadłych w Żytomierzu.

Jest tam Mikołaj Słowacki i syn jego, Piotr, jest Paweł Daszkiewicz Słowacki i Zofia Słowacka.

W roku 1644 paui ta uczestniczy wraz z Pawłem Borzęckim, wojskim koronnym, Mikołajem Kiełczewskim, Wojciechem i Janem Wielowiejskimi, Zuzanną 2-o voto Popławską, Eufrozyną Rojecką, Katarzyną Wielowiejską, panną, jako sukcesorami Stefana i Mikołaja Trojanowskich, w sprawie przeciwko Aleksandrowi Łyczce, chorążemu sanockiemu i staroście pilźnieńskiemu, o rachunki z opieki nad powołanymi wyżej Trojanowskimi, synami Pawła Trojanowskiego ²⁾.

¹⁾ Juszyński: „Słownik poetów polskich“, tom drugi, str. 192; Estreicher: „Bibliografia“, tom ósmy, str. 180.

²⁾ Archiwum główne akt dawnych w Warszawie. Metryka koronna. Wyroki lubelskie, księga 329, fol. 1, 208.

W dniu 13 marca 1646 roku, Jan Idzikowski wnosi do ksiąg grodzkich żytomierskich przed podstarościm, Krzysztofem Cisowskim, protest przeciwko Piotrowi Słowackiemu o pobicie i zadanie ran ¹⁾. W tymże roku w dniu 25 marca i do tych ksiąg przed Wawrzyńcem Kolasowskim, namiestnikiem żytomierskim, protestacyę o zadanie ran szablą wnosi ksiądz pleban Wawrzyniec na Pawła Daszkiewicza Słowackiego ²⁾. W dniu zaś 13 kwietnia 1650 roku również do ksiąg grodzkich żytomierskich, przed Andrzejem Aslanowskim, podstarościm, wnosi protest na Błażeja Osieckiego Piotr Słowacki o pobicie kijem i zadanie ran Mikołajowi Słowackiemu, ojcu skarżącego ³⁾.

W latach 1658 i następnych aż do 1661 roku, Piotr Słowacki sprawuje w Łucku, na zamku Jego Królewskiej Mości, urząd namiestnika burgrabstwa Włodzimierskiego ⁴⁾. Na dalsze ślady jego działalności nie natrafiamy już nigdzie.

Krewnym, może synem, w każdym zaś razie współczesnym namiestnikowi burgrabstwa Włodzimierskiego jest Wacław Słowacki, pra-pradziad Juliusza w prostej linii. W roku bowiem 1700 wspomniany wyżej Stefan Słowacki, stając przy czynności prawnej na urzędzie grodzkim w Łucku, oświadcza, że jest synem Wacława Słowackiego i właścicielem dziedzicznej wsi Jeziora ⁵⁾. Tym sposobem, na podstawie tego urzędowego dokumentu, odnieść można żywot Wacława Słowackiego co najmniej do drugiej połowy XVII-go wieku. Jezioro, dziedziczna majątność Słowackich, była własnością Wacława, może Piotra, Słowackich, a może też sięgała i dalszych jego przodków.

Wacław Słowacki miał syna, Stefana, właściciela części dziedzicznej wsi Jeziora. Stefan poślubił Agnieszkę Baczyńską, zaś dnia 16 sierpnia 1700 roku, na zamku łuckim, przed Janem Karolem z Białki Bielićkim, burgrabią grodzkim łuckim, małżonkowie Słowaccy uczynili zapis wspólnych dóbr swoich na przeżycie.

Po śmierci Stefana Słowackiego część wsi Jeziora dostała się w dożywotne użytkowanie pozostałej po nim wdowie, i w dniu 3 lipca

¹⁾ Archiwum centralne Kijowskie, Księga Żytomierska, № 17, fol. 225.

²⁾ Tamże, Księga Żytomierska, № 17, fol. 356.

³⁾ Tamże, Księga Żytomierska grodzka, № 19, fol. 146.

⁴⁾ Archiwum główne akt dawnych w Warszawie. Metryka koronna. Księga 323, fol. 1078 — 1195. Archiwum Kijowskie. Księga Włodzimierska, №№ 1,026, 1,027 i 1,028.

⁵⁾ Wypis dokumentów z Archiwum ziemi Łuckiej i Wołyńskiego szlacheckiego deputackiego zgromadzenia. Dokumenty te, jak również inne, na które powołuję się w tym artykule, ogłoszę przy obszerniejszej monografii o rodzinie Juliusza Słowackiego.

1730 roku nastąpiła jej i jedynego syna, Józefa, urzędowa do teje wsi tak zwana intromisya. Czynności tej dokonał i spadkobiercom w dożywocie i dziedziczne posiadanie oddał Jan Sawczuk, woźny-generał województw podolskiego, wołyńskiego i innych, o czem podał relacyę do akt grodzkich na zamku Łuckim.

Nie posiadamy szczegółów o życiu, działalności i związku małżeńskim Józefa Słowackiego. Z dokumentów, będących pod ręką, wnioskować można, że gospodarował we wsi swej, Jeziorze, a w końcu posiadał tytuł honorowy Chorążego wojsk koronnych. Umarł, o ile się zdaje, w młodym dosyć wieku, pozostawivszy jedynego syna, Jakóba, który też odziedziczył po ojcu część wsi Jezioro.

Posiadłość ta, o której w „Słowniku Geograficznym“, ani też w jego dodatkowych tomach żadnej nie znajdujemy wzmianki, położoną jest w odległości 25 wiorst od Łucka. Obecny jej obszar wynosi 435 dziesięcin, czyli około 850 morgów. Musiała to być majątność niewielka, skoro w roku 1788 Jakób Słowacki za tych dóbr „część dziedziczną“ otrzymał przy sprzedaży 12,000 ówczesnych złotych polskich. Obliczając tę sumę według dzisiejszej wartości pieniężnej, wypadnie około 48,000 złotych polskich, czyli przeszło 7,000 rubli, chociaż akt sprzedaży opiewa, że w Jeziorze znajdowały się: „grunta orne i nieorne, zasiane i niezasiane, sianożęcie, pastewnie, ogrody, lasy, zarosła, łąki, niwy, poddani ciągli i piesi, dwór, mieszczanie, zabudowania dworskie i włościańskie, pasieka i inne należności“.

O Jeziorze *vel* Ozierze znajdujemy już bardzo wczesną wzmiankę w „Regestrach poborowych“ z roku 1577. Zaliczone do powiatu Włodzimirskiego, należało wówczas, wraz z kilku innymi folwarkami, do „pani Janowej Piotrkowej, podkomorzyny krzemienieckiej, Połonii Matysówny z Ozdowa, z imion swoich i synów swoich, Dziemiana i Michała Hulewiczów“¹⁾. W nowszych czasach było w posiadaniu Gostyńskich, a potem Młokosiewiczów, których główną rezydencyą był Hulewiczów²⁾, gdzie była parafia katolicka dekanatu Kowelskiego z kaplicami w Kaszówce i Czersku. Dziś cała przestrzeń Jeziora należy do niejakiego Malcowa³⁾.

¹⁾ Aleksander Jabłonowski: Źródła dziejowe. Polska XVI-go wieku pod względem geograficzno-statystycznym. Tom ósmy, str. 75.

²⁾ Hulewicze *vel* Hulewiczów, miasteczko, położone w powiecie Łuckim.

³⁾ Obszerniejszą wiadomość o Słowackich i o rodzinie Juliusza znajdzie czytelnik w pracy mojej pod tytułem: „Gniazdo poety“, drukowanej w №№ 259 — 269 „Gazety Lwowskiej“ z 1902 roku.

II.

O szlacheństwie rodu Słowackich znajdujemy po raz pierwszy wzmiankę u E. A. Kuropatnickiego: „Wiadomości o klejnocie szlacheckim oraz herbach domów szlacheckich w Koronie Polskiej i Wielkiem Księstwie Litewskiem i t. d.“ (Warszawa, 1782, część druga, str. 99), powtórzoną następnie u Małachowskiego w „Zbiorze nazwisk szlachty polskiej“ (Łuck, 1790, część druga, str. 41), oraz w „Herbarzu Niesieckiego“ (wydanie Bobrowicza, tom dziesiąty, str. 404).

Słowaccy, według Kuropatnickiego, pieczętowali się, eo rzeczywiście było, herbem Leliwa: księżyc złoty, jak na nowiu, do góry rogami obrócony, a nad nim gwiazda złota o sześciu promieniach w polu błękitnem. Nad koroną pięć piór pawich, na których osadzony herb powyższy w tymże złotym kolorze, lecz w formie mniejszej.

Leliwa jest jednym z najdawniejszych herbów, a Leliwici należą do rzędu najstarszych rodów w Polsce. Nieźmiernie trudno jest jednak oznaczyć, kiedy Słowaccy, praojcowie Juliusza, herbu tego używać poczęli. Nie był to, jak wyżej wzmiankowano, ród możny, ani sławny w Polsce, mieścił się zaś w rzędzie tych drobnych gniazd szlacheckich, ktoremi bogato usiane były niektóre ziemie Rzeczypospolitej. Istnieją nadto ważne i rozmaite przyczyny owego niezbadanego faktu, który pozostaje w pewnym związku z różnemi nieustalonymi dotychczas teoryami o powstawaniu i rozwoju różnych składników społeczeństwa polskiego.

Najnowsze badania historyczne dały w tej materji wiele zajmujących wyników. Ciekawe są również wiadomości o samym klejnocie szlacheckim Słowackich i o Leliwitach.

Różne i sprzeczne są zdania heraldyków o Leliwie, które zamieniły się nawet w legendę o jej pochodzeniu. Nie były one zapewne obce Juliuszowi Słowackiemu. Herb efektowny musiał się dobrze wrazić w pamięć poety. Pieczęć herbową ojca swego z literami E. S. miał z sobą wszędzie. Znajdujemy ją na czerwonym laku wyciśniętą na listach do matki, w pierwszych latach pobytu za granicą pisanym.

W poezji Juliusza spotykamy też wzmiankę o herbie tym, który poeta nadaje Janowi Bieleckiemu, gdy Bieleccy byli według jednego herbu Janina, a według innych Junosza.

Lecz panna młoda jakże przystrojona!
Trudno weselne opisać ubiory.

Ślubna jej szata była w dwa kolory;
 Błękitną barwą lśniąca jedną stroną,
 Bo takie było męża herbu pole:
 A na mienionym jedwabiu lazurze,
 Lśnił się herb, srebrne księżycą półkole,
 Gwiazda, nad gwiazdą hełm o strusiem piórze ¹⁾).

Ten opis herbu, umyślnie powtórzony w dalszych ustępach poematu, w tych samych prawie słowach, by czytelnik mógł poznać odrazu sturczzonego bohatera:

Patrzcie! o zgroza! to miecz dobrze znany!
 Nad emalii zaémionym lazurem,
 Obraz Najświętszej Panny malowany,
 I obraz krzyża — pod krzyżem na dole,
 Herb, jakby srebrne księżycą półkole
 I gwiazda, nad nią hełm ze strusiem piórem ²⁾).

III.

Ukaz z dnia 21 kwietnia 1789 roku, czyli tak zwana „Żalowanaja Hramota“ cesarzowej Katarzyny II, zapewniała szlachcie wolność od powinności rekruckiej, podatków osobistych i kary cielesnej z wyroków sądowych. Nadawała nadto prawo posiadania dóbr ziemskich z ludnością poddańczą, lub nawet poddanych bez ziemi, i obdarzała ją innemi jeszcze poszczególnemi przywilejami ³⁾. Po rozbiorze, w prowincjach, do Rosyi przyłączonych, te same prawa przyznano szlachcie polskiej. Gdy atoli w guberniach wewnętrznych Cesarstwa szlachta była nieliczna, a w guberniach wschodnich i syberyjskich ta klasa uprzywilejowana nie istniała wcale, to w guberniach zachodnich po ostatnim rozbiorze znalazła się ilość szlachy tak ogromna, że stanowiła prawie dwie trzecie części zaludnienia. Skutkiem tego ciężary państwowe spadły wyłącznie na włościan i mieszczan.

Spostrzegłszy to nienormalne ugrupowanie się różnych warstw społeczeństwa, rząd rosyjski odrazu odczuł potrzebę zmniejszenia

¹⁾ „Jan Bielecki“, powieść narodowa polska, oparta na podaniu historycznem, II, wiersz 27 — 34.

²⁾ Tamże, IV, wiersz, 65 — 71.

³⁾ Połnoje Sobranie Zakonow Rossyjskoj Imperii, tom XXII, № 16, str. 187. Hramota na prawa wolności i przymuszczestwa błahorodnego Rosyjskiego Dworjanstwa.

i ograniczenia liczby stanu uprzywilejowanego. Za pomocą szeregu uchwał prawodawczych i całej machiny administracyjnej, postanowił ograniczyć liczbę i rozrost szlachty polskiej, a dążyć do zwiększenia tych mas, któreby ponosić mogły wszystkie ciężary państwowe.

I rozpoczął się już od Pawła I, jak trafnie orzeka znakomity historyk dziejów wewnętrznych, Tadeusz Korzon, wielki proces legitymacyjny pomiędzy rządem rosyjskim a szlachtą polską. Gdy zaś zapadł ukaz tego monarchy z dnia 19 marca 1797 roku, który zażądał „wiadomości“ o szlachcie dla heroldyi, celem wpisania nazwisk do herbarza, było to rzeczą naturalną i konieczną, że do udowodnienia szlachectwa rodu swojego zabrał się Euzebiusz Słowacki, najstarszy syn Jakóba.

Był on podówczas geometrą przysięgłym, mianowanym przez króla Stanisława Augusta dnia 31 maja 1792 roku ¹⁾. Dla uzyskania przeto praw szlachectwa dostatecznem byłoby, stosownie do § 92 powołanego ukazu przedstawić ów patent na geometrę, który to urząd tylko szlachcie mógł sprawować. Szło jednak o jednoczesne wylegitymowanie braci, Erazma i Józefa, więc, stosując się do wymagań tego prawa, uzyskano o szlachectwie rodu Słowackich deklarację piśmienną dwunastu obywateli różnych gubernii, niewątpliwego szlacheckiego pochodzenia. Świadcstwo to Piotr Kazimierz Napiórkowski 12 lutego 1799 roku do akt ziemskich powiatu Bohusławskiego w oblatę podał.

W kilka lat później, Euzebiusz odpowiednią legitymację przed Urzędem Szlacheckim Kijowskim przeprowadzić postanowił. W tym celu w imieniu jego wniósł podanie do tak zwanego „Dworzańskiego Zgromadzenia“ w dniu 18 grudnia 1802 roku niejaki Chrzanowski. Słowacki przebywał podówczas i sprawował urząd „rządcy“, jak czytamy w dokumentach „u Wielmożnego Pułkownika Poniatowskiego“ w Tahańczy, wtedy do powiatu Bohusławskiego należącej. Widocznie zajęcia miernicze nie dawały Euzebiuszowi dostatecznego utrzymania, skoro zmuszony był zarządzać dobrami Poniatowskich. Może zresztą zajęcia te były w owym czasie i w danej miejscowości związane z urzędem geometry.

O pobycie Euzebiusza Słowackiego u Poniatowskich wspomina wprawdzie kilkakrotnie Juliusz w listach do matki, lecz bez wskazania nazwy miejscowości i szczegółów o tej rodzinie ²⁾. O Tahańczy czerpiemy po raz pierwszy wiadomość z dokumentów Euzebiusza, pokładanych przed Urzędem szlacheckim w Kijowie. Szczegół ten pozwoli nam w innem miejscu, przy życiorysie tego profesora, powiedzieć słów kilka o Poniatowskich. Była to w życiu Euzebiusza chwila

¹⁾ „Munus Geometrae Sacrae Regiae Majestatis Generoso Eusebio Słowacki confertur“. Sigillata Minoris Cancellariae Regni, Anno 1792. Księga 40, fol. 15, № 7. Archiwum Główne akt dawnych w Warszawie.

²⁾ Zob. wydanie moje: „Listów Juliusza Słowackiego“. Lwów, Księgarnia Polska, 1899, tom pierwszy, str. 42.

la, w której, wedle słów Juliusza, ojciec jego „wiele cierpiał, zanim do profesorstwa doszedł“¹⁾).

Do podania, wniesionego do Urzędu Szlacheckiego, Chrzanowski załączył wymagane według ukazu dowody i upraszał o wpisanie Euzebiusza i Erazma Słowackich do księgi szlachty gubernii Kijowskiej. Prośbę tę Zgromadzenie Szlacheckie uwzględniło i decyzyą z dnia 11 lipca 1803 roku postanowiło wpisać Euzebiusza do części pierwszej tak zwanej Rodosłownej Księgi Szlacheckiej przy wydaniu odpowiedniej „hramoty“.

Księgę rodosłowną, to jest księgę genealogiczną rodów szlacheckich ustanowiono dla każdej z oddzielna gubernii. Składała się ona z sześciu części. Do części pierwszej zapisywano porządkiem alfabetycznym rody rzeczywiste szlacheckie, to jest takie, które szlachectwem obdarzyła sama Katarzyna II, lub inne głowy koronowane, przez dyplom, herb i pieczęć (§ 76).

Legitymacya szlachecka Euzebiusza Słowackiego nie była jednak dostateczną ani dla brata jego, Erazma, ani dla syna, Juliusza. Było to rzeczą naturalną w chaotycznym pod względem prawno-administracyjnym stanie byłych województw byłej Rzeczypospolitej z powodu wprowadzenia nowych praw, nowych rozporządzeń i nieznałych przedtem instytucji sądowych i administracyjnych.

Oddzielnie przeto wylegitymował się ze szlachectwa Erazm w roku 1814 przed „Wołyńskiem Szlacheckiem Deputackiem Zgromadzeniem“, wykazany już przedtem w spisie szlachty przy rewizyi z 1811 roku. W dniu też 31 lipca 1814 roku dla siebie i syna swego, Eugeniusza, potwierdzenie szlachectwa uzyskał. W tym celu otrzymał też patent w języku polskim, spisany na pergaminie z wyobrażeniem u góry herbu państwa, u dołu zaś herbu Leliwa.

Po upływie znów lat kilkunastu, gdy Juliusz kończyć miał nauki i przemysliwał o wyborze stanu, począł czynić starania o przeprowadzenie swej legitymacyi szlacheckiej. W aktach właściwych znajduje się ślad, że starania te wspólnie z nim czynił i stryj, Erazm, od którego w Urzędzie Szlacheckim wymagano zapewne przeprowadzenia pewnych dodatkowych formalności. Legitymacya, w 1814 roku uskuteczniiona, nie była snąc dostateczną dla zupełnego udowodnienia szlachectwa.

Musiała to być dla nich sprawa dość kłopotliwa z powodu braku koniecznych dokumentów, i zapewne starający się napotykali w Urzędzie Szlacheckim różne trudności. Znajdujemy o tem wzmiankę w liście Juliusza, pisanym z Wilna dnia 6 grudnia 1827 roku: „W tych dniach odebrałem — pisze — list od kochanego Stryjaszka, donoszący mi o wszystkich staraniach i trudach, podjętych we wspólnym naszym interesie, i śpieszę z podziękowaniem za nie. Plenipotencya żądana na osobę Łukawskiego²⁾ i Godlewskiego, już jest na-

1) Listy, tom drugi, str. 217.

2) Pomyłka autora, gdyż we wszystkich dokumentach przytoczono nazwisko Łukawickiego.

pisana w Kancelaryi Grodzkiej, ale jej dziś odebrać nie mogłem, z powodu imienia Cesarskich, i chyba na przyszłą pocztę ją przysłać. Szkoda bardzo, że mi stryjaszek nie wymienił urzędów i godności tych dwóch Panów, pytano mię się o nie w kancelaryi, w plenipotencyi wyrażone będą prosto, bez żadnych tytułów imiona; lękam się, żeby się oni za to nie obrazili. Co do dokumentów, zdaje mi się, że jeszcze tych nie wiele mamy, radbym bardzo, żeby się co odkryło w aktach Lwowskich, radbym bardzo, żeby się jeszcze nie tak prędko księgi zamknęły¹⁾.

Jak widać z prośby Juliusza, w roku następnym do „Wołyńskiego Szlacheckiego Deputackiego Zgromadzenia“ wniesionej, dokumenty potrzebne znalazły się na miejscu, i proszący, powołując się na dowody legitymacyjne stryja Erazma, dołączył ponownie świadectwo zawartego związku małżeńskiego dziada, Jakóba, z Małgorzatą Zeydlerówną, oraz pięć nowych dokumentów, w temże podaniu wyszczególnionych.

Sprawa ta wzięła też wkrótce obrót pomyślny, gdyż „Wołyńskie Szlacheckie Deputackie Zgromadzenie“, dekretem z dnia 31 lipca st. st. 1828 roku postanowiło zapisać Juliusza Słowackiego do księgi szlachty gubernii Wołyńskiej.

Lecz i tej legitymacyi nie uznano za dostateczną, skoro Erazm Słowacki zmuszony był uzupełnić materiał dowodowy przed „Zgromadzeniem Szlacheckim Wołyńskim“ w 1832 roku i przedstawić dokumenty, stwierdzające posiadanie przez przodków jego dziedzicznej wsi, Jeziorna. „Zgromadzenie Szlacheckie“ postanowiło wtedy wpisać go do VI-ej części księgi rodów szlacheckich. Według zaś § 76 powołanej wyżej „Hramoty“, wnoszono tam rody, które udowodniły, że szlachectwo ich sięga lat stu — i wyżej, niewiadomym zaś jest początek ich szlacheckiego pochodzenia.

W roku 1835 Erazm wylegitymował ze szlachectwa syna swego, Władysława, a następnie, rozumie się, że bez współdziałania Juliusza, czynił starania w Departamencie Heroldyi w Petersburgu o zatwierdzenie tych praw dla siebie i swego tylko pokolenia. Decyzją tegoż departamentu, z dnia 28 lutego 1838 roku, ród Słowackich uzyskał nareszcie niezaprzeczone praw swoich do szlachectwa potwierdzenie.

LEOPOLD MÉYET.

1) Oryginał tego listu, tylko w urywkach większych ogłoszony drukiem, znajduje się w Zakładzie Narodowym imienia Ossolińskich we Lwowie.

Piśmiennictwo.

KRASZEWSKI: Polska w czasie trzech rozbiorów 1772—1799. Studya do historii ducha i obyczajaju, tom 3-ci, 1791—1799. Warszawa, 1903.

Ostatni tom interesującego dzieła Kraszewskiego rozpoczyna opowieść historyczną od zwrotu wstecz, ażeby lepiej określić położenie, w jakim się znajdowała Rzeczpospolita w chwili, gdy śmiały patriotyczny popęd garstki ludzi dobrej woli, unosząc z sobą naród i słabego króla, nową ustawą pragnął odrodzić kraj, zwątlony instytucjami zwichniętymi i płynącym z nich zepsuciem obyczajów. Sejm przystąpił, łudząc się samoistością, nieświadom dobrze tego, co go otaczało, do ogłoszenia konstytucyi, przeciwko której zjadła opozycja republikańska stanęła, gotowa o pomoc uciec się do nieprzyjaciela, aby dawną anarchię przywrócić. Nie chciano czuć, ani widzieć, że losami osłabłej Rzeczypospolitej rozporządzano poza nią, że gdy tu Potoccy, Kołłątaj, Małachowski i t. p. nadawali nową konstytucyę, Kaunitz, Ostermann, Hertzberg, Lucchesini marzyli już o rozporządzeniu tą własnością bezpańską. Wszyscy ministrowie zagraniczni zrazu byli przerażeni ustawą 3 maja, upokorzeni tem, że jej wcale nie przewidywali tak stanowczą i nagłą. W kraju doznała ustawa jak najlepszego przyjęcia. Okazywano wdzięczność królowi za jego zachowanie się i na jego imieniny d. 8 maja głoszone hasło: „Król z narodem i naród z królem“. Pewien rzeźnik pod cyfrą króla wyobraził wołu, prowadzonego na rzeź i podpisał: „Kto moim królem pogardzi, utnę mu łeb, jak wołowi“.

Na jednym z majowych posiedzeń sejmowych przyszła na stół organizacya wojska, nowa przysięga wojskowych i t. p. Hetman Branicki zaofiarował na jednomyślnie uchwalone wojsko 200,000 zł. Mówiono dosyć beładnie o najrozmaitszych przedmiotach i obrady sejm-

mowe odroczone do 15 września. Rozjechanie się posłów po kraju nie było bez celu, należał się im odpoczynek, ale spodziewano się też skutku z ich apostołstwa i przedstawienia obywatelstwu wiejskiemu prawdziwego stanu rzeczy, znaczenia tej ustawy, przeciw której opozycja ich jątrzyła. Ustawa też potężnie na kraj cała oddziałała, upoiła go i roznamiętniła. Życie, dawniej w jednej tylko sferze rozwijające się, przeniosło się w inne strony i klasy. Szał jakiś opanował wszystkich, począwszy od króla do kmiotka. Za Warszawą idą, wtórując jej entuzjazmowi, miasta, miasteczka, wioski, z gotowością do ofiar nadzwyczajną. Gorączka ta, w istocie zbyt jest wielką, by wytrwać mogła; umysły baczniejsze już się ostygnięcia jej obawiają.

Przed otwarciem sejmu, w sierpniu, w kościele farnym Ś-go Jana odbyły się pierwsze zgromadzenia miejscowe miasta Warszawy. Stan miejski, w wyborach swoich, mowach, rozprawach o potrzebach swoich, starał się dowieść, iż dojrzał do nadanych mu swobód. Sejm przystąpił znowu we wrześniu do prac, a wkrótce otrzymał wiadomość o knowaniach opozycji w Jassach. Żądano powszechnie, aby magnatom, siedzącym w Jassach i odmawiającym przysięgi, odjęto dostojęstwa. Król zawsze łagodny prosił i uzyskał zwłokę. Nareszcie organizacya wojska o tyle się posunęła naprzód, że urządzono manewry obozowe pod Gołębiem, Braclawiem i Mińskiem. Dowodził pod Gołębiem jazdą ks. Wirtemberski. Manewra rozpoczęły się dnia 12 września. Kilka tysięcy wojsk narodowych, rozciągniętych dokoła, mnóstwo przybyłych obywateli, duch, który wszystkich ożywił, czyniły ten obchód uroczystym, pamiętnym. Pod Braclawiem, w tem miejscu, gdzie niegdyś leżał z wojskami swemi Jan III, dowodził ks. Józef Poniatowski, niezmordowanie zajęty zaprowadzeniem karności i porządku. Obok ks. Józefa pracowali też na kresach generałowie: Kościuszko, Pouppart, Czapski, Wielhorski, Mokronowski, Lubomirski, Iliński, Lubowidzki. Nadzwyczajne pochwały oddawano im wszystkim. Wojsko cokolwiek za rozległe było rozkwaterowane, a w umundurowaniu i ekwipowaniu zostawiało wiele do życzenia. Na Litwie, pod Mińskiem, dowodził generał Judycki. Tu liczba żołnierza była mniejszą, ale ochota i zapał wielki. We wszystkich obozach razem było do 30,000 ludzi.

Rok 1792 pod dosyć smutnemi wróżbami zwiastował się w Warszawie; niezadowolonych i szemrzących liczba jakoś wzrastała, żalono się i narzekano na króla. Złe wróżby i skądinąd wiały. Nawet „Gazeta Narodowa“ wydrukowała wiersz, smutną rokujący przyszłość: „wrócić nam potrzeba do przemocy możnowładzców, do elekcji, do szafunku darów dla panów, do targów w bezkrólewiach, do nieopła-

cania podatków i t. p. Im bardziej się zbliżamy ku smutnemu rozwiązaniu dramatu z d. 3 maja, tem dziwniejszą musi się wydawać niezmierną nieopatrzność kraju, brak siły organizacyjnej, która w tej chwili stanowczej mogła, jeśli nie ocalić, to przeciągnąć upadek. W niektórych kolach widzimy już zwątpienie, w innych zbytek zaufania, gdzie indziej osłupiającą nieświadomość położenia aż do ostatniej chwili. Tymczasem rozpaczliwe to położenie osłaniają manifestacye, zabawy, patryotyczne okrzyki, aż po sam brzeg przepaści nas wiodące. Ze wszystkich twórców konstytucyi, Kollątaj najczynniejszym jest do końca, nie traci energii i nadziei, zagrzewa drugich. U niego codziennie narady przy drzwiach zamkniętych, do których tylko zaufani są przypuszczeni. To też znajduje popularność i wiarę.

Dnia 20 kwietnia nadbiegł goniec z Petersburga od Debolego z doniesieniem, iż wojsko rosyjskie przysposabia się wniknąć do Polski i że przygotowano w Petersburgu manifest do narodu, wzywający go do powrotu do instytucyj republikańskich. Na posiedzeniach sejmu jeszcze jednak mowy o tem nie było. W tradycjach narodowych utrzymało się mniemanie fałszywe, iż konfederacya Targowicka kraj zaprzedała. Przyczyniła się ona do jego zguby, była jej narzędziem, ale nie dla pieniędzy, nie dla zysku szli do Petersburga, zemstą i ambicyą wyuzdaną gnani: Rzewuski, Potocki, Branicki. Szczęsnego duma obrażona, żądza pomśzczenia się, panowania, zaślepiała na wszystko. Rzewuski był także pyszałkiem, a Branicki warcholą dla dostojestw i dla przyjemności warcholenia. Na posiedzeniach sejmowych prawie wyłącznie teraz zajmowano się wojskiem, chociaż za późno niestety. Wojna już była u progu. Dnia 9 maja wojska wyciągały już z Warszawy na Litwę; widok ten dodawał otuchy. Korpusy opatrzone, pełne ochoty, ciągnęły przez stolicę wśród błogosławieństwa ludu, przejętego widokiem, dotąd nieznanym polakom. Sejm aby nie okazać trwogi i rozstroju, zbierał się i naradzał.

Dnia 18 maja Bułhaków doręczył Chreptowiczowi deklaracyę, z Petersburga nadesłaną. Wojska ruskie wchodziły do terytoryów Rtej z zamiarami niby to przyjacielskimi i prymas wierzył w to, że się rzeczy pokojowo ułożyć dadzą. Gdy deklaracyę odczytano w sejmie, król w mowie silnej odezwał się: widzicie panowie, w tem piśmie znieważone nietylko wasze dzieło 3 maja, ale też i czyny wasze, toż dzieło poprzedzające, widzicie usiłowanie do zniesienia powagi, istności sejmu terażniejszego i całej independencyi naszej przewrócenia, widzicie otwarte wspieranie tych rodaków naszych, którzy się targają przeciwko woli i dobru ojczyzny. Dodał potem, osobiście tam się stawię i wystawię, gdziekolwiek przytomność moja potrzebną będzie. Dnia 22 maja sejm ostatecznie powierzył królowi komendę nad woj-

skiem Rtej, władzę zawierania rozejmów, kapitulacyi, zamiany niewolnika, salvi conductus, paszportów, rozdawnictwa nobilitacyi, nagród, z wyjątkiem ostatecznych o pokój układów. Król zakończył posiedzenie okrzykiem: ufajcie, gdzie trzeba będzie ofiary i życia mego, nie będę go szczędził.

Akt konfederacyi Targowickiej podpisany został d. 14 maja i zjawił się prawie współcześnie z deklaracją rosyjską. Zawiera on krytykę działań sejmu czteroletniego, a potwarzy i zelżywych wyrazów w nim nie żałowano. W akcie tym napisano, że Rzeczpospolita podbita(!) w rękach ciemiężycielów, o własnej sile się podnieść nie mogąc, uciekła się z ufnością do Katarzyny, polegając na jej wspaniałości i traktatach. Zadaniem wrzekomem była udzielnosc, samowładność, niepodległość Rzeczypospolitej, wolność przodków, rząd republikański. Prócz tego targowiczanie wydali „Memoryał o rewolucyi polskiej”. Rzeczą tą wyszła niewątpliwie z obozu Szczęsnego i prawdopodobnie drukowaną była w Petersburgu. W Warszawie zapał ogarniał średnią sferę społeczną, około tronu i króla popłoch rósł coraz większy. Każdy myślał o osobistym ratunku. Cofanie się wojsk i listy poufne księcia Józefa, nie dozwalały wątpić, że w końcu uledez będzie potrzeba.

Generał Kachowski wkroczył czterema oddziałami na Ukrainę Kreczetnikow na Litwę. Na wieść o wypowiedzeniu wojny, król powierzył księciu Józefowi dowództwo. Książę Józef zapytał o magazyny i rezerwy, o twierdze obronne, lazarety, artyleryę, konie i t. p.; na to mu odpowiedziano, lubo tego wszystkiego niema jeszcze, ale będziemy się starali wyśpieszyć to i wyprawiać jak najprędzej. Ty sam sobie bądź i prowiantmajstrem i kwatremistrzem, rób cuda, jak będziesz mógł, wszak i my cudów dokazaliśmy w dwóchleciech, od 13,000 wojska, podnosząc do 55,000, w którym połowa samej kawaleryi. Ks. Józef w memoryale, poświęconym kampanii, utrzymuje, że prosił króla, aby oddał dowództwo jakiemu obcemu generałowi, lepiej rzeczy świadomemu, dodając, że chętnie służyć pod nim będzie, lecz że z tem, co było gotowego, niepodobna było rozpocząć kampanii i mieć nadziei, że będzie dla dowódcy szczęśliwą. Król mu odpowiedział, że nie szło bynajmniej o ocenienie środków, lecz że ma obowiązek bronięcia ojczyzny i kazał mu być posłusznym. Wojsko, mimo niedostatków organizacyjnych, biło się pod Zieleńcem i Dubienką dobrze, a gdy król przystąpił do Targowicy, pisał mu synowiec w imieniu wojska: dozwól nam raczej ginąć od oręża walecznego nieprzyjaciela, lub traktować, jak przystało, ale nie poniżaj, równając ze zdrajcami. Książę Józef energią swoją ocalił wojsko od Targowicy i zadał jej

w opinii cios, którego mu przebaczyć nie mogła. W rozkazie dziennym, żegnającym wojsko, oświadczył on wyraźnie: walczyliśmy za swobodę umiarkowaną dla sławy narodu i za prawdziwe interesa kraju. Była to wojna święta, bo wojska nasze podtrzymywały tylko prawa, któreśmy wzięli po przodkach puścizną i za całość ognisk domowych.

O ile kampania 1798 r. księciu Józefowi i Kościuszcze przyczyniła sławy, o tyle obrona Litwy słuszne w opinii publicznej wywołała potępienie i wykazała całą nieudolność naczelników. Zapytywano potem: czemu nieprzyjacielowi nie opierano się na granicy litewskiej, przepawy Niemna nie broniono, ustępowano pod Mir, nie miano ambulansów, nie zasłaniano Nieświeża, kraj odkryto, magazynów nie przysposobiono, żołnierza nie karmiono! Pytania te zostały bez odpowiedzi. Zaraz po wkroczeniu wojsk rosyjskich starano się wszelkimi sposobami odciągnąć króla od Targowicy. Król, opierający się dotąd, gniewał cesarzową, a doprowadzał Szczęsnego do wściekłości. Nareszcie gdy wiadomości z pola bitwy dochodziły coraz gorsze, a Ignacy Potocki powrócił bez nadziei z Berlina, król chciał z Bułhakowem rokować, ale nie pozostawiono mu innego wyboru, tylko iść bić się i zginąć, albo się poddać. Napisał w ostateczności list do cesarzowej, odpowiedź przyszła stanowcza i ostra. Od tej chwili król począł dowodzić niemożności dłuższego uporu i był nawróconym. Pytał jednak o radę i pierwszy prymas rzekł: gdy nie można konstytucyi, trzeba kraj ratować. Kollątaj był także za akcesem, chociaż należał do twórców konstytucyi. Przeciwno poddaniu się konfederacyi targowickiej byli Ignacy Potocki i Stanisław Małachowski, który ofiarował 100,000 dukatów królowi na wojsko i jego pojrzeby, ale chciał je włożyć do karety, gdy król do obozu wyruszy i zaklinał, aby pozostać wiernym ustawie, wreszcie dodał: jeśli układać się mamy, raczej z dworem petersburskim, niż ze zdrajcami.

Gdy król przystąpił do Targowicy, Małachowski, wyjeżdżając, zostawił protestacyę, w której oświadczył, że akt targowicki uznaje za gwałtowną przemocą wojsk obcych utrzymywany i popierany, przeciwny wyraźnie woli Rtej, i całemu narodowi szkodliwy. Niesie on przed sobą ogień i miecz, a za sobą anarchię, dependencyę i zgnębienie ojczyzny. — Po akcesie króla, Rzewuski, kasztelan wileński, złożył godność senatorską, a królowi okazywano w ogóle lekceważenie, jeżeli nie pogardę. Teraz dopiero Ukazy Szczęsnego sypały się jak z puszkii Pandory, datowane najprzód z Targowicy, później z różnych stacyi konfederackich. Cesarzowa osobnego ministra wyznaczyła od siebie dla czuwania nad konfederacyą. Pochlebiali to Potockiemu,

iż, jak panujący, miał przy sobie akredytowanego rezydenta. Nie rozumiał tego, iż mianowany na funkcję tę, baron Bühler, był jego stróżem i dozorcą. Z tem wszystkim najdespotyczniejszy z dyktatorów, Szczęsny, zwał swój teroryzm, popierany wojskiem obcem, ojczyzną wolnością. Taki napis na naramiennikach nosili przyjaciele Szczęsnego.

Szczęsny na swoją rękę, nie rozpoczynając nowej budowy, stare jak najgwałtowniej wywracał. Zaczęły się proskrypcye wszystkich, co się nowemu porządkowi służyć ociągali. Wydano pozwy przeciw głównym hersztom majowym, a najprzód przeciw Stanisławowi Małachowskiemu. Szczęsny pozwał i Ignacego Potockiego za bezczelne zachęcanie króla do złamania pactów. Na list króla z d. 24 lipca pokorny i grzeczny Szczęsny odpisał mściwie, obelżywie i zuchwale. Generalność litewska, w ręku drapieżnych Kossakowskich zostająca, stawała ciągle przeciw koronie, obstając przy swej odrębności i autonomii. Każdego z tych przywódców wspierało chciwe łupu stronnictwo. Najzuchwalej, najdespotyczniej postępowali Kossakowscy na Litwie. Tych, którzy śmieli skarżyć się i narzekać, pozbywano się jako nieprzyjaciół ojczyzny, straszono kajdanami i Sybirem. Łupiestwo to bezwstydnie oburzało wszystkich, aż naród wpadł w rodzaj odrętwienia i czuł tylko, że stan taki długo przeciągnąć się nie może.

Gdy wojska ruskie zagarnęły terytoryum Rzeczypospolitej, Szczęsny ujrzał u nóg swoich przepaść, do której go duma i ślepa nieważność wprowadziły. Zrozumiano teraz, iż wyjście wojsk ruskich bez zgody Rosyi nastąpićby nie mogło. Jednocześnie dowiedziano się że zamianowano Siewersa na miejsce Bułhakowa, a Siewers był zręcznym dyplomata, umiał się on okryć pozorą łagodnością i dobrocią. Umiejętnie odgrywana prawda i szlachetność pokrywały w nim niezmierną giętkość i wprawę do sofistycznego tłómaczenia rzeczy. Król, prymas i nuncyusz, co żyło, otaczało Siewersa grzecznościami i honorami, pragnąc go sobie pozyskać przeciw konfederacyi. Pogłoski rozchodziły się o drugim podziale kraju, Siewers im uporczywie zaprzeczał, ale swoją drogą nalegał na króla, aby wyjechał na sejm do Grodna. Król przewidywał, na co jest potrzebny posłowi i wymawiał się o ile mógł, ale Siewers znalazł sposób wywabienia go z Warszawy i uczynienia go powołnym swym planom.

Król zabrał do Grodna dwór szczupły i żył skromnie, prawie zamknięty, choć, zastęp pięknych pań, ze względu na owe czasy, był dziwnie liczny. Rzeczywistym panem położenia był Siewers, mający pod rozkazami generałów: Rautenfelda, Dunina i Kamphausena. Zgodzenie się na traktat z Prusami szło przedewszystkiem uporem, ale jak się łatwo przewidzieć dało, opozycja, pod naciskiem Siewersa

ustąpiła. Gdy wszystko załatwiono, czego dwory wymagały, sejm rozszedł się smutno, ponuro, ze wstydem i upokorzeniem, król przez te kilka miesięcy zestarzał nagle, zbladł i oczy mu zapadły, chciał on co rychlej opuścić ten więzienny zamek, te mury, świadki jego upokorzenia. W każdym razie ostatni sejm Rzeczypospolitej w porównaniu z sejmem 1775 r. świadczy o rozwiniętym duchu. Za królem do Warszawy podążył Siewers, z całą dumą dokonanego wielkiego dzieła, które wszyscy jako znakomity czyn dyplomatyczny wynosili, nie wyjmując Igelstroma, który skrycie starał się podkopać Siewersa, aby zająć jego miejsce.

Ktokolwiek mniema, że rewolucję (1794) zrobił ten lub ów, myli się niezmiernie. Wszystko zważywszy i widząc wszystko, powiedzieć można, że rewolucya zrobiła się samą naturalną rzeczą ludzkich koleją. Narady exulantów odbywały się w Lipsku i Dreźnie, którzy do objęcia naczelnej władzy przygotowywali Kościuszkę. Kościuszkę od stanowczego kroku wymawiał, oświadczając, że na tak błahych, jak dotąd, podstawach, nie można było budować, że smutno byłoby nieumiejętnie i lekko zacząć i upaść. Wiedzano wogóle, że kraj był zużekany, wyczerpany, że nadzieje zwycięstwa nader były słabe. Rachowano więc głównie na rozpacz narodu i na powstanie mas, liczoło przytem trochę na sympatyę Francyi i na neutralność Austrii. Powstanie majowe, które przygotowywane było w okolicy Krakowa, szło oporem, ale postanowiona redukcya wojska przyspieszyła wojnę. Kampanię z 1794 r. opisał Kraszewski szczegółowo, a zwłaszcza powstanie i oblężenie Warszawy. O Kościuszcze pisze on: wpatrując się w postać jego, w życie i pisma, w postępowanie jego całe, nie podobna nie uczuć poszanowania dla cnoty. Kościuszkę był nadto prawym i szlachetnym a prostodusznym, a za mało energicznym, aby podołał zarazem rządowi kraju, wycieńczonego anarchią i uciskiem, i stworzeniu dowództwa, dla którego gotowych żywiołów brakło. Nie widział może jasno położenia, jego trudności i szkół.

Po ostatecznym pogromie w r. 1794, poleceno Repninowi, ówczesnemu gubernatorowi Litwy, straż nad Stanisławem Augustem, przeznaczając mu na tymczasowy pobyt Grodno. Dla Repnina ten obowiązek strażnika więziennego był wielce drażliwym i niemiłym. Zrazu jeszcze niepokoił się i krzątał, później stracił energię i zdał wszystko na Bezborodkę. Król słaby, złamany, przez swą rodzinę nieustannie namawiany, uległ wreszcie w styczniu 1795 r., i Repnin doniósł cesarzowej, że się zdał szczerze na jej łaskę i niełaskę. Abdykacya jego nie czem innem była, jak podpisaniem i potwierdzeniem trzeciego rozbioru Polski. I od niej wypraszał się król w ostatecznej

chwili i płakał. Kobiety go jednak otoczyły, błagając ze łzami, i podpisał, a podpisawszy znowu zalał się łzami. W liście (1795) cesarzowa radziła mu pobyt we Włoszech, a szczególnie w Rzymie, jako miejscu najstosowniejszem dla jego położenia politycznego i znanego w sztukach zamiłowania. Pozwalano mu przedsiębrać, jakieby chciał podróże, unikając miejsc, w których zbyt wielkie umysłów panowało wzburzenie. Kraszewski w tomie 3 doprowadza opowieść historyczną do śmierci Stanisława-Augusta po objęciu w posiadanie terytoriów Rzeczypospolitej przez trzy sąsiadujące mocarstwa.

Tom trzeci zarówno jak i poprzednie, zawiera niezmiernie bogatą treść i jest po dziś dzień gruntownie pouczającym. Od chwili ukazania się dzieła Kraszewskiego, odkryto wiele cennych źródeł, ukazało się wiele sumiennych opracowań historycznych, do owej epoki odnoszących się, a mimo to wszystko, studjum Kraszewskiego nie utraciło swoich zalet i pozostaje nadal pracą o rzetelnej naukowej wartości.—Wartości tej nie obniżają drobne usterki, które jak w poprzednich, tak i w trzecim tomie się znajdują. Sprawa włościańska w 1791 roku opisana została przez Kraszewskiego niedostatecznie. Wspominając Pawłów Brzostowskiego, powołuje się on na Listy Anonima z 1788 roku, kiedy w 1791 (wrzesień lub październik), wydrukowane zostało potwierdzenie ustawy dla włościan ziemi Pawłowskiej, z której się pokazuje, że jakkolwiek Brzostowski urządzeniem włościan Pawłowa zajmował się od roku 1767, jednakże dopiero w r. 1791 doprowadził je szczęśliwie do końca. W tem potwierdzonym urządzeniu (str. 40) znajduje się wzmianka, że w roku 1790, miesiąca listopada, włościanie ziemi Pawłowskiej złożyli sumę złp. cztery tysiące na wylanie dwóch armat, kalibru trzyfuntowego i one ofiarowali do artylerji W. Ks. Litewskiego. Ustawę dla włościan Pawłowskich opisuje Kraszewski także nieco odmiennie od tej, jaka w roku 1791 zatwierdzona została.

W dziele Kraszewskiego nie spożytkowano również należycie Dziennika rządowo-ekonomiczno-handlowego, który dla sprawy włościańskiej w 1790—91 roku pozostanie ważnym dokumentem. W dzienniku powyższym chwalono każdego szlachcica, który względem włościan po ludzku się zachowywał, a piętnowano każdego, który dopuszczał się bezprawia lub gwałtów. Prócz tego pozostały Kraszewskiemu obcemi lustracye z tych lat, które pouczają, że starano się usunąć wszelkie nadużycia starostów i ekonomów, żeby tylko o ile możliwości poprawić byt włościan w Królewskichyżnach. Sprawa miejska przedstawiona przez Kraszewskiego pozostawia wiele do życzenia. Ustawa miejska została dopiero uzupełniona prawami w 1792 roku, a o tem w dziele Kraszewskiego nie znajdujemy żadnej wzmianki.

Te drobne usterki wynagradzają nam jednak obszerne ustępy, kreślące stan armii, jej niedostatki, ćwiczenia obozowe i wreszcie zachowanie się w kampaniach 1792 i 1794 roku. Autor dał nam prócz tego wyborne portrety ks. Józefa, Kościuszki i wykazał wszystkie zasługi wyższych oficerów, w ciągu kampanii zdobyte. Że wojsko polskie w r. 1792 wytrzymało do końca na drodze obowiązku i pomimo niefortunnej kampanii oraz niedostatków nie przystąpiło do Targowicy, zasługa to wyłącznie księcia Józefa. Przedstawił ją Kraszewski szczegółowo, a do scharakteryzowania wodza spożytkował pamiętniki ks. Józefa, poświęcone głównie tej kampanii. Postać Kościuszki uwydatnioną została na tle wojny 1794 roku. Kraszewski zrozumiał, że cała doniosłość Kościuszki polegała nie na geniuszu wojeunym, którego nie posiadał, ani na energii, któraby potrafiła w odpowiedniej chwili odszukać i zgromadzić środki obrony, wymagane przez rozpaczliwe położenie kraju. Prostota charakteru, pojęcie obowiązku, połączone z głębokiem poczuciem sprawiedliwości, oto przymioty, które czyniły z Kościuszki postać imponującą nie tyle wielkością ile zacnością i dobrocią.

Kreśląc dzieje Targowicy, Kraszewski odtworzył dokładnie rysy charakteru Szczęsnego i innych przywódców tej konfederacji. Autor pisał się w szczególności na zdanie o Targowicy, które w protestacji wyraził Stanisław Małachowski, a trudno o zdanie więcej potępiające i o sąd więcej surowy, choć najzupełniej sprawiedliwy. Jedno złudzenie zachował jednak Kraszewski co do Targowiczian, zdawało mu się bowiem, że głównymi przywódcami kierowały publiczne ambicje i że pozostali obojętnymi na zyski pieniężne. Korzon wykazał, że byli w całym znaczeniu tego słowa przedawczykami i że nawet Szczęsny Potocki brał pieniądze, choć w sposób maskowany, symulujący tytuły wypłat i źródła nieczystych wpływów. Z czasów ostatniego pobytu królewskiego w Grodnie, podał nam Kraszewski sporo interesujących szczegółów i wykończył starannie bez barw jaskrawych lub przesadnych, ów smutny obraz ostatecznie ginącej Rzeczypospolitej.

Dzieło Kraszewskiego, trzem rozbiorem Rzeczypospolitej polskiej poświęcone, nie jest bezwarunkowo ostatnim wyrazem tego, co o owej epoce historyk polski będzie miał do powiedzenia. Sąd Kraszewskiego w wielu razach jest sądem przejściowym, opartym na niedostatecznym materiale, a tem samym nie na gruntownej znajomości stosunków. W każdym razie przyznać należy dziełu Kraszewskiego poważną i niepospolitą zasługę, że ułatwiło ono znakomicie przyszłemu historykowi zbliżenie się do prawdy i do dojrzalszego sądu. Kraszew-

ski nie wyczerpał, ale przerobił tak olbrzymi materiał źródłowy drukowany, czy rękopiśmienny, że następcom pozostawił łatwe zadanie uzupełnienia niedostatków, które w wielu razach są niewielkimi. I sąd jego historyozoficzny, oparty na wysokiem poczuciu i poszanowaniu sprawiedliwości, a wolny od uprzedzeń lub drażliwości stronniczych, utrzyma się lub niewiele odmieni w wielu wypadkach; jednem słowem dzieło Kraszewskiego zachowa w przyszłości niepospolitą pomocniczą wartość. Jest ono pracą pobudzającą innych do studyów nad ową epoką, przez wysokie poszanowanie prawdy i gorącą miłość dla narodowych dziejów.

A. R.

ALBERT SOREL: *Sprawa wschodnia w XVIII wieku*. Pierwszy podział Polski i traktat Kainardżyjski. Przełożyli z upoważnienia autora słuchacze uniwersytetu Lwowskiego, z przedmową Szymona Askenazego, Lwów, 1903.

Tłómaczenie sprawy wschodniej Sorela poleca bliższej uwadze społeczeństwa naszego nie tylko samą pracę tłómaczoną, ale i osobę autora, czyli całą jego działalność naukowo-historyczną. I jedno i drugie nie będzie bez poważnego pożytku, Sorel bowiem, po śmierci Taine'a, jest niewątpliwie najpoważniejszym historykiem tegoczesnej Francyi, a kto raz zapoznał się z jego studyami, ten na zawsze pozostał pod urokiem ich przedmiotowego i sumiennego badania, poczucia sprawiedliwości i tonu, pełnego powagi, a pozbawionego wszelkiej pretensjonalnej wyniosłości. Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie uczyniła na mnie praca Sorela p. t. „*Histoire diplomatique de la guerre franco - allemande*“, która wyszła w 1875 roku. Sorel pisał ową piękną pracę pod wrażeniem krzywd i poniżenia, jakie poniosła jego ojczyzna, a jednak uczucia osobiste nie zakłóciły ani na chwilę spokoju i sprawiedliwego sądu historyka i Sorel zawsze z rycerską uprzejmością oddawał, gdzie należało, słusność zwycięskiemu nieprzyjacielowi Francyi.

Słusznie też uczynił prof. Askenazy, poprzedzając tłómaczenie „*Sprawy wschodniej*“ bliższą wiadomością o naukowej działalności Sorela. Należy się to, nie tylko poważnemu i niezwykle uzdolnionemu historykowi francuskiemu, ale i naszemu społeczeństwu, o którego dzieje Sorel dwukrotnie w sposób sumienny i sympatyczny potrafił. Zajmował się on nami, pisze prof. Askenazy, często i dużo, a zaj-

mował w rzetelnym sposobie i sympatycznej intencji naukowej. Mamy dług podwójny względem tego wybitnego badacza i zacnego człowieka. To też skwapliwie korzystamy z niniejszej sposobności, aby z tego długu się wywiązać i w chwili kiedy Sorel, opuszczając widowie publiczną, odbiera zaszczytne oznaki uznania od swoich rodaków, pośpieszamy, aby przyłączyć się ze skromnym, lecz serdecznym występem naszym. Sorel, pisze dalej prof. Askenazy, jest historykiem dużej miary, dziś jednym z najpierwszych nie tylko we Francji, lecz w Europie. Jest historykiem w pełnym pojęciu słowa, to znaczy w jedynym zdrowym, potrójnym, a najściślej zespolonem pojęciu: naukowem, pisarskiem i obywatelskiem. Z takiego dopiero doskonałego zespołu wyrasta ów piękny owoc, jeden z najdojrzałszych, najwyborniejszych, jakie wydaje humanistyczne drzewo poznania: historia prawdziwa. Sorel jednoczy surową gruntowność badania, wytworną sztukę pisarską i niezawisłe zdanie moralno-dziejowe. Przemawia on, jak na prawdziwego historyka przystało, nie tylko do zamkniętego cechu specjalistów, lecz do całego ukształconego ogółu.

Możnaby mniemać, zauważył prof. Askenazy, że znakomity uczony francuski, ceniony i tłumaczony, aż w Rosyi aż w Ameryce, u nas dotychczas mniej jakoś miał szczęścia. Ze wszystkich jego pism zaiste, literalnie żadne nie zostało przyswojone piśmiennictwu polskiemu. Dopiero obecnie, grono najmłodszych naszych historyków dokonało przekładu pięknej jego książki o „Sprawie wschodniej i pierwszym podziale Polski.“ Sorel jest jednym z bardzo nielicznych dziś uczonych zagranicznych, którym wypadło zaprzętać się bliżej rzeczami polskimi i to najdotkliwszą dobą—upadku Polski, Sorel jest również jednym z najmniej dziś licznych, zgoła wyjątkowych, którzy do badania tych rzeczy przynosili sprawiedliwość, a wynosili stąd współczucie. Pochodzi on z doborowej, a tak mocno przetrzebionej garstki naszych przyjaciół. Oczywiście, przyjaciół naukowych, gdyż o innych obecnie wcale nie może być mowy. Sorel pozostał jednym z najlepszych dziś za granicą znawców polskiej historii rozbiorowej i zarazem został spokojnym, nieuprzedzonym, niezawisłym jej sędzią. Niczego więcej żądać nie chcemy, nie możemy, nie potrzebujemy. Naukowość i sprawiedliwość odnajdujemy w pełni u Sorela i umiemy też cenić w nim te zalety.

Sorel, jak zauważył prof. Askenazy, do dziejopisarstwa przeszedł z dyplomacji. Przyszły historyk musiał tymczasowo w biurach ministerjalnych drugiego Cesarstwa patrzeć z blizka na śmieszne, dziecinne, kompromitujące rokowania, prowadzone przez Napoleona III

z hr. Bismarkiem o Luksemburg lub Belgię. Ciężkie przejścia roku 1870—1871 opisał Sorel w jednej z najmłodszych swych prac naukowych, a nie najmniej cennej, w swojej doskonałej „Historii dyplomatycznej wojny francusko-niemieckiej“; która pierwsza zrobiła mu imię w nauce. Po owym roku straszliwym Taine przystąpił do swoich wielkich badań nad „źródłami Francyi współczesnej“ i powstała wtedy nowa instytucya naukowa „Szkoła nauk politycznych“ w Paryżu. Z polecenia Taine'a, jego przyjacieli i uczeni, Sorel, objął w tej szkole wykłady dziejów najnowszych Europy w XVIII i XIX wieku. Aż po dzień dzień, przez lat z górą trzydzieści, z coraz dojrzalszą wiedzą i sądem znakomity profesor naucza z tej katedry. Pośród młodzieży tłoczącej się na te wykłady nie brak licznej rzeszy słuchaczyw polskich. Zdarzało się niejednokrotnie profesorowi Askenazemu polecać zacnej opiece Sorela, młodych uczniów, udających się dla badań historycznych nad Sekwanę. Za każdym razem spotykali się oni z niewyczerpaną jego uczynnością, czy chodziło o wskazówki, czy o ułatwienie w poszukiwaniach naukowych na nieznanym paryskim terenie.

Sorel rozpoczął swój zawód pisarski od kilku mniej udatnych prób w zakresie twórczości belletrystycznej. Wycieczki jednak w tę dziedzinę przydały się Sorelowi, bo z nich wyniósł czystość i barwność formy, przenikliwość analizy psychologicznej, przejrzystość i zwięzłość opowiadania, upodobanie do portretów osób działających, jędrność charakterystyki, szeroki rzut oka na ogrom splełanych stosunków, na tajne sprężyny krzyżujących się interesów. Dla historyka politycznego doby nowożytnej, są to przymioty nieoszacowane. Rozprawa Sorela, „Sprawie wschodniej“ poświęcona, wykazała także w autorze ową szlachetną sympatyę dla sprawy przegranej, tak rzadką w pośród dzisiejszych dziejopisów Europy, którzy, na ogół, wcale nie po katolicku usposobieni, mają raczej wspólną z bogami predykcję do „causa victrix“. Najcenniejszym darem, jaki z ręki Sorela otrzymała historyografia nowożytna, istotnem dziełem jego życia jest niewątpliwie wielka historia Europy i rewolucyi francuskiej. Wspaniała ta praca, rozpoczęta przed laty piętnastu, a po dziś dzień jeszcze nie zamknięta, dała najwyższą miarę wiedzy i talentu autora. W istocie, to dzieło jest dopełnieniem Taineowskich „Źródeł Francyi współczesnej“ dopełnieniem zarówno pod względem treści przedmiotu, jak metody badawczej. Obok wspaniałej, ale namiętnej, porywającej, ale porywczej, metody syntetycznej mistrza, staje spokojna, trzeźwa i zrównowazona metoda analityczna jego ucznia. W pracy tej w licznych ustępach dotknął autor działalność sejmu czteroletniego i, jeżeli

nie wszędzie, pisze prof. Askenazy, zawsze przecie wogólnem pojęciu i przedstawieniu tej epoki, możemy pisać się na trafną i szlachetną jego wykładnię, opartą jednocześnie na sumiennem podłożu badawczem i na wysokiem kryterjum moralno-politycznem.

W słowie wstępnem zaznacza Sorel, że odkąd ukazali się Turcy w Europie istnieje kwestya wschodnia, odkąd zaś Rosya została mocarstwem europejskiem, dopomina się ona rozwiązania tej kwestyi na swoją korzyść, Prusy nie miały żadnego bezpośredniego interesu w sprawach wschodnich. Ambicje Prus i Rosyi nie były też z sobą w sprzeczności; dwa te państwa sprzymierzyły się z sobą i dłużej niż przez wiek pozostawały stale sojusznikami. Istniało tylko współzawodnictwo między Austryą i Rosyą na Wschodzie. Autor założył sobie przedstawić w sprawie wschodniej, jak w r. 1764 utworzyło się przymierze Prus z Rosyą, i jak Austrya, okazując się z początku jemu przeciwną, była w końcu zniewoloną do niego przystąpić. Opowieść historyczną o sprawie wschodniej rozpoczyna Sorel od traktatu z roku 1756, który Kaunitz słusznie uważał za swe arcydzieło polityczne, mocą którego powstrzymał odwieczną rywalizację domu francuskiego i austriackiego i zbudował natomiast przymierze, skierowane przypuszczalnie przeciwko Anglii i Prusom.

Postanowiono osłabić Prusy i już z góry ich szczątki wystawiono na wielki przetarg, mający zmienić kartę Europy. Trzy największe mocarstwa stałego ładu związały się przeciwko Prusom. Nadeszła chwila, w której Fryderyk II uczuł się zgubionym, gdy w tej złowróżbnej chwili umarła cesarzowa Elżbieta. Następca jej, Piotr III, gorący wielbiciel Fryderyka II, zaledwie wstąpił na tron, zaraz odwołał swe wojska, zwrócił Prusom prowincję zdobytą przez Elżbietę i podpisał w 1762 traktat przyjaźni i przymierza z Fryderykiem II. Tym sposobem król pruski został zbawionym, a wojna siedmioletnia zakończoną. Pozostawiła ona Europę w największym nieładzie. Pokój, któryśmy dopiero zawarli, nie jest dobry, ani chwalebny, mówił Ludwik XV.

Śmierć Augusta III w 1763 r. i konieczność porozumienia się co do jego następcy, doprowadziła Fryderyka i cesarzową Katarzynę do ścisłej przyjaźni przez zawarcie przymierza odpowiedniego w 1764 roku. Postanowiono wybrać Stanisława Poniatowskiego na tron polski i zgodzono się, aby nie dopuścić do zniesienia liberum veto, lub do przekształcenia Królestwa elekcyjnego na monarchię dziedziczną. Znalazła się przytem sprawa religijna, pozwalająca na interwencję. Dygnici polscy zwrócili się o poparcie ku Rosyi, a luteranie ku Prusom. W roku 1764 dwory europejskie przewidywały, że Fryde-

ryk II ułożył potajemnie podział Polski. Interwencya w imię tolerancyi rozniecała ogień w całej Polsce. Rosya i Prusy podtrzymywały dysydydentów, a Francya starała się nieść pomoc skonfederowanym w Barze. Choiseul uwikłał przedewszystkiem Rosyę w wojnę z Turcyą, a cesarzowa Katarzyna starała się upewnić o przymierzu z Fryderykiem. Fryderyk upewniał cesarzową, że słusznie liczy na jego pomoc, ale w cichości starał się zapewnić Prusom wynagrodzenie na wypadek interwencyi. Vergennes już wtedy zdradzał dużo przenikliwością, gdy przedstawiając Ludwikowi XV swe uwagi co do wojny tureckiej, mówił „Kto wie nawet, czy podział Polski nie przypieczętuje zgody obu stron wojujących.“ Fryderyk uważał zabór Prus polskich za konieczność dla Prus, choć swój projekt tymczasowo zamieszczał w „rozdziale urojeń“.—Kaunitzowi wydawało się również, że Prusy polskie są Fryderykowi nieodzownemi, ale w zamian za ten łup nieoceniony powinien Austrii oddać Śląsk. Ale i Kaunitz schował ostatecznie swój projekt do teki, i zadowolnił się negacyami w sprawie zjazdu monarchów.

W roku 1767 Rosya i Austriya zwróciły się ku Fryderykowi II o pośrednictwo. Pośrednictwo takie wcale łatwym nie było, i jeżeli można było na niem skorzystać, to można się było również i narazić. Fryderyk uważał, że Rosya nie cofnie się przed niczem, pozostawało przeto dowiedzieć się, co zrobi Austriya. Problem ten pozostałby prawdopodobnie nierozwiązalnym, gdyby nie znalazła się Polska. W Polsce było miejsce dla wszystkich. Fryderyk stworzył plan podziału kilku prowincyi Polski pomiędzy Rosyę, Austryę i Prusy, a cesarzowej Katarzynie II mógł się projekt powyższy wydać co najwyżej niewczesnym. Projekt ów przypisał Fryderyk pewnej osobie, zwanej hr. Lynarem, aby samemu nie brać odpowiedzialności za inicjatywę. Solms przedstawił Rosyi ten osobliwy projekt, ale Panin odpowiedział wymijająco, zgadzał się jedynie na zaokrąglenie się Prus przez zabór Prus polskich i Warmii. Tymczasem cesarzowa Katarzyna podała królowi pruskiemu warunki odnowienia przymierza, które go przekonały, że główny cel, do którego się zbliżał, jeszcze nie dojrzał, i że trzeba czekać, aż Rosya okaże się skłonną.

W roku 1769, skutkiem dość osobliwego zbiegu okoliczności, Austriya zajęła ziemię Spiską, o której wspominał projekt Lynara. Kaunitz był zdania, że drobne zabory nie są zaborem, a ponieważ Marya Teresa nie zgadzała się nowy tryb postępowania międzynarodowego, więc Kaunitz usiłował zagarniać kawałkami, drogą „regulacyi granic“ to, czego nie mógł pochłonąć jednym zamachem wielkiej polityki. Rząd austriacki kazał ogłosić w miastach spiskich i powiadomić króla polskiego, że zajęcie Spizu nie ma w niczem naruszać

praw Polski do tej ziemi. Kiedy to czynili Austriacy, Fryderyk w tymże samym miesiącu lutym kierował swego orła do tej części ziemi polskiej, którą mu przyznawał projekt Lynara. Polska była jakby fortecą, której oblężenie dobiegało końca. Rozpaczliwe położenie Rzeczypospolitej stwierdzała najlepiej łatwość, z jaką nawet jej przyjaciele przypuszczali myśl jej podziału.

W roku 1769 nastąpił pamiętny na długo zjazd Fryderyka z Józefem II w Nisie. Józef jednak nie chciał omawiać sprawy spiskiej z Fryderykiem. Fryderyk zaś nie uważał za stosowne komunikować Józefowi projekt Lynara. Józef w każdym słowie Fryderyka odczuwał podstęp, a Fryderyk zapewnienia Józefa, że zapomniał o Śląsku, przyjmował tak, jak one na to zasługiwały. Zwycięstwa Rosyan w Turcyi w roku 1769 i 1770 żywo poruszyły całą dyplomacyę. Sprawa wschodnia stanęła już całkiem jasno: chodziło po prostu o to, czy państwo tureckie zostanie rozebrane i czy Rosya usadowi się swobodnie nad Dunajem. W tym samym czasie Choiseul posłał pieniądze i oficerów konfederatom Barskim. Anglicy poczęli być lepiej dla Turcyi usposobieni. W roku 1770 nastąpił w Nowem Mieście powtórny zjazd Fryderyka z Józefem. Józef tym razem zabrał ze sobą Kaunitza, który odgrywał główną rolę, zostawiając Józefowi rewie, parady i teatry. Fryderyk obsypał Kaunitza pochlebstwami, zapewnił go, że „Katechizm polityczny“, który opracował, jest arcydziełem, ale sprawy polskiej nie mógł naprzód posunąć, bo Kaunitz nie chciał zrozumieć, gdzieby indziej mogła być Rosya wynagrodzoną, jeżeli nie w Turcyi.

W końcu 1770 roku pojechał Henryk pruski do Petersburga. Był to umysł lotny, lubujący się w spekulacyach politycznych i filozoficznych, a zawsze gotowy do improwizowania rozległych projektów. Znalazł w Petersburgu wdzięcznych słuchaczy i interlokutorów, chętnych do podjęcia z nim dialogu. Rozwijał on przed Saldernem tego rodzaju zasady, jak naprzykład: „Każdy winien bogacić się ze szkodą swego bliźniego, i maksyma ta jest równie stara, jak polityka“. Dopiero jednak w 1771 r. doczekał się Henryk długo oczekiwanej i gorąco pożądanej rozmowy z cesarzową Katarzyną. Cesarzowa rzekła mu niby pół żartem, że Austriacy zajęli w Polsce dwa starostwa, dla czego inni nie postępują podobnie? Henryk odpowiedział, że Fryderyk nie obsadzał w Polsce żadnych starostw, „ależ,— odparła cesarzowa, — czemuż nie obsadzać?“. W chwilę potem zbliżył się do niego Czernyszew i rzekł: „dlaczegożby nie zagarnąć biskupstwa warmińskiego? wszak koniec końcem każdy winienby otrzymać cośkolwiek“. Henryk pisze Fryderykowi, że rozmowy powyższe nie będą dla niego bez znaczenia. Powtórna rozmowa Henryka z Paninem nie wypa-

dła tak pomyślnie. Panin nie był zadowolony z wkroczenia Austryaków do Polski i nie mówił nic o biskupstwie warmińskim, ale gdy Henryk wyjeżdżał z Petersburga, cesarzowa Katarzyna napisała list do pani Bielke, że, pomimo tego wyjazdu, nic nie jest straconem. Istotnie, Fryderyk podał plan podziału, Austria dała pobudkę, a wojna wschodnia dostarczyła sposobu.

Fryderyk nie wiele zważał na prawo narodów, znalazł jednak siłę idei i umiał ocenić moc sąsiadów. Według niego sumienie monarchów powinno łatwo zdobywać się na wielkie gwałty, a natomiast malutkich skrupulatnie unikać. Nie chciał on zagarniać Księstwa Warmińskiego, bo gra nie warta świecy. Inna rzecz Prusy polskie, te warte byłyby zachodu nawet bez Gdańska. Panin okazywał jednak wciąż wstręt do podziału Polski, a w Austrii Marya Teresa nie mogła się w żaden sposób pogodzić z planami syna. Fryderyk zdołał jednakże tak mądrze pokierować układami, że postanowiono trójprzymierze oprzeć na równych nabytkach w dzierzawach Rzeczypospolitej. Austria chciała się od tego trójprzymierza wykreścić, ale Fryderyk przeczuwał trafnie, że gdy Berlin i Prusy podpiszą traktat, Austria musi bezwarunkowo do niego przystąpić. Kaunitz potrafił w rzeczy samej usunąć wszystkie skrupuły Maryi Teresy; wzdragając się i ubolewając, zgodziła się ona na wzięcie udziału w rozbiórce Polski, a Fryderyk w utworach swych zamieszczał sentencje następujące: zamachy stanu nie są przestępstwami, i wszystko, co przynosi sławę, jest wielkiem. Nie można też w żadnym wypadku mieć ciasnego sumienia, gdy się rządzi światem“.

Austria, zgodziwszy się raz na podział Polski, objawiła taki apetyt, że zdziwił się nim Fryderyk, a Panin został przerażony. Dwór wiedeński, zagarniając nadmiernie wielką część, udawał, że czyni to tylko będąc przymuszonym, a przytem chciał się uwolnić od wszelkiej współwiny; Fryderyk i Panin w żaden sposób pozwolić na to nie mogli. Jeżeli im się nie udało cofnąć wstecz orłów austryackich, to przynajmniej nadali udziałowi Austrii to samo piętno, co i swojemu. Ja—mawiał Fryderyk—jestem rozbójnikiem, ale jak się tam Marya Teresa załatwi ze swoim spowiednikiem. Praca Sorela obejmuje jeszcze traktat kairnardski, czyli prowadzi opowieść historyczną do roku 1774.

Kwestya, czyli sprawa wschodnia Sorela, zapoznaje społeczeństwo polskie z postacią historyka francuskiego, który dwukrotnie w sposób sympatyczny i poważny potrafił o dzieje nasze. Pierwszy podział Polski, czyli pierwsza myśl w postaci projektu hr. Lynara, a następnie dyplomatyczne jej obrobienie i wykonanie przedstawił Sorel w sposób prawdziwie mistrzowski i w pełnym, wy-

zcerpującym obrazie. Pierwszemu podziałowi Polski poświęcił swego czasu uwagę także nie byle jaki historyk niemiecki, Janssen. W pracy swej pod tytułem: „Zur Genesis der ersten Theilung Polens“, wyliczył on dokładniej od Sorela wszystkie czyny, jakich się Fryderyk wdzierżawach Rzeczypospolitej dopuścił, a w sądach historycznych okazał również żywe poczucie sprawiedliwości. Z tem wszystkim Janssen nie wytrzymuje porównania z Sorelem, gdy idzie o szerokie, wyczerpujące tło historyczne i o odtworzenie obrazu owej podziemnej a skomplikowanej gry dyplomatycznej, która snuje się jako dziwnie misterne przedziwo blisko lat osiem. Sprawa wschodnia Sorela odznacza się nie tylko pełnością opracowania, wyczerpaniem dyplomatycznych źródeł, sądem trzeźwym i sprawiedliwym, ale i wytwornością dziejowej opowieści. Sorel przykuwa uwagę czytelnika językiem pięknym i obrazami tak żywymi, że czynią złudzenie, iż historykowi udało się wskrzesić minioną epokę i zmarłych mężów stanu. Prof. Askenazemu należy się wdzięczność, że zapoznał społeczeństwo nasze z Sorelem i jego pracą, która dla historyków polskich przedstawia poważne znaczenie.

A. R.

Kronika miesięczna.

Na jednym z ostatnich posiedzeń Towarzystwa lekarskiego w Częstochowie (dnia 14 marca r. b.), wygłoszone zostały dwa odczyty, poświęcone ważnej sprawie leczenia wśród ludu. Dr Zygmunt Witkowski z Krzepic mówił o „Stanie leczenia wśród ludu z okolic Krzepic“, zaś dr Brzozowski z Kłobucka „O praktyce wśród ludu“. Pierwszy z tych odczytów mamy przed sobą dzięki uprzejmości autora, który łaskawie nam go nadesłał. Korzystamy też chętnie ze sposobności, aby podać tu czytelnikom garść spostrzeżeń bezpośrednich, zebranych przez d-ra W., drogą kilkuletniej praktyki, a stanowiących przyczynek do rozważania jednej z najdonioślejszych spraw społecznych, jaką jest racjonalne leczenie się ludu wiejskiego.

Warunki bytu dla lekarzy prowincjonalnych, mówi dr Witkowski—od paru dziesiątków lat ulegają powolnej, lecz radykalnej zmianie. Jeszcze poprzednia generacja lekarzy, praktykujących na prowincyi, główne swoje materyalne oparcie widziała we dworach. Dziś jednak dwory z przerażającą szybkością nikną z powierzchni ziemi; miejsce dawnego obszarnika zajmuje kilkudziesięciu lub nawet kilkuset kolonistów. Obywatel ziemski coraz rzadszym staje się gościem w gabinecie lekarza; równocześnie i wiedza lekarska „z pałaców, sterczących dumnie“ i dworków szlacheckich zstępuje do ubogich chałup wiejskich, aby nieść pomoc małuczkiem w cierpieniu. Już teraz w niektórych miejscowościach w ogólnej liczbie chorych, szukających porady lekarskiej, naczelne miejsce należy się ludności włościańskiej. Na widowni działalności lekarza małomiasteczkowego występuje nowy pacjent — chłop, znany dotychczas wyłącznie z powieści, trochę z widzenia, z którym jednak nie miało się wcale, albo bardzo mało styczności, którego mówiąc poprostu zupełnie się nie zna.

Ten chłop wogóle leczyć się lubi, wykazuje nawet pod tym względem szczególną namiętność, a jednak nie leczy się. Dla czego?

Oto przedewszystkiem ze względu na ciemnotę; następnie, że nie zżył się jeszcze z lekarzami, obawia się ich i często im nie ufa, poradę lekarską uważa za droższą niż inną, a poddając się wskazówkom lekarza wymaga natychmiastowego efektu.

Doktor Witkowski tak przyczyny te charakteryzuje i określa bliżej:

„Istnieje w duszy wieśniaka pewien zaród fatalizmu, wyrażający się w przekonaniu, że co kogo ma spotkać, to go nie minie. Dla tego to chłop nieraz w bardzo ciężkich przypadkach, wymagających natychmiastowej interwencji, zachowuje się wyczekująco, póki ból, namowy księdza, lub otaczających osób nie zmuszą go do szukania porady lekarskiej. Prócz tego wyznać trzeba, że lud czuje jeszcze obawę przed doktorem. W dawniejszych czasach, gdy lecznictwo ludowe pozostawało wyłącznie w rękach cyrulików i znachorów, szukano pomocy lekarskiej w wyjątkowo najcięższych przypadkach, gdzie już nic nie pozostawało do zrobienia. Wezwanie doktora, było niemal wyrokiem śmierci dla chorego. Z tych to zapewne czasów datuje się w wielu stronach zwyczaj jednoczesnego wzywania doktora i księdza w każdym cięższym przypadku. Wprawdzie obecnie doktor nie jest już osobliwością u łoża chorego, ale trzeba zanotować, że chłop nie zżył się z nim jeszcze; felczer, znachor jest mu bliższy, z nimi łatwiej i śmielej się rozmówi, oni udzielą mu rad, które właśnie przypadają mu do gustu. Lekarz zaś jest dla chłopca zawsze „kawalkiem pana,“ którego przed poradą i po poradzcie całuje się w rękę, rozmawia się z nim z pewnem onieśmieleniem, i na którego patrzy się z pewną nieufnością, czy, korzystając ze swojej przewagi umysłowej, nie zechce on jego kieszeni jeszcze lepiej zoperować niż felczer i znachor. Przytem—porada felczerska jest dotychczas w mniemaniu ludu tańsza, niż porada lekarza. W rzeczywistości tak nie jest i właśnie ta prawda, choć powoli, ale stale wnika w umysł chłopca i sprawia, iż ten coraz więcej nabiera zaufania do lekarza. Zaufanie to potęguje jeszcze skuteczność porady.“

Skoro już potrąciliśmy o tę kwestyę, to należy rozważyć, czego chłop w leczeniu wymaga od doktora. Choroba jest nieszczęściem w domu wieśniaka, mitręgę sprawia w gospodarstwie, szczególnie w czasie roboczym, powoduje wydatek na doktora, aptekę, stratę czasu, posyłanie koni do miasta, obezwładnia siłę roboczą, jednym słowem wywraca cały dotychczasowy porządek. Nic też dziwnego, że każdy rad jak najprędzej pozbyć się niemilego gościa. A chłop

skoro już uda się do lekarza, oddaje mu się z dziecięcą niemal ufnością, ściśle wypełnia wszystkie polecenia i wzamian za to wymaga jak najpręszego przywrócenia go do zdrowia. W tem bezwzględnem podaniu się rozkazowi lekarza tkwi, oprócz chęci wyzdrowienia, głębsza przyczyna.

„Z niejednokrotnych rozmów z wieśniakami—pisze dr. Witkowski—wyniosłem to wrażenie, iż w ich umyśle płaczą się jeszcze myśli o cudownych lekach, mogących przerwać i usunąć daną chorobę. Chodzi tylko o to, aby doktor poznał się na chorobie i odpowiedni lek zapisał. Dla tych przyczyn niektóre lekarstwa, a zwłaszcza narkotyki, usuwające bóle, cieszą się u chłopów wielką wziętością. Natomiast systematyczne leczenie długotrwałych cierpień chronicznych jest na prowincyi niemal niemożliwe. Skutek występuje bardzo powoli, lekarz przeważnie musi zadawałać się usuwaniem objawów, najwięcej choremu dolegających; choroba trwa dalej, chory raz zjawiwszy się u lekarza, po raz drugi nie przyjdzie do niego, lecz szuka ulgi w cierpieniu u partaczy. Tak kołując od jednych radców zdrowia do drugich, traci do wszystkich zaufanie; czasem zajdzie tylko z oryginalną prośbą o takie proszki „aby się już wreszcie na jedną lub na drugą stronę obróciło“.

Cokolwiekby jednak—sprawa leczenia się ludu u lekarzy zawodowych powoli, ale ciągle postępuje naprzód. Stwierdzają to dowodnie liczne, przytoczone przez d-ra W. przykłady, które tu dla braku miejsca musimy pominąć, stwierdza to i sam autor odczytu, nawołując lekarzy do dalszego prowadzenia ludu w tym kierunku.

Rzecz to jednak nie łatwa, gdyż idzie tu przedewszystkiem o podniesienie umysłowego poziomu ludu.

„Niewątpliwie każdy lekarz — mówi dr W. — ze względów praktycznych przy sposobności opowiada pacjentowi, jaka jest jego choroba, jak się w niej zachowywać należy, jak ustrzedz i t. d. Ta nauka odbywa się jednak dorywczo, niesystematycznie. Ziarno zdrowych zasad leczniczych pada, tu i owdzie zaczyna kiełkować, pozostaje jednak cała masa spraw do omówienia, spraw pilnych, mogących w wielu razach zapobiedz złemu, wykorzenić istniejące przesady lecznicze, wszczepić w lud pierwsze zasady higieny. Za najpraktyczniejszy sposób pouczenia ludu w tym kierunku uważać należy popularne odczyty po wsiach. Podobne odczyty, urządzone w Galicyi, cieszą się wielkiem uznaniem ludu. U nas jednak uzyskanie na nie pozwolenia wymaga bardzo wiele starań i zachodów, często bezskutecznych a paralizujących dobrą wolę lekarza. Uproszczenie manipulacyi w celu uzyskania zezwolenia na popularne odczyty po wsiach

byłoby w sprawie lecznictwa ludowego wielkim krokiem naprzód, a nie ulga najmniejszej wątpliwości, że bardzo wielu lekarzy chętnie poświęciłoby i czas i trud swój tej dobrej sprawie. Dla samych lekarzy płynęłaby stąd korzyść nieoszacowana. Stykając się częściej z ludem, lepiej poznałoby go i lud również lepiej by się oswajał z lekarzem, zżyłby się z nim łatwiej, nabierał zaufania i nie obawiał, jak dotychczas. Lekarz chcąc zająć stanowisko jedyne go radcy zdrowia ludu nie może zadawać się wyłącznie przystępnością porady lekarskiej i leczyć lepiej, niż felczer lub znachor; powinien on również i przyciągać pacyenta do siebie, nawiązać z nim jakieś wspólne nici, a to tylko wtenczas będzie możliwe, jeżeli chłop będzie widział, iż lekarz rzeczywiście i bezinteresownie dba o jego zdrowie“.

„Coraz częściej — czytamy dalej — słyhać pogłoski o wprowadzeniu stałej pomocy lekarskiej dla włościan w Królestwie. Jak sprawa ta stoi obecnie — dr W. nie wie, zaznacza jednak, że lekarze prowincjonalni nie zostali powołani do wypowiedzenia się w tej sprawie. Należy wobec tego wyrazić obawę, czy projekt, w zasadzie dobry, nie ulegnie spaceniu przy swoich narodzinach. Bo, że włościanie, mając lekarską poradę darmo, leczyć się będą, nie ulega najmniejszej wątpliwości, a nawet można przypuszczać, biorąc w rachubę wielką chęć chłopów do leczenia się wogóle, że nietylko rzeczywiście chorzy, ale nawet i tacy, którzy dla jakiegoś mało znaczącego cierpienia nigdyby teraz nie udali się do lekarza, później będą stałymi gośćmi ambulatoryum. O ile też projektowi wprowadzenia stałej pomocy lekarskiej dla włościan można tylko przyklasnąć, o tyle też życzyć sobie należy, aby rewiry nie były zbyt obszerne, lekarze bowiem, zavaleni nadmierną pracą, nie mogliby należycie wypełniać swoich obowiązków i dobra myśl byłaby doszczętnie zwichnięta.

„Dola lekarzy małomiasteczkowych nie jest w wielu razach godną zazdrości, a stanowisko ich — ważne i odpowiedzialne. Warunki bytu uległy zmianie, nowy pacyent — chłop, jeszcze nie zdobyty. Lekarz na wsi nie może być jedynie lekarzem; przypada mu w udziale misya cywilizatorska, musi być rzecznikiem zdrowych pojęć leczniczych wśród ludu. Na drodze tej staje mu w poprzek widmo ciemnoty, zniechęca inercya mas, straszy złość ludzka. Siejba ziarn zdrowych odbywa się nieraz w płakaniu, a żniwo jeszcze daleko, dla przyszłych pokoleń lekarzy przeznaczone! A gdy w tych warunkach często nadmiar pracy siły wyczerpuje, jedyna tylko pociecha w tem, że spełnia się swój obowiązek, pracując i dla przyszłości. Wielu zniechęca się i ucieka. Ci jednak, co pozostają, kuja w dal-

szym ciągu w tej bryle, co się ludem nazywa. Warstwa za warstwą zdejmują pleśń wiekowych przesądów z umysłu ludu; twardą skorupę duszy chłopskiej rozsadzają poświęceniem i zaparciem się samych siebie i dokonają pocziwego dzieła. Zdrowy i nieskażony w gruncie rzeczy umysł chłopa uzna wtedy w lekarzu swego przyjaciela. Chłop będzie zdobyty“.

Przytoczyliśmy tu może zbyt wiele wyjątków z pracy d-ra W., przytoczyliśmy je wszelako z dwóch względów, raz, że rzucają one sporo nowych promieni światła na sprawę leczenia, powtóre, że świadczą wymownie o tem, jak po obywatelsku zadanie swoje pojmują lekarze na prowincyi.

Nie wątpimy też, że tą drogą najrychlej dojdą do celu...

Świeżo zawiązała się w Warszawie spółka udziałowa, która nabyła na własność dotychczasowy Salon artystyczny na Nowym Świecie i zamierza prowadzić go nadal w bardzo pożądanym dla naszej sztuki kierunku.

Oto—zadaniem spółki będzie urządzenie wystaw publicznych konkursowych, terminowych i stałych, tak w Warszawie, jak i na prowincyi w Królestwie i Cesarstwie, prowadzenie handlu przedmiotami czystej sztuki i stosowanej do rzemiosł, urządzenie specjalnych licytacji, przyjmowanie i wykonywanie wszelkich obstalunków i robót we wszystkich gałęziach sztuki, a w szczególności robót kościelnych, produkowanie obrazów i obrazków świętych, wydawanie albumów, książek z obrazkami, a w miarę możności wydawanie czasopisma, specjalnie poświęconego sztuce i jej zabytkom.

Spółkę zawarto na lat 10. Interesami jej kierować będzie zgromadzenie ogólne udziałowców, zarządzać zaś komitet, złożony z trzech członków, wybieranych na trzy lata przez zgromadzenie ogólne uczestników. Zarząd ze swego grona wybiera dyrektora, który za swoją pracę pobierać będzie odpowiednie wynagrodzenie. Kapitał zakładowy spółki wynosi rubli 28,000, podzielonych na 280 udziałów po 100 rubli.

Pomijamy tu szczegóły umowy, między spółnikami zawartej, jako będące natury czysto formalnej. Pragniemy natomiast podkreślić jedną ze stron działalności tej nowej instytucyi, która może poważną odegrać rolę w naszym handlu i przemyśle artystycznym. A mianowicie. Jak to widzieliśmy wyżej, spółka zamierza wykonywać w szczególności roboty kościelne i produkować obrazy, obrazki i wizerunki świętych.

I jedno i drugie zasługuje na bliższą uwagę. Zewnętrzne i wewnętrzne odnawianie kościołów odbywa się u nas w sposób, jeżeli nie barbarzyński, to w każdym razie wiele pozostawiający do życzenia. Najgorzej dzieje się obrazom, które mają czasem prawdziwą wartość artystyczną, a przez niedołężny pędzel przy tak zwanem „odnowieniu“ zostają zeszepeczone lub zniszczone doszczętnie. Zwracali na to uwagę w swoim czasie dobrzy znawcy sztuki kościelnej, ks. A. Brykczyński, ks. biskup Niedziałkowski i artysta malarz p. Leon Borawski z Petersburga. Potrzeba więc opieki w tym względzie była i jest bardzo pilna. Czy nowa spółka potrafi opiekę tym dziełom sztuki kościelnej zapewnić, tego na razie przesądzać nie można, wszystko bowiem zależy od jej kierownictwa artystycznego. To pewna jednak, że chcąc istotny pracą swoją przynieść pożytek, powinna ona szczególnie na to położyć nacisk i doprowadzić do tego, aby bez jej współdziałania nie była dokonana żadna ważniejsza robota kościelna, czy to architektoniczna, czy malarska.

Pole do pracy jest w tym kierunku bardzo rozległe. Przed dwoma tygodniami czytaliśmy naprzykład w „Gazecie Warszawskiej“ doniesienie o projektowanej odnowie słynnej kollegiaty Zamoyskiej. Korespondent prowincjonalny pisał między innymi o sprowadzeniu „artysty-dekoratora“ do odnowienia obrazów. Zapewne jest to lapsus, wynikły z niezajomości rzeczy, ufamy bowiem, że ordynat hr. Zamoyski, który osobiście zajmuje się tą sprawą, nie „dekoratorom“, ale rzeczywistym artystom powierzy to odnowienie, zwłaszcza, że w kolegiacie znajduje się bardzo cenny i wielkiej piękności obraz włoskiego pędzla, sprowadzony niegdyś za drogie pieniądze przez kanclerza Zamoyskiego, fundatora kościoła. Obraz ten przedstawia Zwiastowanie N. M. Panny i, zdaniem historyków sztuki należy do rzadkich zabytków. Otóż, jeżeli w danym wypadku możemy być pewni, że obrazowi nie stanie się żadna krzywda, to w pięciu innych wypadkach musimy się z góry obawiać o to, czy robotę powołane wykonają ręce. Nad tem właśnie czuwać powinna spółka artystyczna, dopóki nie stworzymy specjalnej instytucji, rozciągającej opiekę nad sztuką kościelną. Drugie jej zadanie — to starać się o dostarczanie kościołom, w razie potrzeby, obrazów nowych, nie już o wysokiej, ale o jakiejś takiej wartości artystycznej, walczyć z tandetą i malowidłami „częstochowskiemi“, których, niestety, tak wiele mamy obecnie w nowszych kościołach i kościółkach wiejskich. Trzeci wreszcie, bardzo ważny punkt w programie spółki — te produkcya obrazów świętych. Wiadomo, że tego rodzaju obrazki mają zbyt ogromny — sama chociażby Częstochowa spienięża tych wizerunków za setki tysięcy rubli. Wiadomo również, że przeważnie są to wyroby specjal-

nych zakładów niemieckich i francuskich. Lud nasz, tak chętnie kupujący te rzeczy przy każdej okazji, opłaca więc zagranicą stały haracz za swoje uczucia religijne. Kupcy z Wrocławia, Norymbergi, Lipska, Monachium, Kolonii, Paryża itd., robią na tem świetne interesy i są tam milionowe poprostu firmy wydawnicze, których specjalność stanowią tylko „obrazki święte“. Rozwinąć tę gałąź produkcji u nas, dotychczas reprezentowaną bardzo słabo i niedołącznie, będzie nie tylko dobrym interesem handlowym, ale także i pożytkiem nie lada dla sprawy przemysłu krajowego. Wprawdzie nasza sztuka litograficzna stoi jeszcze bardzo nisko, ale może to właśnie wpłynie na jej podniesienie i rozwój. Zresztą, mamy fotografię, która w reprodukowaniu obrazków świętych także niemalą odgrywa rolę.

Z tych tedy względów nowa spółka zasługuje na bliższą uwagę i na materyalne poparcie ogółu. Powtarzamy jednak, że cała jej przyszłość i pożytek zależą od umiejętnego i wytrawnego kierownictwa artystycznego, które spocząć powinno w odpowiednich rękach.

Urzędy pocztowe w miarę wzrostu cywilizacji i idącego za tem rozwoju stosunków międzynarodowych stały się wielkimi machinami, które dla prawidłowego funkcjonowania potrzebują zmuśnej, mroźczej i niewdzięcznej pracy całego zastępu urzędników.

W miastach o ludności wielomilionowej, jak Londyn, Paryż, Berlin, biura pocztowe zatrudniają tysiące ludzi. W Warszawie — daleko jeszcze do tego, w każdym jednak razie ruch na poczcie centralnej i w 10 filiach miejskich w ostatnich latach wzrósł tak znakomicie, że sprawa zwiększenia personelu służbowego staje się wprost palącą, raz dla tego, żeby nie opóźnić żadnych czynności, powtóre, żeby nie przeciążyć pracą ludzi, już upadających pod jej brzemieniem. Na potrzebę tę wskazuje bardzo wyraźnie ogłoszona niedawno statystyka urzędowa poczty warszawskiej za ostatnie 3 lata.

Z zamieszczonych tam zestawień cyfrowych dowiadujemy się przede wszystkim, że dochód poczty zwiększył się o 20%, pomimo, że w czasie tym znacznie zmniejszoną została taksa za przesyłki pieniężne i wartościowe, co wnioskować można z następującego porównania: do niedawna jeszcze za przesyłkę 100 rublową płacić trzeba było 64 kop., gdy dziś przekaz pocztowy na powyższą sumę kosztuje

tylko 25 kop.; za przesyłki zaś wartościowe pobiera się jedynie 40 kop. za 7 funtów, zamiast manipulacyjnego obrachunku dawniejszego, polegającego na obliczeniu przewozu od funta i wiorsty (za przesyłkę 7-io funtową do 1,000 wiorst—70 kop., za 2,000 wiorst—1 rb. 40 kop. i t. d.).

Dzięki tej zmianie ruch pocztowy w ciągu ostatnich 2-ech lat zwiększył się wprost niespodziewanie: przesyłek właściwych wyekspedywowano o 112.5%, przekazów, o 49.5% więcej. Jeżeli teraz porównamy dochód z roku 1902, wynoszący 1,587,344 rubli z rozchodem, równającym się 312,291 rubli i jeżeli zwrócimy uwagę na to, że korespondencya pocztowa do wielu miejsc wysyłana jest jeszcze koniami—to będziemy mieli całokształt czynności poczty.

Z poszczególnych wykazów łatwo się przekonać o rozwoju stosunków handlowych i towarzyskich Warszawy. Tak np. przybywa do niej rocznie za 14,000,000 rubli przekazów pieniężnych i za $\frac{1}{2}$ miliona rubli przesyłek wartościowych, zawierających przeważnie artykuły handlu i dokumenty handlowe.

Najlepiej jednak przyjrzeć się samym cyfrom, aby o czynnościach poczty warszawskiej należytego nabrać pojęcia. I tak:

	Stosunek procentowy			
	w 1900 r.	1901 r.	1902 r.	1900—1902
T. zw. pakietów				
wysłano	203,641	204,959	209,360	+ 2.8%
otrzymano	403,688	367,996	315,073	— 28%
Przekazów				
wysłano	226,350	246,891	285,591	+ 26%
otrzymano	495,297	623,163	793,864	+ 60%
Posyłek				
wysłano	229,577	336,154	437,524	+ 112.5%
otrzymano				
wewnętrznych . .	103,981	108,525	123,466	+ 18.7%
zagranicznych . .	97,398	128,001	146,357	+ 50.5%
Listów rekomendowanych				
wysłano	1,253,132	1,409,275	1,496,495	+ 19.2%
otrzymano	1,078,288	1,188,109	1,265,824	+ 17.4%

	Stosunek procentowy			
	w 1900 r.	1901 r.	1902 r.	1900—1902
Pism peryodycznych				
wysłano	19,419,991	20,778,538	21,281,265	+ 9.5%
Listów zwyczajnych				
wysłano	15,782,648	16,361,022	19,097,124	+ 24%
otrzymano	15,961,888	19,579,197	22,412,255	+ 40.6%
Przesyłek przechodnich, to jest takich, które jedynie przez Warszawę przechodzą, ale są w niej, jako na stacji centralnej segregowane i wysyłane na właściwe trakty:				
przesyłek pieniężnych	—	350,575	361,858	+ 32.2%
pakietów pocztowych	—	133,112	216,002	+ 64%
rekomendow. pak. poczt.	—	274,830	327,410	+ 11.7%
zwyczajnej korespond.	—	422,599	468,019	+ 17%
Poczt				
wysłano	15,738	16,256	16,060	+ 20%
otrzymano	12,810	12,528	14,235	+ 11%
Papierów				
wchodzących	50,497	55,790	63,787	+ 26.2%
wychodzących	40,129	44,815	49,310	+ 22.7%
Ogółem wszystkich kategorii przyjęto i wysłano:	55,365,134	64,642,235	69,433,859	+ 25.4%

Rozejrzawszy się w powyższych cyfrach, dokładnie sobie uświadomić możemy, jaką pracę mają urzędnicy poczty warszawskiej.

Na obojętność naszej inteligencji na sprawę czystości języka w mowie i piśmie, gorzko poskarżył się dr. Józef Peszke w liście pisanym do „Gazety Polskiej“.

„Trzy lata temu—pisze dr P.—profesor krakowski, p. Roman Zawiliński, obecnie dyrektor gimnazjum w Tarnowie, powziął myśl chwalebną wydawania „Poradnika językowego“, miesięcznika poświęconego poprawności języka.

Ktokolwiek czytuje uważnie, czy to wydawnictwa nasze peryodyczne, czy też książki, a zna cokolwiek język i miłuje go szczerze, przyznać musi, że wydawnictwo tego rodzaju jest nam bardzo, ale to bardzo potrzebne i może oddać społeczeństwu przysługę nielada.

W zeszycie 1-ym „Poradnika“, który wyszedł w styczniu 1901 r., a nosi na czele, jako godło, następujące słowa A. M. Fredry; „Weź jeno trochę namysłu przed się nie znający twego dobra Polaku, a poradź się z uwagą, nie tylkoć dostarczy, ale zbywać nad to będzie słów polskich i wyboru,“ redaktor-wydawca tak nam powiada o celu wytkniętym sobie:

„Ma polityka liczne pisma, ma literatura, zwłaszcza nadobna, szereg tygodników i miesięczników, mają różne zawody swoje zawodowe czasopisma — jeden język, narzędzie wszystkich, wszystkim potrzebne, a nie przez wszystkich zarówno cenione, nieraz krzywdzony i poniewierany, niedopuszczony do głosu, nie ma się nawet gdzie pożalić.

„Ten skromy miesięcznik, który oto publiczności do rąk podajemy ma wypełnić ten brak, coraz więcej odczuwany. Nie ma on być trybunałem, sądzącym bezwzględnie (nikt go bowiem do tego nie upoważnił), ani chce być pedantycznym mentorem, głoszącym prawa i zasady, przez siebie wymyślone; jego stanowisko określa wyraźnie napis—chce być poradnikiem. Z jednej strony tedy będzie w jaknajprzystępniejszy sposób objaśniał zjawiska językowe, przypominał zasady i prawa, usuwał wątpliwości i niepewności w poprawnem użyciu języka i tym sposobem prostował błędy,—z drugiej zaś przez skrętnie zapisywanie zjawisk nowych będzie kroniką bieżących faktów z życia i rozwoju mowy polskiej. Część pierwsza—praktyczna, służyć będzie jako rada w pospolitem używaniu języka, część druga będzie gromadzić materiał dla historyka języka polskiego i dla każdego językoznawcy. Stosownie do tego planu „Poradnik“ będzie podawał:

- 1) Artykuły ogólne, mieszczące wyjaśnienie kwestyi ważnych.
- 2) Odpowiedzi na szczegółowe zapytania i sprostowania dostrzeżonych błędów.
- 3) Kronikę nowych zjawisk i nowotworów.
- 4) Przedruk ogłoszeń, napisów itp. w których pogwałcono prawa językowe.

5) Wykaz wyrazów obcych, które zastąpić można polskimi.“

Do celu, w słowach powyższych wyrażonego, „Poradnik“ od chwili pierwszej istnienia swego dążył zawsze wytrwale i uczciwie, bądź to objaśniając w artykułach rozumowanych różne zjawiska językowe, bądź też odpowiadając na pytania czytelników, bądź nakoniec wytykając i potępiając zdrożności i grzechy, przeciw językowi lekko-myślnie popełnione, niestety, zbyt często. Należy mu się więc od wszystkich, kochających czystość i poprawność języka ojczystego, wdzięczność, uznanie i poparcie jak najszerze.

„Tymczasem—pisze dalej dr P.—z listu przed czasem niedawnym od dyr. Zawilińskiego otrzymanego, dowiadujemy się, że w roku bieżącym ubyło w Warszawie „Poradnikowi“ około 100 odbiorców. Jest to objaw nad wyraz wszelki zasmucający, za które wstydu rumieniec na licu wystąpić powinien.“

Poradnik językowy, redagowany umiejętnie i z acnie, znajdować się powinien w każdym domu polskim, w którym nie pozbyto się niegodnie dbałości wszelkiej o skarb taki drogi, jakim jest niewątpliwie język ojczysty. Prenumerowanie go jest pro prostu obowiązkiem obywatelskim, obowiązkiem, któremu ludzie mniej zamożni zadość uczynić mogą, ponieważ miesięcznik ten, pobierający w Warszawie za 10 zeszytów rocznych tylko 1 rb. 50 kop. (z przesyłką pocztową 1 rb. 80 kop.), jest pro prostu bajecznie tani, pożytek zaś, który z niego wyciągnąć można, jest bardzo wielki.

Nie ludźmy się. Tak jest istotnie. Wszyscy potrzebujemy wskazówek „Poradnika“, wszyscy powinniśmy się uciekać do niego, mówimy bowiem coraz gorzej i piszemy coraz niedbalej. Dość jest porównać nasz język i styl dzisiejszy, z językiem i stylem nie już autorów dawniejszych, piszących wyborową, czystą jędrną polszczyzną, ale dziennikarzy i literatów z przed lat 40 i 50, aby się przekonać o ciąglem, stopniowem obniżaniu się naszych wymagań, o zanikaniu w nas poczucia ducha mowy ojczystej. Nawet słynna proza dzisiejsza, ozdobna i kunsztowna, czarująca nieraz dźwiękiem, a zdumiewająca u niektórych pisarzy przepychem barw i bogactwem wyrażań, czerpanych ze starej polszczyzny i przekuwanych na nową modłę, nawet język poezyi współczesnej, która do wyżyn wirtuozowstwa doprowadziła formę wiersza — zawierają niejedną zgrzyt i niejedną

usterkę przy bliższem zbadaniu i wyzwoleniu się od działania chwilowego olśnienia. Prenumerujmy „Poradnik“, a przekonamy się o tem i poznamy błędy innych i swoje...

Otrzymaliśmy przed kilku tygodniami następującą odezwę, podpisaną przez dra H. Dobrzyckiego i Leopolda Meyeta:

„Istniejąca od lat czterech przy Warszawskiem Towarzystwie Muzycznym Sekcja imienia Chopina, uważa za właściwe przypomnieć ogółowi, iż zadaniem jej jest szerzenie kultu naszego nieśmiertelnego mistrza w najrozleglejszem znaczeniu tego słowa. Od zawiązku też swego Sekcja gromadzi wszelkie po Chopinie pamiątki, w jakimkolwiek bądź zostające związku z jego życiem, działalnością, lub twórczością. Pamiątki te, już dziś poważny zbiór stanowiące, a obecnie mieszczące się przy Warszawskiem Towarzystwie Muzycznym, znajdują z czasem godne dla siebie schronienie i opiekę w instytucyi, mającej nosić nazwę: „Muzeum Chopina“.

„Zadanie to może być tem rychlej spełnione, o ile do jego urzeczywistnienia przyczynić się zechcą posiadacze pamiątek po Chopinie. Wszelkie bowiem pamiątki, w prywatnych znajdujące się rękach, giną zwykle ze śmiercią właściciela, a rozproszone po świecie, nie mają tego znaczenia, co zebrane razem w jednym miejscu i oddane pod opiekę instytucyi, własność ogółu stanowiącej.

„W ten sposób powstały: Mozarteum w Salzburgu, muzeum Shakespearea w Stratfordzie, muzeum Goethego w Weimarze i Frankfurcie nad Menem, Verdiego w Medyolanie, dom Matejki w Krakowie i wiele innych. W ostatnich zaś czasach powstały w Niemczech i w Austrii towarzystwa, zawiązane wyłącznie w celu zgromadzenia i ochrony autografów uczonych, literatów i artystów niemieckich.

„Jeżeli więc cały świat ucywilizowany oddaje cześć swym geniuszom, zbiera najdrobniejsze nawet po nich okruchy, by tym sposobem przechować po wszystkie czasy pamięć o swych natchnionych synach, to i my winniśmy wszelkich dolożyć starań, ażeby ochronić od zagłady i zebrać razem pamiątki po najgenialniejszym może muzyku świata, który pierwszy pieśnią polską przemówił do wszystkich ludów ziemi.

„Wszystko więc, co ma jakikolwiek związek z osobą, życiem, lub działalnością Chopina, wejdzie w skład muzeum jego imienia, autografy jego listów i nut, listy jego do rodziny i przyjaciół do niego, lub

o nim pisane, wszelkiego rodzaju wizerunki, oryginały i kopie, jako też portrety jego rodziny i przyjaciół, wszystkie wydania jego dzieł, czasopisma we wszystkich językach od chwili wystąpienia naszego mistrza na arenę artystyczną, z każdą, choćby najmniejszą o nim wzmianką, przedmioty, stanowiące niegdyś własność jego, lub najbliższego otoczenia, słowem wszystko, co z Chopinem może mieć jakąkolwiek łączność w najszerszym słowa tego znaczeniu.

„Inną sferę działań Sekcyi stanowią wydawnictwa, dotyczące osobistości Chopina, ogłaszane w miarę napływających materyałów. Wstępem do prac tych jest drukowany przekład z oryginału angielskiego, dwutomowego, znakomitego i, jak dotąd, najlepszego dzieła o Chopinie, opracowanego przez Fryderyka Niecksa. Wkrótce też ukaże się, wydana staraniem i kosztem Sekcyi, opracowana przez p. Mieczysława Karłowicza, ozdobiona licznymi rysunkami, książka pod tytułem: „Pamiętki po Chopinie“, zawierająca szereg ciekawych, a nieznanych listów mistrza do rodziny, oraz listy rodziny, przyjaciół i uczenic, do niego pisane. Książka ta wyjdzie za granicą w przekładzie niemieckim, francuskim i angielskim.

„Wreszcie, zaznaczyć należy, że od samego zawiązku swego istnienia Sekcyja działała i działa celem uczczenia pamięci Chopina w sposób, w jaki narody cywilizowane składają hołd swoim geniuszom. Do tych, już blizkich urzeczywistnienia, projektów, należy pomnik Chopina, który wznieść mają w Warszawie, do czego Sekcyja pragnie czynną przyłożyć rękę, uważając to za obowiązek, z jej zadań wypływający.

„Z przytoczonego programu łatwo dojść do wniosku, że jeżeli kiedy, to w chwili obecnej, Sekcyja potrzebuje poparcia ogółu. Zwraca się więc o pomoc do wszystkich, którym sztuka polska obojętną nie jest, ażeby raczyli zapisywać się w poczet członków Sekcyi, przez co zwiększą jej zasoby materyalne i ułatwią spełnienie jej zadań. Członkiem Sekcyi może być każdy, kto wniesie trzy ruble rocznie na ręce p. Izydora Kowalskiego, członka skarbnika Sekcyi Towarzystwa muzycznego, w lokalu tegoż Towarzystwa (gmach teatralny)“.

Dnia 2 maja roku bieżącego zmarł w Warszawie ś. p. ksiądz biskup Henryk Dołęga-Kossowski, jeden z najwybitniejszych kapłanów polskich, mąż wielkiej nauki i prawości.

Ś. p. ksiądz Kossowski pochodził z zamożnej rodziny ziemiańskiej. Urodzony w roku 1823, ukończył gimnazjum w Lesznie, w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, poczem studyował prawo w uniwersytetach wrocławskim i berlińskim. Idąc za głosem powołania, w dwudziestym piątym roku życia wstąpił do Seminarjum duchownego w Kamieńcu, skąd przeszedł do Akademii duchownej w Petersburgu. Otrzymaawszy święcenia kapłańskie w roku 1857, objął katedrę profesorską w Seminarjum plockiem. W roku 1869 osiadł w Jurjewie (Dorpacie), gdzie w szkołach tamtejszych nauczał religii. Powołany w roku 1863 przez arcybiskupa Felińskiego na ważne i odpowiedzialne stanowisko rektora ówczesnej Akademii duchownej w Warszawie, stał ksiądz Kossowski na czele tego zakładu aż do chwili jego zamknięcia (w roku 1867). W roku 1870, mianowany proboszczem parafii Narodzenia Najświętszej Maryi Panny na Lesznie, przez lat trzynaście pracował na tem polu, zyskując sobie uznanie i miłość parafian. Tę pracę pożyteczną i skierowaną ku moralnemu podniesieniu ubogiej i ciemnej ludności tej dzielnicy, przerwała księdzu Kossowskiemu nominacja na biskupa serreńskiego *in partibus infidelium* i objęcie sufraganii plockiej. W roku 1889 powołano go na takie same stanowisko do dyecezyi Kujawsko-Kaliskiej, gdzie wyżył wszystkie siły swoje w kierunku wzorowego zarządu sprawami Kościoła. Zmęczony tą pracą i mając już nadwątlone siły chorobą, pragnął Jego Ekszelencya w ostatnich czasach usunąć się od sprawowania uciążliwych obowiązków pasterskich i odpocząć w zaciszu domowem. Śmierć jednak nie pozwoliła mu już doczekać tej chwili. Zmarł, osieracając dyecezyę szczerze i głęboko do Niego przywiązaną i, pozostawiając po sobie pamięć człowieka i kapłana, niepospolitych zalet rozumu, charakteru i serca.

Posiadając wykształcenie rozległe, oparte z jednej strony na studyach uniwersyteckich, z drugiej na wiedzy teologicznej, zdobytej w Akademii petersburskiej, Jego Ekszelencya ksiądz Kossowski w wolnych od zajęć chwilach z zamiłowaniem oddawał się pracy naukowej, której rezultatem są liczne prace teologiczne, ogłaszane w języku polskim i niemieckim, oraz mnóstwo artykułów, więcej i mniej obszernych, zamieszczonych w „Encyklopedyi Kościelnej”,

której zmarły dostojnik Kościoła był gorliwym współpracownikiem. Prace te zdobyły Mu jedno z naczelnych stanowisk w naszej literaturze kościelnej i przekażą Jego imię następnym pokoleniom.

Również w dniu 2 maja bieżącego roku śmierć zabrała jednego z najstarszych literatów warszawskich. Zmarł ś. p. Ludwik Jenike.

Była to piękna i typowa postać w naszym świecie literackim. Urodzony w roku 1818 w Warszawie, był ś. p. Jenike potomkiem rodziny czeskiej, która po bitwie Białogórskiej w roku 1621 przesiedliła się do Polski i osiadła tu na stałe. Wcześniej, bo już jako dwudziestoletni młodzieniec, zaciągnął się zmarły pisarz do służby publicznej i literackiej. Zaczął, jak wówczas zaczynali wszyscy, od ulotnych poezyi. Za nimi dopiero poszły drobne artykuły dziennikarskie, które od razu zwróciły na siebie uwagę czytającego ogółu. Przeczuto w ich autorze pierwszorzędny talent publicystyczny. Sprawilo to, że zakres pracy Jenikego rozszerzał się szybko, i że najpoważniejsze organy ówczesne zaprosiły go do współpracownictwa, między innymi i nasza „Biblioteka“. Działalność ta, *par excellence* literacka, nie trwała jednak długo. Nie współpracownictwo, ale ciężka praca redaktorska miała być udziałem Jenikego i wypełnić mu znaczną część życia. Kto wie, na czem polega trud redagowania, kto dotykał się kiedykolwiek tej pracy, zmuszonej i odpowiedzialnej, ten łatwo zrozumie, że autor, któremu uśmiechała się droga twórczości samoistnej, który na samym wstępie na nią doznał przychylnego i zachęcającego przyjęcia, odczytując cudze rękopisy, przygotowując je do druku i najlepszy czas tracąc na niewdzięczną pracę „układania numeru“, musiał niejedną stoczyć walkę z sobą i niejedną aspirację własną stłumić, zanim przyzwyczaił się do chodzenia w zaprzęgu ciężkiej taczki „redaktora“. Jenike potrafił to uczynić z dziwną pogodą duszy, chociaż od owej pory literatura stała się nie głównem, ale ubocznem jego zajęciem. Mógł jej poświęcać tylko wolne od zajęć chwile, i w czasie tych chwil uprawiał ją teoretycznie, pisząc swoją cenną rozprawę: „O znaczeniu rytmu w poezyi“, i praktycznie, tłómacząc na język polski arcydzieła poezyi niemieckiej, której był doskonałym i wytrawnym znawcą. Kto wie jednak, jakie byłyby jego zasługi dla piśmiennictwa ojczyznego, gdyby mógł się być mu oddać całkowicie? Niewątpliwie, zająłby w niem daleko wybitniejsze stanowisko, gdyby nie.. obowiązki redaktorskie.

Powołany naprzód przez ruchliwego księgarza, Merzbacha, do objęcia redakcyi miesięcznika: „Księga świata“, przez lat siedem pracował Jenike nad rozwojem tego czasopisma. Była to dla niego szkoła, z której wyniósł rutynę i bogate doświadczenie. To też, kiedy Józef Unger szukał redaktora dla założonego przez siebie „Tygodnika Ilustrowanego“, zwrócił się przedewszystkiem z propozycją do Jenikego. Wybór nie mógł być trafniejszy. Jenike stanął u steru pisma i poprowadził je znakomicie. Nie przesadzimy, twierdząc, że całe swoje późniejsze i obecne stanowisko w prasie polskiej „Tygodnik“ zawdzięcza temu właśnie wyjątkowemu kierownictwu w początkach. Mając przez lat dwadzieścia siedem na czele swoim Jenikego, pismo to stanęło odrazu mocno i zyskało sobie szerokie wzięcie i popularność. Świadczy o tem wymownie fakt, iż na każde wezwanie redaktora ogół czytelników zawsze odpowiadał chętnym czynem i moralnie i materyalnie popierał dążenia redakcyi. Dość przypomnieć stypendyum Kopernika, fundusz dla głodnych Górnoślązaków, stypendyum imienia Kraszewskiego i tyle innych przedsięwzięć, które szły z inicjatywy Jenikego, rozwijały się i dojrzewały na łamach „Tygodnika Ilustrowanego“ i w całym społeczeństwie znajdowały oddźwięk.

Jako kierownik pisma, odznaczał się Jenike niezwykłą sumiennością w pracy. Z ołówkiem w ręce sam przeglądał wszystkie rękopisy, uwzględniał każdy przebłysk szczerego talentu, nie skąpił zachęty i otuchy dla początkujących. Każdy, kto wchodził do gabinetu redaktora, czy to był nieśmiały i stawiający dopiero pierwsze kroki w literaturze student, czy pisarz z głośnem już imieniem — jednako uprzejmie był przyjęty i wysłuchany. Każdy mógł liczyć na to, że praca jego bez żadnych uprzedzeń będzie wzięta do ręki i oceniona tak, jak na to zasługuje. Nie dziw też, że wspomnienia, jakie zachowało o Jenikem starsze pokolenie naszych literatów, są wyjątkowe. a wszyscy, a nie brak tu imion o pierwszorzędnym blasku, przyznają zgodnie, że jako redaktor, był on niezastąpionym.

W „Tygodniku Ilustrowanym“ ześrodkował też Jenika swoją działalność publicystyczną, stojąc na straży swojskości, szerząc kult dla pamiątek wieków ubiegłych i krzewiąc zasady dobra i piękna. Artykuły jego pisane zawsze z rozwagą i z gruntowną znajomością każdego przedmiotu, którego dotyczyły, trzymane w tonie spokojnym i nacechowane powagą, z której granic Jenike nie wychodził nigdy, daleki nawet od myśli o tem, aby osobistą niechęć kiedykolwiek domieszać można było do rzeczy publicznej, artykuły te, w których odzwierciadlała się chwila bieżąca — dziś zwłaszcza, w dobie wyuzdanej polemiki i napaści dziennikarsko-literackich, służyć mogą za wzór pojmwania obowiązków publicystycznych przez pisarza, sza-

nującego sztandar, pod którym służy i kochającego swoje społeczeństwo. A kochał to społeczeństwo Jenike prawdziwie, cierpiał z niem i radował się jego uludnemi radościami, pragnął szczerze jego rozwoju, świadomy był każdego braku i każdej dolegliwości. Przeciwnik frazesu i przeciwnik taniego entuzjazmu — uznawał on jedną tylko drogę prawdy i pracy i szedł nią wytrwale, ani na chwilę nie zbaczając z tego jasnego gościńca. Do każdej pracy, której się miał, wnosił te pierwiastki i wskutek tego każda przez niego zaczęta robota rozwijała się pomyślnie i wydawała owoce, co znów jednało mu zaufanie i szacunek współobywateli.

Jako ewangelik, przez długie lata piastował Jenike wysoką godność prezesa zboru ewangelicko - augsburskiego w Warszawie i znaczne położył zasługi dla rozwoju tutejszej gminy ewangelickiej. Był również gorliwym członkiem zarządu Towarzystwa dobroczynności publicznej i wielu innych instytucji dobra ogólnego. Wyliczenie tutaj wszystkich jego prac i wszystkich zaszczytów, które piastował, zaprowadziłoby nas zbyt daleko. Na tem miejscu oddając hołd pamięci zmarłego, winniśmy raczej podnieść jego zasługi literackie.

Wspomnieliśmy już powyżej o tem, że Jenike tłómaczył na język polski utwory literatury niemieckiej. Otóż nie były to tłómaczenia zwykłe, ale mozolna, sumienna praca odtwórcza, w którą tłómacz wkładał cały zasób swych wiadomości, i którą wykończył z cyzelerską precyzją.

Umiłowawszy sobie Goethego, nad nim pracował szczególnie, starając się nie uronić ani jednej myśli, ani jednego wyrazu, mającego znaczenie dla treści i tłómaczącego, zawiłą nieraz filozofię poety-miśliciela.

Jak się z zadania tego wywiązał, to oceniła już w swoim czasie krytyka fachowa, przyznając, że jego przekład „Fausta“ stoi na wysokości zadania i jeśli pod niektórymi względami nie przewyższa, to uzupełnia przekłady Paszkowskiego, Czermaka i Jezierskiego. Obok „Fausta“, tego najtrudniejszego do wiernego oddania treści w języku innym utworu, przełożył Jenike wybornie „Reineke-lisa“ i „Hermana i Dorotę“, składając przekładami temi dowód, jak ogromne miał poczucie rytmu i jak świetnie umiał przewyciężyć trudności polskiego heksametru. Heksametr Jenikego w tych dwu przekładach należy po Mickiewiczowskim do najlepszych, jakie nasza poezya, tak rzadko tą piękną posługującą się formą, posiada. Z dalszych przekładów Jenikego na wyróżnienie zasługują: „Ifigenia w Taurydzie“, „Torkwato Tasso“, „Egmont“, oraz praca oryginalna pod tytułem „Młodość Goethego.“

Jak widzieliśmy z tego krótkiego przeglądu działalności zmarłego pisarza—plony jego literackie nie są bogate, ale przy ich ocenie uwzględnić należy długie lata strawione w pracy na zagonie, który, jeżeli dziś kłosaми świeci, to dla tego, że miał dobrego oracza i siewcę. Wiedzieli o tem współcześni i dla tego ze czcią schylali czoła przed tą siwą i szlachetną głową, z której tyle dobrych i pożytecznych myśli na świat wybiegło. Powinni o tem wiedzieć i potomni, aby mogli uniknąć pomyłki i nie sądzili Jenikego tylko według jego skromnego dorobku pisarskiego, ale i według zasług, jakie położył dla literatury i społeczeństwa na innych polach pracy.

Cześć jego zacnej pamięci!

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

— Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE. — Doroczne publiczne posiedzenie odbyło się dnia 12-go maja bieżącego roku. Zagaił je przemową, w imieniu i z polecenia J. C. W. Arcyksięcia Protektora, Julian Dunajewski, zaznaczając między innymi, że: „Jak w innych latach, tak i w ubiegłym roku, złożyła Akademia przez liczne i cenne publikacje swoje nowy dowód żywotności. Niewątpliwie lista tych publikacyj mogłaby być o wiele znaczniejszą, gdyby konieczność liczenia się ze względami natury materialnej nie zmuszała do ograniczenia tej liczby.

„Wprawdzie bowiem Akademia doznaje stale — a i w ubiegłym roku doznała również ofiarności ze strony społeczeństwa, ale nie zawsze łączą się te ofiary z głównym zadaniem Akademii.

„Znaczna ich część — aczkolwiek świadczy niewątpliwie o szlachetnych intencjach ofiarodawców, przeznaczoną jest przez nich na cele, niewątpliwie piękne, ale nie stojące w bezpośrednim związku z właściwą działalnością naszej instytucji. Akademia, przyjmując takie ofiary i połączony z nimi ciężar administracji, czyni to głównie dla tego, aby ofiarodawców nie zniechęcać.

„Nie zawadzi przy tej sposobności zaznaczyć, że co się tyczy ofiar, dla Akademii składanych, to w przeciwieństwie do praw, panujących w świecie fizycznym, siła przyciągająca Akademii wzrasta w miarę odległości od jej siedziby“.

Następnie zabrał głos prezes Akademii, Stanisław hr. Tarnowski, a powitawszy licznie zgromadzonych gości, podziękował za liczne dowody życzliwości, okazywanej najwyższej Instytucji naukowej. W gorących słowach dał wyraz żalowi Akademii z powodu ustąpienia profesora Smolki z ważnego stanowiska sekretarza generalnego. Prezes stwierdził, że „lata urzędowania Smolki zaznaczyły się w Akademii wielostronnym i ciągłym postępem. Sujski, pierwszy sekretarz generalny, wszystkiemu dał pęd swoją gorącą duszą i silną ręką, wszystkiemu wskazał kierunek, ale dla

tego właśnie, że był pierwszym, że to były początki, nie mógł wszystkiego uorganizować, urządzić. Gdy jego zabrakło, nastaly lata, w ciągu których prezes, nieoceniony i nieodżałowany M a j e r, całą swoją duszę i energię kładł w służbę Akademii, ale (jak się to nieraz zdarza u ludzi, stojących na czele), chciał sam robić wszystko, a przez to do zbytku może zatrudniał i zaprzętał się szczegółami. Sekretarz generalny zaś nie miał dość inicjatywy, czy dość energii, żeby z niego zdjąć część tego ciężaru.

„Przyszedł S m o l k a. Nie bez poświęcenia, bo jest poświęceniem i trudnem dla człowieka nauki i dla pisarza, rzec się na całe lata pracy osobistej, pisarskiej, a oddać się wyłącznie na usługi prac zbiorowych, które zabierają dla siebie cały czas i całą siłę. Ale przyszedł z wysokim pojęciem zadań Akademii, z wyrobionem zrozumieniem środków, którymi ona do spełnienia swoich zadań może dążyć, z gotowym w głowie programem i zadań, i ich stopniowego pełnienia. Wziął się do dzieła z zapałem, równym rozmysłowi i praktycznemu zmysłowi, i oto, co w ciągu tych lat za jego wpływem i sprawą dokonano się, rozszerzyło i podniosło.

„Przedewszystkiem ściśle uregulowanie finansów Akademii, tak własnych, jak i powierzonych jej na cele stypendyjne. To wszystko, szybko doprowadzone do najściślejszego, niemal pedantycznego ładu, a zabezpieczone od możliwych przypadków, jak kradzież, ogień, lub podobne. Jego pośrednictwu, jego osobistemu wpływowi zawdzięcza Akademia piękny zapis Cużydły, najbogatszy (aż do zapisu Czabana) ze wszystkich, jakie na nią spadły; pomijam inne, przy których wydobyciu nie brakło czasem trudności i zachodów. Dotacya Akademii, sejmowa i ze skarbu państwa, pomnożyła się w dwójnasób przeszło, tak samo fundusz żelazny Akademii. Fundusze samoistne na cele wydawnictw od lat dziesięciu w trójnasób. Fundusze na nagrody wynoszą pięć razy tyle, co przed laty dwudziestu. Budynek powiększony, przebudowany. Zbiory komisji fizyograficznej należycie umieszczone, biblioteka rozszerzona i lepiej ubezpieczona, czytelnia urządzona.

„Tok spraw wewnętrznych, porządek obrad plenarnych, czy wydziałowych, poprawiony i ustalony. Czynność w komisjach rańniejsza, bez osłabień i przestanków. Dzielną i skuteczną w niej pomocą będzie niewątpliwie zwiększona liczba członków-korespondentów, do niedawna zbyt szczupła, dziś rozszerzona i wprowadzająca do Akademii znaczny przyrost sił młodych, a już w nauce wypróbowanych i wyszczególnionych. Liczba wydawnictw mogłaby się zwiększać, gdyby środki były równe zapasowi gotowych materiałów, a jeżeli się nie zwiększa, to raz dla tego, że koszta badania i koszta wydawania rosną w coraz większej mierze, a powtóre dla zasady, którą S m o l k a sam pięknie sformułował: „nie coraz więcej, tylko coraz lepiej“. Czy jest coraz lepiej, nie do nas należy sądzić, ale mamy prawo myśleć, że nie musi być coraz gorzej, że opinia i powaga Akademii musi iść w górę, kiedy świat naukowy obcy, zagraniczny, coraz więcej wchodzi z nią

w stosunki, i sam nierzadko tych stosunków szuka. Sześćset sześćdziesiąt instytucji naukowych, ze wszystkich krajów, utrzymuje te stosunki; niektóre, jak Akademia wiedeńska i pragska, same żądały stosunku ściślejszego przez stałą wymianę sprawozdań i bulletynów. To nie ustaje, to, owszem rośnie bez przerwy.

„A ekspedycja rzymska? Ten szczególnie miłowany i zapałem w życie wprowadzony pomysł Smolki, który historii polskiej otwiera i przystępnym robi niezmierny obszar najważniejszych informacji od zamierzchłych średnich wieków aż do ostatnich, z archiwów watykańskich, z publicznych i prywatnych bibliotek. Sto jedenaście voluminów wypełniają odpisy już gotowe, czekające wydania; kiedy będziemy mieli środki do tego wydania?

„A Stacya paryska! Inicytywa i ofiara wyszła od Paryskiego Towarzystwa historycznego, ale ułożenie stosunku, organizacja, uprawnienie Stacji przed cesarzem austriackim i przed francuskim rządem, to znów Smolki prace i zasługa.

„Wyliczam, co najważniejsze, i zatrzymuję się, jedno tylko dodając: Akademia straciła dzielnego, doskonałego Sekretarza, który w jej dziejach zapisał świetnie swoje imię. Ale nie straciła kolegi, przyjaciela, doradcy, i żywi nadzieję, że to niesposobne zdrowie, które mu każe dziś wstrzymać się od wyężonej, różnorodnej pracy, poprawi się we względnym spoczynku i pozwoli mu oddać się spokojniejszym osobistym naukowym zajęciom, a nam pozwoli się cieszyć historycznymi dziełami, których blask pośrednio i na Akademię spadnie“.

W dalszym toku przemówienia wyraził Prezes swą radość, że po Smolce wybranym został na Sekretarza generalnego profesor B. Ulanowski, który już od dwóch lat zastępował Smolkę „z poświęceniem niewyczerpanem i niez mordowanem“. Podał następnie Prezes Akademii do wiadomości, że Władysław Mickiewicz założył w Paryżu, przy Bibliotece polskiej, Muzeum imienia swego ojca. Zebrał w niem wszystkie swoje rodzinne pamiątki, wszystkie dzieła ojca we wszystkich wydaniach i przekładach, i wszystko, co o Adamie Mickiewiczu dotąd było pisane. Zbiór ten umieścił w domu Stacji paryskiej, własnym kosztem przebudowawszy i urządziwszy salę: W myśli jego, w jego pragnieniu, Muzeum to kiedyś, z czasem, miałyby być przewiezione do kraju. Na teraz zostaje w Paryżu; wspaniałomyślny twórca zastrzegł sobie tylko bezpośredni i najwyższy dozór na przeciąg swego życia. Piękna myśl, piękny czyn tej *pietus* synowskiego i polskiego serca, powinny być wszystkim znane i przez wszystkich z wdzięcznością przyjęte. Większą od innych winna jest Akademia, skoro szlachetny dawca pośrednio z dziełem swoim ją związał“.

Po Prezesie zabrał głos nowy Sekretarz generalny, prof. dr B. Ulanowski, i zdał sprawę z czynności Akademii w roku ubiegłym. Zesta-

wienie za rok 1902-gi wykazuje przekroczenie dochodów, wynoszące 35,000 koron. Zarząd Akademii poczynił energiczne starania, ażeby uzyskać tak od rządu, jak od sejmu odpowiednie powiększenie dotychczasowych dotacyj. W końcu swego przemówienia ogłosił sekretarz generalny następującą listę nowych członków Akademii:

I. *Wydział filologiczny*: a) Korespondenci: 1) dr Włodzimierz Demetrykiewicz, kustosz Muzeum antropologicznego Akademii Umiejętności; 2) dr Jan Rozwadowski, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego; 3) profesor Stanisław Schneider, profesor gimnazjum we Lwowie.

II. *Wydział Historyczno-Filozoficzny*: a) czynni krajowi: 1) dr Ludwik Kubala, profesor gimnazjum we Lwowie; 2) dr Leon hrabia Piniński, namiestnik Galicyi. — b) Korespondenci: 1) ksiądz profesor dr Jan Fijałek, profesor Uniwersytetu we Lwowie; 2) dr Aleksander Hirschberg, kustosz zakładu Ossolińskich we Lwowie.

III. *Wydział Matematyczno-Przyrodniczy*: a) czynni krajowi: 1) dr Leon Marchlewski, dyrektor zakładu do badania środków spożywczych w Krakowie. — b) Czynni zakrajowi: 1) dr Edward Suess, prezydent Akademii Umiejętności w Wiedniu; 2) profesor Franciszek Vejdovský, profesor czeskiego Uniwersytetu w Pradze. — c) Korespondenci: 1) dr Michał Siedlecki, docent Uniwersytetu Jagiellońskiego; 2) dr Stanisław Zaremba, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Oprócz powyższych, jest czterech nowych członków, zagranicznych poddanych, których nazwiska będą ogłoszone dopiero po zatwierdzeniu przez cesarza.

— NAGRODY Z FUNDACYI BARCZEWSKIEGO. — Według ogłoszonego przez generalnego Sekretarza zawiadomienia, przyznane zostały nagrody z fundacyi Barczewskiego za najlepsze tegoroczne dzieło historyczne i za najlepsze dzieło malarskie:

Nagrodę za najlepsze dzieło historyczne otrzymał profesor dr Maryan Sokołowski z Krakowa, za pracę pod tytułem: „*Studia do historii rzeźby w Polsce w XV i XVI-tym wieku*“.

Nagrodę za najlepsze dzieło malarskie otrzymał artysta-malarz, p. Jacek Malczewski, za pracę pod tytułem: „*Trzy głowy*“.

BIBLIOGRAFIA.

FILOZOFIA.

Filozofia Nowokrytyczna. Tom pierwszy. Zeszyt drugi. Pojęcie doświadczenia przez Karola Goeringa (rok 1877). *Od Redakcyi*: „Przerwane — pomimo woli i nie z winy wydawcy — wydawnictwo „Filozofii Nowokrytycznej” wznawia się obecnie pod redakcją p. Maryana Massoniusa. Odtąd zeszyty tego wydawnictwa będą wychodziły, jak zapowiedziano w prospekcie, regularnie w końcu każdego miesiąca”. Strona 81 — 160.

Ks. Jan Nuckowski T. J.: Początki Logiki ogólnej. Kraków. Nakładem autora. Skład główny: Chyrów, Zakład. 1903, stron 167.

Przegląd Filozoficzny. *Treść*: Prof. dr Piotr Chmielowski: Przyczynek do życiorysu i działalności Józefa Gołuchowskiego; — dr J. Łukasiewicz: Indukcja jako inwersja dedukcji; — prof. dr J. Baudouin de Courtenay: O psychicznych podstawach zjawisk językowych; — prof. dr H. Struve: O najwyższej zasadzie postępowania etycznego. — Przegląd systematów współczesnych: Stanisław Brzozowski: System filozofii Cohena. — Przegląd nauk poszczególnych: prof. dr L. Silberstein: Związek zjawisk w czasie; — R. Nusbaumowa: Teorya mechaniczna w świetle krytyki Stalla. — Autoreferaty: dr S. Perlmutter: Karol Menger i austriacka szkoła ekonomii politycznej; — St. Brzozowski: Jędrzej Śniadecki, jego życie i dzieła. — Sprawozdania. — Bibliografia. — Wiadomości bieżące.

PRAWO. — SPRAWY SPOŁECZNE.

Dr Zygmunt Balicki: Metody nauk społecznych i ich rozwój w XIX-tem stuleciu. Warszawa. Nakładem księgarni E. Wende i Sp., 1903, stron 62.

Henryk Konic: Dzieje prawa małżeńskiego w Królestwie Polskiem (1818 — 1836). Kraków, 1903. Warszawa. Skład główny w Księgarni Naukowej, Krucza 44. Stron 295.

Ksiądz Stanisław Kujot, pleban w Grzybnie, poczta Unisław: Pau Wiktor Kulerski, jako kandydat na posła. Czysty dochód na kościół w Kraszewie, parafii Białuckiej. Toruń. Nakładem autora. 1903, stron 110 i facsimile.

Wiadomości społeczno-ekonomiczne. Rok pierwszy. Zeszyt pierwszy. Wydawca i Redaktor Teofil Rozmarynowicz. Adres Redakcyi: Kraków, ulica Karmeliicka № 58. — 1903. Stron 64. Prenumerata roczna rubli sześć. (Gebethner i Wolff). *Treść zeszytu*: Do czytelnici-

ków. — Ideał społeczny, napisał Teofil Rozmarynowicz. — Poglądy socyologiczne Adolfa Custe'a, napisał Ludwik Kulczycki. — Kilka słów o stanowisku społecznem lekarzy w Austrii, napisał I. G. Odrowąż. — Rozbiory i sprawozdania z prac naukowych. — Bibliografia. — Różne zapiski.

HISTORIA.

Książd Franciszek Buczys, Magister świętej Teologii: Święty Stanisław, Biskup Krakowski. Rozprawa, przedstawiona Fakultetowi Teologicznemu w Uniwersytecie Fryburskim w Szwajcaryi, w celu otrzymania stopnia Doktora Teologii. Kraków. Nakładem autora. 1902. Skład u autora (Petersburg, Wasilewskij Ostrow pierwsza linia, № 52). Cena rub. 1 kopiejek 20). Stron 8 nlb. + 200.

Bronisław Dembiński: Postać Leona XIII-go w dziejach. Lwów, 1903. Skład główny w księgarni H. Altenberga, stron 18. (Odczyt, miany dnia 1-go marca 1903 roku na uroczystości dwudziestopięcioletniego Jubileuszu).

Roman Plenkiewicz: Akta sądowe z wieku XVI-go, użyte jako materiał do życiorysu Jana Kochanowskiego, zebrał i wydał... W Krakowie, 1903. Stron 140. (Osobne odbicie z tomu X-go Archiwum do historii literatury i oświaty w Polsce, Akademii Umiejętności).

Russko-Jewrejskij Archiw. Tom trzeci. Dokumenty k'istorii *polских i litowskich Jewrejew* (1364 — 1569). S.-Pietierburg. 1903. Stron VIII + 260 + XVI.

Trąmpczyński Włodzimierz: Albania i Macedonia. Kraj i ludzie. Podług najnowszych źródeł opracował... Z ilustracyami. Cena 40 kopiejek. Warszawa. 1903. Stron 157. (Biblioteka dzieł Wyborowych, № 279).

HISTORIA LITERATURY. — FILOLOGIA. — PEDAGOGIA.

Aleksander Brückner: Sejm piekielny. Satyra obyczajowa (1622 rok), wydał... Kraków, 1903, stron 76 i facsimile. (Wydawnictwo Akademii Umiejętności. Biblioteka pisarzy polskich).

Anonima Protestanta XVI-go wieku erotyki, fraszki, obrazki, epigramaty z rękopisu wydał Ignacy *Chrzanowski*. Kraków, 1903. Stron 158. (Wydawnictwo Akademii Umiejętności. Biblioteka pisarzy polskich).

Józef Czerniecki: Najdawniejsze wzory pisma polskiego i polskie podręczniki do nauki kaligrafii. Przyczynek do dziejów pedagogii, dydaktyki i metodyki w szkołach i domach polskich. Odbitka z Kalendarza „Szkoły“. Lwów. Nakładem Towarzystwa Pedagogicznego. 1902. Stron 62 + 2 nlb. + 10 tablic. Cena 1 kor.

Tenże: Jana Januszowskiego nowy Charakter polski z roku 1594. Lwów. 1902. Nakładem Towarzystwa Pedagogicznego. Stron 13.

Tenże: Stanisława Serafina Jagodyńskiego Kalligrafia abo Cancellaria z roku 1695. Odbitka z „Muzeum“. Lwów. 1903. Stron 28.

Bertold Merwin: Profile i perspektywy. Lwów. Gubrynowicz i Schmidt. 1902. Cena 2 korony. Stron 125 + 2 nlb.

Władysław Nawrocki: Humor, żart i satyra w poezji polskiej. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. 1903. Stron 380.

Pamiętnik Literacki. Czasopismo kwartalne... pod redakcją W. Bruchnalskiego, Br. Gubrynowicza i E. Porębowicza. Rocznik drugi. Zeszyt pierwszy. Lwów. Nakładem Towarzystwa Literackiego imienia Mickiewicza. 1902. Skład główny w Warszawie. E. Wende i Spółka. Stron 182. *Treść zeszytu*: Rozprawy: książd Jan Fijałek: Bogurodzica; Aleksander Brückner: Znakomitsi pisarze wieku XVII. II. Domina palatii i Facecye polskie. — Notatki: Al. Hirschberg: Kilka nieznanych szczegółów do biografii Kremera; Wł. Janowski: Szymona Szymonowicza „Nagrobbki zbieranej drużyny“; Aleksander Brückner: Z teki bibliograficznej. I. Polskie indeksy książek zakazanych; Ig. Chrzanowski: Przyczynki do pism Gracyana Piotrowskiego; Em. Petzold: Motywy Mickiewiczowskie. III. Samobójstwo i zabójstwo magiczne; Fr. Krček: Uwagi nad „bibliografią literacką czasopism polskich“ za rok 1901-szy. — Materyały. — Recenzye. — Bibliografia. — Prenumerata wynosi rocznie sześć rubli.

Bartosza Paprockiego Koło Rycerskie wydał dr Wiktor Czermał. Kraków, 1903, Stron XVII + facsimile + 194. (Wydawnictwo Akademii Umiejętności. Biblioteka pisarzy polskich).

Poradnik językowy. Rocznik trzeci. 1903. № 5. *Treść*: Rzeczowniki dwurodzajowe, napisał Jan F. Magiera. — Zapytania i odpowiedzi. — Roztrząsania, przez B. Dyakowskiego, d-ra L. Czarkowskiego, księdza Bronisława Markiewicza i G. Paszkiewicza. — Wyrazy obce, przez Konrada Knauusa. — Pisownia imion własnych obcych, przez Konrada Knauusa i Kazimierza Nitzscha. — Krotchwile językowe. — Korespondeneye Redakcyi.

Antoni Potocki. Szkice i wrażenia literackie (H. Sienkiewicz, Reymont, Dąbrowski, Żeromski, Sieroszewski, Tetmajer, Kasprowicz, Lange i inni). Lwów. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. 1903. Stron IX + 316 + 4 nlb.

Jul. Adolf Świącicki: Historia literatury żydowskiej. Z ilustracyami. Część druga. Warszawa. 1903. Stron 288. (Biblioteka dzieł wybranych).

Mikołaja Sępa Szarzyńskiego Poezye. Z pierwodruku (1601) i z rękopisu wydał Ignacy Chrzanowski. Kraków, 1903, stron 78. (Wydawnictwo Akademii Umiejętności. Biblioteka Pisarzy polskich).

R O L N I C T W O .

Bronisław Janowski: Hodowla nasion traw pastewnych. Z 71 rysunkami w tekście. Lwów. Wydane przez Komitet c.-k. gal. Towarzystwa gospodarczego. 1902, (Karton.). Str. 150. Księgarnia St. Sadowskiego w Warszawie.

Sprawozdanie Warszawskiej Kasy Pożyczkowo-Oszczędnościowej rolników i ogrodników za lata 1900 — 1902. Warszawa. 1903. Stron 47.

POEZYJE. — DRAMATY. — POWIEŚCI.

René Bazin: Rodzina Oberlé. Powieść, przetłómaczył za pozwoleniem autora K. M. — Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie. 1902. Stron 232.

Bolesław Biernacki: Biuraliści. Powieść. (Biblioteka dzieł wyborowych, № 278). Warszawa, 1903, stron 160.

Feliks Brodowski: Chwile, Fantazyje, Nowele, Obrazy natury. Z przedmową Stanisława Krzemńskiego. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1903. Stron 206 + 2 nlb.

P. Bourget, członek francuskiej Akademii nauk (?): Etap. Przełożył Achilles Breza, magister prawa i administracyi, S. G. W. Warszawa. Nakładem „Kroniki Rodziennej“, Krakowskie Przedmieście № 6. 1903. Stron 391.

D-Mol (Maryla Wolska): Święto słońca. Lwów, 1903. Księgarnia Polska. Stron 93 i 2 nlb.

Wiktor Gomulicki: Miecz i Łokieć. Powieść z wieku XVII-go. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1903. Tom pierwszy. Stron 4 nlb. + 354. Tom drugi, stron 4 nlb. + 283.

J. A. Kisielewski: Karykatury. Nakład Towarzystwa Wydawniczego we Lwowie. 1903. Skład główny w Warszawie, w księgarni Sadowskiego, Marszałkowska № 115. Stron 102.

Tenże: Ostatnie spotkanie. Komedia. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego we Lwowie. 1903. Stron 106. Skład główny w księgarni St. Sadowskiego w Warszawie, Marszałkowska № 115.

Aleksandra Łapińska: Z ludzkich dróg. Warszawa. E. Wende i S-ka. 1903. Str. 246 + 2 nlb.

Ernest Łuniński: Szarą drogą. Nowele. Lwów. Gubrynowicz i Schmidt. 1903. Stron 2 nlb. + IV + 310. Okładka rysunku St. Dębickiego.

Antoni Miecznik: Z prądem życia. Powieść. Warszawa. Nakładem Księgarni Warszawskiej Spółki Wydawniczej: Mazowiecka № 16. 1903. Stron 4 nlb. + 405. Cena rub. 1 kop. 50.

Paż: Nowele. Lwów. Gubrynowicz i Schmidt. 1902. Stron 129.

Marya Rodziewiczówna: Macierz. Powieść. Warszawa. W drukarni Synów St. Niemiry: Plac Warecki № 4. 1903. Stron 278.

Albert Wilczyński: Wycieczka na Krzyżne. Humoreski i nowele. Z przedmową M. Gawalewicza o autorze „Kłopotów starego komendanta“. Stron XVI + 295 + 2 nlb. Lwów. Gubrynowicz i Schmidt. 1903.

Jan Zacharyasiewicz: Po ślubie. Z zapisków kobiety. Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie. 1903. Stron 216.

PORADNIK JĘZYKOWY

ROK 1903.

ROCZNIK III.

„PORADNIK JĘZYKOWY“ wychodzi na początku każdego miesiąca, z wyjątkiem sierpnia i września (a więc rocznie dziesięć razy) w objętości jednego arkusza wielkiej ósemki.

PRENUMERATĘ na „Poradnik językowy“ przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą, a zwłaszcza *ekspedycje główne* „Poradnika“:

W Krakowie: Księgarnia D. E. Friedleina (Rynek gł. 17).

W Warszawie: Księgarnia E. Wendego i Sp. (Krak. Przedm., № 9).

Prenumerata na rok cały wynosi:

W Krakowie 2 k. 50 h. na prowincyi z przes. poczt. 3 k.

W Warszawie 1 rs. 50 kop. „ „ „ „ 1 rs. 80 kop.

ROCZNIKI I-szy i II-gi — o ile szczupły zapas starczy — można jeszcze nabywać we wszystkich księgarniach po cenie 4 korony (2 rub.) za rocznik I-szy, a po 3 korony (1 rub. 80 kop.) za rocznik II-gi.

Komitet Zarządzający Kasą pomocy

dla osób, pracujących na polu naukowym,

imienia d-ra Józefa Mianowskiego,

podaje do wiadomości:

że z zapisu Jakóba Natansona, przyznane zostaną w roku 1905 dwie nagrody pieniężne:

Jedna nagroda przyznana będzie za najlepszą pracę z dziedziny nauk ścisłych (matematyka, nauki przyrodnicze włącznie z biologicznymi) ogłoszone drukiem w języku polskim w latach: 1901, 1902, 1903 i 1904; druga za taką pracę w dziedzinie nauk społecznych, filozoficznych, prawnych, lub tym podobnych. Zgodnie z ustawą Kasy pomocy i stosownie do zastrzeżeń, uczynionych przez zapisodawcę, powyższe nagrody udzielone być mogą jedynie poddanym rosyjskim, mieszkańcom Królestwa Polskiego, w Królestwie urodzonym. Komitet zarządzający Kasą własnem staraniem usiłował zebrać, dla podania ocenie prace, ogłoszone drukiem w wymienionym okresie; dla uniknięcia jednak możliwych przeoczeń, prosi o składanie prac, o których mowa, w biurze Komitetu, lub na ręce jednego z członków Komitetu.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

Z ROKU 1903.

F I L O Z O F I A.

	Str.
ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO TRAKTAT O TRÓJCY W BOGU I O TRÓJCY W CZŁOWIEKU, — wydał i słowem wstępnem poprzedził A d a m K r a s i ń s k i	1
DZIEŃ DUCHA ŚWIĘTEGO. Z powodu wydania „Traktatu o Trójcy“ Zygmunta Krasieńskiego (poprzedzone Listem do przyjaciela), przez A d a m a K r a s i ń s k i e g o	205 i 464
M. MAETERLINCK JAKO MORALISTA, — przez Wł. Jabło- n o w s k i e g o	317

H I S T O R Y A.

FATA MORGANA. Szkic historyczny, — przez profesora A. B r ü c k n e r a	36
ZABIEGI DYPLOMATYCZNE POLSKIE. 1830—1831, — przez prof. S z y m o n a A s k e n a z e g o	244
KRÓLEWSKI UNIWERSYTET WARSZAWSKI. (1817 — 1831). Zarys historyczny, — przez d-ra S z e l i g ę	337
WRAŻENIA Z KONGRESU UMIEJĘTNOŚCI HISTORYCZNYCH, ODBYTEGO W RZYMIE W DNIACH 2 — 9	

	Str.
KWIETNIA 1903-go ROKU, — przez Ta- deusza Korzóna	421

SZKICE POLITYCZNE.

✓ IDEA SAMODZIELNOŚCI GALICJI A JEJ FINANSE, — przez Wł. Studnickiego	96
--	----

LITERATURA.

AD ASTRA. DWUGŁOS przez Elizę Orzeszkową i Juliu- sza Romskiego . (dalszy ciąg) 71, 274 i 493	
--	--

STUDYA I SZKICE LITERACKIE
I ARTYSTYCZNE.

DRAMAT I OPERA, — przez Władysława Bogusław- skiego	113
NOWE DROGI, NOWE BOGI, — przez Henryka Gallego . .	141
POLSKA W NIEMIECKIEJ LITERATURZE PIĘKNEJ DAWNIEJ I DZISIAJ, — przez prof. Józefa Flacha	532
GENEZA NOWYCH PRĄDÓW W SZTUCE, — przez Kazimie- rza Broniewskiego	565

SPRAWY SPOŁECZNE, PRAWNE
i EKONOMICZNE.

✓ SPRAWNOŚĆ PRZEMYSŁOWA KRÓLESTWA POLSKIEGO, — przez Henryka Radziszewskiego .	296
TARYFY KÓLEJOWE DLA ZBOŻA. (Memoryał Rady rolniczej Piotrkowskiej), — przez Józefa Jeziorań- skiego	511

ROZMAITOŚCI.

Beniowski w Ameryce, — przez W. M. Kozłowskiego . . .	155
„Mazepa“ Słowackiego, — przez W. Nehringa	364
Szlachectwo rodu Słowackich. Kartka ze stosunków rodzinnych Juliu- sza Słowackiego, na podstawie nieznanych ma- teryali, — przez Leopolda Mýyeta .	575

K R Y T Y K A.

	Str.
<i>Zygmunt Gloger</i> : Encyklopedia staropolska ilustrowana Tom III-ci. Warszawa, 1902, str. 350 wielkiego 8-o w dwie szpalty, — przez prof. A. Brücknera . . .	171
<i>Dr Zygmunt Gargas</i> : Związki zawodowe jako przedmioty administracji publicznej, 1901, — przez A. R. . . .	176
<i>Dr Zygmunt Gargas</i> : Staszic jako statysta, 1902, — przez A. R. . . .	179
<i>Herman Roeren</i> : Zur Polenfrage, 1902, — przez A. R. . . .	181
<i>Aleksander Kraushar</i> : Barss, palestrant warszawski, jego misya polityczna we Francyi (1793 — 1809), ze źródeł archiwalnych, 1903, — przez A. R. . . .	392
<i>Józef Ignacy Kraszewski</i> : Polska w czasie trzech rozbiorów. 1772 — 1779. Studya do historii ducha i obyczaju. Tom trzeci. 1791 — 1799. Warszawa, 1903, — przez A. R. . . .	585
<i>Albert Sorcl</i> : Sprawa wschodnia w XVIII-tym wieku. Pierwszy podział Polski i traktat Kainardżyjski. Przełożyli z upoważnienia autora słuchacze Uniwersytetu lwowskiego, z przedmową Szymona Askenazego. Lwów. 1903, — przez A. R. . . .	594

KRONIKA MIESIĘCZNA.

KWIECIEŃ:

Jego Ekscelencya Chościak Popiel, arcybiskup warszawski. — Wystawa krajowa. — W sprawie lekarzy szpitali warszawskich. — „L'oeuvre philantropique du laïc“. — Hygiena miast i wsi. — Schronisko w Drewnicy. — Zapis Choynowskiego . . .	186
---	-----

MAJ:

Reforma zarządu miast w Królestwie Polskiem. — Opieka nad umysłowo chorymi. — Groby przedhistoryczne w okolicach Nałęczowa. — Jak rozwijają się u nas Towarzystwa pożyczkowo oszczędnościowe? — Szkoła sztuk pięknych w Warszawie. — Towarzystwo muzyczne w roku 1902. — Ś. p. Eustachy ks. Sanguszko. — Ś. p. Witold Marewski. — Półmilionowy zapis na cele dobroczynne . . .	399
--	-----

CZERWIEC:

Lekarze a lud wiejski. — Spółka udziałowa Salonu artystycznego i jej zadanie. — Ruch pocztowy w Warszawie. — Poradnik językowy. — Sekcyja imienia Chopina. — Ś. p. Jego Ekscelencya ksiądz biskup Henryk Dołęga-Kossowski. — Ś. p. Ludwik Jenike . . .	602
--	-----

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE
I BIBLIOGRAFICZNE.

	Str.
KWIECIEŃ	199
MAJ	414
CZERWIEC	620
